

CZARNA
SENSACJA

.. ALEXANDER
SODERBERG
DRUGI SYN

**.. ALEXANDER
SÖDERBERG**
DRUGI SYN

Przekład Irena Muszalska

Wydawnictwo Czarna Owca
Warszawa 2015

Tytuł oryginału
DEN ANDRE SONEN

Redakcja językowa
Ewa Kaniowska

Projekt okładki i zdjęcia na okładce
Magda Kuc

Korekta
Ewa Jastrun, Piotr Królak

Copyright © Alexander Söderberg, 2014
Published by agreement with Salomonsson Agency
Copyright for the Polish edition © by Wydawnictwo Czarna
Owca, 2015

Wydanie I

ISBN 978-83-7554-618-7

Wydawnictwo **Wydawnictwo Czarna Owca Sp. z o.o.**

**CZARNA
OWCA**

www.czarnaowca.pl

ul. Alzacka 15a, 03-972 Warszawa

www.czarnaowca.pl

Redakcja: tel. 22 616 29 20; e-mail:

redakcja@czarnaowca.pl

Dział handlowy: tel. 22 616 29 36; e-mail:

handel@czarnaowca.pl

Księgarnia i sklep internetowy: tel. 22 616 12 72; e-mail:

sklep@czarnaowca.pl

Konwersję do wersji elektronicznej wykonano w systemie

Zecer.

Część pierwsza

1

Biarritz

Był dość wysoki, dobrze zbudowany i miał ten szczególny wygląd człowieka, który całe dni spędza na słońcu. Na twarzy bruzdy i zmarszczki, a w oczach aż za dużo blasku. Promieniowały z niego rześkość i naturalna radość.

Dzień pracy dobiegł końca i Eduardo Garcia przeszedł wzdłuż burty z dzioba na rufę statku. Wskoczył do zacumowanej tam motorówki, włożył wiatrówkę i kamizelkę ratunkową. Był styczeń. Temperatura w ciągu dnia sięgała dziesięciu stopni, ale chłód od morza wciąż był ostry i nieprzyjemny.

Zakręcił i, przecinając fale, ruszył z dużą prędkością w stronę lądu.

Eduardo Garcia wiódł spokojne życie. Sam sobie takie wybrał.

Naprawdę nazywał się Eduardo Guzman, choć tym nazwiskiem nie posługiwał się od niepamiętnych czasów.

Kiedy miał kilkanaście lat, wraz ze swoją dziewczyną Angelą opuścił Marbellę i Hiszpanię. Wybrali się do Biarritz we Francji, żeby pływać na desce. Znaleźli swoje miejsce na ziemi i tam osiedli. Nowe życie, nowe nazwisko, nowy kraj.

Teraz, wieki później, mieli dwóch synów i oboje pracowali. On był biologiem morskim, a ona aplikantką w niewielkiej kancelarii adwokackiej. Sześć miesięcy temu do rodziny dołączył też Hasani, potężny Egipcjanin. Przysłał go ojciec Eduarda, Adalberto Guzman. W Sztokholmie zrobiło się gorąco. Mieszkającego tam brata Eduarda, Hectora Guzmana, potrącił samochód. Stali za tym ludzie z konkurencyjnej organizacji.

Zbliżając się do brzegu, Eduardo zobaczył na pomoście synów i Hasaniego. Komiczny obrazek – ogromny Egipcjanin, jak zawsze w marynarce, a obok niego dwóch wesołych chłopców ze szkolnymi plecakami na ramionach.

Eduardo podniósł rękę i pomachał. Chłopcy odmachali wesoło. Hasani również uniósł dłoń, choć z większą rezerwą, jakby rozumiał, że ten gest nie jest adresowany do niego. Jednocześnie nie chciał sprawiać wrażenia

niegrzecznego. Cały Hasani.

Eduardo, jak co dzień, ruszył z synami w kierunku nieco spokojniejszej części miasta. Szli ręką w rękę, zostawiając za sobą marinę i gwarne ulice pełne turystów. Taki mieli zwyczaj. Chłopcy spotykali się z nim po szkole, razem szli coś zjeść, potem robili zakupy i wracali do domu, żeby wspólnie przygotować kolację. Parę kroków za nimi, jak zawsze posapując, szedł Hasani.

Chłopcy zaproponowali Lorda Nelsona. Kusiło ich akwarium z żywymi rybami i homarami. Eduardo się nie zgodził. Mimo dość niskiej o tej porze roku temperatury chciał posiedzieć na powietrzu. Kawiarnia, którą wybrał, mieściła się przy niedużym rynku. Często do niej zaglądał. Wszędzie kręciło się mnóstwo ludzi. Eduardo i chłopcy usiedli przy stoliku na skraju ogródka, a Hasani dwa stoliki dalej.

Eduardo machnął na kelnera i gestem pokazał mu, że zamawia to, co zwykle, czyli dwa pomarańczowe napoje gazowane i kawę. Zadzwoił telefon, który miał w kieszeni.

– *Sí?*

Dzwoniła Angela, żeby powiedzieć mu, że się spóźni,

a do ich domu jedzie właśnie rzeczoznawca i Eduardo będzie musiał go wpuścić.

Mieli zamiar rozejrzeć się za czymś większym. Kiedy wycenią dom, będą wiedzieli, na czym stoją. Eduardowi zależało na tej wycenie. Ale chciał też posiedzieć chwilę w kawiarni.

– W porządku – powiedział i się rozłączył. Gestem wezwał Hasaniego.

– Zabierz chłopców do domu i wpuść rzeczoznawcę. Ja przyjdę później.

Synowie zaczęli protestować, ale Eduardo ich nie słuchał. Przyzwyczyił się do tego, że Hasani zawsze miał ich na oku. Nawet jeśli nie wisiała nad nimi żadna konkretna groźba, Egipcjanin gwarantował im bezpieczeństwo.

Chłopcy wstali i ruszyli przez rynek za Hasanim. Eduardo popatrzył na synów i się uśmiechnął – chłopcy całą postawą dawali do zrozumienia, że czują się niesprawiedliwie potraktowani. Uśmiechnął się jeszcze szerzej, widząc, jak zapominają o tym i zaczynają się ścigać.

Zjawił się kelner z zastawioną tacą. Rozejrzał się za

dziećmi.

– Mam to zabrać? – zapytał, wskazując napoje gazowane.

Eduardo potrząsnął głową.

– Jeśli można, wezmę je ze sobą – powiedział, po czym wskazał zwiniętą w rulon gazetę, którą kelner trzymał pod pachą. – Chętnie bym ją przejrzał.

Popijając kawę, przeleciał wzrokiem najważniejsze wiadomości. Uznał je za wyjątkowo mało interesujące i przerzucił kilka stron w poszukiwaniu aktualności piłkarskich.

Nadjechał rower. Musiał mieć przerzutki, bo Eduardo usłyszał charakterystyczne cykanie piasty. Podniósł wzrok znad gazety. Rowerzysta zatrzymał się obok kawiarni, przy najbardziej zewnętrznym rzędzie stolików. Zsiadł z roweru. Był niski i miał plecak. Usiadł przy wolnym stoliku obok Eduarda, a gdy ich spojrzenia się spotkały, skinął mu głową. Był blady, krótko ostrzyżony i miał dziwny błysk w oczach...

Eduardo uśmiechnął się i wrócił do lektury. Znalazł tabelę lig europejskich i przeraził się, widząc, jak słabo radzi sobie jego Malaga. Wolałby nie musieć kibicować

Barcelonie ani Realowi.

Malaga albo nic.

Nad rynkiem zaczęło wiać. Strony gazety zafalowały cicho w łagodnych podmuchach, a ich górne krawędzie złożyły się do środka. Rozległo się cykanie roweru. Eduardo podniósł wzrok, popatrzył za jego właścicielem i wrócił do gazety.

Wtedy do jego świadomości przedarł się obraz człowieka na rowerze. Obraz, który mówił, że coś jest nie w porządku, że czegoś brakuje. Eduardo rozejrzał się dookoła. Rowerzysta zniknął. Eduardo spojrzął na stół, przy którym przed chwilą siedział. Co takiego zwróciło jego uwagę? Czy nie wydawał się mniejszy, gdy odjeżdżał? Czegoś mu brakowało? Czegoś zapomniał? Kurtki? Nie, czegoś innego. Eduardo szukał w pamięci. Plecaka!

Schylił się. Zgadza się, plecak został pod krzesłem. Był czarny i stał nieruchomo, jak to plecak. Choć wydawało się, że żyje. Było tak, jak gdyby Eduardo zobaczył coś, czego nie mógł widzieć. Kryjące się w środku życie, które zaraz miało sprawić, że plecak zacznie się poruszać.

Uczucia biegną szybciej niż światło. Dlatego Eduardo

przez nanosekundę zdążył poczuć wdzięczność. Krótką, gorącą i intensywną wdzięczność za to, że ręka Boga usunęła jego dwóch ukochanych synów z tej beznadziejnej sytuacji, w której zostanie rozerwany na kawałki.

Fala ciepła po gwałtownej eksplozji zamieniła w parę wszystko, co znajdowało się w pobliżu. Kawę, napoje gazowane, ślinę, łzy, pot i krew.

To, co wcześniej było Eduardem Guzmanem, zniknęło w bezkresnej nicości.

2

Sztokholm

Z rynien zwisały długie sople. Było mroźno, ale spadło niewiele śniegu. Tego roku zima nie mogła się zdecydować.

Sophie szła, a Albert jechał na wózku obok niej. Wolno odpychając się rękoma, utrzymywał jej tempo.

Rano zwykle niewiele do siebie mówili. Sophie od czasu do czasu muskała dłonią jego ramię. Na pierwszy rzut oka Albert mógł się wydawać dzieckiem. Ale nim nie

był. Niedługo miał skończyć siedemnaście lat. Był nastolatkiem. Dbał o swój wygląd, uprawiał sport i robił, co mógł, żeby z uszkodzonym rdzeniem kręgowym żyć tak normalnie, jak to możliwe.

Oczywiście jego życie zmieniło się od czasu, gdy pół roku temu potracił go samochód. Grupa przyjaciół stopniała, ale Anna go nie opuściła. Sophie widziała łączące ich uczucie, było prawdziwe. To jej w zupełności wystarczało. Ale było coś jeszcze. Smutek, z którym nie radzili sobie ani Albert, ani ona i o którym nie byli w stanie rozmawiać.

Uścisnęli się przed wejściem do metra przy Tekniska högskolan.

– Pa, skarbie. Do zobaczenia w domu.

Uśmiechnął się do niej i ruszył do windy, żeby zjechać na peron.

Był już duży. Nie chciała tego. Wolałaby, żeby na zawsze pozostał dzieckiem. Wtedy ona byłaby mamą i uniknęłaby samotności. To uczucie było jednocześnie smutne i żałosne.

Sophie zaczekała i upewniła się, że pociąg Alberta odjechał. Wtedy sama zjechała schodami i wsiadła do

następnego.

Metro pędziło pod ziemią. Sophie wpatrywała się w pustkę za oknem. Wysiadła przy Östermalmstorg, pochodziła trochę wokół Stureplan i upewniła się, że nikt jej nie śledzi. Następnie wyszła na ulicę i machnęła na taksówkę.

Podawała taksówkarzowi adres w centrum.

Kiedy dojeżdżali do ronda Sergela, pochyliła się do przodu.

– Proszę poczekać, zmieniałam zdanie. Czy mógłby pan okrążyć rondo dwa razy, a potem skręcić w Sveavägen i pojechać w stronę Frescati?

Taksówkarz zerknął na nią w lusterku.

– Oczywiście. Nie ma sprawy.

Sophie odwróciła się i spojrzała do tyłu. Był to jeden z tysiąca drobnych środków bezpieczeństwa, do których zmusił ją Leszek. Nie pozwalaj sobie na lekceważenie, powtarzał.

Tak jak się spodziewała, żaden samochód nie przejechał za nimi całego okrążenia.

Sophie usiadła prosto. Za oknem widziała uliczny ruch,

ludzi, samochody, a w szybie swoje niewyraźne odbicie. Nie spodobało się jej. Z twarzy nie schodził krytyczny grymas, jakby szykowała się, żeby odpowiedzieć na obelgę. Choć wcale tak nie było. Był to namacalny efekt życia w ciągłym strachu pomieszonym ze złością.

Taksówka zatrzymała się w Kräftriket, obok pięknych starych budynków z cegły. Niektóre z nich wykorzystywał leżący po drugiej stronie autostrady uniwersytet.

Zapłaciła gotówką i przekroczyła próg dwupiętrowego budynku, w którym mieściły się trzy niewielkie firmy. Po kamiennych schodach weszła na piętro i otworzyła nieznajome drzwi. Idąc korytarzem, minęła rząd pustych, nieumeblowanych biur i niewielką przeszkloną salę konferencyjną. Zdążyła zobaczyć, że na białej tablicy ktoś czarnym markerem zapisał jakieś obliczenia. Wyglądały na skomplikowane i od razu uznała, że ich zrozumienie przekracza jej możliwości.

Gdy dotarła do końca korytarza, otworzyła drzwi i weszła do środka.

– Przepraszam za spóźnienie.

Ernst Lundwall nic nie powiedział. Siedział przy stole, przeglądając w skupieniu górę papierów. Na sąsiednim

krześle siedział Leszek.

– Cześć, Leszek.

On również się nie odezwał. Nie dlatego, że był niewychowany. Po prostu nie uznawał powitań.

Na stole leżała komórka. Sophie usiadła tak, żeby ją mieć przed sobą.

Przyjrzała się mężczyznom. Ernst był nadwornym prawnikiem i ekonomistą Hectora, nad wyraz dobrze zorientowanym w sprawach organizacji. Kłopotliwie inteligentny człowiek, wykazujący niespotykaną wręcz obojętność wobec innych.

Leszek Śmiały przez wiele lat był gorylem ojca Hectora, Adalberta Guzmana, a teraz stał u jej boku. W dziwny sposób łączył w sobie postaci ochroniarza, strażnika i nadzorcy.

Sophie rozejrzała się po pokoju. Za dużymi, wysokimi oknami dostrzegła Brunnsviken. Wnętrze zdobiły piękne, stare meble, które tworzyły atmosferę wysokiej jakości i stylu. Nigdy wcześniej nie była w tym pokoju i nigdy więcej go nie zobaczy. Tak to właśnie wyglądało, jeśli chodziło o ich cotygodniowe spotkania. Zawsze odbywały się w nowym miejscu, o którym dowiadywała się kilka

godzin wcześniej.

Telefon na stole zaczął wibrować. Odczekała parę sekund, po czym podniosła go i odebrała.

– Tak?

– Kto jest w pokoju? – usłyszała głos Arona.

– Leszek i Ernst.

– Głośnik włączony?

Włączyła głośnik i odłożyła telefon na stół. Trochę szumiało, pewnie dlatego, że w górach na południu Hiszpanii zasięg był słaby.

Zaszeleściło i znów rozległ się głos Arona.

– Brat Hectora, Eduardo, został wczoraj zamordowany w Biarritz.

Panująca w pokoju cisza zupełnie zmieniła charakter. Sophie spojrzała na swoje leżące na kolanach ręce. Nie znała Eduarda, tylko o nim słyszała. Brat Hectora...

– Jak to się stało?

– Zamach bombowy.

Cisza zgęstniała.

– Czy to on był celem?

– Tak zakładamy.

Przyjrzała się Ernstowi i Leszkowi. Ernst nie

zareagował, siedział tak samo obojętny jak zwykle. Natomiast Leszek wyglądał na zgnębionego. Oparł łokcie na kolanach, wbił wzrok w ziemię i wydawało się, że uszło z niego powietrze. Wiedziała, że w tym pokoju to on najlepiej – nawet jeśli niezbyt blisko – znał Eduarda. To on na rozkaz Adalberta wysłał Hasaniego do Biarritz, żeby chronił Eduarda i jego rodzinę. Ale co może poradzić ochroniarz, gdy w grę wchodzi bombę?

Leszek podniósł wzrok.

– A co z Angelą i dziećmi?

– Są pod ochroną. Hasani przeniósł ich w inne miejsce.

– Trzeba dać ochronę Inez i jej rodzinie.

Inez, siostra Hectora, również trzymała się z dala od interesów brata. Mieszkała w Madrycie z mężem i dwójką dzieci: synem i córką.

– Zajmę się tym – powiedział Aron.

Sophie pocierała dłonie.

– Kto to zrobił? – zapytała.

Głośnik zatrzeszczał, po czym rozległ się głos Arona.

– Nie wiem.

– Czy to mógł być wypadek albo pomyłka?

– Nie.

– Ale przecież Eduardo miał przybrane nazwisko, tak jak i jego rodzina.

– Zgadza się – odparł Aron.

– Dlaczego teraz? I dlaczego Eduardo?

– Ty mi to powiedz... – Głos Arona zmienił ton. – Ernst?

– Tak? – odparł Ernst, wyraźnie skupiony na papierach.

– Pomiń wszystko, co nie jest pilne. Co tam masz?

Ernst wcisnął na nos okulary.

– Trzy sprawy – powiedział. – Pierwsza: Don Ignacio znów naciska, chce rozszerzenia współpracy, nie odpuszcza, dopytuje się o Hectora i chce z nim rozmawiać osobiście.

– Co mu odpowiadasz?

– To, co zawsze. Mówię, że umowa jest taka, a nie inna ze względów bezpieczeństwa.

– Wierzy ci?

– Nie, i wydaje mi się, że dłużej tego nie pociągniemy.

– To jedna sprawa, a reszta?

Ernst przewrócił kartkę i zaczął opowiadać. Chodziło o fałszowanie towarów na dużą skalę. Sporo zainwestowali w podrabianie artykułów spożywczych,

markowych produktów i lekarstw. Wspomnił też o osobach w różnych spółkach giełdowych, które przyciskali, żeby zdobyć informacje.

Sophie przekreśliła pierścionek na serdecznym palcu prawej ręki.

Tak to wyglądało już od pół roku. Słuchała ich gadania i robiła, o co prosili. Jeździła tu i tam i spotykała się z ludźmi, których nie cierpiała. W większości byli to dorośli mężczyźni o intelekcie dzieci, napchani banałami i fatalnie odgrywający role gangsterów.

Ona też grała, udawała kogoś, kim nie była. Uspokajała i zaręczała, że Hector ma się dobrze i że wszystkim kieruje z ukrycia. Ale to było kłamstwo. Wcale nie było dobrze, a Hector niczym nie kierował. Wciąż był w śpiączce. To Aron wszystkim zarządzał. Ale też Ernst, Leszek i ona. Święte przymierze. Wszystko, byle tylko utrzymać tonący okręt na powierzchni.

Nienawidziła tej sytuacji. Bała się, kiedy wieczorami kładła się spać, bała się po obudzeniu. Nie chciała brać w tym udziału. Ale nie miała wyboru. Aron jej to uświadomił. Paradoksalnie, czuła się też spokojna i bezpieczna, jakby była wśród przyjaciół. Zwłaszcza

w towarzystwie Leszka. Cały czas był blisko i dbał o jej bezpieczeństwo. Bez przerwy przypominał, w jakim położeniu się znaleźli i jaka była jej rola. Mówił o powadze sytuacji. Oczywiście gdy przychodziło co do czego, poczucie bezpieczeństwa okazywało się złudne.

Usłyszała swoje imię. Wróciła do rzeczywistości. W głośniku trzeszczał głos Arona.

– ...Sophie? Weź telefon.

Podniosła komórkę ze stołu, wyłączyła głośnik i przytknęła telefon do ucha.

– Tak?

– Umów się na spotkanie z Don Ignaciem.

– Po co?

– Uspokój ich. Wyjaśnij sytuację, ale nie mów wszystkiego.

Aron wydawał się trochę zestresowany.

– Musimy ich mieć po naszej stronie, ale nie możemy rozszerzyć współpracy, nie teraz. Poproś ich o cierpliwość. Jeśli będzie trzeba, zaproponuj więcej.

– Ernst już z nimi rozmawiał. Nie raz.

– Ty im wszystko jeszcze raz powtórzysz.

– Dla nich to będzie bez różnicy.

Aron się zawahał.

– Potrzebujemy czasu. Taka jest różnica. Zajmij się tym.

– To nie jest dobry pomysł.

– Jest.

W głosie Arona usłyszała nutę desperacji. Miał za dużo na głowie, za wiele spraw pod kontrolą.

– Gdzie mam się z nimi spotkać?

– Będziesz musiała do nich pojechać. Poproś Ernsta, żeby to załatwił.

– Do Kolumbii?

– Tam mieszkają.

3

Sztokholm

Mężczyzna leżał na podłodze, na brzuchu, między jego łopatkami tkwił nóż. Ściągnięta z łóżka kołdra wałała się obok na parkiecie. Był prawie nagi. Opuścił ten świat niemal tak samo goły, jak na niego przyszedł. Tylko na nogach miał białe sportowe skarpety.

Antonia Miller analizowała ten widok. Wokół noża praktycznie nie było krwi. A ułożenie mężczyzny? Kucając, przyglądała się ciału pod różnymi kątami. Czy mężczyznę pchnięto, kiedy spał? Może przed śmiercią obudził się i spadł z łóżka? A może został ugodzony już na podłodze...

Oślepił ją blask flesza; zaraz potem nastąpiła seria krótkich błysków. Technik robił dokumentację, wydawało się, że nigdy nie skończy. Antonia podniosła się i omiotła spojrzeniem pokój. Na jednym z obrazów Elvis stał za barem, przy którym siedzieli James Dean, Humphrey Bogart i Marilyn Monroe. Na innej ścianie, nad komodą, za brudnym pleksi wisiał oprawiony plakat – drużyna koszykarska, mnóstwo pasków, gwiazdek, drukowane autografy i podpis: Harlem Globetrotters 1979.

Na sosnowym regale stało kilka filmów z Clintem Eastwoodem i Charlesem Bronsonem, a obok nich kolekcja pornosów z transwestytami.

Antonia wyciągnęła z tylnej kieszeni spodni zgięty na pół notes. Nie znali tożsamości nieżyjącego mężczyzny. Właścicielką mieszkania była kobieta, która miała jeszcze dwanaście innych nor na wynajem w centrum i na

obrzeżach miasta.

– Skończyłem – oznajmił technik i wyszedł z pokoju.

– Dzięki – wymamrotała.

Kroki za jej plecami zabrzmiały inaczej. Odwróciła się.

W pokoju pojawił się jej szef, Tommy Jansson. Stał i zaczął się przyglądać ciału. Wniósł ze sobą chłód, takie przynajmniej odniosła wrażenie. Ramiona jego czarnej skórzanej kurtki oblepiały topniejący śnieg. Wraz z Janssonem pojawiło się coś jeszcze – zdenerwowanie i wściekłość – jego nieodłączne towarzyszyki.

Tommy wskazał kciukiem za siebie i syknął z irytacją:

– Ta ulica jest, kurwa, jednokierunkowa. Przyjechałem od złej strony, musiałem zaparkować dwie przecznice dalej.

Powiedział to tak, jakby wprowadzono jeden kierunek ruchu właśnie po to, żeby zrobić mu na złość. Wpatrywał się w Antonię, wyraźnie czekając na odpowiedź, oznaki współczucia albo przytaknięcia. Nie doczekał się.

– Co tu robisz? – zapytała za to.

Pytanie było uzasadnione. Obecnie nieczęsto zjawiał się na miejscu zbrodni.

– Usłyszałem o tym przez radio, byłem w okolicy, więc wpadłem – wymamrotał. Następnie wskazał ciało i zapytał: – Zajmiesz się tym?

– Tak, po to tu przyjechałam – odparła.

– Chodziło mi o to, czy pociągniesz to do końca.

– Tak, a co?

– Narzekasz, że masz za dużo na głowie – wyjaśnił.

– Wcale nie.

Antonia Miller i Tommy Jansson wyszli razem z mieszkania. Stary mechanizm zaskrzypiał i winda z mozołem ruszyła w dół.

Stali obok siebie w ciasnej przestrzeni. Nie nadawali na tych samych falach. Jadąc skrzypiącą windą, nie mieli za bardzo o czym rozmawiać. Antonia wiedziała jednak, że żona Tommy’ego umiera na ALS.

– Jak się czuje Monica?

Tommy stał z wzrokiem wbitym w ziemię. Podniósł głowę i przyjrzał się jej, jakby szukał motywów tego pytania.

– Bez zmian – odparł.

Odpowiedź była tak krótka i uprzejma, że poczuła

ukłucie wyrzutów sumienia.

Winda zatrzymała się na parterze. Tommy odsunął kratę. Zagrzechotała. Przepchnął się obok Antonii. Zasada „panie przodem” nie obowiązywała, kiedy był szefem.

Wyszli na Sofiagatan i zobaczyli, że śnieg zamienił się w grad.

– Może zobaczymy się wieczorem – powiedziała Antonia.

– Może – wymamrotał obojętnie i, przeklinając pogodę, ruszył w prawo.

Spojrzała za nim, a potem w górę na zimne, ciemne niebo, które otworzyło się i bombardowało ich kulkami lodu. Zebrała się w sobie, opuściła suche schronienie i szybkim krokiem ruszyła do samochodu. Wskoczyła na przednie siedzenie. Grad przybrał na sile i zaczął bębnić w dach samochodu. Oczekała chwilę, po czym przekręciła kluczyk i uruchomiła silnik. Nawiew z wolna rozpraszał parę na przedniej szybie. Ruszyła. Po chwili minęła Tommy’ego, który pośpiesznie szedł chodnikiem z rękoma wciśniętymi głęboko w kieszenie kurtki. Jego postawa zdradzała, że cierpi.

Antonia ani myślała go podwozić do stojącego

kawałek dalej samochodu.

Jego imię wypowiedziane na głos kojarzyło się z angielską miarą odległości albo z amerykańskim trębaczem. Jednak jego rodzice nie mieli angielskich korzeni ani nie przepadali za jazzem. Byli dyplomatami i wychodzili z założenia, że imię powinno być międzynarodowe. Ród Ingmarssonów parał się dyplomacją od pokoleń. Wszystkim nadawano nieszwedzkie imiona, takie jak John, Catherine, Sandy, Ted, Sam, Molly. Młodszy brat Milesa, Ian, ochrzcił swoje dzieci imionami Sally i Jack. Powszechny skandynawski kompleks Kennedych trapił całą rodzinę. Sukces, pomalowany na biało domek letniskowy, żaglówki, ambicje, prężenie mięśni i wyjątkowa umiejętność skrywania swojego wnętrza przed światem – wszystko to składało się na płytką egzystencję, w której banalne gadki przy koktajlach pozwalały utrzymać się na powierzchni.

Miles też kiedyś był dyplomatą. W tym świecie był jednak z góry skazany na niepowodzenie. Nie pojmował obowiązujących w nim niepisanych reguł życia

towarzyskiego, które dla wszystkich innych były oczywiste.

Ścieżka jego kariery prowadziła w dół. Zaczął wysoko, a potem szybko i pewnie schodził coraz niżej. Z ambasady w Ankarze przeniesiono go do Skopje, potem do Kiszyniowa, aż w końcu wylądował w Chartumie, gdzie przydzielono mu na tyle niejasne stanowisko, że nikt nie wiedział, czym powinien się zajmować.

Ożenił się, jak należało, z kobietą umiarkowanie atrakcyjną, wykształconą i biegłą w sztuce konwersacji. Nie spodziewał się jednak, że żona z czasem go pokocha i będzie próbowała zrozumieć. Przeraził się tym nie na żarty.

Rozwiedli się, a była żona natychmiast poznała dentystę z Brommy i zaszła w ciążę.

Krewniacy zajmujący się dyplomacją dawali mu dobre rady dotyczące przyszłości. Miles nie wytrzymał. Jedynym wyjściem była zmiana zawodu i możliwie jak najdalsza ucieczka od MSZ-etu i dyplomacji. Wybrał policję. Policjanci i dyplomaci: dwa bieguny, dwa przeciwieństwa – pod każdym możliwym względem.

Rodzina przestała z nim rozmawiać. Ich rozczarowanie

było równie ogromne co ulga, którą poczuł.

Ingmarsson miał teraz czterdzieści pięć lat. Dzięki nawykowi robienia pompek i brzuszaków przed snem był krzepki i wysportowany. Włosy miał ciemne, przyprószone siwizną, a jego twarz i spojrzenie przywodziły na myśl gwiazdę filmową z dawnych lat. Ale najbardziej rzucała się w oczy jego postawa, jakby przytłaczał go jakiś niewidzialny smutek, którego nie pojałby nawet Freud, a co dopiero on sam.

Nie potrafił się obejść bez striptizerek. Był od nich uzależniony. Sprawiały, że czuł się lepiej i tylko w ich towarzystwie mógł się tak naprawdę odprężyć. Potrzebował ciepła promieniującego od kobiecości, chciał popatrzeć na piersi, na miękkie kształty, na to, co kobiece. Nie chodziło o seks. Raczej o wypaczoną potrzebę bezpieczeństwa, którego nie mógł znaleźć gdzie indziej. A Bóg mu świadkiem, że szukał wszędzie. Ze świecą. W alkoholu, haszyszu, jedzeniu, ćwiczeniach fizycznych, grach. Nic nie działało na niego tak dobrze, jak striptiz. Odwiedzał kluby pięć razy w tygodniu, przez okrągły rok i w każdą pogodę.

Teraz siedział w jednym z nich i gapił się na chudą

dziewczynę z powiększonym biustem, która tańczyła przy drażku w rytm tandetnej elektronicznej muzyki rodem z byłego bloku wschodniego. Beznadziejnie jej szło. Miał ochotę powiedzieć, żeby się nie wysilała, dała sobie spokój z tańcem, żeby po prostu chwilę powstała i trochę się poruszała.

W kieszeni jego marynarki zawibrowała komórka.

– Tak?

Tommy Jansson z Krajowej Policji Kryminalnej zapytał go, co porabia.

– Jem lunch – odparł Ingmarsson.

– Chcesz dla mnie popracować?

Dziewczyna zrobiła zbyt silny, chwiejny obrót wokół błyszczącej rury.

– Okej – powiedział Ingmarsson, nie odrywając oczu od pokazu.

Wstyd płynący z tego, że w biały dzień wychodził z klubu ze striptizem, trwał siedem sekund. Tyle potrzebował, żeby otworzyć drzwi, przejść przez nie, pozwolić im się za sobą zamknąć i odejść, nie patrząc na miny przechodniów. Zboczeniec.

Miles brodził w śniegu, który obficie spadł przed południem. Po odsnieżeniu ulic na chodnikach powstały wysokie zaspę – piesi mogli się, co prawda, pozabijać, ale kierowcy mieli wolną drogę.

Idąc, trzymał się blisko ścian budynków. Z kieszeni płaszcza wyłowił papierosa, złapał filtr ustami i pstryknął sztormową zapalniczką. Mocno się zaciągnął, dym zdążył wypalić mu w płucach dziury, zanim go wydmuchał. Wziął dwa szybkie, głębokie machy, jeden po drugim, żeby zaspokoić nikotynowy głód i dalej już powoli rozkoszować się destrukcyjnym działaniem papierosa.

Przez ostatnie lata zajmował się przestępczością gospodarczą. Badał nieciekawe sprawy, a śledztwa rzadko dokądkolwiek prowadziły. Nie przeszkadzało mu to, przynajmniej nie musiał się angażować.

Ale zadzwonił Tommy Jansson. Chciał się spotkać. I pogadać. Dziś w knajpie w dzielnicy Klara, w której przesiadywali wszyscy gliniarze, był wieczór na sygnale. Mieli się tam również zjawić strażacy i sanitariusze pogotowia. Ekipa spod koguta. Spotykali się i dawali w palnik w środku tygodnia. Miles poszedł parę razy na takie imprezy, nie podobały mu się. Sanitariusze byli

przygłupami, strażacy albo kretykami, albo ciotami, a czasem jednymi i drugimi naraz. „Koledzy” – niektórzy gliniarze upierali się, żeby tak o sobie mówić – byli tak obcy gustom Milesa, że w ich towarzystwie czuł wstręt. Ale Tommy tam właśnie chciał się spotkać i zaproponować Milesowi nową pracę. Może i pora na to. Miał wrażenie, że każdego dnia jakaś jego część umierała. Uczucie to nie opuszczało go od bardzo dawna.

Zapach potu, oklepane hity z lat siedemdziesiątych, cienkie piwo i zbyt jasne oświetlenie – tak można by streścić wieczór na sygnale. Miles torował sobie drogę w tłumie.

Tommy siedział przy stoliku w głębi lokalu razem z innymi szychami. To był ich kąt. Zdarzało się, że zbłądził tam jakiś nieświadomy żółtodziób i przysiadł się do ich stolika. Szybko jednak pojmował swoją pomyłkę. Wszyscy w lokalu chcieli pokazać, że znają niepisaną regułę. Darli się i gwizdali.

Tommy zobaczył Milesa i podniósł prawą rękę. Ingmarsson zajął miejsce i machnął na kelnera. Przebrnęli przez towarzyską gadkę, szybko im poszło, bo obaj byli w tym beznadziejni. Potem Tommy przeszedł do sedna.

– Chcesz przejąć sprawę morderstwa?
– A o co chodzi?
– O Trasten.
– Trasten? – zdziwił się Miles.
– Restaurację na Vasastan. Jakies pół roku temu. Rzeź gangsterów, po której Hector Guzman dał nogę – wyjaśnił Tommy.

Miles kiwnął głową. Wszyscy o tym słyszeli.

– Dlaczego? – zapytał.
– Potrzebny mi inny śledczy.
– Dlaczego ja?
– Jesteś otrzaskany i wiesz, z czym to się je.
– Nie wiem.
– Wiesz.
– Gdzie jest haczyk?
– Nie ma haczyka. Chcę zmienić prowadzącego dochodzenie. Możesz na tym skorzystać.
– Gdzie jest haczyk? – powtórzył Miles.
– Nie bądź taki samokrytyczny. Mamy dużo roboty, możesz wskoczyć szczebel wyżej. Ona jest mi potrzebna gdzie indziej.
– Ona?

– Miller, Antonia Miller.

Miles wiedział, o kim mowa. Słyszał, że jest dobra.

– Od kiedy?

– Od zaraz – odparł Tommy i wypił łyk piwa.

– Mam teraz na tapecie kilka spraw – powiedział Miles. – Nie mogę zostawić kolegów na lodzie. Nie teraz.

Tommy zdusił czknięcie i odstawił szklanę.

– Oczywiście, że możesz. Tam u was siedzą sami pieprzeni socjaldemokraci, wszyscy jak leci. Załatwię ci przeniesienie. A oni głównie na to poradzą.

Na przestrzeni lat ich drogi od czasu do czasu się krzyżowały. Można powiedzieć, że prawie byli kumplami. Dawno się nie widzieli i Miles odniósł teraz wrażenie, że Tommy jest jakiś odmieniony, bardziej opryskliwy.

– A co z Miller?

– O nią się nie martw – wychrypiał Tommy.

Miles się zamyślił. Oferta nie miała ani plusów, ani minusów, ale tak to już było. Ze wszystkim, okrągłe zero.

Zjawił się kelner z niedbale nalany piwem. Kiedy postawił je na stole, wokół szklanki powstała plama.

Miles upił jeden łyk, Tommy wziął trzy głębokie.

– Jeszcze jedno? – zapytał Tommy głosem

zniekształconym przez bąbelki.

Miles pokręcił głową. Tommy beknął.

Antonia stała kawałek dalej przy barze. Widziała Tommy'ego rozmawiającego z jakimś facetem, ale się nad tym nie zastanawiała. Widywali się z Tommym praktycznie codziennie, pracowali razem i co rusz się ze sobą ścierali. Głównie dlatego, że ona parła do przodu, a on ją powstrzymywał. I tak miało pozostać, bo to on był szefem. Z jakiegoś powodu ich relacje układały się fatalnie. Antonia uważała, że Tommy od paru miesięcy inaczej się zachowuje. Miał zmienne nastroje, łatwo wpadał w gniew, był opryskliwy i arogancki. Odnosiła wrażenie, że stara się ją kontrolować i blokować jej pracę. Poza tym ciągle chodził skacowany. Prawdopodobnie wynikało to z obciążenia, jakim było życie z umierającą żoną. Ale Antonia miała już szczerze dość dostosowywania się do jego złych stron. Nawet jeśli zdawała sobie sprawę, że sama też ma wady. Było jasne, że Tommy uważa ją za upierdliwą. Nie on jeden. Była trudna, energiczna i uparta w forsowaniu swojego zdania. Ale co mogła na to

poradzić? Miała się podporządkować?

Antonia wychowała się w kochającej rodzinie. W każdym razie tak chciała pamiętać swoje dzieciństwo. Tyle że w tej miłości była domieszka lęku – przed prawdą. Dorośli szeptali i uciszali się nawzajem, gdy widzieli, że Antonia się zbliża. Chyba po prostu bali się, że rzeczywistość będzie zbyt zimna i brutalna dla jej małych, delikatnych uszu. W gruncie rzeczy nie miało to znaczenia. Liczyło się to, że ciągle szepty towarzyszące jej w dzieciństwie zrodziły w niej niemal obsesyjne pragnienie poznania prawdy. Nieważne, o co chodziło – żeby móc oddychać i żyć, musiała wiedzieć.

Przez lata usłyszała niejedną odpowiedź. Dzięki temu jej kariera nabrała tempa, a ona cieszyła się opinią zdolnego śledczego. Teraz jednak coś się zmieniło. Odpowiedzi kazały na siebie czekać, a Tommy, widząc, że się zbliża, zaczynał szeptać. W każdym razie tak to odbierała. I chciała wiedzieć, dlaczego tak jest.

Jeszcze raz przyjrzała się mężczyznom przy stoliku. Brunet wstał, podał Tommy’emu rękę i ruszył w jej stronę. Kiedy ją mijał, ich spojrzenia się spotkały. Rozpoznała go, pracował w Wydziale do Walki z Przestępczością

Gospodarczą. Był tam jednym z tysiąca pozbawionych złudzeń gości. Widziała jak tacy jak on przychodzą i odchodzą. Z tłumu wyróżniał go styl – wyglądał jak snob à la lata osiemdziesiąte. Dżinsy, czarne broggy, elegancka koszula, a na niej sweter z owczej wełny. Przez ramię miał przewieszony cienki, beżowy płaszcz. Roztaczał wokół siebie aurę nużącej elegancji.

Antonia rozejrzała się dookoła. Wśród tłumu policjantów, strażaków i sanitariuszy szukała Ulfa. Stanowił jedyny powód, dla którego tu w ogóle przyszła. Był pakującym na siłce wywiadowcą – prostym chłopakiem z Ludviki w Dalarnie, małomównym i w głębi duszy miłym. Nie kręcili jej chadzający na siłkę gliniarze. Kręciła ją świadomość, z jaką dążył do celu podczas seksu, fakt, że lubił go sobie trochę urozmaicić, a potem potrafił trzymać język za zębami... no i w głębi duszy był miły.

Dostrzegła go, a on ją. Wypili razem drinka, nie mieli o czym rozmawiać. Następnie wsiedli do taksówki i pojechali do Sundbyberg, do jego wysprzątanego dwupokojowego mieszkania ze świeczkami zapachowymi w toalecie. Ulf...

4

Valle del Cauca/Sztokholm

Sophie z torbą podróżną w ręku minęła stanowisko celne i wyszła do hali przylotów, gdzie odnalazła rząd stanowisk wypożyczalni samochodów. Podeszła do jednego z nich, podała numer rezerwacji i już po chwili siedziała za kierownicą. Ruszyła do Cartago leżącego na południowy zachód od Pereiry.

Przez otwarte okno napływało gorące powietrze, okulary przeciwsłoneczne chroniły jej oczy przed ostrym światłem.

W chwili gdy parkowała samochód na małym rynku w centrum miasta, zegar na kościelnej wieży wybił trzecią. Miała czekać. Powiedzieli, że przyjedzie po nią taksówka. Ledwo zdążyła o tym pomyśleć, a ta już wyjechała z wąskiej uliczki.

Kierowca nie odezwał się do niej ani razu. Pojeździł chwilę po mieście, zerkając w tylne lusterko. Potem gdzieś zadzwonił, pomamrotał do telefonu i się rozłączył.

Chwilę później zatrzymał się przed restauracją przy ruchliwej ulicy i pokazał Sophie, że ma wejść do środka.

Zrobiła, co kazał. Gdy tylko przekroczyła próg, jakiś mężczyzna wziął ją delikatnie pod rękę, poprowadził między stolikami do kuchni, a potem na zewnątrz, na pustą, boczną uliczkę. Tam z otwartymi drzwiami czekała już kolejna taksówka. Sophie wsiadła, drzwi się zatrzasnęły i ruszyli. Tak to zorganizowali. Sophie trzy razy musiała się przesiadać, zanim znalazła się w srebrnym cadillacu, który pędził teraz autostradą.

Nieco odetchnęła. Przyjrzała się swoim leżącym na kolanach dłoniom. Dawała się nieść życiu, była popychana do przodu, robiła, co jej kazano, nie chciała zbyt dużo myśleć ani czuć. Zmieniła się, uległa transformacji...

System wartości, kiedyś tak pewny i oczywisty, już nie obowiązywał, zniknął i był nieosiągalny. Ucichł jej wewnętrzny głos. Inaczej patrzyła na ludzi – każdy stanowił potencjalne zagrożenie. Inaczej na siebie – spojrzenie było ciemniejsze, chłodniejsze, twardsze i naznaczone większą samotnością. Choć jednocześnie widziała wszystko z szerszej perspektywy, myślała jaśniej, bardziej realistycznie...

A może było to tylko pobożne życzenie? Poszukiwanie oparcia?

Świat za oknem był zielony. Góry w oddali okalały krajobraz, wyglądało to tak, jakby obejmowały go ramieniem.

Sophie potarła dłonie. Wszystko, co zwyczajne, zniknęło z jej życia...

Czasem jednak zmuszała się, by do tego wrócić. Do zwyczajności. Na przykład po to, żeby zapewnić sobie alibi. Robiła to tylko na chwilę, najczęściej chodziło o spotkania, podczas których przeciętni ludzie upijali się, mężczyźni stawali się natarczywi i domagali się uwagi i uznania, a może po prostu miłości. Nigdy nie potrafiła tego rozstrzygnąć.

Nikt nie kwestionował jej racji bytu w tym świecie. Zwyczajni ludzie odnosili się do niej z mieszaniną dystansu, troski i przesadnego respektu. Sophie – wdowa z dzieckiem na wózku. W tym określeniu znalazła ukrycie. Odpowiadało jej, bo pomagało jej chronić Alberta i siebie. Usunęła się na bok, zrezygnowała z bliższych więzi, otoczyła się skorupą, osobową i bezosobową zarazem. Wszystko tylko po to, żeby nikt nie zaczął się zastanawiać i zadawać pytań.

Cadillac skręcił z autostrady i wjechał do lasu. Drzewa

rosły rzadko, promienie słońca sączyły się przez listowie. Jechali dobrą chwilę.

W pewnym momencie drogę zagroził im szlaban. Z wartowni wyszedł drobny mężczyzna z karabinem maszynowym przewieszonym przez ramię. Podniósł rękę na powitanie i uniósł szlaban. Cadillac przejechał. Na niewielkim wzniesieniu pomiędzy drzewami Sophie zobaczyła zamaskowanego snajpera. Leżał na brzuchu i przez cały czas trzymał na muszce samochód, w którym jechała.

Wyjechali z lasu, kręta droga zrobiła się równiejsza i w końcu doprowadziła ich przed mały pomalowany na kremowo zamek z kolumnami, posągami i fontannami. Otaczały go zielone kwadraty trawników.

Kierowca otworzył drzwi. Sophie wysiadła. Widok zapierał dech w piersiach. W dole jak okiem sięgnąć rozpościerał się gęsty, soczyście zielony las. W oddali wyrastały góry, a wszystko spowijało ciężkie, wilgotne i gorące powietrze.

Z zamku wyszedł brunet w szarych spodniach i białej koszuli.

– Sophie? – zapytał.

Przywitali się mocnym uściskiem dłoni. Ignacio Ramirez w jakiś niewyjaśniony sposób wydawał się pozbawiony twarzy, nie można go było rozszyfrować. Uśmiech na ustach wyglądał na szczery, jednak oczy mówiły co innego. Być może kłamały. Miał farbowane włosy, bladą cerę, a brzuch, który opinała biała koszula, świadczył o gnuśności i niewłaściwej diecie.

– Chodźmy – powiedział i pokazał jej, że ma zająć miejsce w meleksie.

Sam siadł za kierownicą i ruszył przez łąki, pokazując i opowiadając. Przejechali obok zagrody, w której stała żyrafa, kilka zebra i dwa hipopotamy. Zwierzęta patrzyły przed siebie pustym wzrokiem i sprawiały wrażenie naprawdę przygnębionych. Widzieli korty do tenisa, basen, wodospad i lądowisko dla helikopterów, na którym stał prywatny helikopter Don Ignacia. Wszędzie kręcili się uzbrojeni strażnicy.

Sophie ukradkiem przyglądała się Don Ignaciowi, gdy tak sunął meleksem przez swój niedorozwinięty Disneyland. Wszystko było martwe i puste. Negatywna energia, wypełniająca to miejsce, była tak silna, że Sophie niemal czuła jej zapach. Coś mówiło jej, że powinna

wyjechać, uciec, że to niebezpieczne, zaraźliwe i może się od tego rozchorować.

Siedzieli w dużym salonie. Otaczały ich ściany z jasnego granitu, duże, grube okna i pociągnięty jasną bejcą drewniany szkielet, który wszystko podtrzymywał. Szerokie, głębokie i kosztowne kanapy. Pokój przypominał północnoamerykański domek myśliwski. Miała wrażenie, że znalazła się w jakimś ekskluzywnym kurorcie narciarskim. Usiadła na krańcu kanapy, Don Ignacio zajął miejsce w fotelu.

Do pokoju wszedł kelner w białej marynarce i czarnych spodniach. Postawił na stole napoje i przekąski i dyskretnie wyszedł.

Don Ignacio sięgnął do salaterki.

– Chwilę poczekamy – oznajmił i zjadł kilka orzeszków.

Trochę później otworzyły się drzwi. Sophie zobaczyła, że w jej stronę swobodnym krokiem zmierza Alfonse Ramirez. Jego uśmiech był biały, cera brązowawa, a włosy czarne. Zdawał się przyćmiewać otoczenie. Wszystkie światła na mnie – taki już był.

– My się znamy – powiedział do Sophie. Szeroki uśmiech nie schodził mu z twarzy.

Wcale tak nie było, w ogóle się nie znali. Spotkała go w Trasten, kiedy wszystko się spieprzyło. Rosyjscy gangsterzy omal nie zabili Jensa, Michaił Asmarow i Klaus Köhler uratowali im życie, a Hector i człowiek stojący teraz przed nią z niekłamana radością zatłukli jednego z Rosjan.

Sophie wstała, Alfonse cmoknął ją w oba policzki. Następnie opadł na kanapę, obrócił się o dziewięćdziesiąt stopni i rozłożył ręce.

– Sztokholm – powiedział. – To tam wszystko się dzieje.

Zarechotał, a kiedy śmiech wybrzmiał, wesołość ustąpiła miejsca współczuciu.

– Jak się ma Hector?

– Dobrze.

Alfonse pokiwał głową.

– Miło to słyszeć. Martwiłem się, tak samo jak mój wujek.

Wskazał Don Ignacia, który jednak nie wyglądał na szczególnie zaniepokojonego. Jego puste spojrzenie

zdradzało raczej, że myśli tylko o sobie, a wszystko inne jest mu obojętne.

– A teraz nas odwiedziłaś, Sophie – dodał Alfonse.

Odczytała to jako znak, że powinna wyjaśnić, dlaczego przyjechała, ale Alfonse uniósł dłoń.

– A teraz nas odwiedziłaś – powtórzył. – Chcesz nas uspokoić. Zapewnić, że wszystko jest w porządku. Być może poprosić o więcej czasu. Może opowiesz nam historyjkę o tym, że już się pozbieraliście, że nasz wspólny interes wkrótce znów zacznie się kręcić. – Jego ton stał się zimny, zachowanie uległo zmianie. – Ale my już wszystko wiemy – ciągnął. – Wiemy, że odwiedziłaś wielu kontrahentów Hectora i zapewniałaś ich, że nic się nie zmieniło, że wszystko jest pod kontrolą. Hector się ukrywa, ale ma się wyśmienicie. Takie wiadomości im przekazałaś. Prosiłaś o czas i wyrozumiałość, obiecywałaś większe korzyści, gdy wszystko się uspokoi i wróci do normy. To było twoje zadanie i dobrze się z niego wywiązałaś. – Alfonse Ramirez podniósł palec wskazujący. – A może Hector Guzman nie żyje? Albo doznał takich obrażeń, że nie jest w stanie pilnować swoich spraw? Może to Aron walczy o to, by utrzymać

firmę na powierzchni? Jestem w błędzie?

Alfonse umilkł. Don Ignacio wciąż chrupał orzeszki, ale teraz nieco wolniej, po jednym, jakby pierwszych kilka garści zaspokoilo jego głód.

– Ile nas to będzie kosztowało? – zapytała Sophie.

Alfonse uśmiechnął się, udając, że nie rozumie.

– Kosztowało? – zdziwił się.

– Tak – odparła Sophie.

Don Ignacio wrzucił orzeszek do ust.

– Co będzie kosztowało? – zapytał.

– Wypisanie się.

– To znaczy?

– Wypisanie się ze wspólnych interesów.

– Jak to? Na jak długo? Na zawsze?

Kolejny orzeszek trafił do ust. Sophie milczała.

Don Ignacio, nie przestając ruszać szczękami z posępną miną, wymamrotał coś niewyraźnie w swoim języku. Zabrzmiało to pogardliwie.

– Mam podać cenę? – zapytał.

Sophie czekała.

– Nie mogę wymieni ć konkretnej sumy.

– A czy ona jest potrzebna? – zapytała Sophie.

Don Ignacio wzruszył ramionami.

– Nie, rzeczywiście nie jest.

– Czysto teoretycznie, jak by to mogło wyglądać? – zapytała Sophie.

– Teoretycznie – mruknął pod nosem Don Ignacio i wymienił szybkie spojrzenie z Alfonse’em.

– Kilka dni temu w Biarritz zginął tragicznie brat Hectora, Eduardo Guzman – odezwał się Alfonse.

Atmosfera w pokoju zgęstniała.

– Ktoś czegoś od was chce, chce wam coś powiedzieć. Spojrzał na nią lodowato niebieskimi oczami.

– Pewnie się domyślacie, o kogo może chodzić – ciągnął.

– To nie ma znaczenia – odparła Sophie.

Alfonse się uśmiechnął.

– Po prostu powiedz kto.

– Trudno powiedzieć.

– Jaka jest najbardziej prawdopodobna wersja?

Poddała się.

– Niemcy, choć mógł to być ktoś inny.

– Ktoś od Hankego?

Sophie prawie niedostrzegalnie skinęła głową.

– Dlaczego on? – zapytał Don Ignacio.

Wydawało się, że Don Ignacio i Alfonse już to przećwiczyli, dokładnie wiedzieli, kiedy się zamienić rolami.

Sophie nawet nie wzruszyła ramionami, czekała.

– Ostatnio to chyba oni wygrali, prawda? – zapytał Don Ignacio, odchylając się na oparcie.

– Mamy coś, czego chcą – odparła Sophie.

Don Ignacio uniósł brwi.

– Mamy coś, czego chcą – powtórzył teatralnie i założył nogę na nogę.

Sophie zwróciła uwagę na jego zniszczone, brudne pantofle, zbyt krótkie skarpety i kawałek bladej łydki.

– A czego oni chcą? – zapytał tonem nauczycielki, która z góry zna odpowiedź.

– Podejrzewam, że wszystkiego.

– Yes – odparł, tak jakby udzieliła prawidłowej odpowiedzi. – Oni chcą wszystkiego. Zatem, Sophie, możesz się domyślić, jaka byłaby cena, gdybyście chcieli się wypisać. – Don Ignacio pochylił się do przodu i wyszeptał wyraźnie: – Pomogliśmy Hankemu znaleźć Eduarda Guzmana w Biarritz.

Sophie uświadomiła sobie, że wpatruje się w Don Ignacia. Przyglądał się jej rozbawiony.

– Dokładnie tak, Sophie. Nie mogę już chyba jaśniej tego wyrazić, kiedy mówię, że wasza gra jest skończona. Nie ryzykujcie kolejnych ofiar, niech Eduardo będzie ostatni... Nie wychylajcie się.

Nie odrywając od niej oczu, potarł kącik ust.

– Rozumiesz, o czym mówię? Dociera do ciebie sens moich słów? Będziesz potrafiła je zapamiętać?

Sophie nie odpowiedziała.

Świat za oknami lotniska najpierw był błękitny, bezkresny i zimny. Potem stał się ciemny i nieprzenikniony.

Ignacio i Hanke działali razem. Zabili Eduarda Guzmana, a Hectora chcieli wysadzić z siodła. Ona zaś miała przekonać Arona, by padli na kolana i oddali im wszystko, co mają. Wiedziała, że tak się nie stanie. Aron będzie walczył do upadłego, taką miał naturę.

Poleje się krew.

Sonora

Jens stał w ładowni starego rosyjskiego antonowa 12, który leciał na zachód na stałej wysokości ośmiu tysięcy metrów.

Pięćdziesięcioletnią maszynę napędzały cztery radzieckie silniki turbośmigłowe. Hałas był nie do wytrzymania.

Za starych dobrych czasów komunistom udawało się upchnąć w takich samolotach setkę wściekłych, w pełni wyposażonych spadochroniarzy. Teraz w ładowni znajdował się tylko Jens. On i cztery przymocowane do podłogi skrzynie. W środku były łupy.

Należały do amerykańskiego oddziału specjalnego, który na początku inwazji wojsk lądowych w Iraku w 2003 roku uszczuplił nieco zasoby wysoko postawionych członków Partii Baas. Złoto, klejnoty, dzieła sztuki, eksponaty muzealne, narkotyki, broń i znaczną ilość gotówki zapakowano w skrzynie i zagrzebano na pustyni na wschód od Bagdadu. Minęło parę lat, wojna się skończyła i nadeszła pora wykopać skarb i wywieźć go z kraju. Skontaktowano się z Jensem i zlecono mu to

zadanie. Dostał się do Bagdadu, po którym przemykał sparaliżowany strachem przed samochodami pułapkami. Przewiózł skrzynie do Afganistanu – z jednego ogarniętego wojną kraju do innego. Tam znów je zakopano. Minęło kilka kolejnych lat.

Przed miesiącem znów do niego zadzwonili. Oddział specjalny już się nawojował. Chcieli zabrać fanty do domu.

„Dostarcz towar do Meksyku, stamtąd przewieziemy go do Stanów”.

Na ścianie ładowni zapaliła się lampka. Piloci coś od niego chcieli. Jens przeszedł do kokpitu.

Kapitan i pierwszy oficer byli Gruzinami. Małomównymi i dumnymi. Bez przerwy kopcili własnoręcznie skręcone papierosy.

– Lądujemy za czterdzieści minut – powiedział kapitan.
– Mamy cztery godziny, żeby wyładować towar, zatankować i zmienić oznakowanie. Potem się zmywamy.

Samolot otrzyma swój pierwotny kod. Zakryto go przyklejonymi taśmą arkuszami w szarobiałym kolorze kadłuba. Kiedy wystartują, maszyna znów będzie legalna.

Gruzini wracali do domu, do Batumi nad Morzem

Czarnym. Jens miał polecieć z nimi. Może wysiądzie gdzieś po drodze, jeszcze nie wiedział. Tak wyglądało jego życie – ciągle w ruchu. Bez konkretnego powodu, po prostu nie mógł usiedzieć w miejscu, władała nim kompulsywna potrzeba działania, pracy, kuszenia losu, przeżywania... czucia. Choć to wszystko nie kręciło go już tak bardzo jak kiedyś. Czasem życie wydawało się mu powtarzalne, a nawet jałowe.

Pierwszy oficer poczęstował go skręconym papierosem. Jens wziął go, choć jakiś czas temu rzucił palenie. Zapalił papierosa złotą zapalniczką oficera i wsunął się do przeszklonego nosa maszyny.

Na zewnątrz panowały nieprzeniknione ciemności, papieros smakował jak siano i wrednie drapał w gardle. Samolotem zachybotał podmuch wiatru, obroty silnika malały i rosły, poszycie kadłuba skrzypiało, nity trzeszczały. Jens już się do tego przyzwyczaił, wierzył, że Bóg i siła woli załogi utrzymają samolot w jednym kawałku.

Z Duszanbe wylecieli dwa dni temu. Minęli Turkmenistan i Turcję, a następnie łagodnym łukiem skręcili na południowy zachód. Do zachodniej Algierii

dolecieli na oparach. Przenocowali, zatankowali i ruszyli w stronę Ameryki. Lot nad Atlantykiem był niespokojny.

Noc nie dawała za wygraną. Poddając się kołysaniu, Jens wypatrywał punktów orientacyjnych, ale dostrzegał tylko światła pozycyjne samolotu i przelatujące obok chmury.

W końcu z wygaszonymi światłami zaczęli się zbliżać do ziemi. Było niemal zupełnie ciemno. To dobrze. Zjawiali się nieproszeni, mieli niepostrzeżenie wylądować na polu, a potem się zmyć. Taki był plan.

Z kadłuba wysunęły się koła. Zanim zablokowały się w odpowiedniej pozycji, kilka razy się zacięły. Opór powietrza stał się wyczuwalny, samolot z trudem parł do przodu, silniki pracowały na wysokich obrotach.

Jens zobaczył zarys ziemi, góry odznaczające się po bokach na tle ciemnego nieba, wąskie drogi, drzewa i niewielkie wioski. Tu i tam małe skupiska domów, które szybko znikwały gdzieś pod nim. Ot, meksykańska prowincja.

Teren zrobił się równiejszy, pierwszy oficer wychylił klapy do maksimum. Opór powietrza jeszcze wzrósł, można było odnieść wrażenie, że samolot zawisł

nieruchomo. W dole pojawił się tymczasowy, słabo oświetlony pas do lądowania. Antonow leciał nieco pochylony do przodu. Nagle opadł jakieś trzydzieści metrów, a następnie wyrównał lot. Ryk silników ucichł, kiedy pierwszy oficer zmniejszył gaz. Zanim koła dotknęły ziemi, przez kilka sekund szybowali w ciszy. Z głuchym łoskotem gruchnęli na pas, odbili się, przelecieli kawałek, odbili się raz jeszcze, a potem siła grawitacji zrobiła swoje i utrzymała ich przy ziemi. Samolot toczył się po nierównym podłożu. Silniki znów zawyły, kiedy pilot odwrócił ciąg. Maszyna zahamowała w chmurze piasku i pyłu. Stanęli trochę krzywo, silniki zgasły. Zapanowała cisza, w uszach Jensa rozległo się dokuczliwe dzwonięcie.

Wygramolił się z nosa maszyny. Pierwszy oficer już stał przy rampie przeładunkowej. Nacisnął jakiś guzik na ścianie i cały tył otworzył się jak potężna paszcza.

Powietrze, które wpadło do środka, było miękkie, ciepłe i suche.

Jens nigdy wcześniej nie był w Meksyku...

Światła reflektorów trzech jadących wzdłuż pasa startowego samochodów były coraz bliżej. Jens spojrzał na zegarek. Amerykanie trochę się pośpieszyli. Nie

pozostawało nic innego, jak tylko brać się do roboty. Razem z pierwszym oficerem usunął pasy mocujące skrzynie.

Samochody ostro zahamowały przed rampą. Do samolotu wdarła się grupa Meksykanów ubranych w nowoczesne mundury wojskowe. Najpierw dostał pierwszy oficer. Jens przez te parę sekund, zanim podbiegli do niego żołnierze, szukał jakiegoś wyjścia z sytuacji. Był jednak bez szans. Zanim udało mu się wymyślić coś sensownego, dostał kolbą jednego karabinu w policzek, a drugiego w bok głowy. Upadł na ziemię.

6

Sztokholm

Leszek prowadził. Sophie siedziała w fotelu pasażera. Wyjechali z lotniska na Arlandzie i zmierzali do Sztokholmu. Leszek trzymał telefon przy uchu.

– Właśnie ją odebrałem – powiedział.

Sophie usłyszała niewyraźny głos Arona. Leszek odchylił trochę komórkę.

– Dawaj – polecił jej.

– Tak jak się spodziewaliśmy. – Mówiła nieco głośniej niż zwykle.

Aron coś odpowiedział, Leszek powtórzył jego słowa.

– Czego chcą?

– Rozszerzenia współpracy.

W taki sposób rozmawiali – trzy osoby, jedna rozmowa. Dwie mówiły, trzecia przekazywała. Aron uważał, że dzięki temu powstaje mniej nieporozumień.

– Co im powiedziałaś? – zapytał Leszek.

– Że na razie się wstrzymujemy – odparła.

– Zgodzili się?

– Tak.

Aron o coś zapytał.

– Tak po prostu? – powtórzył jego słowa Leszek.

Skinęła głową.

– Tak.

– A cena?

– Bez zmian.

Znów usłyszała głos Arona, Leszek przekazał jego słowa.

– Dlaczego?

– Dogadaliśmy się – skłamała.

Leszek posłuchał i zadał Sophie kolejne pytanie.

– Są spokojni?

– Tak mi się wydaje – skłamała po raz kolejny i wyjrzała przez boczną szybę.

Mignęły jej przed oczami sosny. Byli już na autostradzie.

– Coś jeszcze? – zapytał Leszek

– Nie – wyszeptała.

Aron i Leszek rozmawiali jeszcze przez chwilę. Potem Leszek się rozłączył.

Sophie siedziała, patrząc w okno, i próbowała sprawiać wrażenie odprężonej. Teraz będzie się musiała dwa razy zastanowić, zanim cokolwiek powie.

– Hasani jedzie do nas z Angelą i dziećmi – oznajmił Leszek. – Dopóki się nie dowiemy, co się dzieje, będą mieszkać u Daphne i Thierry’ego.

Sophie zobaczyła pociąg, który jechał równoległe do nich i z taką samą prędkością.

Leszek zmienił temat.

– A co z jutrem? – zapytał.

Nie zrozumiała.

– Twój plan – wyjaśnił.

Ach tak, plan, wciąż ten cholerny plan, pomyślała. Codziennie Leszek pytał ją o to samo. O plany na kolejny dzień. Pod tym względem był nieugięty. Niszczył jej prywatność, żeby mieć ją na oku. Chciał wiedzieć, co, gdzie i o której będzie robić, z kim zamierza się spotkać i tak dalej. Czasem wystarczył mu ogólny zarys, niekiedy zaś był męcząco drobiazgowy. Odnotowywał i kontrolował każdy jej krok. I sprawdzał ją. Potrafił się gdzieś pojawić bez uprzedzenia, zadzwonić i zapytać, gdzie jest, albo poprosić, żeby na chwilę zboczyła z trasy i się z nim spotkała.

Stresowało ją to, ale podporządkowała się i nie narzekała. Nigdy nie narzekała.

Nadal obserwowała świat za szybą. Odgarnęła z czoła kosmyk włosów.

– Przed południem będę w domu – powiedziała monotonnym głosem. – Zrobię pranie. Po południu zawiozę Alberta na trening. Potem zajrzę do Daphne i Thierry’ego zobaczyć się z Angielą i dziećmi.

Sophie starała się nie patrzeć w lustro w windzie.

Przyglądała się butom.

W przedpokoju usłyszała dobiegający z wnętrza mieszkania śmiech. Postawiła walizkę na podłodze i weszła.

Albert siedział na kanapie, na kolanach trzymał Annę. Dziewczyna tuliła go, paplała i śmiała się, kiedy szczypał ją w bok. Głaskała go po głowie. Całowali się i rozmawiali. Ich słowa były pieszczotliwe, szczerze i pełne miłości.

Anna dostrzegła ją i zeskoczyła z kolan Alberta. Młodzi próbowali ukryć zawstydzenie. Sophie zaśmiała się, widząc nienaturalną pozę Anny, która zdezorientowana stała na środku pokoju, i szalony uśmiech Alberta, który zwykle pojawiał się na jego twarzy, gdy chłopak był skrępowany.

– Hej, hej – zawołała radośnie Anna, żeby ukryć zakłopotanie.

Sophie zaśmiała się, podeszła do niej i ją uściśnęła. Potem przytuliła Alberta.

Rozpakowywała się w swoim pokoju. Fałszywy paszport i trzy komórki zostawiła w torbce. Trzy telefony, trzy

numery. Pierwszy, oficjalny, należący do Sophie Brinkmann, dostępny dla wszystkich. Drugi, który znali tylko nieliczni, przede wszystkim Leszek i Aron. Trzeci telefon był dość prostym modelem z małym wyświetlaczem, przyciskami i podstawowymi funkcjami. Dostała go od Jensa. Ta komórka milczała od pół roku, ale Sophie nigdy się z nią nie rozstawała. Nosiła ją w torebce w nadziei, że kiedyś w końcu zadzwoni. Czasem na nią spoglądała.

Jens zniknął bez pożegnania, po prostu wyszedł, a potem przysłał jej nic niemówiącego SMS-a. Dni zamieniły się w tygodnie, a tygodnie w miesiące. Sophie chciałyby uznać, że stchórzył i ją oszukał, ale nie potrafiła. Pragnęła tylko, żeby ten pieprzony telefon kiedyś w końcu zadzwonił.

Wzięła prysznic, włożyła szare dresowe spodnie i niebieską koszulkę polo i poszła do kuchni. W spiżarni spojrzała na butelki soku z czarnej porzeczki, który sama zrobiła. Morze soku. Wydawało się, że nigdy się nie skończy.

Nalała trochę na dno dużej szklanki, wrzuciła kilka kostek lodu z maszyny w drzwiach lodówki i dołała wody.

Śmiech Alberta i Anny niósł się z dużego pokoju.

Sophie przygotowywała się do tego, co miało nastąpić. Myślała o najbliższych trzydziestu minutach. Ona, Albert i Anna zjedzą razem obiad. Albert będzie słuchał, jak jego matka wygłasza uprzejme kłamstwa w czasie rozmowy z jego dziewczyną. Wiedział, że tak naprawdę nie była w Londynie.

Stojąc przy blacie, zagniała kruche ciasto. Wyłożyła nim spód i brzegi żaroodpornej formy. Jako dziecko Albert uwielbiał szarlotkę. Teraz już mu tak nie smakowała. Ale Sophie się jej uczepiła, tak bardzo nadal chciała czuć się mamą.

7

Prowincja Malaga

Maszynka do golenia prześlizgnęła się przez białą pianę na policzku Hectora Guzmana. Potem miękko i zręcznie przejechała między nosem a górną wargą. Zabiegowi towarzyszył syczący odgłos respiratora, monotonne pikanie pulsometru i wijący się sinusoidalnie wykres

EKG. Kroplówka spływała wolno przez gumową rurkę do wenflonu na grzbiecie prawej dłoni.

Raimunda, kończąc golenie, wytarła twarz Hectora ciepłą i wilgotną ściereczką, a potem suchym ręcznikiem frotté. Następnie posmarowała jego policzki i szyję kremem zmiękczającym.

Na kanapie kawałek dalej Sonya czytała jakąś książkę, u jej stóp leżał pies Piño. Aron stał pochylony nad dużym mahoniowym stołem.

W pomieszczeniu było spokojnie. Czekali już pół roku.

Cały blat stołu pokrywały przyklejone taśmą papiery, zdjęcia i prywatne notatki Arona. Tak właśnie pracował. Wszystkie materiały dotyczyły ich interesów, partnerów, wrogów, kosztów, wydatków i zysków. Toczyła się wojna. Był niczym oficer w bunkrze, próbował opracować strategię i się jej trzymać, przewidzieć następny krok przeciwnika i skierować swoje wojska we właściwą stronę. Ale ta wojna wyglądała inaczej. Nie było konkretnego pola bitwy, żadnego rozmieszczania wojsk. Zamiast tego wciąż tylko się osłaniali i kłamali.

Płacił różnym ludziom z zewnątrz. Składali raporty i szukali. Przede wszystkim Ralpa Hankego i tego

pieprzonego zdrajcy – Carlosa Fuentesa.

Wszyscy, z jednej i z drugiej strony, zapadli się pod ziemię. Wiedzieli, co się stanie, gdy tylko się pokażą. Od strzelaniny w Marbelli trwała jednak cisza. Radar nic nie wykrywał. Od czasu do czasu rozlegało się tylko ciche popiskiwanie. Odległe echo kogoś lub czegoś. Niemal niezauważalne. Sprawdzali i zazwyczaj alarm okazywał się fałszywy.

Nad stołem znajdował się rozpylacz kwasu, złożony z trzech połączonych ze sobą dysz prysnicowych. Gdyby ktoś się u nich pojawił albo wpadł na trop ich kryjówki, Aron musiałby tylko odsunąć się trzy metry od stołu i pociągnąć za łańcuszek, a delikatna mgiełka kryształków kwasu wszystko by unicestwiła.

Aron przyjrzał się swojemu dwuwymiarowemu światu. Stał pochylony, jak to miał w zwyczaju, z rękoma opartymi na stole. Analizował, próbował stworzyć sobie obraz, sporządzić plan.

Don Ignacio. Od dłuższego czasu był ich partnerem w interesach. Partnerem szantażystą. Nieprzejednanym, despotycznym, obłąkanym.

Dlaczego dał za wygraną?

Aron zwrócił się do Sonyi.

– Dlaczego dał za wygraną?

Sonya nie odpowiedziała. Przyzwyczała się, że Aron zadaje na głos pytania, ale nie oczekuje odpowiedzi.

– Sonya.

Podniosła wzrok znad książki.

– Słucham.

– Jaki on jest? – zapytał Aron.

– Kto?

– Don Ignacio.

– Miałeś okazję go poznać.

– Ale wobec kobiet.

– Co masz na myśli? – zapytała i odłożyła książkę grzbietem do góry.

– Jaki jest wobec kobiet?

Sonya nie zrozumiała. Aron wyjaśnił.

– Mężczyźni chyba różnie się zachowują wobec kobiet? Niektórzy flirtują, inni robią coś innego. A jeszcze innym może zupełnie nie zależeć.

– Wnikliwa analiza – powiedziała Sonya i uśmiechnęła się.

Aron gestem okazał zniecierpliwienie.

Sonya zastanawiała się przez kilka sekund.

– Do której kategorii należy Ignacio Ramirez?

– Tak.

– Zupełnie mu nie zależy.

– Jak to?

– Jest kompletnie obojętny. Kobiety go nie ruszają, wierz lub nie, ale niektórzy mężczyźni tacy już są.

Sonya wróciła do lektury.

Jej słowa dźwięczały w głowie Arona. *Zupełnie mu nie zależy*. Hector taki nie był, w każdym razie jeśli chodzi o Sophie Brinkmann. Zależało mu tak, że już bardziej nie mogło. Zakochał się w niej. I stał się nieostrożny.

Co powiedziała Sophie? Co się tam takiego wydarzyło, że Kolumbijczycy położyli uszy po sobie i nie żądali niczego więcej? Zawsze chcieli więcej, tacy już byli. Jeżeli Don Ignacio nie uległ jej kobiecemu urokowi, dlaczego miałby jej pozwolić odjechać z obietnicą, że wszystko zostanie po staremu?

Aron nie po to ją tam wysłał, w najdzikszych fantazjach nie mógłby się spodziewać takiego obrotu spraw. Poleciał Sophie odwiedzić Don Ignacia i Alfonse'a, by pokazać, że są otwarci na propozycje. Liczył się z tym, że Sophie

wróci ledwie żywa, poturbowana i zgnębiona. Spodziewał się, że przekaze szereg obłąkanych żądań dotyczących rozszerzenia współpracy, których nie będą mogli zaakceptować. Coś takiego byłoby w stylu Ignacia Ramireza. Tak prowadził interesy. Zawsze i bez wyjątku. Lecz najwyraźniej nie tym razem. Dlaczego?

Myśli wirowały mu w głowie, nie potrafił ich poukładać.

Znów spojrzał na stół. Na swój wszechświat z kawałków. Skupił się, próbował się spierać sam ze sobą.

Nagle znikąd pojawiła się myśl, której udało się przebić. Jaśniejsza od innych. Wyraźniejsza i łatwiejsza do przyjęcia. Sophie...

Przerwało mu pikanie, które rozległo się przy łóżku Hectora.

Raimunda poderwała się z krzesła i podbiegła do aparatu. Aron nie odrywał od niego wzroku. Sonya również.

Raimunda czytała zapis.

– I? – zapytał niecierpliwie Aron.

Nie odpowiedziała, zajrzała pod powieki Hectora.

– Raimunda! – krzyknął Aron.

Odwróciła się.

– Nie jestem pewna. Może to znak – powiedziała.

– Jaki znak?

– Może on jest z nami.

8

Sztokholm

Chłopcy siedzący na kanapie po obu stronach swojej mamy byli smutni. Angela też była smutna, choć wydawało się, że jej łzy już obeschły.

Sophie siedziała naprzeciwko nich na skraju fotela. Spojrzała na starszego z synów Eduarda i Angeli, siedmioletniego Andresa. Pocierał jedną rękę o drugą, nerwowo tik. Młodszy chłopiec, Fabien, był zamknięty w sobie, trzymał się blisko mamy, unikał patrzenia na Sophie i na otaczający go nowy, dziwny świat.

Znajdowali się w dużym pokoju w willi Daphne i Thierry'ego na południowych przedmieściach Sztokholmu. Na krześle w rogu siedział Hasani. Był spokojny i odpężony, a jego spojrzenie spoczywało gdzieś

nisko, jakby dzięki temu utrzymywał zmysły w stanie gotowości. Jeśli nie patrzy się na nic, widzi się wszystko.

Do pokoju weszła Daphne z dzbankiem soku i szklankami. Postawiła tacę na stoliku przy kanapie i najpierw nalała chłopcom, potem Angeli, a na końcu Sophie.

– Macie wszystko, czego wam potrzeba? – zapytała Sophie.

Na ustach Angeli pojawił się wymuszony uśmiech.

– Mieszkamy w piwnicy, Daphne i Thierry dają nam wszystko, o co poprosimy.

Sophie przyjrzała się nieszczęśliwej rodzinie. Chłopcy byli jakby wydrążeni, puści w środku i samotni w swoim smutku.

Sophie spojrzała na Daphne wymownie. Tamta zrozumiała, podniosła się i zagadnęła do chłopców po francusku.

– Chodźcie, pokażę wam warsztat. Thierry ma w nim fajne rzeczy.

Andres popatrzył na mamę. Dała mu znak, że może iść. Wziął Fabiena za rękę i wstali z kanapy. Hasani podniósł się z krzesła i ruszył razem z chłopcami i Daphne do

garażu.

Uśmiech na twarzy Angeli zgasł. Była blada i wyglądała na przerażoną. Wydawało się, że to jej naturalny stan. Świat był śmiertelnie groźny i nie dało się go kontrolować. Widać to było w jej oczach.

– Hector żyje? – zapytała.

– Tak.

– Gdzie jest?

– Nie wiem – powiedziała Sophie. To kłamstwo nie miało znaczenia.

– To jego wina.

Sophie nic nie odpowiedziała.

– Gdyby nie Hector, Eduardo nadal by żył. Wyjechaliśmy do Francji, do Biarritz, żeby tego wszystkiego uniknąć.

Angela walczyła z uczuciami, w jej oczach pojawił się błysk.

– Kiedy dowiedziałam się, że Adalberto nie żyje, prawie mi ulżyło. Nie życzę nikomu śmierci, a on był ojcem Eduarda i moim teściem, ale dzięki temu mogliśmy czuć się bezpieczniej. Rozumiesz? – Angela wyglądała, jakby dręczyły ją wyrzuty sumienia.

– Rozumiem – odparła Sophie.

Z warsztatu dobiegł śmiech Daphne i jednego z chłopców.

– Kto to zrobił? Kto zabił Eduarda?

W zamku zazgrzytał klucz, drzwi wejściowe otworzyły się i zamknęły.

Do pokoju wszedł Thierry. Jak zawsze na jego twarzy malowała się wesołość. Przyniósł zakupy, w każdej ręce trzymał dwie siatki.

– Cześć – powiedział. – Gdzie Daphne i chłopcy?

– W garażu – odparła Sophie.

Thierry przyjrzał się kobietom. Wyczuł ponurą atmosferę.

– Chodźcie – powiedział. – Pomożecie mi przy kolacji.

Angela, Sophie i Thierry stali w kuchni. Do ugotowania było wiele potraw, wszystkie wegetariańskie. Thierry kierował pracami. Kiedy cięli i kroili, wróciła Daphne z chłopcami, a za nimi przywędrował Hasani. Chłopcy byli odrobinę weselsi. Usiedli razem przy stole, dostali coś do picia, papier i kredki. Thierry sprawiedliwie je rozdzielił.

Daphne dała Thierry'emu buziaka w policzek. Trochę pomagała w gotowaniu, ale głównie stała obok niego i gawędziła. Sophie przyjrzała się im ukradkiem. Zawsze się tak zachowywali. Jak prawdziwie zakochani, cokolwiek to znaczyło. Takie jednak sprawiali wrażenie.

Obiad zjedli przy stole w kuchni. Panowała cisza. Nie była uciążliwa, nikt nie czuł potrzeby rozmowy. Byli tam razem. Hasani rozgrzebywał widelcem warzywa, chłopcy zauważyli jego niechęć. Kiedy ostrożnie zapytał, czy nie znalazłoby się trochę mięsa, rozległy się śmiechy i atmosfera się rozluźniła. Angela wstała i usmażyła mu kawałek mięsa. Zaczęli rozmawiać, najpierw niepewnie, przyciszonymi głosami, po chwili jednak gadali już wszyscy oprócz Sophie. Trzymała się z boku, nie chciała się włączać. Choć i jej dobrze robiła atmosfera przy stole. Nie mogła nie widzieć radości chłopców, uśmiechu Angeli, ciepła Daphne i Thierry'ego czy Hasaniego – amatora mięsa. Byli ludźmi, którzy w tej chwili potrzebowali tylko odrobiny towarzystwa.

Ona jednak wiedziała coś, o czym oni nie mieli pojęcia – kto zabił tatę chłopców. Zdawała sobie również sprawę, że nie może tego zdradzić, ponieważ konsekwencje byłyby

trudne do opanowania. Widziała, co się dzieje – znała to wściekłe miotanie się Arona, była świadoma ryzyka, jakie podejmował, i czuła wiszącą w powietrzu przemoc.

Andres i Fabian krztusili się teraz ze śmiechu i pluli jedzeniem.

Sophie była poważna. W jej głowie powoli dojrzewiała pewna myśl. Była dość absurda, ale wiedziała, że jeśli nie zrobi wszystkiego, co w jej mocy, żeby ludzie siedzący przy tym stole nadal mogli się śmiać, równie dobrze może się zupełnie poddać.

Jedząc, próbowała odepchnąć od siebie tę myśl. Bezskutecznie. Była zbyt uporczywa. Nabrała wyraźnych konturów. Potem pojawiła się twarz Ralpha Hankego.

9

Berlin

Lothar Tideman płukał warzywa pod kranem w kuchni. Jego mama, Franka, jak zwykle pracowała przy stole. Liczyła i porządkowała słupki. Czuł dumę, była taka zdolna i mądra.

Zakręcił kran i zaczął kroić warzywa na sałatkę. Okno na podwórze było otwarte. Dzieci grały w piłkę, sąsiadka trzepała dywan, a kawałek dalej na placu zabaw ktoś w piaskownicy bez przerwy warczał silnikiem mopedu.

Spędzał z mamą dużo czasu. Lubili to, a poza tym Lothar nie miał ani rodzeństwa, ani ojca. Twarz Franki wciąż jaśniała, jego mama była wesoła i wdzięczna za coś, czego on nie mógł pojąć swoim siedemnastoletnim rozumem. Ich mieszkanie, położone na jednym z południowych przedmieść Berlina, nie było zbyt ładne. Franka zajmowała się księgowością i zapewniała mu wszystko, czego potrzebował, nawet jeśli sama musiała się wyrzekać tego czy tamtego, a pieniędzy było mało. Przy tym przez cały czas się uśmiechała, jakby cieszyła się samym faktem istnienia. Nosiła długie blond włosy i miała w sobie naturalne piękno. Mężczyźni próbowali ją podrywać, ale ona nie była zainteresowana. Chyba uważała, że ma wszystko, co mogłaby sobie wymarzyć. Nie potrzebowała nowego mężczyzny.

Franka powiedziała coś, czego nie usłyszał, ale sądząc po tonie głosu, był to jakiś żart. Lubiła żartować. Lothar miał się właśnie do niej odwrócić, kiedy w kuchni pojawił

się jakiś mężczyzna. Niski, ogolony na łyso i ubrany na czarno. Był blady, a jego wąskie oczy leżały blisko siebie.

– To ty jesteś Lothar? – zapytał.

Lothar spojrział zdezorientowany na mamę, potem na mężczyznę i odruchowo kiwnął głową.

Franka chciała coś powiedzieć, ale było za późno. Mężczyzna podniósł pistolet z tłumikiem i strzelił. Rozległo się ciche syknięcie. W czole Franki Tideman powstał otwór.

Lothar nie rozumiał, co się stało. Głowa jego matki leżała na stole wśród papierów, faktur i dzienników przejazdów. Jej ręce wisały bezwładnie, na ścianie pojawiła się krew.

Rzucił się na mężczyznę. Ten jednak odchylił się do tyłu i zrobił zwrot. Chwycił go za szyję, przewrócił, przycisnął do ziemi, a potem zatkał mu nos i usta kawałkiem materiału. Środek odurzający działał szybko. Ciało chłopca zwiotczało. Stracił przytomność.

Mężczyzna usiadł na krześle obok Franki i cierpliwie czekał. Nazywał się Koen de Graaf i miał dwadzieścia dziewięć lat. Niski wzrost i nieco zdeformowane rysy twarzy zawdzięczał temu, że jego matka w czasie ciąży nie

chciała się rozstać z alkoholem i heroiną. Bładość była dziedziczna.

Koen spojrział na Lothara. Początkowo nie wierzył nawet, że chłopak istnieje. Zaczęło się od plotki. Ralph Hanke poruszył niebo i ziemię w poszukiwaniu haków na Hectora Guzmana. Koen był jego prawą ręką w tym przedsięwzięciu. Dwa miesiące temu jeden z wywiadowców poinformował ich, że Hector Guzman może mieć nieślubne dziecko. Wydawało się to zbyt piękne, żeby było prawdziwe.

Syn Hectora Guzmana...

Do mieszkania weszło dwóch mężczyzn. Każdy z nich niósł dużą drewnianą skrzynię. Zrobili porządek w kuchni, po czym zapakowali ciało Franki do jednego pudła, a nieprzytomnego Lothara do drugiego.

Koen raz jeszcze sprawdził mieszkanie. Znieśli skrzynie po schodach i wstawili do czekającej przed domem furgonetki.

Po kilku godzinach jazdy autostradą skręcili na pusty parking. Dwóch mężczyzn wyciągnęło skrzynię z ciałem Franki Tidemann. Wzięli łopaty i weszli do ciemnego lasu.

Koen ruszył do stojącej nieopodal toalety.

Kucnął na klapie sedesowej. Cuchnęło kałem i moczem. Lampa pod sufitem świeciła słabym światłem. Działał szybko. Przewiązał ramię gumową rurką, strzykawkę miał już gotową. Znalazł żyłę, wkłuł się i wciągnął trochę krwi. Zmieszana z heroiną nabrała pięknego jasnoczerwonego koloru. Wstrzyknął sobie całe to cudo do krwiobiegu. Policzył od dwudziestu w dół. Kiedy dotarł do czterech, heroina dała mu porządnego kopa. Odwiązał rurkę i wypuścił strzykawkę na podłogę. Wytoczył się na zewnątrz, dotelepał do furgonetki i wgramolił do szoferki. Opadł na oparcie fotela.

Mężczyźni wrócili. Ruszyli w dalszą drogę.

Światła jadących z naprzeciwka samochodów układały się w bezgłośną symfonię. Koen unosił się nad autostradą. W jego żyłach rozbrzmiewała piękna melodia.

10

Sonora

Stojące w zenicie słońce prażyło niemiłosiernie. Leżał na

plecach, widział sępy krążące na tle oślepiającego nieba. Kiedy oddychał, z jego gardła dochodził świszczący dźwięk, poparzona słońcem skóra piekła i była boleśnie napięta.

Jens obrócił głowę i zobaczył niekończącą się równinę piasku i kamieni. W oddali, na tle intensywnie błękitnego nieba, miękko odznaczała się góra. Z dużym wysiłkiem uniósł głowę. Leżał pośrodku kamienistego pustkowia.

Kimkolwiek byli, zostawili go tutaj, żeby umarł. Pożalowali mu nawet kuli w łeb. Czy wolałby to? Kulę w łeb zamiast tej pustyni? Nie, za nic w świecie. Choć cholernie mu się tu nie podobało.

Spróbował wstać, bez powodzenia. Czuł się, jakby tkwił w ruchomych piaskach. Poddał się i oparł głowę na gorącym podłożu. Temperatura jego ciała skoczyła. Zamknął oczy i osunął się w senne majaczenia. Miał halucynacje. Kiedy się z nich ocknął, dotarła do niego rozpaczliwość jego położenia. Tym razem dostał za swoje.

Ogarnął go bezlitosny lęk przed śmiercią. Chyba jednak wolałby kulę. Czuł się poniżony tym, że tu leży. Nie chciał umierać pogrążony w mrokach obojętności. Szukał światła, modlił się o nie. Pojawiało się stopniowo, jako

obrazy i zapachy. Mama, tata, rodzina, dzieciństwo. Okruchy, które najwyraźniej coś znaczyły... Zapach angielskiej herbaty, wykrochmalonej pościeli, świeżo skoszonej trawy... Wśród ciepłych wspomnień wypłynęła nagle twarz Sophie Brinkmann... Była blisko... Chciał jej dotknąć... Zniknęła, a wraz z nią rozplynęła się cała reszta... Został sam...

Trudno o większy paradoks. Przez całe życie uparcie dążył do tego, żeby nie być zależnym od innych i radzić sobie samemu... Ale nie chciał być niezależny, nie chciał być sam. Nie teraz.

Zapadła noc, zrobiło się potwornie zimno. Chłód był przeszywający. Jens wiedział, że jeżeli się nie ruszy, zamarźnie.

Z wielkim trudem udało mu się stanąć na chwiejnych nogach. Zataczając się, ruszył przez wymarłą okolicę. Na nocnym niebie nie było chmur, w górze świeciła Droga Mleczna. Jens podążył za nią, dygocząc z zimna. Obejmował się ramionami. Wiedział, że umrze.

Sztokholm

Antonia czuła, że się uśmiecha. Uśmiech nie był jednak wesoły, lecz chłodny i świadczył o rozczarowaniu.

– Nie rozumiem. To nie jest dobry pomysł...

Tommy bujał się na biurowym krześle z rękoma skrzyżowanymi na piersi.

– Już postanowione – powiedział.

– Dlaczego?

– Dlatego, że czasem tak właśnie działamy, dzielimy się pracą, zmieniamy lokalizację.

Skończył się bujać.

– Pracujesz nad czterema zabójstwami. To za dużo, nawet jak na ciebie. Odsuwam cię od jednego z nich. Nie ma w tym nic dziwnego.

– Dlaczego sprawa Trasten? Dlaczego nie ta najnowsza, Blomberga? Albo któraś ze starych?

– Dlatego, że sprawę Blomberga możesz pchnąć do przodu. Możesz doprowadzić do jej zakończenia. A tego nam potrzeba.

– Sprawę Trasten też mogę doprowadzić do końca.

Tommy odruchowo pogładził się po wąsach.

– Nie w tym życiu.

– Dlaczego?

– Bo tak.

Nie zdążyła nic wtrącić.

– Muszę myśleć o statystykach. A te dotyczące Trasten są fatalne. Dochodzenie stoi w miejscu. Im więcej czasu mija, tym trudniej coś zdziałać.

– Nie zgadzam się z tym.

Tommy nic nie odpowiedział.

Zawsze chciała zbyt wiele. Wiedziała o tym i starała się nie zdradzać swojego zapachu.

– Kto ją przejmie?

Tommy oparł dłonie na biurku. Była to pierwsza oznaka tego, że rozmowa zbliżała się do końca.

– Miles Ingmarsson – odpowiedział.

Przypomniała sobie, że tak właśnie nazywa się mruk z Wydziału do Walki z Przestępczością Gospodarczą.

– Dlaczego on?

Tommy szukał czegoś na biurku.

– Dlaczego ty, dlaczego ja, dlaczego ktokolwiek? Tu nie chodzi o konkretnych ludzi.

– A o co?

– O to, kto jest dostępny.

– Jest setka innych, lepszych niż on.

Tommy dalej udawał, że szuka czegoś w papierach.

– Nikt inny nie jest wolny – odparł.

– Ja jestem.

– To dobrze – rzucił, szykując się do wstania.

– Mam jedno pytanie – powiedziała.

Tommy znieruchomiał.

– Chodzi o to, że Ingmarsson jest dobry, czy o to, że ktoś musi ciągnąć tę sprawę, mimo że twoim zdaniem nie ma to sensu?

Musiał dwa razy przeanalizować jej pytanie.

– Ja tego nie powiedziałem – stwierdził w końcu.

– Powiedziałeś.

Antonia dostrzegła, że się pogubił. Po chwili odezwał się władczo.

– Słuchaj, przestań mi cały czas zawracać głowę. To nie pieprzone negocjacje związkowe, nie musimy wypracować kompromisu w każdej sprawie... Ja i tylko ja tu decyduję. Jestem twoim szefem. Mamy tropić morderców. Możesz robić to, co mówię, albo poszukać innej pracy, wybieraj.

Antonia ugryzła się w język.

Tommy przetarł dłonią usta.

– Czas na weekend. – Na jego twarzy pojawił się sztuczny uśmiech.

Antonia westchnęła. Tommy się podniósł.

Antonia kręciła się na biurowym krześle i nieświadomie obgryzała paznokcie. Trawiły ją uraza i rozgoryczenie, czuła, że potraktowano ją niesprawiedliwie. Tommy to pieprzony idiota. Nienawidziła się podporządkowywać, zwłaszcza gdy się z czymś całkowicie nie zgadzała... i było to wymierzone przeciwko niej. Miała ochotę coś rozbić. Ale tego nie zrobiła. Poczekała za to, aż inni pójdą do domów. Jeszcze nie skończyła z dochodzeniem w sprawie Trasten.

Kiedy kładła na biurku dwa skoroszyty z materiałami dotyczącymi zabójstw w restauracji, wydział był już pusty. Masa papierów, dokumentów i zdjęć. Wyjmowała je i układała akta w równe stosy.

Włączyła kserokopiarkę. Maszyna zaczęła wydawać dziwne dźwięki. Szumiał jakiś wiatrak. Coś w środku się zacinało i próbowało wskoczyć na miejsce. Antonia

cierpliwie czekała, aż urządzenie się uspokoi, a wszystkie lampki na panelu kontrolnym rozbłysną równym światłem.

Skopiowała materiały z dochodzenia. Maszyna szybko połykała i wypluwała kolejne dokumenty.

Rzut poziomy restauracji Trasten, sprawozdania, opinie patologa, raporty balistyczne. Zdjęcia zabitych Rosjan zrobione na miejscu i zdjęcia paszportowe Hectora Guzmana i Arona Geislera. Informacje o Leifie Rydbäcku, recydywiście, którego poćwiartowane zwłoki znaleziono w restauracyjnej zamrażarce, choć większa część Leifa zdążyła już przejść przez maszynkę do mięsa.

Kolejne dokumenty wysuwały się z kopiarki. Świadkowie, którzy nie byli świadkami, bo nikt niczego nie widział, naboje pochodzące z broni, której nie było, odciski palców ludzi, którzy nie istnieli, analizy próbek DNA, których nie można było do nikogo dopasować.

Krótki raport, który sama sporządziła po przesłuchaniu pielęgniarki mającej kontakt z Hectorem Guzmanem, kiedy ten leżał w szpitalu Danderyd. Kobieta nazywała się Sophie Brinkmann i nie miała nic do powiedzenia. Jej syn jeździł na wózku, była wdową, sprawiała wrażenie zdystansowanej...

Z przegródki kopiarki wysuwały się teraz szczegółowe sprawozdania, wszystkie były czysto teoretyczne i nieoparte konkretnymi dowodami. Takie właśnie było to dochodzenie. Antonia przebiegała wszystko oczami i analizowała, próbując czytać między wierszami i bezskutecznie zrozumieć coś, czego tam nie było.

Kartki wysuwały się w równym tempie. Stała jak zahipnotyzowana. Wydawało jej się, że słyszy odległy szmer. Wołanie z zaświatów. Głosy tych, którzy chcieli zostać wysłuchani i zaznać spokoju.

Kopiarka przestała pracować, dyszała, dopóki nie zamilkł wiatrak.

Antonia wyjęła pliki kartek, włożyła oryginały do skoroszytów, a kopie do reklamówki, którą wepchnęła do torby, po czym opuściła komisariat.

Czas stał się nagle nie do wytrzymania. Tak dalece i dotkliwie, że Tommy nie mógł podchodzić do niego obojętnie. Kiedy próbował, czuł, że się dusi. Nie miał wyjścia i musiał przed nim uciekać. Żeby uciec przed czasem, trzeba być stale w ruchu, ciągle się czymś

zajmować.

Tommy Jansson siedział za kierownicą samochodu zaparkowanego przed swoim szeregowcem. Silnik był wyłączony. Powietrze w środku było ciepłe, suche i ciężkie od problemów.

Wcześniej miał buicka skylarka, podrasowanego amerykańskiego potwora. Teraz siedział w służbowym wozie w kolorze granitu. Litery na tablicy rejestracyjnej układały się w HEJ. Nienawidził nim jeździć. Nienawidził, gdy dzieci z innych samochodów machały do niego przez szybę i wołały „hej”. Był na siebie wściekły, że nie potrafił podejść do tego na wesoło i odpowiedzieć żartem.

Gapił się przez przednią szybę. Właśnie mijała go nadgorliwa mamuśka nadskakująca płaczącemu dzieciakowi, który siedział w wózku.

Tommy zwalczył potrzebę przemówienia jej do rozumu. Jego nastroje stały się poważnym problemem, miał już dość bycia wściekłym. Przejęta mamuśka zniknęła. Tommy opuścił powieki, pomasaował nasadę nosa i otworzył oczy. Bóg chyba w dalszym ciągu chciał mu grać na nerwach, bo sprawił, że na środku ulicy, tuż obok

jego samochodu, pojawił się bażant. Samiec, niepewny, niezdecydowany i bez krzty oleju w tym swoim zakutym ptasim łbie. Nerwowo i chaotycznie dreptał po pokrytym śnieżną breją asfalcie, jak gdyby niecierpliwie czekał, aż go ktoś przejedzie.

Tommy powiesił skórzaną kurtkę na haku w przedpokoju, choć Monica cały czas gderiała, żeby używał wieszaka. Wszedł do ubikacji.

Obwisły brzuch zrobił się większy. Sikając, Tommy nie widział małego. Młodego pana Janssona, jak go nazywał. Kiedyś, gdy jeszcze żartowali z Monicą, mówili na niego „pokusa Janssona”. Tak, kiedyś żartowali, robili to przez większą część życia. To żarty trzymały ich razem. Łączył ich humor, czuły, pełen ciepła i lekkości, który działał jak swego rodzaju zasłona chroniąca ich przed poczuciem, że życie jest ciężkie, a czasem nawet niebezpieczne. Zasłona opadła, kiedy dowiedzieli się o chorobie Moniki. Poczucie humoru i ciepło zniknęły. Pozostało zagubienie, przygnębienie i pokaźna dawka rozgoryczenia

Monica siedziała w kuchni. Nienawidził tej jej pozy: jestem silna i myślę pozytywnie. Nie potrafił sobie

poradzić ani z nią, ani z jej chorobą.

Monica rozwiązywała krzyżówki, piła kawę i próbowała żyć normalnie. Ale nie panowała już nad prawą ręką, zaczęła przeciągać sylaby i nie była w stanie chodzić bez kul, a nie chciała używać w domu chodzika, który przyniosła jej opiekunka. Była to jednak tylko kwestia czasu.

– Cześć, Tommy.

Powiedziała to wolno i niewyraźnie. Uśmiechała się, ale tylko połową ust. To był cios w samo serce. Kochał ją.

Nalał sobie kawy i usiadł przy stole. Pogadał chwilę o niczym, wypił parę łyków i spróbował pomóc Monice przy krzyżówce, choć jego pomoc na niewiele się zdała. Potem Monica wypowiedziała jego imię. Miętko i prosząco. „Tommy”. Chciała, żeby zabrzmiało to czule, ale on usłyszał błaganie: „Tommy, kochanie, teraz posłuchaj”.

Wiedział, na co się zanosi. Chciała z nim porozmawiać o praktycznych sprawach, z którymi zostanie sam, gdy ona umrze. Wyjaśnić, co powinien robić, co kupować do jedzenia, ile może wydać na ubrania dziewczynek, co robić, kiedy córki mają okres, jak może się kontaktować

z ich nauczycielami. Lista była długa. To było ponad jego siły. Wstał.

– Gdzie idziesz?

Spojrzała prosząco. Nie odpowiedział, tylko jak zwykle uciekł do piwnicy. Prowadzące do niej schody były ciemne i wąskie. Podobnie jak część jego mózgu odpowiadająca za uczucia.

Tommy usiadł przy małym biurku w warsztacie. Z szuflady wyjął ćwiartkę ginu i pociągnął kilka gorzkich łyków. Ohydny smak. Schował butelkę i sięgnął po leżącą w tej samej szufladzie teczkę.

Wyciągi z kont bankowych w krajach rządzonych przez dyktatorów. Dwa w Afryce Zachodniej i jeden na Bliskim Wschodzie. Konta kosztowały krocie, ale za to były tajne i wolne od podatku. Kwoty na nich były nieprawdopodobnie wysokie.

Przypomniał sobie wydarzenia sprzed pół roku w mieszkaniu na Söder. Był w nim razem z dwójką kolegów z pracy – Gunillą Strandberg i Larsem Vingem. Zastrzelił ich oboje. Z Vingem poszło gładko. Ten facet to było chodzące nieszczęście, skończone zero. „Samobójczy” strzał w skroń wydawał się Tommy’emu

niemal aktem miłosierdzia. Z Gunillą sprawa miała się gorzej. Była jego przyjaciółką, koleżanką z pracy, bratnią duszą. To ona siedziała na forsie, która widniała na wyciągach. Nie miał wyjścia. Nigdy nie mogliby się podzielić łupem. Znał ją, znał siebie. Szybko by się poróżnili.

Chodziło nie tyle o pieniądze, ile o strach, jego własny źle skanalizowany strach. Dopiero z czasem to zrozumiał. Bał się, że Monica zniknie. Co do cholery bez niej pocznie? Kto będzie się nim opiekował na starość? A co z dziewczynkami, kto dopilnuje, żeby nie powychodziły za mąż za idiotów? Jedzenie. Kto będzie gotował? I kupował mu ubrania? Kto będzie rozmowny, gdy przyjdą goście? Z kim będzie gadał po pracy, żeby nie zamilknąć na zawsze? W Monice miał oparcie, w każdej dziedzinie życia.

Kiedy dowiedział się o pieniądzach, dostrzegł w nich swoją szansę. Zabił, zdobył forszę i od razu rozpoczął krucjatę. Skontaktował się z badaczami i specjalistami ze Stanów, Francji, Japonii i każdego kraju, w którym prowadzono badania nad ALS. Wszyscy mówili to samo – stwardnienie zanikowe boczne było nieuleczalne. Ale

oczywiście wszelka pomoc finansowa przyspieszy prace nad lekiem mogącym spowolnić chorobę albo nawet ją pokonać. Tommy'ego to przekonało i rozpoczął żmudną pracę wypłacania milionów z kont i anonimowego wysyłania ich lekarzom na całym świecie. Sporą sumę przekazał szwedzkiej organizacji, która prowadziła badania nad chorobą. Raz w tygodniu dzwonił do nich incognito, pytał, czy zrobili jakieś postępy, i za każdym razem słyszał tę samą odpowiedź przeczącą. Wrzeszczał na nich, pytał, czym się, do cholery, zajmują całymi dniami, i mówił, że mają się pośpieszyć, bo w jego kuchni umiera kobieta.

W pracy zajmował się wyłącznie zatykaniem wszystkich potencjalnych przecieków, które mogłyby go połączyć z zabiciem Gunilli Strandberg i Larsa Vingego.

Tommy pochylił się nad wyciągami z kont i przyjrzał się sumom. Zostało niewiele. Pół miliona w gotówce zakopał w ogrodzie, za szopą, w miejscu, do którego nie docierało słońce. Półtora miliona miał w Afryce, a niecały milion na Bliskim Wschodzie. W tych bankach obowiązywało swego rodzaju odwrócone oprocentowanie. Pobierali opłaty za ukrywanie pieniędzy.

Oprocentowanie bazowało na czymś w rodzaju indeksu dyktatorów. Mówiąc w uproszczeniu: im mniej dyktatorów było na świecie, tym większe były koszty. Odliczanie trwało. Wkrótce będzie po wszystkim...

Tommy poczuł słaby ucisk w piersi, wziął płytki oddech, przeciągnął dłońmi po twarzy i zasłonił oczy. Nic nie widział. Była tylko ciemność. Odetchnął raz jeszcze. Głęboka, cholerna ciemność. Czy to ku niej zmierzała Monica?

Sufit nad nim zaskrzypiał. Usłyszał stukanie kul Moniki. Szła do toalety i potrzebowała jego pomocy.

12

Sztokholm

Wyglądała, jakby głowa wyrastała jej bezpośrednio z nóg. Pupa znajdowała się na wysokości jego oczu. Stringi wrzynały się głęboko między pośladki. Pochyliła się do przodu, trzymając się rury prawą ręką. Spojrzeli sobie w oczy, kiedy tak wisiała do góry nogami. Ingmarsson odwrócił wzrok.

W sali prócz niego było tylko trzech mężczyzn, zajęli miejsca jak najdalej od siebie. Znał ich wszystkich, co nie było tu dobrze widziane, każdemu zależało na anonimowości.

Dziewczyna na błyszczącej rurze miała chyba na imię Sanna. Była nowa, po trzydziestce, starsza od pozostałych i zupełnie inna. Nie umiał powiedzieć dlaczego, może chodziło o to, jak się poruszała, może o jej aurę? A może o długie nogi? Nie, to było coś innego, coś, czego nie potrafił określić. Nie pasowała tu, była ulepiona z innej gliny.

Wytrącała go z równowagi, striptizerki zwykle tak na niego nie działały. Ona jednak...

Miles przyjrzał się Sannie. Jej krótkim blond włosom, czerwonym wargom, mlecznobiałej skórze... Tliła się w niej jakaś radość, jakby uważała świat za zabawne miejsce.

Telefon w kieszeni jego marynarki zaczął wibrować. Miles przełknął ślinę i odebrał.

– No?

– Cześć, Ingmarsson.

Znowu Tommy. Ten to potrafił zadzwonić nie w porę.

- Cześć.
- Jak leci?
- O tak.
- Co to znaczy?
- Nie mam pojęcia.

Tommy zakaszłał w słuchawkę.

- Co robisz? – zapytał.
- Wsuwam lunch – odparł Miles.
- Gdzie?

Rozległy się dwa trzaski. Miles domyślił się, że Tommy włączył w samochodzie tryb głośnomówiący.

- W centrum.
- Smakuje ci?
- Słucham?
- Dobry ten lunch?
- Tak, raczej tak.

Rozległ się głośny dźwięk. Prawdopodobnie klakson samochodu.

- Co jesz?
- Co jem?
- Tak, co jesz?

Miles się zaśmiał.

– Dziwne te twoje pytania.

– To chyba nie jest dziwne pytanie? Co dziwnego w tym, że pytam, co jesz?

Sanna kucnęła z szeroko rozstawionymi nogami, zdecydowanie za długo ssała swój kciuk, wsuwając go do ust i z nich wysuwając.

– Chyba nic.

– No więc?

– Spaghetti.

– Mniam.

– Mhm.

– Mów, co chcesz, o Włochach, ale makaron potrafią...

Co do kur...

Miles usłyszał długi dźwięk klaksonu, a potem Tommy'ego przeklinającego pod nosem. Po chwili jego rozmówca znów odezwał się do słuchawki.

– Jesteś tam, Ingmarsson?

– Jasne.

– Dlaczego ludzie robią coś takiego? Dlaczego zmieniają pas bez migacza?

– Nie wiem – odparł Miles.

– Gdybym pracował w drogówce, strzelałbym do

kierowców.

– Okej.

– Nie żartuję.

– W porządku.

Miles czekał, aż Tommy przejdzie do rzeczy.

Tommy odchrząknął.

– Czy to spaghetti *à la striptease*?

– Przepraszam?

– Żadne tam przepraszam. Czy to spaghetti *à la striptease*?

Miles poczuł się tak poniżony, jakby ktoś kopnął go w krocze. Potarł nos.

– Chyba można tak powiedzieć – wymamrotał.

– Myślisz, że mnie to obchodzi?

– Nie, nie sędzę.

– I słusznie. Ale innych może.

Sanna leżała na plecach, unosząc i opuszczając miednicę. Jej czarne lakierowane kozaczki błyszczały.

– Nie wychylaj się, Ingmarsson.

– Przecież nic nie zrobiłem.

– Zrobiłeś.

Miles nic nie rozumiał.

– Zażyczyłeś sobie pewnych materiałów.

– Tak?

Sanna uniosła pupę. Zdjęła majtki.

– Olej to.

– Co mam olać?

– Wszystko. Śledztwo.

Majtki spokojnie i elegancko wirowały wokół palca wskazującego Sanny. Puściła je. Wirując, zniknęły w ciemnościach. Miles śledził je wzrokiem. W głowie słyszał odgłos obracających się śmigieł helikoptera. Jak na starym filmie o wojnie w Wietnamie.

– Co?

– Siedź i udawaj, że pracujesz. Nie wysilaj się.

– Dlaczego?

– Bo ja tak mówię. Gunilla i Erik Strandberg spaprali sprawę. Jeżeli pchniesz śledztwo do przodu, splamisz ich pamięć, mniej więcej tak to wygląda. Nie chcę, żeby tak się stało. Byli moimi przyjaciółmi i dobrymi policjantami.

Sanna klęczała na środku sceny, jej uda były szeroko rozchylone, nie miała przed Ingmarssonem nic do ukrycia.

– Gliniarze kryją gliniarzy, co nie? – Tommy Jansson odchrząknął. Na próżno. Kiedy się odezwał, jego głos

wciąż był zachrypnięty. – A poza tym, kogo to, kurwa, obchodzi? Trzech sztywnych ruskich gangsterów...

Miles usłyszał głośne chrząknięcie. Coś w końcu przestało go męczyć.

– ...i jeden hiszpański pseudomafioso, który uciekł z kraju albo smaży się w piekle. Czegóż chcieć więcej? Moim zdaniem obywatele są bezpieczni, a sprawa już dawno zakończona. Sama się zakończyła. Rozumiesz?

Miles nie rozumiał.

– Co chcesz powiedzieć?

– Udawaj. Wymyśl coś, Ingmarsson, chuj wie co, ale pamiętaj, że jesteś policjantem. Policjantem, który dzień w dzień łązi do klubów ze striptizem. Jak to, twoim zdaniem, wygląda?

Ingmarsson milczał. Kciukiem i palcem wskazującym ścisnął nasadę nosa i zamknął oczy.

– Zwłaszcza gdy wszyscy narwańcy w tym kraju nawrócili się na feminizm. Opublikują twoje dane w internecie. Jeżeli nie... – Tommy zawiesił głos.

– Jeżeli nie co? – zapytał Miles, nie otwierając oczu.

– Jesteśmy gliniarzami, Ingmarsson. Ja kryję ciebie, ty się nie wychylasz. Pomagamy sobie, stary gliniarski honor.

Okej?

Ingmarsson nie odpowiedział.

– W porządku, Ingmarsson. Tak trzymaj – rzucił Tommy i się rozłączył.

Miles otworzył oczy. Siedział chwilę z telefonem w dłoni, ogarnęło go przygnębienie. Gliniarski honor, co to, kurwa, ma być? Wsunął komórkę do kieszeni marynarki. Tommy Jansson kiedyś taki nie był. Ale ludzie się zmieniają. Miles wiedział, że Tommy przyjaźnił się z rodzeństwem Strandbergów, Gunillą i Erikiem. Musiał mieć swoje powody, trochę kręcił, kiedy proponował mu tę robotę. Miles od razu zrozumiał, że coś tu nie gra, bo dlaczego miałby nagle dostać śledztwo w sprawie morderstwa? Było przecież mnóstwo innych gliniarzy, lepszych niż on, którzy siedzieli i przebierali nogami, czekając na taką propozycję.

No cóż.

Wybór był prosty. Uświadomił sobie, że równie dobrze może siedzieć na dupie i pić ohydną kawę w Wydziale Kryminalnym, tak jak siedział w Wydziale do Walki z Przeszłością Gospodarczą, wysłuchując naciąganych i przesadzonych wspomnień kolegów gliniarzy z dawnych

czasów, które tak naprawdę nigdy nie istniały.

Może coś było w tym, co powiedział Tommy. Gliniarze kryją gliniarzy. A Ingmarsson nie miał zamiaru przestać chodzić do klubów ze striptizem, mowy nie ma. Chciał oglądać Sannę.

Sanna? Miles ocknął się ze swoich myśli i zorientował, że na sali został tylko on. Goście poszli, pokaz się skończył. Spojrzał na scenę i oślepiło go ostre światło reflektora. Zmrużył oczy i osłonił je dłonią. Sanna...

Stała na środku sceny, lewą rękę oparła na biodrze, na nogach wciąż miała czarne lakierowane kozaczki. Poza tym była goła, jak ją Pan Bóg stworzył. Wbiła w Milesa spojrzenie.

– Na dzisiaj koniec – powiedziała.

Mówiła z norrländzkim akcentem. Brzmiał pięknie, dobrze i miło.

Ingmarsson nie mógł oderwać od niej wzroku, teraz widział ją wyraźniej. Zarys szczęki, usta, oczy... Każdy z tych elementów był piękny sam w sobie i fantastyczny w połączeniu z innymi, boski w całości.

Po magicznej chwili trwającej wieczność uśmiechnęła się delikatnie, odwróciła i zeszła ze sceny w taki sposób,

że każdy mężczyzna byłby w stanie paść na kolana i błagać o łaskę.

Nadeszła pora lunchu. Antonia stała w windzie, która szybko sunęła w dół. Zadzwoił jej telefon.

– Słucham?

– Antonia Miller? – zapytał jakiś męski głos.

– Tak.

– Reuterswärd z Säpo.

Antonia zaczęła szukać w kieszeni tabletki na gardło.

– Cześć, Säpo – powiedziała.

Znalazła tabletkę i włożyła do ust.

– To ty prowadzisz sprawę morderstwa Conny’ego Blomberga?

– Tak.

Tabletka stuknęła o zęby.

– Dzwonię zgodnie z procedurami, żeby powiedzieć, że od paru lat mieliśmy go na oku.

Drzwi windy otworzyły się i Antonia wysiadła.

– Zamieniam się w słuch.

– Teraz, kiedy nie żyje, materiały na jego temat nie są

w żaden sposób utajnione, więc jeśli chciałabyś się z nimi zapoznać, daj znać.

Wyszła na ulicę. Świeciło słońce.

– Dlaczego zbieraliście o nim informacje?

– Właściwie nie zbieraliśmy. Kręcił się w pobliżu ludzi, którzy nas interesowali, więc automatycznie zaczęliśmy go obserwować. Szybko doszliśmy do wniosku, że to pŁotka, ale od tamtej pory znajduje się w naszym systemie. MinęŁo sporo czasu.

– Kim wtedy był?

Antonia szŁa chodnikiem, ludzie wokół niej spieszyli na lunch.

– W zasadzie nikim szczególnym. W latach siedemdziesiątych mieszkaŁ w Norrköping i był obiecującym piłkarzem. W tym samym czasie nabawił się problemów z kolanem i postarał o dzieci. Zaczął pić i palić hasz, chyba mu odbiŁo, kiedy zrozumiaŁ, że nie moŁe utrzymać rodziny. Zostawił za sobą sielankę, dał nogę do Sztokholmu i zaczął ostrą jazdę. Szybko wpadł w nieodpowiednie towarzystwo. Kilka razy trafił za kratki za drobiazgi, potem przestępstwa zrobiły się cięższe, a odsiadki poważniejsze.

Na moment zapadła cisza.

– Lubił haszysz i transwestytów – dodał jeszcze Reuterswärd.

– A kto nie lubi? – zapytała Antonia sucho.

Reuterswärd nie zrozumiał żartu.

– Dobra, w każdym razie prześlę ci to, co mamy, może cię to na coś naprowadzi.

– Mam pytanie – powiedziała Antonia.

– Tak?

– Zawsze jesteś taki troskliwy?

– Jak to?

– Nigdy nie słyszałam, żeby Säpo dzwoniła i proponowała swoje materiały.

Reuterswärd spuścił z tonu.

– Czasem tak robimy.

– Ale?

– Ale nie dlatego dzwonię. Skontaktowałem się z tobą ze względu na dziwny zbieg okoliczności.

– Słucham? – odparła. Męczyła ją rozmowa z tym facetem.

– Jakoś tak w zeszłym roku, pod koniec lata, jeśli się nie mylę, zadzwonił do mnie były kolega z Säpo, Anders

Ask, i pytał o kogoś z tej grupy, o Leifa Rydbäcka.

Świat wokół Antonii zamarł. Ask... Rydbäck.

– Tak?

– W Trasten znalazłaś kawałki Rydbäcka, zgadza się?

Powróciła do rzeczywistości.

– Tak – przyznała, starając się mówić obojętnym tonem.

– To wszystko raczej nie ma ze sobą związku, chciałem po prostu, żebyś wiedziała. Głównie dlatego zadzwoniłem. Ciekawy zbieg okoliczności. Chyba.

– Co ci powiedział Anders Ask? Dlaczego pytał o Rydbäcka?

– Właściwie nie chodziło mu o Rydbäcka, tylko o innego koleśia z tego gangu, polowaliśmy na niego kilka lat wcześniej... Interesował go Håkan Zivkovic.

Biuro Håkana Zivkovica mieściło się w piwnicach na Luntmakargatan. Miał firmę ochroniarską. Antonia wzięła pod lupę jej strukturę. Właściciel: Håkan Zivkovic. Zatrudnieni: Håkan Zivkovic. Obroty: śmiesznie niskie.

Ściany pokrywała ciemna boazeria z lat

siedemdziesiątych, a podłogę zielona wykładzina. Na blaszanej szafce na dokumenty stał uschnięty kaktus. Zivkovic siedział za biurkiem laminowanym okładziną w kolorze orzecha włoskiego. Otaczały go gadzety dziesięciolatka, który bawi się w pracę. Na ścianie za jego plecami wisiał plakat z Siedzącym Bykiem. Ozdobne srebrne litery układały się w napis: *We will never forget you*. Na niebie za starym indiańskim wodzem unosił się byk.

Håkan Zivkovic wskazał jej krzesło dla gości – relikwiarz lat dziewięćdziesiątych z chromowanego metalu i wikliny. Antonia usiadła i zapytała o Conny'ego Blomberga. Uważnie obserwowała swojego rozmówcę. Zapadnięte oczy w kanciastej, spalonej na solarium twarzy. Fryzura jak z *Top Gun*, pomijając siwe pasma. Ramiona o rozmiar większe od podkoszulka i napęczniałe mięśnie.

– Conny i ja spotykaliśmy się od czasu do czasu w pudle – powiedział Håkan. – Pierwszy raz w osiemdziesiątym trzecim. Po ostatniej odsiadce przez jakiś czas razem pracowaliśmy. Założyłem tę firmę i miałem dla niego kilka drobnych zleceń, ale potem jakoś to się rozmyło.

Håkan Zivkovic powinien wyglądać jak bezwzględny twardziel. Ale sprawiał wrażenie głupka. Może winna temu była wysunięta dolna szczęka, a może nieufność w ciełym spojrzeniu, które wypatrywało nieistniejącego zagrożenia. A może po prostu jego zapach. Zivkovic pachniał jak jakiś cholerny przedszkolak – płynem do płukania tkanin.

– A Leif Rydbäck? – zapytała Antonia.

– Co z nim?

Antonia czekała niewzruszona. Zivkovic grał spokojnego, ale zauważyła, że unika patrzenia jej w oczy.

– No co? Zginął pół roku temu. Został zamordowany, poćwiartowany, wszyscy o tym wiedzą. W gazetach pisali – powiedział.

– Kto go zabił?

– Dlaczego pani mnie o to pyta?

Powiedział to tonem dziecka, które zostało o coś oskarżone.

– A dlaczego nie?

Zivkovic milczał.

– A Anders Ask? – zapytała.

Teraz wyraźnie zareagował – miała wrażenie, że

mrugnął, choć jego powieki były nieruchome. Potarł palcem nos i udawał, że myśli.

– Pierwsze słyszę.

Był słabym aktorem.

– Jest pan pewien?

– Raczej tak.

– A może Leif o nim wspominał?

Patrzył na nią z przesadnym spokojem.

– Nie, nie wydaje mi się. Zapamiętałbym.

– Dlaczego sądzi pan, że by pan zapamiętał?

– Anders Ask – to rzadkie.

Roześmiała się.

– Anders to rzadkie imię?

Twarz Zivkovica zadrgała nerwowo.

– Nie.

Odczekała chwilę, żeby go jeszcze bardziej pognębić, podziałało. Wyglądał, jakby było mu przykro.

– A więc? – zapytała.

– Imię i nazwisko. To połączenie jest rzadkie. Anders Ask, łatwo zapamiętać.

Znowu się roześmiała.

– Zabawny pan jest.

Próbował się uśmiechnąć, ale mu się nie udało. Najwyraźniej nietrudno było go zbić z tropu.

– Słyszałam, że jesienią Anders Ask kontaktował się z panem.

Teraz wyglądał na przerażonego, jakby machnęła mu przed nosem ostrym nożem.

– Nic o tym nie wiem – odparł.

Przybrała przyjemny wyraz twarzy.

– Ależ wie pan.

– Przecież mówię, że nie.

– Denerwuje się pan?

– Jak to?

Głos Antonii złagodniał.

– Przecież nic panu nie grozi, chciałabym tylko usłyszeć odpowiedź.

Zivkovic przygryzł policzek.

– Jest pani głina i stawia dziwne pytania. Coś takiego mnie stresuje... To dlatego tak się zachowuję.

Nie zabrzmiało to przekonująco. Antonia przyjrzała mu się uważnie. Håkan Zivkovic wyglądał jak kompletny tępak. Był zestresowany i bez powodzenia próbował zachowywać się normalnie. Fatalnie mu szło udawanie, że

nie wie, o czym ona mówi.

– Poza tym wszyscy już nie żyją, po co mamy siedzieć i gadać o umarlakach?

Poczekwała chwilę.

– Jest pan za Indianami? – zapytała w końcu.

Zivkovic nie zrozumiał. Antonia kiwnęła głową w stronę Siedzącego Byka. Zivkovic odwrócił się i spojrzał na plakat.

– Oczywiście.

– Dlaczego?

– Bo biali zabrali ich ziemię! – powiedział z przekonaniem.

Tak, ale... – pomyślała.

Wyciągnęła do niego rękę na pożegnanie. Ścisnął ją aż za mocno.

Przez resztę dnia Antonia siedziała w biurze, czekając, aż skończą się godziny pracy. Udawała, że coś robi. O piątej ponurym korytarzem zaczęli przechodzić koledzy. Mijając jej pokój, mamrotali pod nosem „miłego weekendu”.

Antonia jeszcze raz pojechała na Luntmakargatan i zaparkowała. O szóstej w tylnym lusterku zobaczyła, jak

Håkan Zivkovic opuszcza swoje biuro.

Przeszła przez ulicę. W dłoni zamiast klucza trzymała wytrych. Osłoniła sobą małe drzwi. Za jej plecami przechodzili niczego niepodejrzewający ludzie. Otwarcie zamka, wejście do ciemnego biura i spokojne zamknięcie za sobą drzwi zajęło jej czternaście sekund.

Działała szybko. Przeszukała szafkę na dokumenty i przejrzała notes z telefonami, który leżał na biurku. Napotkała surowe spojrzenie Siedzącego Byka. Wyglądał na cholernie wkurzonego, może i miał ku temu powód.

Sfotografowała komórką każdą stronę notesu. To samo zrobiła z obrotowym wizytownikiem. Było tam kilka znajomych nazwisk. Drobnii złodzieje, paserzy, dealerzy i alfonsi.

W sumie nic ciekawego.

13

Sztokholm/Monachium

– Dokąd idziesz?

– Do lekarza.

- Gdzie?
- W Szpitalu Karolinska.
- Po co?
- Na mammografię.
- Ile to potrwa?
- Nie wiem.

Sophie stała w kuchni ze słuchawką przy uchu i odpowiadała na pytania Leszka.

- Musisz mi podać godzinę.
- Po południu, o piątej.
- A wcześniej?
- Będę w domu, może pójde po zakupy.
- Jeśli tak, to zadzwoń i mi o tym powiedz – polecił i się rozłączył.

Sophie spojrzała na zegarek. Nie miała czasu do stracenia. Wyłączyła telefon i wsunęła go do torebki.

Kiedy wychodziła z mieszkania, serce tłukło jej się w piersi.

Na dole czekała już taksówka, która zawiozła ją na Arlandę.

Samolot SAS-u zabrał ją do Monachium.

Beżowy mercedes przewiózł ją z lotniska do centrum.

Nie powinno jej tam być, ten teren był absolutnie zakazany. Przez dwa dni zastanawiała się, co zrobić, żeby nawiązać z nim kontakt. W końcu podniosła słuchawkę, zadzwoniła do jego biura i się przedstawiła. Sekretarka powiedziała, że jest zajęty. Po dwóch godzinach oddzwonił.

Środki bezpieczeństwa, które wobec niej zastosowano, po tym jak wysiadła z taksówki na Marienplatz, musiały się zrodzić w umyśle paranoika. Wozili ją z miejsca na miejsce po całym mieście, w końcu wysadzili ją przed jedną z willi w ekskluzywnej dzielnicy.

Fasada była biała, podobnie jak schody. Nieliczne stopnie wiodły pomiędzy dwoma kamiennymi kolumnami do błyszczących, czarnych drzwi.

Sophie zapukała. Ralph Hanke osobiście otworzył jej drzwi.

Jego dłoń była ciepła.

Na środku marmurowej podłogi w holu na piedestale stała duża donica ze świeżymi kwiatami. Lilie, róże, piwonie, morze niebieskich maków, a nawet orchidee. Wyglądały niezmiernie.

– Nie wiem, co to za kwiaty, ale może znasz ich nazwy

– powiedział Ralph Hanke.

Sophie zwróciła się w jego stronę. Sprawiał sympatyczne wrażenie. Szpakowate włosy miał zaczesane z równym przedziałkiem, białe zęby błyskały w uśmiechu, a jego dłonie były zadbane. Nosił beżowe spodnie, czarne buty, błękitną koszulę i granatowy kardigan. Woda kolońska, której używał, miała korzenny, męski zapach.

– Tak, znam – odparła głucho.

Hanke zmierzył ją wzrokiem, przeanalizował odpowiedź, a potem lekko skinął głową i ruszył naprzód.

Poszła za nim, przyglądając się jego sylwetce. Poruszał się pewnie, ale było z nim coś nie tak. Dostrzegła to kątem oka. Gdy patrzyła prosto na niego, niczego nie widziała. Jak gdyby deformacja była obecna w jego aurze, wymykała się prawom fizyki. Ralph Hanke był koślawy i przygarbiony, ale w jakiś niewyjaśniony sposób potrafił to ukryć.

Weszli do salonu, dużego i przestronnego, z wysokimi oknami. Na środku, na ogromnym perskim dywanie, stały kanapy, stolik i fotele. W jednym z nich siedział sześćdziesięcioletni mężczyzna. Miał w sobie spokój i wyglądał na nieustępliwego. Jego włosy były

zmierzwione. Nosił garnitur i okulary z początku lat dziewięćdziesiątych.

– Roland Gentz – powiedział, nie wstając.

Roland Gentz, pomyślała Sophie. Prawa ręka Hankego.

Zajęła miejsce na dwuosobowej kanapie.

Zatem to był Ralph Hanke, mężczyzna, który zlecił zabójstwo Adalberta Guzmana, wysłał ludzi, żeby zabili ją i Hectora w drodze z lotniska do Marbelli, a niedawno postarał się o to, żeby Eduardo Guzman został rozerwany na strzępy w Biarritz. I tym samym pozbawił Andresa i Fabiena ojca.

– Cieszę się, że przyjechałaś – powiedział. –

Zakładam, że spotkanie z Don Ignaciem było owocne. Pojawiłaś się, żeby przekazać odpowiedź na naszą propozycję. To rozsądne.

Potem zaczął głądzić o sobie.

Lewa dłoń Hankego leżała otwarta na kolanach. Palce były rozcapierzone i zgięte – oznaka artrozy i zaawansowanego wieku. Roland Gentz wciąż miał obok ucha ślad pianki do golenia i zmierzwione włosy. Sophie patrzyła na dwóch starszych mężczyzn, z których jeden nie potrafił przestać

mówić o sobie. Żalosne peany na własną cześć, jedno wielkie gładzenie.

Chciała czuć pogardę wobec tych dwóch starców. Ale było to niemożliwe. Ci mężczyźni byli śmiertelnie niebezpieczni i tak nieprzewidywalni, że nigdy nie byłaby w stanie ich kontrolować, dotrzeć do nich ani na nich wpłynąć. Wszystko przesłoniła nagle wyraźna i przerażająca myśl, że jadąc tu, nie przygotowała sobie żadnej strategii, żadnego planu działania.

Do tego pokoju przywiódł ją wewnętrzny impuls, nakaz, misja. Zabrała ze sobą tylko życzenie. I co, do cholery, miałyby z nim teraz zrobić? Przyjazd tutaj był ogromnym błędem.

Chciała wstać, wyjść z pokoju, opuścić ten dom i zniknąć...

– Nie jestem tu po to, żeby ci przekazać wiadomość – powiedziała ostrożnie.

Hanke uśmiechnął się zdziwiony, że ktoś przerywa mu w pół słowa.

– Jaką wiadomość?

Sophie siedziała z dłońmi na kolanach. Były wystraszone, ciężkie i chciały się dziwnie ruszać. Ścisnęła

je.

– Przyjechałam cię poprosić, żebyś się zastanowił i wszystko jeszcze raz przemyślał.

Serce tłukło się jej w piersi i w gardle.

Uśmiech Hankego zbladł. Patrzył na nią szklistymi, szarymi oczyma.

– Jestem tutaj bez czyjejkolwiek wiedzy – ciągnęła. – Chcę cię prosić, żebyś spojrział na to wszystko z innej perspektywy, pomyślał długofalowo.

Ralph Hanke wciąż był oniemiały. Sophie wydawało się, że już tak zostanie. Nagle jednak jego twarz na chwilę poszarzała, zrobiła się starsza, bardziej zmęczona i obojętna. Mignęło na niej rozczarowanie. Potem Hanke się ocknął.

– Mów dalej – polecił.

Sophie była zdenerwowana, chciała przełknąć ślinę.

– Po tym, jak Adalberto został zabity, a Hector uciekł, organizacja się skurczyła, a interesy mocno podupadły. Zostały same resztki. To, co chcecie przejąć, jest tak naprawdę nic niewarte.

– Co więc macie? – zapytał Gentz z fotela.

Sophie była pewna, że on wie, kłamstwo było

wykluczone.

– Współpracę z Don Ignaciem. Mamy też wejścia do kilku szwedzkich spółek giełdowych. Te informacje wykorzystuje nasza spółka inwestycyjna. Zyski nie są duże, wciąż rosną, ale dość powoli...

– Dlaczego powoli? – przerwał Gentz obojętnym tonem.

– Musimy być ostrożni.

Przełknęła ślinę i kontynuowała, żałując, że jej głos nie jest pewniejszy.

– Zajęliśmy się podróbkami. To może być żyła złota. Nadal zarabiamy na inwestycjach, które Adalberto zrobił dawno temu, ale zyski nie są duże.

– A konkretnie?

Gentz nie dał jej czasu do namysłu.

– Procent od dochodów, przemysł z Maroka, praca na czarno na budowach, pranie brudnych pieniędzy, współpraca z Włochami i innymi organizacjami w Europie i tak dalej.

– I tak dalej? Ty to nazywasz resztkami? – zapytał Hanke.

– Tak, w porównaniu...

– Z czym?

– Z tobą i Don Ignaciem.

Twarz Ralpha Hankego odzyskała kolory.

– A wasze wydatki? – zapytał Gentz.

Starła się mówić spokojnie.

– Przede wszystkim na Don Ignacia. Kosztuje nas sześćdziesiąt procent więcej, niż zarabiamy na jego towarach. Mamy mnóstwo tymczasowych umów, opłaty za ochronę, wóz różnych artykułów. Oprócz tego stale opłacamy wymiar sprawiedliwości, tu i tam, głównie w Hiszpanii. No i oczywiście teraz sporo inwestujemy w produkcję podróbek.

Na twarzy Ralpha Hanke pojawił się dziwny wyraz. Pusty i niezrozumiały.

– I przyjechałaś tutaj bez upoważnienia?

Sophie skinęła głową.

– Nikt nie wie, że tu jesteś?

Hanke wiedział, że Sophie nie odpowie, wykorzystał to i przeciągnął pauzę.

– Jesteś odważna czy tylko lekkomyślna?

– Czy to ma znaczenie? – odpowiedziała pytaniem.

– Czego chcesz?

– Chcę, żebyście odpuścili.

Ralph Hanke spojrział na Gentza. Twarz Gentza była nieprzenikniona.

– Dlaczego? – zapytał Hanke.

– Firma się rozwinie – powiedziała. – Będzie większa, wtedy ją przejmiecie.

Hanke lekko wzruszył ramionami.

– Sam mogę się postarać o to, żeby się rozwinęła.

– Do wszystkiego można tak podchodzić.

Na ustach Hankego pojawił się cień szydrczego uśmiechu.

– Tak też robię.

Z ulicy dobiegał stłumiony odgłos przejeżdżających samochodów.

– A zostawisz nas w spokoju?

– Kogo?

– Nas, ludzi z otoczenia Hectora.

Hanke nawet nie musiał się zastanawiać, miał gotową odpowiedź. Pochylił się nieznacznie do przodu, wokół niego unosiła się tłumiona ekscytacja.

– Muszę wiedzieć, gdzie są Hector i Aron. Jeśli mi to powiesz, obiecuję, że nikomu innemu nie stanie się

krzywda.

Wytarł usta i oparł wykrzywioną chorobą dłoni na kolanach. Nie sposób jej było nie zauważyć.

– Nie wiem, gdzie są – powiedziała Sophie.

Drewniana podłoga zaskrzypiała.

– Możesz się tego dowiedzieć?

– Nie.

Ralph Hanke opadł z powrotem na oparcie kanapy, zauważył, że jego dłoń jest widoczna, i ją schował.

– Czy uważasz, że przyjeżdżając tutaj, byłaś nielojalna i działałaś za plecami Hectora i Arona? – zapytał.

Sophie nie odpowiedziała.

– A może wcale nie działaś za ich plecami?

Milczenie.

– On żyje?

Skinęła głową.

– Skąd mam wiedzieć, że to prawda?

Właściwie nie było to pytanie, więc nie padła żadna odpowiedź.

– Czego potrzebujesz, żeby skłonić Hectora do oddania się w nasze ręce?

– Niczego.

– To znaczy?
– Nie mogę tego zrobić.
– Czego nie możesz zrobić?
– Nie mogę dać wam więcej niż to, co moglibyście dostać, przejmując naszą działalność. Wystarczy, że trochę poczekacie.

– Jak długo?

Sophie z rezygnacją wzruszyła ramionami.

– Coś jeszcze? – zapytał.

– To wszystko – odparła cicho, odruchowo obracając obrączkę na serdecznym palcu prawej ręki.

– Przyjeżdżając tutaj, podjęłaś niewyobrażalne ryzyko – powiedział i spotkanie dobiegło końca.

Roland wstał i dał Sophie znak, żeby poszła za nim do wyjścia.

Na ulicy czekał już samochód. Sophie usiadła na tylnym siedzeniu.

Roland Gentz wrócił do salonu.

– Jaka jest jej rola w tym wszystkim? – zapytał Hanke.

Gentz przez kilka sekund analizował pytanie, potem usiadł w fotelu. Nie odpowiedział.

– Czy to Hector do nas mówił? Czy to jego głos słyszeliśmy? – zapytał za to.

Hanke pomyślał.

– Nie, nie odniosłem takiego wrażenia.

– Kto w takim razie? Aron? Ona sama?

Hanke i Gentz zastanawiali się przez chwilę, ale nie doszli do żadnego wniosku.

– Jak ma na imię jej syn? – zapytał Hanke.

– Albert.

– Ma tylko jego?

– Tak...

Hanke zamyślił się, patrząc przed siebie niewidzącym wzrokiem.

– Wszystkie dzieci – szepnął do siebie.

Ocknął się i zapytał:

– O co ona tak naprawdę prosiła?

– O zwłokę – odparł Roland.

Hanke spojrział na niego przenikliwie.

– Czy oni wiedzą, że my wiemy? – zapytał.

– Jak to?

– Czy oni wiedzą, że my wiemy? Czy domyślają się, że wiemy o nich więcej, niż oni o nas, że syn Hectora jest

w naszych rękach, że znamy członków ich grupy i wiemy, że ich interesy marnie idą?

– Nie, nie wydaje mi się – odpowiedział Gentz.

– Ale dziś wieczorem się dowiedzą?

– Tak, dziś wieczorem będą o tym wiedzieć.

Obaj mężczyźni przeczesali dłońmi włosy.

– Czy Koen da sobie z tym radę? – zapytał Hanke.

– Powinien.

– Jak bardzo jest tępy?

– Dostyc.

– Ale?

– Ma jakiś pokręcony kompleks ojca. Chce naszej pochwały i uznania.

– I dostanie. Zadzwoń do niego i daj mu to wyraźnie do zrozumienia, pomóż mu – polecił Hanke.

– Mhm. Prosić Carlosa?

Pytanie wyrwało Hankego z zamyślenia.

– Tak...

Gentz po raz kolejny wstał z fotela, przeszedł przez pokój i otworzył drzwi do sąsiedniego pomieszczenia. Powiedział parę słów, potem wrócił na fotel. Carlos Fuentes wszedł do pokoju. Mężczyzna był duży i łyсы.

Szedł bosy, miał na sobie białą, rozpiętą pod szyją koszulę i szerokie lniane spodnie. Usiadł naprzeciwko Hankego na kanapie, tam gdzie przed chwilą siedziała Sophie. Jedną rękę wyciągnął na oparciu. Sprawiał wrażenie zadowolonego z siebie, jakby to on był tu najważniejszy.

– A ty jak sądzisz? – zapytał Gentz.

Fuentes wzruszył ramionami z wyraźną przesadą, jakby na to pytanie nie było odpowiedzi.

– Przyjechała tutaj na własną rękę?

Carlos Fuentes schudł. Głównie na twarzy – stała się obwisła. Pod oczami miał cienie i mnóstwo drobnych zmarszczek.

– Nie sądzę – odparł Fuentes.

– Dlaczego? – Głos Gentza był monotony i obojętny.

Fuentes rozłożył ręce. Kolejny przerysowany gest.

– Pielęgniarka? Hector był w niej zakochany. Była w restauracji, kiedy padły strzały. Nie, nie przyjechała tutaj na własną rękę.

– Dlaczego tak myślisz?

– Nigdy wcześniej nie widziałem, żeby Hector był zakochany. Z nią było inaczej. Są ze sobą blisko, to on ją przysłał, bez wątpienia.

– Dlaczego? – zapytał Gentz.

– Sam chyba widziałaś. Groziła wam? Nie, była cicha i ostrożna.

– Dlaczego? – powtórzył Gentz ze spokojem.

– Ponieważ chcą zyskać na czasie. Powiedziała to wprost.

– Coś nam to da?

Fuentes wsunął rękę pod koszulę i gładził się po dużej, gładkiej piersi.

– Nie.

– Bo?

– Bo ja tak mówię.

Fuentes był ordynarny i nonszalancki.

– Bo Hector nie ustąpi?

Fuentes skinął głową i powtórzył cicho:

– Bo Hector nie ustąpi.

– A może on nie żyje? Może to Aron wszystkim kieruje? Albo ktoś inny? – zapytał Gentz.

Fuentes uśmiechnął się z wyższością, jakby sądził, że odpowiedź na te pytania wymaga jego wyjątkowego intelektu.

– Czy to ma jakieś znaczenie?

Ralph Hanke nie chciał dłużej słuchać takiego gadania. Wstał i wyszedł z pokoju. Roland Gentz zrobił to samo. Żaden z nich nawet nie spojrział na Fuentesesa.

Gentz zatrzymał się w drzwiach i powiedział:

– Zostaniesz przeniesiony. Ten dom nie jest już bezpieczny. Przygotuj się, za dziesięć minut ktoś po ciebie przyjdzie.

Kroki obu mężczyzn oddaliły się w stronę holu i drzwi wejściowych.

– I tak mi tu żarcie nie smakowało! – krzyknął za nimi Fuentes.

Chciał trochę ponarzekać, robił to odruchowo, taki już był. Hanke i Gentz jak zwykle go nie słuchali. Drzwi wejściowe zamknęły się za nimi z głośnym trzaskiem. W domu zapanowała cisza.

Gdyby Fuentes mógł decydować, zatrzymałby pielęgniarkę i przy użyciu wszelkich dozwolonych środków wydusiłby z niej, gdzie jest Hector. A wszystkie chwytaki były dozwolone, ponieważ jedno było pewne: jeżeli Hector żyje, zabije go, gdy tylko zwietry jego zapach.

Koen de Graaf wziął taksówkę i z lotniska pojechał na parking przy Regeringsgatan w centrum Sztokholmu. Na poziomie czwartym stała szara, niepozorna mazda.

Kluczyk leżał pod tylną wycieraczką. Usiadł za kierownicą i odczytał SMS. Trzy punkty od Rolanda Gentza.

Sklep na Västmannagatan.

Sophie, Arlanda.

Ernst.

Koen wpisał do telefonu Västmannagatan i GPS zaczął szukać satelity.

Pochylił się i sięgnął do schowka. Leżała w nim biała koperta. Rozerwał ją i wyjął z niej folię aluminiową oraz torebeczkę heroiny.

Szybko przygotował proszek na folii. Podgrzał go od dołu zapalniczką. Heroina zagotowała się i zaczęła parować. Koen z wprawą zaciągał się oparami, zatrzymywał je w płucach i wydychał samo powietrze.

Wszystko, co przed chwilą nie wydawało się zbyt dobre, stało się lepsze.

Z pomocą nawigacji lawirował po zapchanych o tej

porze sztokholmskich ulicach. Heroina robiła swoje. Tak właśnie wyglądało jego życie. Zlecenia dla Hankego plus taka dawka hery, żeby utrzymać w szachu nałóg i uczucia. Cieszyło go to. Dzięki temu mógł lepiej pracować.

Zaparkował pod podanym adresem na Västmannagatan i odchylił się do tyłu.

W kieszeni jego kurtki zadzwonił telefon.

– Zaczynaj – polecił Gentz.

– Będzie mi potrzebny numer lotu pielęgniarki. Zdążyć? – zapytał.

– Powinieneś. Jedź szybko na Arlandę i zacznij ją śledzić.

Gentz podał mu szczegóły lotu Sophie.

– A potem mam zabrać ze sobą tego gościa?

Gentz przez chwilę milczał. Potem zapytał:

– Tak. Przesłałem ci przecież listę. Czy to dla ciebie za wiele?

– Nie.

– Jesteś pewien? Powinieneś się skoncentrować, Koen. Czy mogę na tobie polegać?

– Tak! – zapewnił tonem nastolatka, który zakopał się pod kołdrą i mamrocze, że wcale nie śpi.

Gentz westchnął.

– Teraz posłuchaj. To naczynia połączone, Koen, wszystko musi iść płynnie. Dasz radę to zrobić? Bądź ze mną szczery.

– Wyłumacz mi to jeszcze raz – powiedział, przeciągając słowa.

– Kiedy zrobisz swoje w butik, zaczną uciekać. Ukryją się, schowają w jednym miejscu. Na to w każdym razie liczymy. Musisz znaleźć to miejsce, to twoje główne zadanie. Zrobisz to, jadąc za Sophie z lotniska. Rozumiesz, co mówię?

– Rozumiem – wymamrotał Koen.

Gentz mówił dalej pouczającym tonem:

– Potem, jak już to załatwisz, przywieziesz nam tego mężczyznę... Jesteś dla nas bardzo ważny, Ralph i ja doceniamy wszystko, co dla nas robisz.

Rozłączając się, Koen poczuł dreszcz szczęścia. Ziewnął, otarł twarz dłońmi i otworzył drzwi. Podszedł do bagażnika i go otworzył. W środku było pusto. Na kole zapasowym w schowku leżał lewar, klucz do kół i mini uzi z przedłużonym magazynkiem. Wsunął pistolet pod kurtkę i ruszył przez ulicę do butiku.

Zajrzał do środka przez okno wystawowe. Sklepek był mały i niepozorny, ale pełen pięknych, starych, ludowych i zabytkowych przedmiotów. Koen widział jaskrawe tkaniny, włócznie, tarcze, ceramikę.

Kiedy otworzył drzwi, odezwał się zawieszony nad nimi mały dzwonek.

Zobaczył ciemnoskórą kobietę o gęstych, wysoko upiętych włosach. Była wyprostowana, dumna, atrakcyjna. Za nią stał mężczyzna, wysoki, żyłasty i uśmiechnięty, który ustawiał coś na półce.

– Witamy – powiedzieli chórem.

Koen poczuł się mile widziany. Wyciągając broń spod kurtki, uświadomił sobie, że się uśmiecha.

Mężczyzna instynktownie rzucił się na kobietę i zasłonił ją własnym ciałem.

Koen nacisnął spust. Piękno przestało istnieć.

Świat za oknem samochodu był szwedzki i nijaki. Sophie siedziała w taksówce wiozącej ją z lotniska na Arlandzie do Sztokholmu.

Tęskniła za Hectorem. To uczucie było prawdziwe.

Brakowało jej jego otwartości, szczerości, nierozsądnego rozsądku, nieustraszoneści. Chciałaby je mieć teraz i w czasie spotkania z Hankem. Widziała już jego drugie oblicze: szaleństwo, żądzę krwi, impulsywność. Hector Guzman miał dwie twarze. Ralph Hanke i Ignacio Ramirez – jedną. Znali tylko jeden sposób, jedną drogę. A Hector znał dwie i w ich obecnej sytuacji mogło się to przydać. Wiedziałyby, jak postąpić, jak z tego wybrnąć.

Tęskniła również za Jensem, ale zupełnie inaczej. Ta tęsknota była większa, czerwiejsza. Miała w sobie coś bezpiecznego, równego. Głębiej. Sophie wiedziała, że Jens ją rozumie.

Zapłaciła taksówkarzowi gotówką, wysiadła z samochodu i wtedy zadzwonił jej telefon. Odebrała. Głos Leszka brzmiał inaczej niż zwykle. Był wyższy, choć nie piskliwy, czuć w nim było napięcie, ale nie pośpiech.

– Daphne i Thierry zostali zamordowani, godzinę temu zastrzelono ich w sklepie.

Sophie szła w kierunku bramy, nogi ją niosły, mimo że dotarł do niej sens słów Leszka.

– Sophie?

Udało jej się wystukać kod na domofonie, pchnęła

plecami drzwi i po wyłożonych wąskim dywanem schodkach przeszła w kierunku windy.

– Sophie? – powtórzył Leszek.

Otworzyła drzwi windy.

– A Angela i chłopcy? – zapytała, naciskając guzik swojego piętra. Winda ruszyła w górę.

– Są bezpieczni. Gdzie byłaś?

Wnętrze windy było klaustrofobicznie ciasne.

– Nigdzie. Co się stało?

– Znaleziono ich na podłodze. Thierry obejmował Daphne, próbował ją osłonić. Strzelający nie szczędził kul, tylko tyle wiem.

Wyobraziła sobie scenę, którą opisywał Leszek. Spróbowała wyprzeć ten obraz, nie mogła sobie pozwolić na utratę sił. Leszek dalej coś mówił, usiłowała słuchać, pomimo paniki, która nacierała na nią ze wszystkich stron. Leszek wyjaśnił jej ich aktualne położenie:

– Mogą wiedzieć o każdym z nas.

Zrozumiała, co to oznacza. Uciekaj.

Wróciło poczucie rzeczywistości. Otwierając drzwi do mieszkania i znajdującą się za nimi kratę, zadzwoniła do Alberta, ale odezwała się poczta głosowa. Sophie

pobiegła do sypialni i otworzyła szafę. Zza wiszących tam ubrań wyciągnęła spakowaną walizkę. Miała w niej wszystko, czego mogła potrzebować przez parę dni, i swój prawdziwy paszport. Fałszywy już leżał w torebce.

Nie oglądając się za siebie, wyszła z mieszkania, zbiegła po schodach i opuściła budynek.

Ruszyła w stronę ulicy Birger Jarlsgatan. Kiedy po raz kolejny dzwoniła do Alberta, poczta głosowa zabrzmiała niczym beznadziejne echo.

Odnalazła numer do jego szkoły i połączyła się z automatem, który prosił, żeby wybrała cyfrę odpowiednią dla sprawy, w której dzwoniła. Wcisnęła pierwszą lepszą i automat przekierował ją do sekretariatu dyrektora, jednak po kilku sygnałach połączenie zostało przerwane. Zadzwoiła do przyjaciół Alberta, których numery miała w telefonie, a potem do Anny. Mówiła spokojnym, normalnym tonem. Nikt nie wiedział, gdzie jest Albert.

Sophie zatrzymała taksówkę i wskoczyła na tylne siedzenie. Ogarnął ją ogromny lęk. Świat za oknem wydawał się powykrzywiany, jak gdyby ze wszystkimi

kątami było coś nie tak.

Modliła się, żeby nie utknęli w żadnym korku. Powinna prosić Boga o to, żeby Albertowi nic się nie stało, ale nie miała odwagi. Jakby się bała, że przez jej modlitwę sytuacja stanie się bardziej rzeczywista, niebezpieczna. Już taka była, ale ona nie przyjmowała tego do wiadomości.

Koen de Graaf jechał za Sophie z Arlandy aż do jej mieszkania. Odczekał kilka minut i zobaczył, że wychodzi. Z walizką w ręku, w pośpiechu. Dotarła do niej wiadomość o śmierci tamtej dwójki.

Teraz podążał za taksówką, która przedzierała się przez zatłoczone ulice centrum. Czekał cierpliwie, aż doprowadzi go do celu.

Liceum Alberta leżało w dzielnicy Södermalm. Pociągnęła ciężkie skrzydło drzwi i uderzył ją zapach szkoły, grafitu, linoleum, kamienia i czegoś, co znajdowało się tylko tam. Szybko ruszyła korytarzem, mijając kolejne sale. We wszystkich drzwiach były szyby ze zbrojonego szkła. Sale

okazały się puste, nie widziała żywej duszy. Było późne popołudnie, lekcje chyba już się skończyły.

Zatrzymała się, odetchnęła i zaczęła nasłuchiwać. Cisza odbijała się od ścian pustym echem. Sophie próbowała wyłowić jakiś dźwięk. Gdzieś daleko w głuchym wszechświecie pobrzmiwały śmiechy, miała wrażenie, że słyszy echo... Sala gimnastyczna.

Na ścianie wisiał plan ewakuacji budynku, na którym każde z trzech pięter oznaczono innym kolorem. Jedno z pomieszczeń w piwnicy – poziom niebieski – było znacznie większe od pozostałych.

Sophie zeszła schodami w dół. Ruszyła długim korytarzem, na którego końcu znajdowały się podwójne drzwi. Podeszła do nich szybkim krokiem i je otworzyła.

Na połowie sali grupa nastolatków grała w unihokeja, kilka osób siedziało na trybunach. Kawałek dalej Albert ćwiczył rzuty do kosza, jego kolega łapał i podawał mu piłkę. Podeszła do nich, uśmiechając się do kolegi. Jeśli dobrze pamiętała, nazywał się Marcus.

Albert patrzył na nią zaskoczony, a ona próbowała utrzymać na ustach pogodny uśmiech.

– Gotowy?

– Do czego?

– Jutro rano wyjeżdżasz.

Wbiła spojrzenie w Alberta, jakby chcąc go skłonić, żeby przyłączył się do gry. Nie mieli jednak żadnego ustalonego sygnału ani tajemnego znaku. Mogła tylko mieć nadzieję, że Albert zrozumie.

– Gdzie jedziesz? – zapytał Marcus, przyciskając piłkę do klatki piersiowej.

– Wyjazd rehabilitacyjny – powiedziała Sophie.

Marcus wyglądał na zaskoczonego.

– Mamy trochę do zrobienia. Idziemy? – zapytała.

Albert unikał jej spojrzenia.

– Na razie – rzucił Albert i odepchnął się rękoma.

– Jak długo cię nie będzie?

– Trzy tygodnie – pospiesznie odpowiedziała Sophie.

Leszek podjechał pod szkołę, gwałtownie zahamował i wysiadł. Potem szybko i z wprawą pomógł wsiąść Albertowi, a jego wózek schował do bagażnika. Odjechali.

Sophie i Leszek ściszonymi głosami analizowali podjęte kroki, zastanawiali się, czy wszyscy są już

bezpieczni i omawiali szczegóły dotyczące telefonów, komputerów i innych urządzeń, których sygnały można było namierzyć. Albert siedział z tyłu i podniesionym głosem zadawał pytania. Nie docierały jednak do nich, nie słuchali go. Byli skoncentrowani na rozmowie.

– Co się dzieje? – krzyknął Albert.

Sophie i Leszek nie zwrócili na niego uwagi.

– Mamo! – wrzasnął Albert

W samochodzie zapanowała cisza. Sophie odwróciła się do syna.

– Musimy się ukryć – powiedziała.

– Dlaczego?

– Po prostu musimy.

– Mamo.

Albert spojrzał na nią prosząco.

– Dwie osoby zostały zamordowane.

Próbował zrozumieć sens słów, które właśnie wypowiedziała.

– Co?

Nie odpowiedziała. Albert spuścił wzrok, walczył z zalewającymi go pytaniami i myślami.

– Kto?

Sophie milczała. Leszek zabrał głos.

– Daphne i Thierry – powiedział.

– Nie masz się czego obawiać – odezwała się Sophie.

Albert spojrział na nią z pogardą.

– Jak możesz tak mówić – wyszeptał zaciętym tonem.

Potem odwrócił głowę.

Siedzący za kierownicą mazdy Koen zobaczył, jak samochód, którym jechali Leszek, Sophie i Albert, zatrzymuje się na środku ulicy Norr Mälarstrand. Sophie wysiadła, Leszek wyjął i rozłożył wózek, a potem pomógł Albertowi na nim usiąść. Ruszyli w stronę drzwi jednego z budynków, Leszek wystukał kod na domofonie i zniknęli w środku.

Koen wpisał adres do telefonu i wysłał go Gentzowi. Dobrze poszło, Gentz i Hanke powinni być zadowoleni.

Teraz pozostał mu jeszcze tylko ten cały Ernst...

W windzie, która wiozła ich w górę, panowała cisza. Leszek rozsunął zamek kurtki, z kabury pod pachą

wyciągnął pistolet i opuścił rękę, trzymając ją blisko uda.

– Kto tu mieszka? – zapytał Albert.

– My – odparła Sophie.

Wszyscy już tam byli. Leszek przedstawił Alberta Angeli, Hasanemu i chłopcom.

Sophie znalazła ustronne miejsce w przejściu między kuchnią a jadalnią. Kucnęła, opuściła głowę i zakryła nos i usta rękawem bluzki. Ogarnęła ją obezwładniająca rozpacz, która nie pozwoliła łzom płynąć. Sophie czuła ból w gardle i nieludzki ucisk w piersi. Gorsze od doznań fizycznych było jednak ogromne poczucie winy. Daphne i Thierry nie żyją... Przez nią...

Chciałyby uciec na koniec świata, odwrócić się plecami do wszystkiego i wszystkich. Chciałyby na zawsze stanąć w kącie, gdziekolwiek by się on znajdował.

– Sophie?

Leszek ją wołał. Wzięła kilka oddechów, spróbowała ukryć prawdę głęboko w sobie i wziąć się w garść.

Kiedy weszła do kuchni, Hasani stał oparty o zlew, a Leszek wyglądał przez okno. Odwrócił się do niej.

– Jesteśmy tu bezpieczni? – zapytała.

– Chwilowo tak – odparł.

– Co wiemy?

– Nic.

– Skontaktowałeś się ze wszystkimi?

Skinął głową. Widziała, że jest wstrząśnięty.

– Teraz ty i Albert będziecie musieli zadzwonić do rodziny i przyjaciół. Nie chcemy, żeby zaczęli was szukać. Powiedzcie im coś wiarygodnego.

Po chwili milczenia odezwał się znowu.

– Ten, kto to zrobił, ma jakiś cel. I będzie zabijał, dopóki go nie osiągnie. Rozumiesz?

– Tak – powiedziała cicho.

– Od tej pory nic nie może być robione na odczepnego. Wszystko musicie konsultować ze mną i Hasanim.

Kiedy szła do pokoju Alberta, słyszała skrzypienie parkietu.

Andres i Fabien o niczym nie wiedzieli, biegali po mieszkaniu w skarpetkach, gonili się i ślizgali po wyfroterowanych klepkach. Dobrze się bawili, ich wesołe okrzyki słyhać było z każdego miejsca w mieszkaniu, tworzyły rodzaj stłumionego ła.

Albert siedział na łóżku z wyprostowanymi nogami. Weszła do pokoju i usiadła obok niego. Czekał, aż coś

powie. Ona jednak wzięła tylko jego dłoń w swoją. Pochyliła się i objęła go, tuląc mocno do siebie.

– Kocham cię – szepnęła.

– Ja też cię kocham, mamo.

Obok drzwi budynku przy Mäster Samuelsgatan wisały srebrne i złote szyldy z nazwami firm. Koen przycisnął wszystkie guziki domofonu. Wszystkie oprócz jednego. Drzwi zabrzęczały i wszedł do środka. Skrzypiąca winda zawiozła go na trzecie piętro. Zapukał do wysokich, białych drzwi. Otworzył mu mężczyzna, który właśnie wychodził.

Koen znał go ze zdjęć.

– Ernst Lundwall? – zapytał, przeciągając sylaby.

– Nie.

– Ależ tak – odparł i pokazał schowany pod kurtką pistolet.

Ernst cofnął się o krok, Koen wszedł do środka i zamknął za sobą drzwi.

– Ralph Hanke chce się z tobą spotkać – powiedział, celując w Lundwalla. Potem popchnął go w głąb

mieszkania i dodał: – Masz wziąć ze sobą kilka rzeczy.

14

Sztokholm

Miles czuł się dziwnie. Gdyby był nastolatkiem, powiedziałyby, że ma motylki w brzuchu. Ale był dorosły, a czas motylków w brzuchu już dawno minął. Niezależnie od tego, co to było, miało bezpośredni związek z Sanną, która właśnie występowała przed nim na scenie.

To był jej ostatni występ tego wieczoru. On, jak zwykle, siedział w ciemnościach na końcu sali. Miał wrażenie, że rusza się inaczej. Brakowało jej wyczucia i finezji, wydawała się znudzona i zmęczona.

Miles nie lubił wieczorów. Wtedy przychodzili inni ludzie, tacy, których nie powinno tu być. Tym razem trafił na trzech naprutyh trzydziestopięciolatek w tanich garniturach. Na szyjach mieli identyfikatory zawieszane na smyczach z reklamowymi nadrukami, dostali je na swojej konferencji, targach czy innej podobnej imprezie. Pokrzykiwali w dialekcie z okolic Örebro i rechotali ze

słabych żartów.

Miles przyjrzał się Sannie. Tak, ona też chyba czuła to, co on. Nie lubiła wieczorów, wieśniaków, pijaństwa i wrzasków.

Do lokalu wtoczyli się koleisie świętujący wieczór kawalerski. Ich również było trzech i sprawiali wrażenie twardych zawodników. Mieli ze sobą pusty wózek sklepowy, który głośno podskakiwał na kamiennych stopniach.

Przyszły pan młody miał na sobie mokry, uświniony podkoszulek, pieluchę dla dorosłych nałożoną na dzinsy, a na głowę wciśnięty kondom, który potwornie opinał jego czoło, sprawiając, że brwi nabierały dziwnego wyglądu, a oczy wychodziły z orbit. Jego kumple pociągali z butelek koskenkorvę. Miles zgadywał, że zwiali z fińskiego promu, cała trójka balansowała na granicy świadomości. Trzymali się jednak na nogach. Pan młody wrzasnął coś niewyraźnie, lecz agresywnie. Butelka wódki przeleciała przez salę i trafiła w głowę jednego z gości z Örebro. Upadł, uderzył twarzą w kant sceny i już się nie podniósł. Potem powietrze przeciął sklepowy wózek.

Faceci z kawalerskiego wzięli na cel uczestników

konferencji, którzy byli kompletnie bez szans.

Potem przyszła pora na kilku bezbronnych podtatusiałych świntuchów.

Miles ruszył już do wyjścia, ale się zatrzymał. Zobaczył, jak pan młody bierze w obroty starszego mężczyznę. Coś w nim drgnęło. Może na widok bezbronności bitego, może przez poczucie całkowitej niesprawiedliwości i wrażenie, że to, co się dzieje, nie powinno mieć miejsca.

Ruszył dalej, wmawiając sobie, że to nie jego sprawa. Jednak okłamywanie się trwało tylko tyle, ile przejście kilku kroków. Zatrzymał się i odwrócił.

Starszy mężczyzna leżał na ziemi, pan młody z kondomem na głowie go kopał.

Niewiele myśląc, Miles podszedł do niego, zerwał mu z głowy prezerwatywę, lewą ręką chwycił go za włosy, a prawą wymierzył kilka ciosów w oko, skroń i kość policzkową. Uderzenia były mocne i miarowe. Kości faceta pękły. Kiedy upadł na ziemię, Miles wciąż trzymał go za włosy. Pochylił się nad nim i powiedział:

– Nie żęń się.

Kumpel pana młodego, być może jego świadek, rzucił

się na Milesa. Był wściekły, pijany i paskudny.

Miles powalił go na podłogę i lewą ręką zaserwował kilka ciosów w twarz. Skończył z nim i miał zamiar wziąć się za trzeciego. Ten jednak stał w miejscu. Chwiejąc się na nogach, spojrzął na Milesa i gestem dał do zrozumienia, że na dziś ma dość. Potem ciężko opadł na krzesło i zwymiotował.

Miles pomógł starszemu mężczyźnie wstać i wejść po schodach. Kiedy rozdzielili się na ulicy, Miles usłyszał wypowiedziane szeptem „dziękuję”.

Zapalił papierosa i kilka razy się zaciągnął. Smakował niebiańsko. Co się przed chwilą stało? Nigdy nie bił się w taki sposób. To było łatwe.

Przyjrzał się knykcjom prawej dłoni. Bójka nawet mu się spodobała.

Wsunął ręce do kieszeni i z papierosem w ustach ruszył przed siebie.

Nagle pojawiła się obok niego Sanna. Wyglądała tak jak na scenie, tyle że była ubrana. Miała na sobie tenisówki, dzinsy, sweter, płaszcz.

– Cześć – rzuciła z błyskiem w oku.

– Cześć – odpowiedział.

– Ale to było nieprzyjemne – stwierdziła.

– Tak.

Szła obok niego.

– Jesteś stałym klientem, prawda?

– Można tak powiedzieć.

– Ze względu na mnie czy tak po prostu?

– Tak po prostu, ale dobra jesteś.

– Nie gapisz się jak inni.

Spojrzał na nią.

– Naprawdę?

– Dokąd idziesz? – zapytała.

Miles zaskoczony stanął pośrodku Regeringsgatan. Otoczony ze wszystkich stron starymi sztokholmskimi domami po raz pierwszy zobaczył przebłysk rajy. Świat czymś promieniował. Światło, które dotąd znał, okazało się słabym blaskiem. Teraz coś jaśniało pośród tej ciemnej, zimowej nocy tak, jakby wszystko dookoła żyło. Miał wrażenie, że przeczuwa istnienie innego wymiaru, znajdującego się gdzieś obok, że dostrzega jego mieniący się złotem cień.

Nie można go było zobaczyć, uchwycić ani zawłaszczyć. Ale ten wymiar istniał. W tej chwili

wszystko do siebie pasowało. Gdyby ktoś klepnął go w ramię i zapytał o sens życia i świata, Miles na pewno zaryzykowałby próbę wyjaśnienia. Odpowiedź miał na końcu języka.

– Do domu – odpowiedział.

– Chcesz, żebym dokończyła show u ciebie?

Jego reakcja była równie szybka jak myśl. Kiwnął głową, powściągliwie i żarliwie zarazem.

– Tak, jeśli masz ochotę.

Miles i Sanna skierowali się w stronę Nybroviken. Szli ramię w ramię. Przed Dramaten wskoczyli do tramwaju. Nie usiedli, trzymali się uchwytów pod sufitem. Gdy ich spojrzenia się spotykały, czuli się trochę dziwnie. Wysiedli przy Skansenie i ruszyli w stronę domów znajdujących się naprzeciwko.

Zrobiła dla niego striptiz w dużym pokoju. Po mocno obniżonej cenie. W tle grała stara jazzowa płyta. Sanna nie czuła się nieswojo. Dała wspaniały pokaz.

Potem pili mocną herbatę, grali w yatzy na jej telefonie, gadali o życiu, opowiadali sobie miłe wspomnienia, mówili o rzeczach, które lubili.

Usnęła na jego kanapie. Miles otulił ją kocem, podłożył pod głowę miękką poduszkę i nastawił budzik na pół godziny wcześniej niż zwykle.

Chciał, żeby czuła się dobrze, jak u siebie.

Chciał, żeby wszystko było idealne.

15

Monachium

Była rąbnięta. Lubił takie, bo najczęściej nie miały zahamowań w łóżku i podniecali je starzy faceci. Tacy jak on.

Ale nie tę. Ta była aseksualna. Leżała jak rękawiczka i nic z siebie nie dawała. Czuł się, jakby ją wykorzystywał. Wprawdzie tak właśnie było, ale wszystko grało, działali za porozumieniem stron. Ona była dziwką, a on jej klientem.

Carlos Fuentes wmawiał to sobie, leżąc na młodej, mniej więcej dwudziestoletniej kobiecie, wsuwając jej język do ucha, szepcząc świństwa i dążąc do orgazmu.

Dziewczyna była chuda i żylasta, miała ufarbowane na

czarno włosy, bladą cerę, a na ramionach ślady po cięciu nożem. Należała do człowieka, który często dostarczał Fuentesowi kobiet. Zależało mu na dobrych kontaktach z alfonsami, chciał, żeby go znali i rozumieli, żeby wiedzieli, jakiego typu dziewczyn szuka.

Ten był w porządku, nie do końca go rozumiał, ale się starał.

Fuentes skończył, zsunął się z dziewczyny i odetchnął. Kiedy udało mu się uspokoić oddech, podniósł się z łóżka, wsunął stopy w filcowe kapcie i narzucił na siebie jedwabny szlafrok ze wzorem *paisley*.

– Pieniądze są na szafce – wymamrotał i opuścił sypialnię.

Zszedł po schodach, kierując się do kuchni. Zgłodniał. Po seksie zawsze miał ochotę coś zjeść. W chłodziarce do wina leżało chablis. W lodówce miał gęsie wątróbki, kilka ostrych niemieckich kiełbas i wędzonego łososia. Zje rękami, tak mu bardziej smakowało.

Wszedł do nowoczesnej i sterylnej kuchni.

Lodówka pod względem wielkości przypominała szafę. Carlos zajrzał do środka, niebieskie światło padło na jego twarz, nadając jej dziwny wygląd. Wziął pod pachę

butelkę wina i zaczął pieczołowicie wybierać składniki nocnej przekąski.

– Carlos? – wyszeptał zmysłowy, kobiecy głos.

Odwrócił się.

Zobaczył uśmiechniętą Sonyę Alizadeh.

– Sonya – wysapał.

Zrozumiał sytuację.

Pałka do ogłuszania trafiła go w skroń. Zgiął się w pół, butelka wina upadła z trzaskiem na podłogę. Po kolejnym ciosie w głowę wszystkie mięśnie Carlosa się rozluźniły, a on upadł bezwładnie na ziemię.

Sonya zdjęła czarny plecak i usiadła okrakiem na Carlosie. Szybko wyjęła stalowe linki i związała mu ręce i nogi. Potem wyłowiła z plecaka rolkę szerokiej taśmy klejącej. Jej koniec przykleiła mu do ust, pociągnęła i dwa razy okręciła taśmą jego głowę. Oddarła rolkę, pomagając sobie zębami, wstała i rozłożyła na podłodze przezroczysty worek na zwłoki.

Do kuchni weszła dziewczyna z sypialni. Stała przy stopach Carlosa, Sonya zajęła miejsce przy jego ramionach.

Na niewidoczny sygnał podniosły go i ułożyły

w worku. Sonya nałożyła mu na twarz maskę tlenową, podłączyła do niej małą butlę z tlenem i zasunęła zamek. Podniosła się i przyjrzała swojemu dziełu.

– Tu jest jego miejsce – szepnęła pod nosem.

Potem podała dziewczynie kopertę. Jej grubość zdradzała, że zawiera sporo gotówki. Dziewczyna przyjęła kopertę i przeliczyła zawartość.

– Bierzesz? – zapytała Sonya. – To dlatego w tym siedzisz?

Dziewczyna podniosła wzrok znad banknotów i uśmiechnęła się szyderczo.

– A jak myślisz?

– Skończ z tym – powiedziała Sonya.

Dziewczyna prychnęła z pogardą i wetknęła kopertę do torebki.

Razem wyniosły worek do miejskiej terenówki zaparkowanej w pogrążonej we śnie tylnej uliczce. Kiedy wrzucili Carlosa do bagażnika, dziewczyna odwróciła się na pięcie i zniknęła.

Sonya zamknęła bagażnik, usiadła za kierownicą i odjechała.

Monachium

Trzy pokoje w amfiladzie, kuchnia i słusznych rozmiarów łazienka. Gdyby nie kamery pod sufitem, kraty w oknach i zaryglowane drzwi, mogłoby to być zwykłe mieszkanie.

Ernst stał przy jednym z okien i wyglądał na zewnątrz. Znajdował się w jakiejś posiadłości. Ustronnej, majestatycznej i luksusowej. Najwyraźniej przylegały do niej znaczne tereny. Widział pastwiska, konie, stajnie, stodoły, a kawałek dalej budkę wartownika.

Koen zawiózł go na Arlandę. Podczas lotu do Monachium nie odstępował go na krok. Gdy dotarli na miejsce, czekał już na nich samochód. Ernst został uśpiony i obudził się w tym pokoju. Oglądał niemiecką telewizję, jadł i czekał. Nerwowo przechadzał się z kąta w kąt.

Rozległo się pukanie do drzwi, ktoś wsunął klucz do zamka i przekręcił. Czarnowłosy wytatuowany mężczyzna wsunął głowę do środka i rozejrzał się. Cofnął się i przytrzymał drzwi. Do pokoju wszedł Ralph Hanke w towarzystwie Rolanda Gentza i młodego mężczyzny, którego Ernst znał ze zdjęć. To był Christian Hanke, syn

Ralpa, dziedzic, trzydziestolatek o czarnych, kręconych włosach i lodowato niebieskich oczach...

– Chyba nie musimy się przedstawiać? – zapytał Ralph.
Ernst pokręcił głową.

Trzej mężczyźni usiedli na kanapie i fotelach, Ernst został przy oknie. Miał wrażenie, że goście są zestresowani.

– Co masz nam do powiedzenia? – zapytał Ralph.

Tak, w jego głosie można było wyczuć zdenerwowanie.

– Nie wiem – odpowiedział Ernst.

Mężczyźni wpatrywali się w niego. Zrozumiał, że to była zła odpowiedź. Dopóki będzie im mógł coś dać, zostanie przy życiu. Potem go zabiją i gdzieś zakopią, prawdopodobnie na pastwiskach, które widział za oknem. Wolałby tego uniknąć. Dobrze to rozegra i będzie im po trochu przekazywać informacje. Czy zdradzi Hectora? Tak, jeśli chciał żyć, nie miał wyjścia.

– Co chcecie wiedzieć? – zapytał i odchrząknął.

– Gdzie on jest? – zapytał Christian.

– Kto?

– A jak, kurwa, myślisz?! – wrzasnęła Christian.

Atmosfera w pokoju zrobiła się napięta.

– Nie wiem, gdzie on jest – odpowiedział Ernst, poprawiając okulary i próbując zachować spokój.

– A kto wie? – zapytał Gentz.

– Orientuję się głównie w finansach Hectora. Jestem jego doradcą. Ale już z nim nie rozmawiam.

– Z kim w takim razie rozmawiasz?

– Z Aronem. Czasem z Leszkiem. Nawet Sophie bywa na spotkaniach.

– Czym się zajmujesz?

– Stroną prawną, doradzam, proponuję, sporządzam umowy, utrzymuję kontakt z naszymi partnerami, oficjalnymi i nieoficjalnymi.

– A Carlos? – rzucił Christian.

Ernst nie zrozumiał.

– A Carlos? – powtórzył Christian głośno i wyraźnie.

– Nie wiem. Pół roku go nie widziałem. Zniknął, zdradził Hectora. Wy go macie – powiedział Ernst niepewnie.

– To ty nic nie wiesz?

– O czym?

– Zniknął dziś w nocy – odparł Ralph Hanke. –

Musimy wiedzieć, kto go ma.

– Ja tego nie wiem. Mnie nie mówią o takich sprawach. Nie tym się zajmuję, jestem raczej...

– Jak Roland? – zapytał Ralph i wskazał Rolanda Gentza.

– Słucham?

– Można powiedzieć, że jesteś jak Roland?

– Tak, tak można by to ująć – odparł Ernst.

– W takim razie chyba lepiej będzie, jeśli to wy ze sobą porozmawiacie, prawda? My z Christianem nie mamy tu nic do roboty.

Ernst nie wiedział, co powiedzieć. Zrobiło się dziwnie. Ralph Hanke mówił dalej.

– Jesteś tu po to, żeby przekazać nam informacje o interesach i partnerach Hectora. Wszystko przyspieszyć. Możesz potraktować to jako dobry uczynek, zaoszczędzisz zmartwień sobie i swoim przyjaciółom.

Ralph Hanke wstał, Christian poszedł w jego ślady i razem opuścili pokój.

Ernst i Roland zostali sami. Byli do siebie podobni. Nic dodać, nic ująć. Nie było między nimi ani przyjaźni, ani wrogości. Dwóch ludzi tego samego pokroju, którzy

mieli razem coś zdziałać.

- Może usiądziesz? – zapytał Roland.
- Chętnie postoję.
- Siadaj – szepnął Gentz.

17

Sztokholm

Ann Margret była pięćdziesięcioletnią rozwódką, miała tlenione włosy, chude nogi, płaski tyłek, wydęty brzuch i skórę zniszczoną przez wizyty na solarium. I uważała, że George Clooney jest sexy.

Tommy zobaczył, że stoi i czeka obok przystanku autobusowego, skąd zwykle ją zabierał. Skręcił w zatoczkę.

– Halo, Tommy – powiedziała głosem zniszczonym przez papierosy, przeciągając głoski ze snobistyczną manierą. Nie miała jednak nic wspólnego z arystokracją, choć bardzo by tego chciała.

Ann Margret lubiła wino, Majorkę i swoje dzieci. Możliwe, że w tej właśnie kolejności. Grała w golfa, żeby

poznać kogoś, kto dawałby jej pieniądze, i miała konta z nieprawdziwym zdjęciem na wszystkich istniejących portalach randkowych.

– Halo, Margretko – odpowiedział.

Zachichotała, podniecona tym, że użył zdrobnienia.

– Jak poszło? – zapytał, włączając się do ruchu.

– Dobrze – zaćwierkała ochryple, wyjmując z torebki plik papierów.

Ann Margret podziwiała Tommy’ego, podobnie jak wszystkich innych mężczyzn na kierowniczych stanowiskach. Pragnęła spełniać ich życzenia, a on nie miał najmniejszych oporów, żeby to wykorzystywać.

Była jego oczami w firmie. Dzięki swojemu komputerowi niemal do wszystkiego miała dostęp. Nie była ani szefem, ani śledczym, zajmowała się wsparciem i nawet nie zdawała sobie sprawy z tego, jak duży jest jej wgląd w pracę policji.

Powiedział jej, że coś jest nie tak albo z dochodzeniem, albo z Antonią Miller. Polecił jej prześledzić listę operacji na komputerze, historię wyszukiwania, sprawdzać, jak postępuje sprawa, i informować go o wszystkim na bieżąco.

Ann Margret zrobiła, o co prosił, mile połączona zaufaniem, które jej okazał. Potem kazał jej śledzić również poczynania Milesa Ingmarssona.

Zerknął na nią kątem oka.

Ależ to babsko było durne. Urody też nie miała za grosz. Okulary przeciwsłoneczne zasłaniały jej twarz. Musiała się niedawno czesać, ale w jednym miejscu z tyłu włosy był nadal rozczochrane. Farbowała je na złoty blond, jednak na ciemieniu miała ciemne odrosty. Pachniało od niej słodkimi, tanimi perfumami i przetrawionym alkoholem, a wszystko to łączyło się z ostrą nutą świeżo wypalonego papierosa.

Ann Margret przerzucała bezładnie kartki. Zaczęła zdawać relację.

– Antonia Miller zajmuje się sprawą Conny’ego Blomberga. Nic więcej o niej nie mam. Miles Ingmarsson chyba nic nie robi. Co to za jeden?

Zaśmiała się chrapliwie. Tommy próbował się uśmiechnąć.

Sprawozdania Ann Margret przedstawiane w czasie ich nieoficjalnych spotkań zawsze wyglądały tak samo. Odczytywała frazy wyszukiwane przez Antonię i Milesa

w sieci albo w wewnętrznej policyjnej bazie danych. Wymieniała numery, pod które dzwonili, i zdawała relację z ich poczynañ na komputerach.

Z kolei Tommy na koniec zawsze mówił coś w rodzaju:

– Ann Margret, nie mogę wchodzić w szczegóły, ale jesteś cudowna. To, co robisz, ma ogromne znaczenie. Nagroda cię nie ominie, masz moje słowo. Ale na razie to wszystko powinno pozostać między nami. Tak właśnie pracujemy – *undercover*. Każda nawet najmniejsza aluzja może zaważyć na losach całego śledztwa. Pamiętaj o tym.

Ann Margret kiwała głową i z poważną miną zapewniała o swoim milczeniu i lojalności.

A Tommy myślał sobie, że manipulowanie ludźmi wcale nie jest takie trudne.

Wysadził ją przy stacji metra i pojechał do domu. Czuł ulgę. Wszystko toczyło się zgodnie z jego planem. Miller zajęła się kolejnym śledztwem, a Ingmarsson dostosował się do swojej nowej roli i nie robił nic. Idealnie.

Gdy dotarł do domu, jak zwykle posiedział chwilę w samochodzie. Przez okno widział swoje córki, Vanesę i Emelie. Stały obok siebie przy blacie w kuchni. Wyrosły.

Dziesięć lat temu było inaczej. Wszystko było inne. On

i one też. Wspólnie czyścili klatkę chomika, na elektrycznym pianinie grał im melodyjki w rytmie boogie-woogie, a one podskakiwały i robiły wygibasy. Wieczorami pocieszał je, gdy były smutne, że dzień już się kończy. Czytał im bajki na dobranoc, czarami sprawiał, że jednokoronowe monety znikają, i wiódł z nimi długie dyskusje, które prowadziły donikąd. Później, kiedy dziewczynki były starsze, pilnował, żeby odrabiały lekcje, zapoznawał je z nieco bardziej wyszukany jedzeniem i próbował nadać codziennemu życiu w szeregowcu trochę jakości. Od czasu do czasu gdzieś razem wyjeżdżali. Monica tworzyła albumy ze zdjęciami. Latem czas płynął im wolno i wesoło.

Potem nagle wszystko się skończyło.

Kiedy wszedł do domu, poczuł zapach jedzenia. Monica siedziała na krześle w kuchni. Była zmęczona i patrzyła przed siebie pustym wzrokiem. Tommy pochylił się i pocałował ją w czoło. Córki gotowały. Jednak był tam ktoś jeszcze. Ktoś, kogo nie powinno być.

– Cześć tato, to jest Mattias – oznajmiła mu Vanessa z uśmiechem.

Stała przy blacie, kroić owoce i wyglądała na

zakochaną.

Tommy zmierzył wzrokiem chłopaka, który siedział przy jego stole. Trochę się garbił, włosy miał spięte w kucyk. Nawet nie wstał.

– Cześć – powiedział Tommy, usiłując nadać swojemu głosowi przyjazne brzmienie.

– Cześć – rzucił Mattias z przesadną pewnością siebie.
– A więc to pan jest papciem gliną? – I wybuchnął śmiechem całkowicie pozbawionym szacunku.

Vanessa nie wiedziała, jak się zachować. Próbowwała się śmiać i niepewnie spoglądała na tatę.

– Co będzie na obiad? – zapytał.

– Poszłyśmy na ławiznę. Filety z dorsza.

– A na deser?

– Sałatka owocowa.

Sałatka owocowa. Co za dno. A do tego jeszcze ten gnojek. Tommy rzucił okiem na Mattiasa, który siedział, gdy inni stali. Nagle wszystko wydało mu się przygnębiające. Jego córka nie powinna być z kimś takim... Nie powinna przygotowywać jakiejś cholernej sałatki owocowej. Jego rodzinę powinno było stać na więcej.

Jedli obiad. Jak się okazało, Mattias studiował etnologię, był lewicowcem z dziada pradziada i miał zdanie praktycznie na każdy temat. Zapytał Tommy'ego, jak według niego policja powinna się zachowywać na demonstracji. Najwyraźniej niedawno w jakiejś uczestniczył.

– Policja działa zgodnie z regulaminem – wymamrotał Tommy. Wolałby uniknąć wałkowania tego tematu z jakimś pieprzonym etnologiem.

– Który nakazuje używać przemocy wobec bezbronnej młodzieży?

Monica spróbowała posłać Tommy'emu uspokajający uśmiech.

– Nie wiem – mruknął Tommy i zagryzł zęby.

– Nie wie pan? A może po prostu nie ma pan złudzeń? Glina pozbawiony złudzeń?

Mattias znów wybuchnął śmiechem.

Tommy spojrział na Vanessę i dostrzegł jej zakłopotanie. Ścisnęło mu się serce.

Prowincja Malaga

Jazda samochodem z południa Niemiec na południe Hiszpanii trwała dwa dni.

Gdy Sonya parkowała jeepa na dziedzińcu przed domem, padała ze zmęczenia.

Aron wyszedł jej na spotkanie. Wspólnymi siłami wyciągnęli Carlosa Fuentesę z bagażnika i położyli na ziemi. Aron przykucnął i przez prześwitującą folię przyjrzał się Hiszpanowi, który leżał przed nim w samym szlafroku, z wytrzeszczonymi oczami, z maską tlenową na twarzy. Aron rozsunął zamek błyskawiczny i zdjął Carlosowi maskę. Jego usta były zaklejone taśmą, ale nozdrza poruszały się nerwowo w rytm szybkich oddechów. Carlos próbował coś powiedzieć. Aron wstał.

– Do środka z nim.

Hector, przebywający być może w innym wymiarze, leżał na łóżku podłączony do aparatury podtrzymującej życie. Aron mu się przyjrzał. Sonya wprowadziła Carlosa. Usta miał już wolne.

– Posłuchajcie mnie – powiedział.

Aron odwrócił się w jego stronę. Cios, który mu wymierzył, był szybki i mocny. Carlos zachwiał się i otworzył usta, żeby coś powiedzieć. Aron przyłożył mu po raz drugi.

– Przepraszam! – wrzasnął Fuentes.

Cały się trząśł. Szlafrok wisiał na nim luźno.

Sonya popchnęła go w stronę łóżka, na którym leżał Hector. Carlos unikał patrzenia w jego stronę.

– Przyjrzyj się mu – polecił Aron.

Carlos posłuchał, na moment podniósł wzrok, a potem znów opuścił.

– Spójrz na niego – powtórzył Aron.

Hiszpan przez chwilę walczył ze sobą, a następnie uniósł głowę.

Respirator wolno pompował powietrze. Oddech Carlosa stał się cięższy.

– Jak mnie znaleźliście? – wyszeptał.

– Przez alfonsów – odparła Sonya.

Carlos spojrział na nią z pytaniem w oczach.

– To nie było trudne – dodała.

– Taki już jesteś, Carlos – powiedział Aron. – Byłeś i zawsze będziesz amatorem dziwek.

Carlos gapił się na nich.

– Co chcecie wiedzieć? – zapytał cichym i słabym głosem.

– Wszystko o grupie Hankego.

Carlos odchrząknął.

– Niepokoją się.

– Czym?

– Wszystkim.

– Co robią?

– Szukają was.

– Co wiedzą?

– Nie mam pojęcia.

– Coś im powiedziałaś?

– Nic ważnego. I tak nic nie wiedziałem.

– Nie kłam.

Carlos zamrugął, myślał gorączkowo, mocno pocierając oczy.

– Ukrywają się.

– Gdzie?

– Tu i tam. Hanke i jego syn są w ciągłym ruchu, rzadko pokazują się na mieście, nigdy razem. – Carlos zobaczył dla siebie szansę. – Aron, jestem wam potrzebny

– szepnął prosząco. – Odeślij mnie do Hankego, będę ich słuchał i o wszystkim ci meldował.

Aron bez słowa wziął go pod ramię i wyprowadził z domu.

Zatrzymali się na tyłach budynku, w miejscu, w którym zaczynał się las. Syczenie respiratora zastąpił szum wiatru.

Aron puścił ramię Carlosa, cofnął się o krok, z kabury przy pasku wyciągnął pistolet, uniósł go i wycelował. Pod Hiszpanem ugięły się nogi, upadł na ziemię i podniósł ręce do góry, mamrocząc coś o łasce, dysząc i plując.

– Wiem więcej! – powiedział ochryple.

Aron trochę opuścił pistolet.

Carlos myślał gorączkowo. Nagle się zerwał, chciał uciec. Jego przerażenie było jednak tak ogromne, że żałośnie zwalił się na ziemię. Aron zrobił parę kroków w jego stronę. Carlos siedział na podwiniętych nogach, mamrocząc coś o Najświętszej Panience, matce i o tym, że życie jest niesprawiedliwe.

Aron go nie słuchał, wycelował broń w jego głowę.

– Czekaj, czekaj, czekaj! – wrzasnął Carlos z rękami w górze. Teraz był wściekły. – Czekaj, mówię przecież! Co chcesz wiedzieć?

Ział gniewem i lękiem przed śmiercią. Aron nie mógł na niego patrzeć.

– Chciałbyś wiedzieć mnóstwo rzeczy... prawda? – zapytał Carlos pokornie, przeciągając rękami po ziemi. Jego mózg pracował na wysokich obrotach. Coś sobie przypomniał. – Powinieneś wiedzieć, jakie słowa padły, kiedy wyszliście z pokoju! – krzyknął i powtórzył. – Co powiedzieli, kiedy wyszliście z pokoju.

– Z jakiego pokoju? – zapytał Aron.

– Z pokoju! Kiedy wyszła. Co mówili wtedy w pokoju.

– Kiedy kto wyszedł? Z jakiego pokoju?

– Mówię o spotkaniu z Ralphem. Co mówili, kiedy poszła.

– Jakim spotkaniu? Kto poszedł?

– Pielęgniarka! – pisnął Carlos.

Oczy Arona zwęziły się, opuścił rękę, w której trzymał pistolet.

– Jedno niejasne słowo i przestrzelił ci kolana, potem rękę, a na koniec strzelił w brzuch, żebyś się pomału wykrwawił.

Carlos oddychał gwałtownie.

– Pielęgniarka była w Monachium!

– O czym ty mówisz?

Hiszpan próbował uspokoić oddech i przełknąć ślinę.

– Pielęgniarka, kochanka Hectora, Sophie, Szwedka!

Była w Monachium i spotkała się z Ralphem.

– Kiedy?

Nerwowo poszukał w pamięci.

– Ponad tydzień temu.

– Mów dalej – polecił Aron.

Przerażenie Carlosa nie ustępowało.

– Nie rozumiem.

– Co ona tam robiła?

Carlos znów przeciągnął rękoma po ziemi.

– Rozmawiała – powiedział. – Przyjechała porozmawiać z Ralphem i Rolandem Gentzem.

– O czym?

– Nie wiem, niewiele słyszałem, siedziałem w pokoju obok.

– Pytam, o czym.

Carlos mocno podrapał się w ramię. To musiało boleć.

– Mówiła coś o tym, żeby Hanke dostał to, co macie, mówiła, że może w tym pomóc. Prosiła o czas, powiedziała, że interes się rozrośnie, a wtedy Hanke

będzie mógł wszystko przejąć. Mniej więcej o to chodziło.

Aron słuchał, Carlos próbował sobie przypomnieć coś jeszcze, przeklinał w duchu, że nie pamięta już niczego istotnego. Nagle jednak coś przyszło mu do głowy.

– Rozmawiali o synu!

– Jakim synu?

– Rozmawiali o synu, którego od dawna szukali i którego w końcu udało im się znaleźć.

– Sophie o tym mówiła?

– Nie, to było wcześniej.

– Kto o tym rozmawiał?

– Jeden z ludzi Hankego, słyszałem, jak rozmawiał przez telefon.

– Kiedy?

– Nie wiem. Tydzień albo dwa przed przyjazdem Sophie. Nie pamiętam.

– Czyj to syn? Padło jakieś imię?

Carlos potrząsnął głową.

– Nie, nie wiem. Ale mogę się dowiedzieć!

Oczy Arona były szkliste i puste. Carlos podniósł obie ręce.

– Aron, czekaj! Wiem więcej.

Mamrotał coś pod nosem, próbował się przymilać. Nie miał jednak nic więcej do powiedzenia. Wyrzucał z siebie nic nieznaczące słowa.

Aron wycelował w głowę Hiszpana. Carlos się posikał, zasłonił twarz ramionami i wrzeszczał wniebogłosy, pytając, gdzie zostanie pochowany.

Pistolet huknął dwa razy. Z drzewa poderwało się stado ptaków. Echo wystrzałów rozeszło się po okolicy.

Przed Aronem leżało zwiotczone ciało Carlosa. Obrzydzenie na to, co właśnie zrobił, zebrało się w ślinie. Aron Geisler splunął, nie na Carlosa, tylko obok niego. Nie mógł znieść tego smaku w ustach. Nagarnął butem piasek i żwir na plamę krwi, która powstała koło głowy Fuentesesa.

Wyjął telefon, sfotografował zwłoki i ruszył do domu. Sonya stała na werandzie.

– Aron?

Zatrzymał się i zwrócił w jej stronę, nie patrzył jednak na nią.

– Wypuść Piña i przygotuj nasz wyjazd.

– Dokąd jedziemy?

– Do Francji, do domu w Villefranche – wyjaśnił.

Wszedł do środka.

Obrzucił spojrzeniem stół w jadalni, te zdjęcia to był cały jego świat. Teraz drastycznie się zmienił.

Podszedł do ściany, zawahał się przez chwilę, po czym pociągnął łańcuszek zwisający z sufitu, wyszedł z pokoju i zamknął za sobą drzwi.

Słyszał syk z głowic prysznicowych. Miliony srebrnych kropelek kwasu przeciskały się przez otwory i tworzyły mgiełkę, która powoli opadła na stół, wszystko niszcząc i zamieniając w jasnoszarą, do niczego niepodobną breję.

W swoim pokoju Aron wyjął z niezamkniętego sejfu stary, wysłużony notes. Przerzucił kilka stron i znalazł to, czego szukał. Palcem wskazującym wystukał numer z notesu. Należał do Franki Tiedemann, matki Lothara – syna Hectora.

W słuchawce rozległ się sygnał poczty głosowej.

– Franka, wiesz, kto mówi. Zadzwoni do mnie albo skontaktuj się ze mną w dowolny sposób. Odezwij się jak najszybciej – powiedział i się rozłączył.

Trzy godziny później Aron, Sonya i Raimunda opuścili

razem z Hectorem dom w górach i rozpoczęli wyczerpującą podróż w stronę południowego wybrzeża Francji. Jechali bez przerwy. Aron był zdenerwowany. Martwił się stanem zdrowia Hectora. Niepokoił się. Myślał o symptomach, które widziała Raimunda. Fakt, że pojawiły się ślady aktywności mózgu, mógł oznaczać, że Hector się obudzi. Jak Aron powinien wtedy postąpić? Czy uda im się zrobić wszystko tak jak trzeba w tak krytycznym momencie? I jaki będzie Hector? Czy się zmieni?

Zwykle Aron do wszystkiego podchodził z opanowaniem. Takie nastawienie najczęściej okazywało się skuteczne. Jednak jego dotychczasowy spokój zniknął. Teraz wszędzie mogło czaić się niebezpieczeństwo.

Po siedemnastu godzinach dotarli na miejsce. Dom był duży i luksusowy. Leżał na wzgórzu, z którego rozciągał się widok na Cap Ferrat i Morze Śródziemne.

Zaczęli się rozpakowywać.

Łóżko, w którym leżał Jens, było miękkie, pościel biała, a poduszka zdecydowanie za duża. Gardło, usta i oczy miał wysuszone, skórę i wargi – spieczone.

Gdzieś w oddali warczał traktor, za oknem gdakały kury, a z radia dobiegał głos szybko mówiącego spikera.

Do pokoju weszła kobieta, popatrzyła na niego zaskoczona, przyłożyła dłoń do piersi i zaczęła mówić po hiszpańsku, wyrzucając z siebie zdania prawie tak szybko jak spiker. Opowiadała coś Jensowi, wskazując przy tym dłonią sufit, miała chyba na myśli niebo. Gestykulowała żywiołowo, a jej ruchy były pełne wyrazu, robiła przy tym różne miny. Raz wyglądała na zadowoloną, raz na zdziwioną, a potem na zdumioną.

Jens nic z tego nie rozumiał.

– Gdzie ja jestem? – wyszeptał po angielsku.

Kobieta nie przestawała gadać, chyba nie zrozumiała pytania. Nie przerywając potoku słów, naląła Jensowi wody i wyszła z pokoju.

Sięgnął po szklanę i opróżnił ją jednym haustem. Wszystko go bolało. Kiedy odstawiał naczynie na nocną szafkę, zauważył, że opuszki palców prawej dłoni ma kolorowe. Każdy palec był zabarwiony na fioletowo.

Atrament.... Odciski palców...

Zaczął mu się śpieszyć, chciał wstać z łóżka, ale nagle coś szarpnęło go za kostkę. Przeszywający ból błyskawicznie dotarł aż do kolana. Jens zerwał z siebie kołdrę. Wokół kostki miał kajdanki. Był przypięty do metalowej ramy łóżka. Pociągnął kajdanki i spróbował znaleźć sposób, żeby się z nich wyswobodzić, ale okazało się to niemożliwe.

Usłyszał, jak żwir za oknem chrzęści pod kołami samochodu. Kury zaczęły uciekać z wrzaskiem, bijąc skrzydłami. Silnik auta zgasł. Drzwiczki otworzyły się i zatrzasnęły. Kroki na żwirze brzmiały tak, jakby szły dwie osoby. Jens usłyszał, jak ktoś szybko i ciężko wchodzi po schodkach. Otworzyły się jakieś drzwi i ktoś pośpiesznie ruszył w stronę jego pokoju.

Do środka weszło dwóch mężczyzn. Jeden z nich był w garniturze i kremowej koszuli, pod którą nosił podkoszulek. Na szyi miał zawieszoną złotą policyjną odznakę. Drugi był w mundurze.

Mężczyzna w garniturze dał znak temu drugiemu, żeby się oddalił. Następnie przysunął sobie krzesło do łóżka.

– Miałeś szczęście – powiedział, siadając. – Z kieszeni

marynarki wyłowił paczkę papierosów. – Jak się czujesz?

Jens nie odpowiedział.

Mężczyzna wyjął papierosa i podsunął paczkę Jensowi. Ten odmówił.

– Miałeś szczęście. Wypatrzył cię parolotniarz – powiedział mężczyzna, zapalając. Szybko zaciągnął się kilka razy; wydmuchał tylko połowę dymu.

– Skontaktował się z ludźmi z wioski, to oni po ciebie pojechali. Źle z tobą było. Byłeś odwodniony i ledwo żywy. Przyszedł lekarz i się tobą zajął. Widzę, że się obudziłeś. – Zaciągnął się dwa razy. – Nazywam się Guillermo Mendoza. – Kolejne zaciągnięcie się. – A ty kim jesteś?

– Nikim szczególnym.

– To tak jak ja, ale chcę wiedzieć, kim jesteś.

– Dlaczego?

– Jestem policjantem.

– Coś zrobiłem?

Mendoza wzruszył ramionami.

– Nie wiem.

Jens przyjrzał mu się. Guillermo Mendoza... Było w nim coś pociągającego, miał w sobie bystrość, rozwagę,

inteligencję i dobroć, które ukrywał za zmęczonym spojrzeniem i obłokiem dymu.

– Dlaczego jestem przykuty do łóżka?

– Skąd pochodzisz?

– Po trochu zewsząd.

Mendoza podrapał się po brodzie.

– Od jak dawna jesteś w Meksyku?

– Od jakiegoś czasu.

– Jak się tu dostałeś?

– Ile chcesz za rozpięcie kajdanek i danie mi paru godzin przewagi? – zapytał Jens.

Mendoza myślał, gładząc się po policzku.

– Nie wiem. W zasadzie nic.

– Podaj cenę.

Mendoza zauważył, że żar dotarł do filtra, i zgasił papierosa, rozgniatając go butem na podłodze.

– Nie, dziękuję. – Zareagował na próbę przekupstwa tak, jakby Jens chciał mu sprzedać używany samochód, którego nie potrzebował. Znów sięgnął po paczkę papierosów. – A odpowiadając na twoje wcześniejsze pytanie, dlaczego jesteś przypięty... – Wyjął papierosa i wsunął go między wargi. – Zdjęliśmy twoje odciski

palców. – Zapalił. – Wrzuciliśmy je do wszystkich możliwych baz danych, jednak nie udało nam się ustalić twojej tożsamości. – Dwa razy szybko się zaciągnął.

– Ale? – zapytał Jens.

– Gdzieś włączył się alarm.

– Gdzie?

Nie spuszczać wzroku z Jensa, Mendoza wskazał sufit ręką, w której trzymał papierosa.

– Daleko na północy. *Estocolmo...*

20

Sztokholm

Okap nad kuchenką szumiał, w radiu grał Sonny Rollins. Sanna gotowała *spaghetti alle vongole*.

Miles siedział przy stole, przeglądał magazyn żeglarski i patrzył na Sannę. Była piękna i świetnie gotowała. Lepiej być nie mogło.

Zamieszkała u niego. Na jakiś czas, tak powiedziała. Najpierw spała na kanapie. Potem przeniosła się na materac, który rozłożyli na podłodze w jego sypialni.

Wydawało się, że tylko u niego nocuje. Wczoraj wślizgnęła mu się pod kołdrę. Wieczorami leżeli po ciemku i rozmawiali. Czasem wstawali i w środku nocy oglądali jakiś film, najczęściej komedię. Powiedziała, że lubi komedie. Mieli takie samo poczucie humoru. Czasem się dla niego rozbierała. Była w tym bezkonkurencyjna. Taka świetna, że nie miał odwagi o nic pytać. Chciał, żeby to trwało, chciał na nią patrzeć i mieć ją dla siebie.

Stała przy kuchence i coś nuciła. Jakiś szlagier sprzed lat. Chciałby móc zatrzymać czas na zawsze. Sanna odwróciła się, jakby słyszała jego myśli. Uśmiechnęła się.

Zacząli jeść. Opowiadała o swoim dzieciństwie na północy, w Malmberget, i o swoim pierwszym samochodzie, volvo amazon. Powiedziała mu, kiedy pierwszy raz uprawiała seks, kiedy po raz pierwszy się upiła. Przyznała, że w dupie miała zorzę polarną, kopalnię, politykę i wszystko to, co zajmuje większość ludzi z tamtych terenów. Chciała być wesoła i szczęśliwa. Robiła, co mogła, żeby tak właśnie było. Wiedziała, że zawsze jest lepiej, jeśli człowiek sam się o to postara...

Siedli do stołu.

– Miles – powiedziała nagle.

– Tak? – odparł.

Sanna wydawała się teraz poważna i ostrożna.

– Jesteś policjantem.

Nie wiedział, czy to było pytanie, czy stwierdzenie.

– Jesteś dobry – dodała.

Jej spojrzenie było szczere, czujne i intensywne.

– Co chcesz mi powiedzieć? – zapytał.

– Obiecuj, że nigdy mnie nie skrzywdzisz – poprosiła cicho.

Nie zrozumiał, ale powiedział:

– Obiecuję.

Potem już do tego nie wracali.

Jedli w milczeniu.

21

Sztokholm

Dni były męczące dla wszystkich. Nikt nie mógł za długo przebywać na zewnątrz. Pojedynczo mogli odbywać krótkie spacery w towarzystwie Leszka lub Hasaniego albo przejechać się wynajętym samochodem. Przez

większość czasu musieli się jednak ukrywać w mieszkaniu. Zrezygnowali z tego, co stanowiło ich codzienność – kontaktów z bliskimi osobami – a zamiast spontanicznych wypadów do restauracji lub kina musiały im wystarczyć wieczory przed telewizorem i jedzenie zamawiane do domu. Jednak taka izolacja przyniosła im nową jakość – swoiste poczucie wspólnoty.

Sophie i Leszek pojechali na zakupy. Za każdym razem wyjeżdżali z miasta i szukali marketu leżącego w jakiejś zapadłej dziurze, daleko za granicami przedmieść. Odwiedzali miejscowości, których nazw Sophie nigdy wcześniej nie słyszała, i nigdy nie kupowali dwa razy w tym samym sklepie. Ale wszystkie miejsca były do siebie podobne. Leżały na uboczu, znajdowały się w pobliżu autostrady i miały duże parkingi.

Leszek pchał teraz wózek, a ona szła przodem i wkładała do niego potrzebne im produkty.

Towarzyszyła im przytłumiona sklepowa muzyka. Dzięki niej Sophie przez chwilę poczuła się zwyczajnie.

Nagle do jej uszu dobiegły popiskujące tony. Powtórzyły się trzy razy w tej samej kolejności. W pierwszej chwili Sophie nie zareagowała. Sygnał był

cichy i nic jej nie mówił.

– Sophie? – powiedział Leszek.

Odwróciła się do niego i zobaczyła, że wskazuje jej torebkę, która leżała w wózku. Początkowo nie zrozumiała, o co mu chodzi. Potem znów usłyszała ten monotony i jednostajny sygnał. Komórka, pomyślała. Jens.

Dopadła do koszyka. Wyjęła torebkę, odsunęła zamek, włożyła rękę i zaczęła szukać po omacku. Za dużo rzeczy. Zajrzała do torebki i zobaczyła blask wyświetlacza.

Kiedy odebrała, zgasł.

– Halo?

W słuchawce panowała martwa cisza.

Nie, nie, nie – pomyślała.

Leszek spojrzał na nią pytająco. Potrząsnęła głową, jakby chciała mu powiedzieć, że nie ma się czym martwić. Zerknęła na komórkę. Bateria była słaba.

Kiedy chwilę później ruszyli dalej, Sophie nie miała pojęcia, co wkłada do wózka.

Po dziesięciu minutach komórka znów zadzwoniła. Sophie od razu odebrała.

– Halo?

– W środę, do Szwecji. Aresztowali mnie i mają zamiar przekazać glinom. Przylecę z Mexico City, prawdopodobnie przez Stany, ale nie jestem pewny. Nadal nie wiedzą, kogo mają. Nie mogę trafić w ręce szwedzkich glin... Sprawdzali moje odciski palców i znaleźli podobne w Trasten...

Połączenie zostało przerwane. Jens mówił szeptem i wydawał się zdenerwowany.

Serce Sophie zabiło mocniej, przeszedł ją dreszcz szczęścia.

Śnieg tłumiał dźwięki i zapachy. Pokrywająca wszystko biała warstwa przypominała pogrążonego w drzemce dużego, przyjaznego psa.

Powietrze, którym oddychał Leszek, było czyste. Spacerował wzdłuż pogrążonej w ciemnościach ulicy Norr Mälärstrand. W uszach miał słuchawki telefonu, a ręce wsunięte w kieszenie kurtki. Aron odebrał po trzech sygnałach.

– Tak?

– Jens Vall jest w drodze z Meksyku do Szwecji. Ma

policyjną obstawę – powiedział Leszek.

– Jens Vall? – zapytał Aron zdziwiony.

– Prosi o pomoc.

– Kiedy?

– Za dwa dni.

– Co się stało?

– Został zatrzymany. Kiedy meksykańska policja sprawdzała jego odciski w bazach danych, wyskoczyły im te z Trasten.

– I ma zostać przewieziony do Szwecji?

– Tak.

– Będą go przesłuchiwać w sprawie Trasten?

– Najprawdopodobniej.

– Nie można do tego dopuścić.

– Jasne, że nie.

– Masz już jakiś pomysł?

– Tak.

– Słucham.

– Gdzieś po drodze z lotniska do miasta.

– Dlaczego?

– Otwarta przestrzeń, będzie można szybko zniknąć.

– Dobra. Zaplanuj wszystko z Sophie i Hasanem.

Jedźcie w dwa samochody. Kiedy będzie po wszystkim, chcę, żebyś ty zabrał się z Sophie, a Hasani z Jensem.

– A jakie to ma znaczenie? – zdziwił się Leszek.

– Po prostu zrób, jak mówię.

Na coś się zanosilo.

– Aron?

– Po odbiciu Jensa opuścicie mieszkanie.

– Powiedz, o co chodzi.

– Nie. Nie teraz. Zadzwońię do ciebie.

– A wtedy?

– Dowiesz się, kto ma zostać, a kto – jechać dalej.

22

Sztokholm

Mężczyzna, który siedział zapłakany przed Antonią, miał około trzydziestu lat, pochodził z Afryki Północnej i był prostytutką. Płakał z żalu i skruchy.

Pociągając nosem, opowiadał, jak zabił Conny'ego Blomberga, dźgając go w plecy starym, tępym nożem, który znalazł w szufladzie komody.

Motywy były najwyraźniej zazdrość. W każdym razie do takiego wniosku doszła Antonia po wysłuchaniu jego wywodów. Nie były bynajmniej jasne i przejrzyste. Możliwe, że brakowało konkretnego powodu, a wszystkiemu winien był nagły impuls podczas wieczoru ze zbyt dużą dawką narkotyków i wyuzdanego seksu.

Mężczyzna płakał i bez przerwy przepraszał. Antonia cierpliwie czekała, aż dobrnie do końca. On jednak zdawał się wierzyć, że jeśli tylko wystarczająco długo będzie mówił, wyjaśniał i przepraszał, to zabicie Conny'ego Blomberga okaże się mniejszym złem.

Przez lata Antonia słyszała setki takich monologów. Nigdy nie wiedziała, czy sprawcy przemawiali do niej, swoich ofiar, czy własnego sumienia. Nie miało to znaczenia. Ich rozważania były zazwyczaj niezrozumiałe, czasochłonne i męczące.

Antonia wezwała dwóch umundurowanych kolegów, którzy mieli odprowadzić mężczyznę do aresztu.

Stała w drzwiach pokoju przesłuchań i patrzyła, jak skruszony morderca i policjanci znikają na końcu korytarza.

Oparła głowę o futrynę. Kurwa...

Powinna się cieszyć. To było marzenie każdego policjanta, sprawca, który przyznaje się do winy. Sprawa rozwiązana. Ale ona czuła się okantowana... po raz kolejny. Tak jak wtedy, gdy Tommy odsunął ją od sprawy Trasten. Morderstwo Conny'ego Blomberga naprowadziło ją jednak na pewien ślad.

Antonia wróciła do swojego biura i zrezygnowana opadła na krzesło. Zebrała wszystkie materiały, które dotyczyły sprawy, i zaczęła przygotowywać pismo dla prokuratora. Nagle zobaczyła coś kątem oka. W drzwiach jej pokoju stał Miles Ingmarsson z kubkiem kawy w ręce.

– Łatwo poszło – powiedział.

– Tak...

Usłyszała ciche „Gratuluję”.

Uniosła do góry brwi, a na jej ustach pojawił się służbowy uśmiech.

– Dziękuję – odpowiedziała.

Miles zbierał się do wyjścia. Chciała jakoś odpowiedzieć na jego próbę bycia miłym.

– A tobie jak idzie? – zagadnęła.

Zawahał się i zatrzymał.

– Dobrze. – Wyglądał na zadowolonego i uśmiechał się szerzej niż zwykle. – Tak, tak – wymamrotał i poszedł.

Antonia próbowała to zrozumieć.

Skończyła pracę i z wahaniem odłożyła pismo dotyczące sprawy Blomberga do przegródki z pocztą wychodzącą. Cały czas nie dawała jej spokoju irytująca myśl, że to nie wszystko. Śmierć Blomberga, przyznanie się sprawcy do winy, wątek Zivkovica, cholerna władza, jaką ma Tommy... a na dodatek ten cały Ingmarsson. Czy uśmiechał się do niej szyderczo? Szydził z niej? Czy Bóg z niej szydził? Czy to wszystko było jednym cholernym żartem? Czy za każdym razem, gdy zamajaczy przed nią jakiś przełom, będzie jej to odbierane? Czy już zawsze będzie cierpieć katusze w otchłani niepewności?

Odchyliła się do tyłu. Czuła ogromny stres. Wściekłość podrażniała jej nerwy niczym insekty. Antonia bębniła palcami o obojczyk. Nagle wpadła na pewien pomysł.

Wyjęła z szuflady swój notes. Przerzuciła kilka kartek, aż znalazła stronę, na której zapisała wszystkie nazwiska i numery z notesu Zivkovica. Znała większość z nich. Figurowała tam połowa sztokholmskiego półświatka.

Wyjęła z drukarki czystą kartkę A4. Posługując się

ołówkiem, sporą dawką fantazji i kilkoma nazwiskami z notesu stworzyła pewną historyjkę.

Opowiadała ona o narkotykach, dziwkach i morderstwie, a opierała się na twierdzeniu, że kiedy Antonia pytała o Blomberga, wszędzie słyszała nazwisko Zivkovic. Ten ostatni był głównym podejrzanym w wielu drobnych sprawach, które poskładane w całość nabierały wagi i mogły doprowadzić do wieloletniego wyroku... Coś w tym stylu.

Antonia przeczytała swoje dzieło, poczuła się usatysfakcjonowana i zadzwoniła do Zivkovic. Odebrał, a ona dała mu do zrozumienia, co na niego ma. Zaprzeczał ze wszystkich sił, szczerze i zgodnie z prawdą. Znała go już na tyle, żeby to wiedzieć.

Zaproponowała spotkanie. W słuchawce słyszała jego ciężki oddech.

– Proszę, nie – jęknął.

Nie czuła najmniejszych wyrzutów sumienia.

Zivkovic był blady. Siedział na biurowym krześle, a jego mięśnie prężyły się pod podkoszulkiem. Z plakatu na ścianie spoglądał surowo wódz Czarnych Stóp.

– Kurwa, ale z ciebie świnia – powiedział, grzebiąc wykałaczką głęboko w ustach.

Antonia nie odpowiedziała, przyglądała się Siedzącemu Bykowi.

– Powiedz mi, co wiesz, a puszcę cię wolno. Opieraj się, a cały czas będę cię przymykać za drobiazgi. Nie dam ci spokoju.

W oczach Zivkovica błyszczała pogarda.

– Czego chcesz? – warknął.

Dzięki, pomyślała.

– Coś wiesz. Chodzi o Andersa Aska i Leifa Rydbäcka. Zapatrzył się na nią tak, jakby dostrzegł coś, czego wcześniej nie widział. Zaśmiał się.

– Kurde, kobieto. Tak bardzo chcesz wszystko wiedzieć, że aż ci czacha dymi.

Nie była gotowa na taki obrót spraw. Zivkovic znów się zaśmiał, niemal z ulgą.

– Zgadza się?

Chciała zachować twarz. Kiwnęła potwierdzająco głową, uczciwie i szczerze.

– Wydaje ci się, że możesz tu tak po prostu przyjść i mi grozić tylko dlatego, że czegoś chcesz?

Antonia milczała.

Zivkovic emanował powstrzymywaną wściekłością. Naprawdę wydawał się groźny. Antonię obleciał strach.

Zivkovic zniżył głos.

– Zrobimy inaczej. Nie będziesz mi grozić, tylko pójdziesz mi na rękę.

– A czego chcesz? – zapytała.

– *Carte blanche* – powiedział ochryple. Z kącika ust wciąż sterczała mu wykałaczka.

– Słucham?

– *Carte blanche*. Mam pewien plan, ale nie chcę żadnych problemów.

– O czym ty mówisz?

– Głucha jesteś?

Spróbowała mu to wyperswadować.

– Ale chyba rozumiesz, że nie ma czegoś takiego jak *carte blanche*?

– Teraz już jest – powiedział z przekorą jak rozkapryszone dziecko i dodał: – I chcę ochrony.

Antonia podchwyciła od razu.

– Mogę ci zapewnić ochronę, ale nie *carte blanche*.

– Nazywaj to sobie, kurwa, jak chcesz, ale będzie mi

potrzebna forsa, żeby się stąd zmyć. Dużo forsy. Jak ją będę miał, będę potrzebował ochrony. Pomóż mi i przymknij oczy.

Jeżeli dobrze go rozumiała, to, o co prosił, było niemożliwe do wykonania.

– Pracuję w policji – powiedziała, próbując nadać słowom poważne brzmienie.

Prychnął i prawdopodobnie miał rację. Od razu ją przejrzał. Widział, że jest gotowa prawie na wszystko.

– A może ty tak naprawdę nic nie wiesz? – zapytała.

Zaśmiał się serdecznie i wrzucił wykałaczkę do kosza pod biurkiem.

– Kiedy dzwoniłaś, byłaś pewna, że wiem.

– Gadaj.

– Jeżeli dasz mi to, czego chcę – odparł.

– Jeżeli to ty dasz mi to, czego ja chcę.

Zivkovic pogładził kciukiem brodę i zagryzł zęby.

– W sumie to nie ma znaczenia – wymamrotał.

– Słucham?

– Mówiłaś Ask i Rydbäck?

Antonia pokiwała głową.

– To cholernie głupia historia – mruknął, nie

odrywając kciuka od brody.

Dostrzegła iskierkę nadziei.

– Obiecuj, że mi pomożesz – powiedział.

Obietnica? Czy to słowo wciąż jeszcze coś znaczy? – pomyślała.

– Obiecuję.

Na chwilę się zamyślił.

– Jeden biznesmen był szantażowany. Skontaktował się ze mną i z Rydbäckiem i poprosił o pomoc. Namęczyliśmy się, ale w końcu udało nam się ustalić, kto go szantażuje. Chodziło o Hectora Guzmana i Arona Geislera.

Antonię zalała fala szczęścia.

– A Anders Ask? – zapytała.

– To on dał nam na nich namiary. Wyglądało to na szczęśliwy zbieg okoliczności. – Zivkovic mówił dalej. – Zaczęliśmy z Leifem planować, jak to zrobimy. Po kilku dniach odwiedziliśmy Guzmana. Mieszkał na Gamla stan przy Brända tomten. Pomachaliśmy pistoletami i powiedzieliśmy, żeby dali spokój naszemu klientowi. Zwykle to wystarczało. – Obniżył głos. – Ale Guzman i Geisler to był inny kaliber. – Zivkovic gapił się przed siebie. – Szybko zrozumiałem, że trafiliśmy pod

niewłaściwy adres, byliśmy bez szans.

– Co się stało? – zapytała.

– Obezwładnili nas. Hector Guzman zmusił mnie, żebym patrzył, jak Aron Geisler strzela Leifowi w serce. Bez wahania, z zimną krwią. Trach! I po Leifie.

Antonia zrobiła wielkie oczy.

– Kurwa, ale on był przerażony, zanim go zabili. Równy był z niego chłop.

– A potem? – zapytała, siląc się na opanowanie.

– Wypuścili mnie i zwiąłem.

Antonia spojrzała mu w oczy. Trudno go było rozszyfrować. W jednej chwili wyglądał, jakby miał ADHD, zachowywał się nerwowo i impulsywnie, a w następnej był uosobieniem samokontroli i opanowania.

– Dlaczego cię puścili?

Zivkovic pogrążył się w myślach.

– Pewnie chcieli, żebym był świadkiem i powiedział, kim są i do czego są zdolni.

Przeciągnął palcem wskazującym pod nosem.

– Tylko czekam, aż po mnie przyjdą.

Piętro wyżej rozległ się odgłos odkurzacza. Dźwięk

przerwał ciszę i dał Antonii szansę na przeanalizowanie tego, co usłyszała. Miała odpowiedź na swoje pytanie: Hector kazał zabić Leifa Rydbäcka, którego pocięte zwłoki znalazły się później w Trasten.

– Coś jeszcze? – zapytała.

Zivkovic spojrział na nią zdumiony.

– Co?

– Czy jest coś jeszcze? Czy możesz mi powiedzieć coś więcej?

Uśmiechnął się szyderczo.

– Żartujesz?

– Nie – odpowiedziała zimno.

– Zapomnij.

– Dlaczego?

Wkurzył się.

– Teraz mi pomożesz, tak jak obiecałeś!

Antonia słyszała w jego głosie panikę.

– Zgadza się. Dam ci ochronę, jeśli będziesz jej potrzebował. I tyle.

Rozczarowanie Zivkovica zamieniło się we wściekłość. Ten człowiek już na początku życia musiał zostać oszukany. Zadziałał instynktownie. Antonia nawet

nie zauważyła, jak Zivkovic wyciąga broń. Najwyraźniej pistolet był przyczepiony gdzieś pod biurkiem. Wycelował jej w środek czoła.

Antonia odwróciła wzrok i instynktownie podniosła rękę do góry.

– Jestem policjantką – powiedziała najbardziej zdecydowanym tonem, na jaki było ją stać. – Rzuć broń.

Widziała, że przez sekundę się wahał, jak gdyby, wyciągając pistolet, działał pod wpływem impulsu, którego nie był w stanie kontrolować. Jednak dalej pewnie trzymał broń. Tylko odrobinę ją opuścił. Ten strzał też byłby śmiertelny, choć widząc, że Zivkovic celuje jej w pierś, zamiast w głowę, Antonia poczuła się trochę lepiej.

– Rzuć broń – powiedziała raz jeszcze.

Na próżno. Minął granicę, po przekroczeniu której nie można już udawać, że nic się nie stało. Był tego świadomy, co czyniło sytuację jeszcze groźniejszą.

– Jedziemy – polecił, machając pistoletem.

Nie zrozumiała.

– Słucham?

– Zbieramy się – powiedział nerwowo.

– Teraz?

– Tak!

– Nigdzie nie jadę.

Zaczęła się bać.

Do Zivkovica nic nie docierało, miał szklisty wzrok i był rozdrażniony.

Wstał. Najwyraźniej myślał tylko o jednym.

– Zaczekaj – powiedziała prosząco.

– Robimy tak, jak ustaliliśmy! – wrzasnął, a ślina wystrzeliła mu z ust.

Antonia podniosła się, starając się na niego nie patrzeć.

Kiedy wsiedli do jej samochodu, kazał jej jechać w stronę Sveavägen. W prawej ręce trzymał pistolet, lewą wrzucał w siebie tabletki Rohypnolu, *roopies*, jak go w swoim czasie nazywano. Stare dobre prochy miały sprawić, że w razie potrzeby nie będzie czuł strachu i stanie się agresywny. Tabletki popijał napojem energetycznym. Przedstawił jej plan. Był prosty. Odwiedzi trzy miejsca, bank w centrum, trafikę, w której można było obstawiać wyścigi konne, a na końcu kantor w porcie Värtahamnen,

skąd odpływały promy do Finlandii. Tam zniknie. Antonia miała prowadzić i na niego czekać, słuchając policyjnego radia, żeby w razie czego odwołać przyjazd swoich kolegów po fachu. Po każdym napadzie Antonia usłyszy część tego, co miał jej do powiedzenia. Potem każde z nich pójdzie w swoją stronę. Tak to sobie wyobrażał. Antonia miała jednak zamiar uciec przy pierwszej sposobności. Prawdopodobnie przy pierwszym napadzie. Albo przy drugim.

– No dobra, opowiadaj – powiedziała.

Opróżnił ostatnią puszkę napoju energetycznego.

– Trzy miesiące temu dostałem większą robotę – zaczął Zivkovic. – Jedna dziana baba, którą czekał rozwód, chciała mieć dowody zdrady męża, żeby więcej od niego wydębić. Latałem za nim po całym mieście, filmowałem i nic.

Zivkovic upewnił się, że pistolet jest nabity.

– Zrozumiałem, że muszę to trochę podkręcić. Skontaktowałem się z jednym gościem, który wie wszystko o obserwacji, i poprosiłem go o pomoc.

Czuła, że Zivkovic zaraz wysiądzie.

– Z kim?

– Nazywa się Harry. Zamówiłem u niego mikrofony i pomoc w instalacji.

Zivkovic zaczął obgryzać paznokieć kciuka.

– Odwiedziliśmy z Harrym faceta i założyliśmy parę pluskiew. Po robocie poszliśmy razem na jednego – powiedział i wypluł kawałek paznokcia. – Na jednym się nie skończyło i zostaliśmy kumplami. Gadaliśmy o wcześniejszych zleceniach, obgadywaliśmy ludzi z branży i opowiadaliśmy zabawne historie. Harry się nawalił i zaczął nawijać o Trasten. Oczywiście nie wiedział, że znałem Guzmana. Bredził coś o robocie, która miała z tym wszystkim jakiś związek. Byłem pijany i nie pamiętam dokładnie, co mówił, ale utkwiło mi w głowie jedno nazwisko.

– Jakie?

– Nazwisko, które było w gazetach.

– Czyli?

Zivkovic się uśmiechnął.

– Powiem, jak wrócę – stwierdził i pokazał jej, żeby zaparkowała przed bankiem, obok innego stojącego tam samochodu. Wsunął pistolet za pasek.

– Tylko się nie wygłup – powiedziała.

- Czekał tu na mnie – odparł.
- Chcę teraz usłyszeć to nazwisko.
- Nie, powiem ci, jak wrócę.
- Dostyc tego. Albo mówisz teraz, albo już mnie tu nie będzie, jak wrócisz.

Zivkovic myślał, nerwowo mrugając.

- Tylko, kurwa, spróbuj uciec! – wrzasnęła.
- Zostanę, ale tylko jeżeli usłyszę nazwisko.

Znów zaczął się zastanawiać, świdrując ją wzrokiem. Kurcze, ależ ten facet jest nieufny, pomyślała. W końcu Zivkovic bez słowa otworzył drzwi i wysiadł z samochodu.

- Håkan! – krzyknęła.

Odwrócił się, oparł dłoń o dach samochodu, pochylił się i zajrzał do środka. Przez chwilę nie mógł się zdecydować.

- Lars Vinge.
- Policjant?
- Tak – potwierdził i ruszył w stronę banku.
- Zaczekaj! Co powiedział Harry o Larsie Vingem?

Zivkovic włożył na głowę kominiarkę, zwiniętą tak, że wyglądała jak zwykła czapka.

– Ciąg dalszy nastąpi, proszę szanownej pani – odparł, idąc.

– Gdzie mogę znaleźć Harry’ego?

Zivkovic nie odpowiedział. Szedł pewnym i spokojnym krokiem w stronę wejścia. Antonia widziała, jak wsuwa rękę za pasek spodni, odwraca się, plecami napiera na ciężkie drzwi i wchodzi do środka. Czyżby się do niej uśmiechnął?

Wpadła w panikę. Chciała stamtąd odjechać i wezwać posiłki.

Potem w banku rozległy się trzy strzały. Antonia usłyszała krzyki. W środku zapanował kompletny chaos.

Widziała plecy siadających na ziemi ludzi. Wziął zakładników.

Nie... – pomyślała.

Po kilku minutach usłyszała sygnały nadjeżdżających radiowozów. Próbowała zajrzeć do środka, sprawdzić, czy Zivkovic wychodzi, ale nic nie widziała.

Uruchomiła silnik, ruszyła, zakreśliła i stanęła po drugiej stronie Sveavägen. Nadjechały dwa policyjne samochody. Zatrzymały się w poprzek ulicy, tamując ruch przed bankiem. Ze wszystkich stron nadjeżdżały kolejne

radiowozy. Nikt nie chciał przegapić takiego widowiska.

Antonia znalazła się w centrum wydarzeń. Wylegitymowała się dziewczynie w mundurze, która oczyszczała teren wokół banku z postronnych matołów. Antonia pożyczyła od jednego z kolegów lornetkę, oparła ją o dach radiowozu i wyregulowała ostrość. Przyglądała się Zivkovicowi, który w kominiarce na głowie chodził tam i z powrotem po banku. Wykrzykiwał żądania, których nikt nie słyszał. Na podłodze leżeli skuleni zakładnicy.

Wtedy przyjechali ludzie z oddziału specjalnego. Kurewsko napaleni na strzelanie. Pochowali się i wzięli bank na celowniki swoich karabinów. Zivkovic musiał otworzyć drzwi, żeby wykrzyzczyć swoje dziwaczne żądania. Domagał się podstawienia helikoptera i zagwarantowania mu przelotu do jakiegoś nikomu nieznanego odległego kraju. Gliniarze wykorzystali sposobność i zaczęli strzelać. Zivkovic dostał w biodro, tyłek i krzyż. Okręcił się i runął na ziemię. Wrzeszcząc, wczołgał się do banku. Antonia śledziła go przez lornetkę, widziała jego żałosne wysiłki, bezwładne nogi i ciągnącą się za nim strugę krwi.

Spojrzała na twarze przerażonych zakładników. Potem

znów na Zivkovic. Przestał się czołgać, leżał teraz niczym ranna foka. Zerwał z głowy kominiarkę. Antonia zobaczyła, jak rozpaczliwie się uśmiecha. Chyba do jednej z kasjerek, która miała na sobie sukienkę w kolorze chabrów. Zdążyła się już cała zasikać. Håkan Zivkovic coś do niej powiedział, włożył lufę pistoletu do ust i wystrzelił. Ściana za nim zrobiła się czerwona. Huk wystrzału dotarł do Antonii pół sekundy później. Kasjerka zwymiotowała.

Antonia zadzwoniła do Ulfa. Był teraz wolny, ale właśnie robił pranie, a wieczorem zaczynał służbę. Umówili się w pralni. Kiedy weszła, stał i prasował podkoszulki. Wszystko odbyło się na suszarce wirnikowej i zajęło sto dwadzieścia sekund. Odetchnęli w uścisku, ona na siedząco, a on na stojąco. Antonia chciała jeszcze zostać w jego objęciach, tylko na chwilę. Ale nie tak się umawiali. Ulf wysunął się z niej.

Milesowi udało się znaleźć wolny radiowóz. Większość została wysłana na Sveavägen, gdzie ktoś napadł na bank

i wziął zakładników. W samochodzie zobaczył Flipa i Flapa w mundurach. Tak przynajmniej wyglądali gliniarze na przednich siedzeniach. Jeden był duży i gruby, a drugi mały i żylasty. Ingmarsson nie wiedział, jak się nazywali, i nic go to nie obchodziło.

Siedział na tylnym siedzeniu i przeglądał papiery. Mężczyzna, którego miał odebrać z Arlandy, nie miał tożsamości. Odciski palców, które Meksykanie wrzucili do systemu, wyskoczyły w Interpolu, po czym zostały przekazane dalej do Europolu, skąd wysłano automatyczną wiadomość do prowadzącego sprawę, której sygnatura, w tym wypadku numer śledztwa dotyczącego Trasten, była powiązana z odciskami. Tym właśnie sposobem komunikat wylądował w skrzynce mailowej Milesa.

Mężczyzna mógł być kimkolwiek, na przykład gościem, który dawno temu odwiedził restaurację Trasten i zjadł w niej obiad. Albo kelnerem...

Areszt na lotnisku był ponury. Jak wszystkie areszty, niezależnie od tego, jak wyglądały. Dyżurująca w nim dziewczyna nosiła ciemne spodnie i błękitną koszulę. Nie była zbyt rozmowna, wskazała tylko stos dokumentów na biurku i wyszła. Miles nabazgrał na nich swoje nazwisko.

Funkcjonariuszka przyprowadziła mniej więcej czterdziestoletniego mężczyznę w kajdankach. Był opalony, dobrze zbudowany i miał jasne włosy.

– Dzięki – rzucił Miles.

Chwycił mężczyznę pod ramię i wyprowadził go z aresztu. Kiedy szli do samochodu, nad ich głowami był silnik jakiegoś samolotu.

– Inspektor Miles Ingmarsson – powiedział Miles, próbując przekrzyczeć hałas.

Mężczyzna nic nie odpowiedział.

Mundurowi siedzieli w wozie i zajadali się lodami z automatu, w środku zimy.

– No to w drogę – powiedział Flip.

Przedarli się przez rząd taksówek i ruszyli w stronę wyjazdu na autostradę. Radio grało hard rocka. Gdy znaleźli się na autostradzie, Flip podkręcił głośność.

– Przycisz trochę – wymamrotał Miles.

Flip rzucił okiem we wsteczne lusterko.

– Słucham?

– Przycisz to! – powtórzył Miles.

Flip przekręcił pokrętło głośności.

– Nie słyszałem, co pan powiedział.

– Pan?

– No, albo ty. Nie słyszałem, co powiedziałeś.

Potem wszystko potoczyło się błyskawicznie. Flip głośno krzyknął, Flap zaklął, a samochodem szarpnęło. Zaczęli gwałtownie hamować. Miles poleciał do przodu, ale pasy bezpieczeństwa utrzymały go na miejscu. Rzucił okiem do przodu, żeby stworzyć sobie obraz sytuacji. Zdążył zobaczyć, że pędzą w stronę robót drogowych na lewym pasie autostrady. Dojrzał kilka żółtych pachołków, taśmy odgradzające, wszystko wyglądało bardzo prowizorycznie. Drugi, prawy pas blokowała stojąca w poprzek furgonetka.

Zderzenie było nie do uniknięcia. Radiowóz wpadł na furgonetkę i zaczął ją przed sobą pchać. W powietrzu fruwały kawałki szkła z rozbitych szyb, metal się giął. Deska rozdzielcza wybrzuszyła się i pękła z hukiem. Pachniało spalenizną i czymś ostrym, jakby kwasem. Po chwili furgonetka odłączyła się od radiowozu, przechyliła i przewróciła. Prędkość, z jaką się poruszali, zaczęła maleć. Przez popękane szyby Miles widział świat niewyraźnie. Sunęli teraz po autostradzie przy zewnętrznej krawędzi prawego pasa. Przez sekundę cieszył się, że

udało im się z tego wyjść, że wszystko będzie dobrze. Ale coś nadjechało od tyłu. Rozległ się przeraźliwy dźwięk – przeciągły ryk klaksonu, połączony z przenikliwym piskiem opon gwałtownie hamujących przy dużej prędkości. Miles stężał. Potem nadeszło uderzenie. Było niczym eksplozja – ogłuszający huk i niewyobrażalna siła, która przepłynęła przez cały pojazd. Samochodem cisnęło do przodu. Miles na sekundę uniół się w powietrze, a potem poleciał bezwładnie przed siebie...

Przez tylną szybę wleciał kierowca drugiego samochodu, zahaczył czymś o tył głowy Milesa, wpadł między siedzących z przodu policjantów i zatrzymał się na desce rozdzielczej.

Radiowóz wypadł z drogi i zatrzymał się pochyło w rowie. Zapadła cisza.

Miles usłyszał cykanie, nie wiedział, czy to migacz, czy ciepło stygnącego silnika. Przez wybite szyby wpadał wiatr. Filp i Flap jęczeli z bólu. Poza tym panowała niemal niezmacona cisza.

Miles wisiał na pasie, pochylony do przodu. Kątem oka zobaczył, że do samochodu podchodzi dwóch mężczyzn. Mieli broń. On był nieuzbrojony. Spróbował

ostrzec policjantów. Nie mógł z siebie wydobyć głosu, nie był w stanie złapać oddechu. Coś sprawiło, że nie mógł oddychać. Uderzył Flapa w ramię, ale policjant miał zwieszoną głowę i nie reagował. Mężczyźni podeszli do radiowozu z dwóch stron.

Facet, którego eskortował, wyswobodził się z pasa, i patrząc na Milesa, zapytał:

– W porządku?

Miles domyślił się, że posiniał na twarzy.

– O co chodzi?

Miles podniósł brodę i wskazał swoje gardło. Brakowało mu powietrza. Zamknął oczy. Zaczął się dusić. Ogarnął go lęk przed śmiercią. Dźwięki się rozplynęły, a świat zrobił się czarny. Nie chciał umierać. Szarpał się, organizm domagał się powietrza. Miles znieruchomiał, a potem zaczęły nim wstrząsać drgawki. Stracił przytomność.

Otworzył oczy. Leżał obok samochodu, kaszłąc i wciągając powietrze. Opalony mężczyzna siedział na nim okrakiem.

– No! Już myślałem, że umrzesz – powiedział,

błyskając zębami w uśmiechu. Poklepał Milesa po ramieniu. – Wezmę to sobie jako zapłatę.

Pomachał mu przed oczami kluczykiem od kajdanek. Potem szybko wstał.

Miles odwrócił głowę i zobaczył, jak szybko odchodzi w towarzystwie dwóch uzbrojonych mężczyzn. Sam oddychał wolno i głęboko. Popatrzył w niebo, na którym widniały gęste białe chmury, i uświadomił sobie, że życie ma swój kres. Dotarło do niego, że nie chce, by tak było, i że jeszcze nic nie zdążył zrobić. Przecież dopiero co poznał Sanę.

Zakładali, że radiowóz zdąży wyhamować. Ale tak się nie stało.

Sophie siedziała w jednym z aut, którymi mieli uciekać, i widziała wypadek we wstecznym lusterku. Widziała, jak radiowóz wjeżdża w furgonetkę i jak sam zostaje uderzony od tyłu.

Wszystko trwało dłużej, niż planowali. Ale wszyscy wrócili, cała trójka. Leszek, Hasani i Jens. Cali i zdrowi.

Leszek podbiegł do samochodu, w którym siedziała.

Jens i Hasani wskoczyli do drugiego, wynajętego auta. Zdążyła go jednak zobaczyć, ich spojrzenia się spotkały. Jens uśmiechnął się do niej. Miała ochotę wyciągnąć rękę i go dotknąć.

Odjechali.

Przez całą drogę do Sztokholmu Sophie męczyła się, jadąc zgodnie z przepisami. Włączyli radio. Napad na bank na Sveavägen sparaliżował pół miasta.

– Mamy szczęście – powiedział Leszek.

Byli już niedaleko mieszkania przy Norr Mälarstrand, kiedy zadzwonił telefon Leszka. Odebrał i słuchał, niewiele mówiąc. Miała wrażenie, że odsuwa się od niej. Zaczęła coś podejrzewać.

Leszek zakończył rozmowę.

– Kto to był? – zapytała.

Nie odpowiedział, zaczął obgryzać skórki przy paznokciach. To było do niego niepodobne.

– Leszek? – Próbowała nadać swojemu głosowi normalne brzmienie.

Spojrzał na nią. Wyraz jego twarzy zmroził jej krew w żyłach. Zobaczyła zawód, wstręt i niedostępność.

– O co chodzi? – wydusiła z siebie.

Leszek wskazał jej wolne miejsce niedaleko wejścia do budynku. Zaparkowała i wyłączyła silnik.

Leszek nie wysiadł, tylko wyciągnął w jej stronę otwartą dłoń.

– Kluczyki.

Wyjęła kluczyk ze stacyjki i mu go podała.

– Teraz wysiadaj.

– Nie rozumiem.

Ale rozumiała. Chodziło o nią. Czegoś się dowiedzieli.

– Po prostu rób, co mówię.

Wbiła w niego spojrzenie.

– Nie mam zamiaru. Kto dzwonił? Z kim właśnie rozmawiałeś?

Próbowała grać i zrozumieć, co się dzieje. Ocenić, ile wiedzą.

Ale Leszek nie odpowiedział. Wyjął tylko broń i położył ją na kolanach. Kiedy się odezwał, mówił wolno, z groźbą i powstrzymaną agresją w głosie.

– Wsiądź z samochodu. Natychmiast.

Podniósł pistolet o centymetr i w nią wycelował.

– Co ty robisz? – wyszeptała.

Był niewzruszony.

Sophie otworzyła drzwi i wysiadła. Podeszła pod wejście.

Kiedy wystukała kod na domofonie, odwróciła się i zobaczyła, jak Leszek odjeżdża.

Winda wolno sunęła w górę, zbyt wolno.

Sophie weszła do mieszkania.

– Halo?

Nikt nie odpowiedział. Szybkim krokiem przeszła do pokoju Alberta.

Siedział na łóżku, na uszach miał duże słuchawki, w ręce trzymał blok i coś w nim szkicował. Kiedy ją zobaczył, zdjął słuchawki.

– Cześć.

– Gdzie są wszyscy? – zapytała.

– Leszek i Hasani pojechali z tobą. Angela i chłopcy wyszli – odpowiedział bez wahania. – Gdzie byliście?

– Gdzie Angela i chłopcy?

– Wyszli. Nie wiem dokąd.

– Kiedy?

– Mniej więcej przed kwadransem. Ktoś zadzwonił, a ona zabrała chłopców i wyszła.

– Dokąd?

– Nie wiem – w głosie Alberta pojawiła się irytacja.

– Kto dzwonił?

– Nie wiem. O co chodzi?

Odwróciła się i wyszła.

W korytarzu wyjęła z torebki jeden ze swoich telefonów i zadzwoniła do Hasaniego. W słuchawce rozległa się cisza. Potem wystukała numer Leszka. To samo.

A Jens? Wyjęła drugą komórkę. Tylko on znał ten numer. Upewniła się, że telefon działa, dźwięk jest włączony, a bateria naładowana. Schowała go z powrotem do torebki.

Poszła do kuchni i z półki nad zlewem zdjęła szklanę. Odkręciła kran i odczekała chwilę, aż zleci to, co było w rurze, i woda zrobi się lodowato zimna. Próbowwała zebrać myśli. Zrozumieć, co się stało. Zastanawiała się, czy inni coś wiedzieli, a jeżeli tak, to co.

Nagle szum wody wydał się Sophie zdecydowanie zbyt głośny. Jak we śnie. Oprócz niego usłyszała coś jeszcze, jakieś odległe trzaśnięcie. Zakręciła kran.

Coś się zamknęło. Drzwi wejściowe?

– Halo? – zawołała.

Zaczęła nasłuchiwać.

– Halo? – powiedziała znowu, tym razem znacznie ciszej, jak gdyby przestraszyła ją siła własnego głosu.

Wyrzała na korytarz.

Stał w nim mężczyzna. Nie wiedziała, skąd się tu wziął. Był niski, ubrany na czarno i ogolony na łyso. Ręce trzymał w kieszeniach kurtki, głowę miał pochyloną do przodu i przyglądał jej się dziwnymi oczyma.

Żołądek ścisnął jej się ze strachu. Zaczęła biec w stronę pokoju Alberta. Mężczyzna podbiegł do niej, chwycił ją za włosy i powalił na ziemię.

– Albert! – krzyknęła, choć wiedziała, że jej sparaliżowany syn nie będzie mógł jej pomóc.

– Mamo!

Sophie wylądowała na plecach. Mężczyzna siadł na niej. Teraz dobrze widziała jego oczy niesymetrycznie osadzone w bladej twarzy.

Działał skutecznie. Zamknął ją w stalowym uścisku, w jego dłoni pojawiła się złożona chusteczka. Wcisnął ją Sophie do ust. Próbowwała krzyczeć. Wtedy mocno zatkał jej nos. Odruchowo zaczęła oddychać ustami. Wciągnęła powietrze przez chusteczkę. Poczwała mocny, gorzki,

chemiczny smak. Od razu straciła czucie. Zdążyła zobaczyć, jak mężczyzna wyciąga i rozwija czarny worek. Naciągnął go jej na głowę i zawiązał wokół szyi.

Wszystko zrobiło się czarne.

Część druga

23

Sztokholm

Bezpański pies biegał i nerwowo węszył wśród grobów.

Antonia stała na cmentarzu Västberga i patrzyła na nagrobek, pod którym spoczywał Lars Vinge i jego rodzice.

Dlaczego tu była? Chciała coś zrozumieć? Miała nadzieję coś usłyszeć? Głosy z tamtego świata? Jakąś wskazówkę? Nie doznała jednak żadnego objawienia. Za to cały czas była myślami przy wydarzeniach tego przedpołudnia. Widziała zamieszanie wokół banku, strzały, eksplodującą głowę Håkana Zivkovicą, krew na ścianie.

Westchnęła.

Bezpański pies nie przestawał węszyć.

Czy stała tu między umarłymi, żeby się z nimi pojednać?

Nie...

Ona chciała wiedzieć. Jak zawsze.

Antonia wróciła do samochodu, siadła za kierownicą i wrzuciła wsteczny. Bezpański pies obsikał nagrobek Larsa Vingego i pobiegł dalej.

Wróciła na komisariat, usiadła przy biurku i przejrzała materiały ze śledztwa w sprawie śmierci policjanta.

Vinge zabił z kradzionej broni szefową Gunillę Strandberg w swoim mieszkaniu na Söder, a potem strzelił sobie w głowę. W papierach było mnóstwo przekonujących opinii techników i patologa. Samobójstwo, bez dwóch zdań.

Ale materiał dowodowy był lichej. Antonia od razu zwróciła na to uwagę. Powinien być znacznie obszerniejszy. Jak w przypadku każdego śledztwa. Powinien zawierać urzędowe szczegóły, biurokratyczne bredzenie, odnośniki i całą masę wszelakich informacji, które nigdy nikomu się nie przydały. Ale tym razem ich nie było. Nie w sprawie Larsa Vingego.

Antonia odchyliła się do tyłu.

Gdzie były dane o bankructwach, krewnych, pozostawionym majątku, długach? Brakowało nawet najbardziej podstawowej informacji o tym, gdzie zarchiwizowano jego rzeczy. Powinien się tu również

znajdować jego służbowy notatnik i zapis przebiegu służby. Ale niczego takiego nie znalazła. Czy to zwykłe zaniedbanie? A może ktoś zrobił to celowo?

Zaczęła przekopywać wyszukiwarkę internetową. Najwyraźniej w Sztokholmie istniało osiem firm lub osób, które profesjonalnie zajmowały się majątkiem po zmarłych. Zadzwoiła do każdej z nich, przedstawiła się, podała nazwisko Larsa i jego numer osobowy i wszystkim powiedziała to samo:

– To pilne jak diabli.

Wszyscy odpowiedzieli jednakowym pytaniem:

– Co za to dostanę?

– Figę.

Miles leżał pod kroplówką i patrzył w pusty biały sufit.

Do pokoju wszedł siwiejący lekarz w białym fartuchu, niebieskich spodniach i białych sandałach. Zaczął czytać z karty:

– Ma pan złamane trzy żebra, wstrząśnienie mózgu i kilka siniaków oraz powierzchownych ran.

Potem zaczął zadawać zwyczajowe pytania.

Samopoczucie, luki w pamięci, lęki.

Miles odpowiedział: w porządku, nie, nie. W tej właśnie kolejności.

– Przepiszę panu leki przeciwbólowe, przeciwłękowe i tabletki nasenne, gdyby miał pan problemy z zasypianiem.

– Ale ja nie mam żadnych lęków – odparł Miles.

– Jesteśmy w Szwecji, tu każdy odczuwa lęk – mruknął lekarz i podał mu pudełeczko z różnymi tabletkami. – To powinno panu wystarczyć, dopóki nie odwiedzi pan apteki.

Miles wrócił na komisariat. W aneksie kuchennym pachniało przypaloną kawą. Napełnił kubek. Kawa miała gówniany smak. Wylał ją do zlewu.

Do pokoju weszła Antonia Miller i zaczęła szukać w szafce czystego kubka.

– Ta kawa jest stara – odezwał się Miles.

– Zaparzę świeżą.

Miles skierował się do wyjścia.

– Co się tam stało? – zapytała Antonia.

Zdążył już poznać jej ciekawość. Nie opuszczała jej ani na chwilę, była jak niszcząca siła.

– Nie wiem. Facet został odbity.

Antonia wyglądała na zmęczoną. Twarz miała szarą, jakby zmatowiałą, ale jej oczy płonęły.

– Jak się czujesz? – zapytał niespodziewanie dla siebie samego.

– Jak ja się czuję?

Powiedziała to takim tonem, jakby ją o coś oskarżył.

– Tak, jak się czujesz?

– W porządku. A ty?

– Całkiem dobrze.

Antonia popatrzyła na zadrapania i siniaki na jego twarzy.

– Kim on jest? – zapytała.

– Kto?

– Ten facet z Meksyku.

– Nie mam bladego pojęcia.

– Ale to chyba coś znaczy?

– Niekoniecznie. Może był gościem restauracji, może tam pracował. Dlatego włączył się alarm, kiedy pojawiły się jego odciski.

Antonia mało nie prychnęła.

– Ale on został przecież odbity, prawda?

– Tak, ale w dzisiejszych czasach ludzie mają różne pomysły. To wcale nie musi mieć związku.

Uśmiechnął się, był mistrzem w zaprzeczaniu faktom.

Odpowiedziała uśmiechem, ale w oczach miała wściekłość.

– Co masz na myśli?

– Nic poza tym, co właśnie powiedziałem.

– A co powiedziałeś?

– Że to nie musi mieć związku.

Była w rozsypce, próbowała się opanować.

– Jak wyglądał? – zapytała.

– Normalnie.

– Czyli jak?

– Normalnie.

Antonia grzebała miarką w kawie, którą nasypała do filtra.

– Lars Vinge – powiedziała cicho.

Miles się zatrzymał.

– Co?

– Lars Vinge – powtórzyła.

Miles spojrzał na nią z niesmakiem.

– To żenujące, daj sobie z tym spokój – wyszeptał.

– Z czym?

Miles wyszedł bez słowa.

Ten fakt, w połączeniu z jego wcześniejszą negującą postawą, sprawił, że się w niej zagotowało. Pobieгла za nim.

– Bufon z ciebie, Ingmarsson. Ale wkrótce będziesz pajacem. Wiesz o tym, prawda?

Miles stanął.

– Co tu robisz? – ciągnęła.

Miles uśmiechnął się z irytacją.

– Pracuję.

– A właśnie, że nie. Umiesz się podporządkować, co? To dlatego tu jesteś? – zapytała, starając się zachować spokój.

– Nie wiem, o czym mówisz – odparł.

– Wiesz. Kiedy ktoś musi opróżnić beczkę z gównem, dzwoni do ciebie. Odwalasz gównianą robotę. Jesteś tu po to, żeby nic nie robić. Nie jestem głupia. Masz zamiar zlekceważyć to, co się dzisiaj stało? Jak to sobie wyobrażasz?

– Zajmij się swoimi dochodzeniami, a ja się zajmę swoimi – odparł i ruszył dalej.

- Swoimi? Masz tylko jedno i to też są kpiny.
- Męcząca jesteś, Miller.

Wrócił do swojego pokoju i usiadł przy biurku. Żałował tego, co powiedział. Nie lubił być złośliwy.

Zapatrzył się w okno. Niebo było niebieskie, chmury białe, w górze latały samoloty, a gdzieś tam wysoko, za ziemską atmosferą, zaczynała się przestrzeń kosmiczna. Za nią najwyraźniej nie było już nic.

Zobaczył ją kątem oka, stała w drzwiach do jego pokoju.

– Bronimy dobrych przed złymi – powiedziała. – Robimy to, ponieważ w to wierzymy. A osłaniając innych, osłaniamy też siebie nawzajem. Pomagamy sobie i mamy jeden cel. Wiesz dlaczego? – Antonia wiedziała, że jej nie odpowie. – Ponieważ jesteśmy policjantami i wybraliśmy ten zawód, rezygnując z całej masy innych dobrych rzeczy. – Wskazała kciukiem gdzieś za swoje plecy. – Wszyscy, którzy tu pracują, coś poświęcili. A ty kim, do licha, jesteś? – Weszła do pokoju, postawiła na jego biurku kubek świeżo zaparzonej kawy i wyszła.

Miles siedział wpatrzony w kubek. Potem wziął go

i wypił łyk. Kawa była idealna.

Wyszedł wcześniej do domu i ruszył samotnie przez miasto. Ból w duszy i w żebrach był tak samo upierdliwy. Miles straszył ludzi swoją pokiereszowaną twarzą. Wypalił trzy papierosy, jednego po drugim. Nie dopuszczał do siebie uczuć. Potrafił to, w pewnym sensie został do tego wychowany. Kiedy emocje stawały się zbyt natarczywe, należało je odsuwać.

Sanna była w domu.

Wyglądała zwyczajnie, była bez makijażu, miała na sobie dzinsy i podkoszulek. Lubił ją taką. Ale lubił też, gdy wyglądała jak zdzira. Sanna była idealna w każdej postaci.

– Jak się czujesz? – zapytała, muskając palcem rany na jego twarzy.

– W porządku.

Spojrzała mu badawczo w oczy.

– Wcale nie.

Pótleżąc na kanapie, opowiedział o wypadku i odbiciu mężczyzny. Sanna siedziała obok niego i wyglądała na przerażoną. Czułe głaskała go po policzku. Jej delikatny dotyk sprawił, że puściło w nim napięcie. Odetchnął.

Po kwadransie stanęła przed nim z jedną dłonią na biodrze. Przyjęła piękną pozę. Była przebrana za pomoc domową. Miała kabaretki i zdecydowanie zbyt krótką spódniczkę. Piersi były niemiłosiernie ściśnięte, a wargi bardziej czerwone niż radziecka gwiazda. Odwróciła się i pewnym krokiem przeszła do przedpokoju. Ściągnęła z wieszaka jeden z jego beżowych płaszczy i się nim okryła.

– Na razie – powiedziała i zniknęła.

Drzwi wejściowe zamknęły się z trzaskiem.

Miles słyszał, jak jej kroki cichną na klatce schodowej.

Popatrzył w sufit. Przypomniał mu się wypadek. Uczucie duszenia się i paniczny strach.

Doświadczenie własnej śmierci okazało się bezwartościowe. Obrzydliwe pod każdym względem.

W kuchni grało radio. Piękna, rzewna muzyka sprawiała mu ból i podsycala to, co próbował w sobie zdusić.

Chciał wstać z kanapy, ale żebra momentalnie dały o sobie znać. Spróbował jeszcze raz i podniósł się z okrzykiem bólu. Poszedł do kuchni i wyłączył to cholerne radio.

Oparł się o zlew i zaczął się na niego gapić. Co za paskudnie srebrny kolor. Miles oddychał płytko i z wysiłkiem. Puls miał przyśpieszony i nieregularny. Tamten lekarz miał rację, nikt nie jest wolny od lęków. Miles odszukał pudełko z tabletkami.

Połączył wszystkie trzy: przeciwbólową, przeciwłękową i nasenną.

Sztuczne poczucie bezpieczeństwa zaczęło torować sobie do niego drogę.

Wyciągnął się na łóżku. Jego oddech stał się głęboki i miarowy.

Zadzwonił telefon. Dźwięk dzwonka przebijał się przez ścianę zmęczenia i odrętwienia. Powieki Milesa opadły.

Dźwięk dochodził gdzieś z daleka. Miles zanurzył się w ciężki, wywołany lekami sen.

Telefon nie przestawał dzwonić.

Sophie otworzyła oczy. Tam, gdzie była, panowała ciemność. Jej twarz okrywał jakiś materiał. Leżała na podłodze z rękami sklejonymi na plecach taśmą. Wydawało jej się, że wciąż jest w mieszkaniu. Poczuela, że ma coś w ustach. Chusteczka do nosa. Udało jej się ją wypluć. Ból rozsadzał głowę.

– Albert! – zawołała.

Gdzieś daleko zadzwonił telefon.

– Albert!

Po raz kolejny rozległ się sygnał dzwonka. Rozpoznała go. Dzwonił Jens.

Sophie szarpała i ciągnęła, ale taśma była mocna. Krzyknęła sfrustrowana i zaczęła się odpychać stopami od podłogi, przesuając się do tyłu, dopóki nie trafiła na ścianę. Przyciskając się do niej, wstała.

Na wyczucie skierowała się do korytarza. Udało jej się chwycić pasek torebki przewieszanej przez krzesło. Ciągnąc ją za sobą, ruszyła w stronę pokoju Alberta.

Padła na kolana koło jego łóżka, pochyliła się do przodu i poczuła, że jest w nim tylko pościel. Alberta nie było.

– Albert – powiedziała, choć wiedziała, że go tam nie

ma. – Albercik...

Musiała wydostać telefon z torebki na wypadek, gdyby znów zadzwonił. Udało jej się wsunąć do środka sklezione dłonie, próbowała coś wyczuć, przeszukiwała wnętrza palcami. Znalazła. Ostrożnie wyłowiła komórkę i położyła ją w zasięgu rąk.

Potem przysiadła na stopach. Siedziała tak, związana i oślepiąca. Nic innego nie mogła zrobić.

Czas mijał, wokół było cicho, jak makiem zasiał. Domyśliła się, że musiała już zapaść noc. Zaczęła płakać. Bała się.

Rozległ się dźwięk dzwonka.

Udało jej się odebrać. Usłyszała dobiegający z daleka, niewyraźny głos.

– Jens! Nie słyszę cię. Musisz po mnie przyjechać!

Mówiła głośno, niemal krzyczała. Podała mu adres i kod do domofonu.

– Zabrali Alberta! Jestem związana.

Słyszała głos Jensa, ale nie to, co mówił.

– Nie rozłączaj się – zawołała.

Posłuchał jej. Jego rozmyty głos dotrzymywał jej towarzystwa przez dwadzieścia minut. Potem usłyszała,

jak ciężkie drzwi wejściowe otwierają się i zamykają.

– Tu jestem! – wrzasnęła.

Jens wszedł do pokoju i najpierw pomógł jej zdjąć worek. Sophie poczuła, że znów może oddychać. Potem przeciął taśmę. Omiotła spojrzeniem pokój Alberta. Jego rzeczy wciąż tu były, ale wózek zniknął.

– Poszukajmy Alberta – powiedziała i się podniosła.

Szła od pokoju do pokoju, przytrzymując się ścian. Środek, którym napastnik ją uśpił, wciąż działał. Miała trudności z utrzymaniem równowagi, od czoła w stronę oczu promieniował dojmujący ból. Przeszukiwała mieszkanie jak obłąkana.

– Sophie, tu nikogo nie ma.

Jens szedł tuż za nią.

W dużym pokoju Sophie przystanęła.

– Powinnaś usiąść.

Odwróciła się do niego.

– Dlaczego do mnie dzwoniłeś?

Jens nie rozumiał.

– Dlaczego dzwoniłeś do mnie w środku nocy?

Nieufność aż z niej biła.

– Jeszcze się nie przestawiłem z meksykańskiego

czasu. Nie mogłem spać.

– I dlatego dzwoniłeś kilka razy?

– Tak.

– Dlaczego?

– Skąd ta podejrzliwość?

– Pytam, dlaczego?

Jens próbował wyczytać coś z jej twarzy.

– Po tym, jak mnie odbiliście, twój przyjaciel Hasani zawiózł mnie do miasta. Zadzwoił jego telefon, a on zaczął się śpieszyć i mnie wysadził. Wydało mi się to dziwne. Pojechałem do domu, ale ciągle czułem się dziwnie i zadzwoniłem do ciebie. Ale to nie ma znaczenia, powiedz mi, co się stało.

Opowiedziała najlepiej, jak potrafiła. Wszystko od początku do końca.

O tym, jak od ich ostatniego spotkania pracowała dla Arona. O tym, jak się niedawno dowiedziała, że Hanke sprzymierzył się z Kolumbijczykami przeciwko Hectorowi, więc nawiązała z nim kontakt. O tym, że po jej wizycie u niego Daphne i Thierry zostali zamordowani. Opowiedziała o telefonie do Leszka. O tym, jak po powrocie do mieszkania zastała tylko Alberta, napadnięto

ją, a jej syn zniknął.

- Co z Hectorem? – zapytał Jens.
- Nadal jest w śpiączce.
- A Aron?
- Teraz wszystko jest na jego głowie.
- Co to znaczy?
- Aron pilnuje, żebyśmy utrzymali się na powierzchni.
- I utrzymujecie się?
- Nie.

Jens starał się zrozumieć.

– Dlaczego nie poszłaś najpierw do niego? Dlaczego zwróciłaś się do Hankego? O czym ty myślałaś?

– Aron nie jest sobą. Działa nerwowo, jest zawzięty i nie myśli jasno. Wiedziałałam, że jeśli mu powiem to, co wiem, wyruszy na wojnę i poniesie porażkę, wszyscy poniesiemy porażkę, i to dotkliwą.

- A co mógł ci dać Hanke?
- Czas. Czas, żeby coś zmienić, żeby się zastanowić.
- Ale tak się nie stało?

Sophie nie odpowiedziała.

- A teraz wszyscy zniknęli?
- Wydaje mi się, że Aron musiał się dowiedzieć

o moim pobycie w Monachium.

– I dlatego wszystkich przeniósł? Z obawy o ich bezpieczeństwo po tym, jak wlaźłaś prosto w paszczę lwa? – Nie przerywała mu. – Wziął też ze sobą Alberta, jako zabezpieczenie. Dopóki będzie go miał, nie będziesz mogła nic zrobić. Czy to ma sens?

– Tak.

– Ale dlaczego nie przeniósł go razem z innymi, z Angelą i dziećmi, przed twoim powrotem?

Nie potrafiła odpowiedzieć na to pytanie.

– Albo dlaczego po prostu cię nie zlikwidowali?

Myślała o tym, co powiedział. Mógł mieć rację albo się mylić. To nie miało znaczenia.

– Ten mężczyzna, który cię uspił i zabrał Alberta... Zdążyłaś mu się przyjrzeć?

– Tak...

– Rozpoznałaś go?

– Nie.

– Jesteś pewna? Dobrze się zastanów. Nigdy wcześniej go nie widziałaś? Z Hectorem? Z Aronem? Gdzieś w tle? To ich człowiek?

Szukała w pamięci. Tak, była pewna, nigdy wcześniej

go nie spotkała. Przypomniała jej się za to inna twarz.

– Sonya?– powiedziała do siebie. Wstała i wybrała jakiś numer. W słuchawce rozległ się kobiecy głos. – Sonya!

Chwila ciszy.

– Sophie?

– Gdzie jest Albert?

– Nie będę z tobą rozmawiać. Rozłącz się i nie dzwoń do mnie więcej.

– Gdzie jest Albert?

– Rozłączam się.

– Poczekaj, proszę.

Sonya nie przerwała połączenia, Sophie odetchnęła z ulgą.

– Wyjaśnij mi, co się stało, gdzie jest Albert i co chcecie, żebym zrobiła.

– Nie będę ci nic wyjaśniać i nie będziemy rozmawiać – powiedziała Sonya, potem odczekała chwilę i odezwała się cichym głosem. – Przyrzekam, że nie wiem, gdzie jest Albert. Mam nadzieję, że nic mu się nie stało. Nie dzwoń więcej.

Połączenie zostało przerwane. Sophie stała z komórką

w dłoni, zwrócona plecami do Jensa.

– Nie wie, gdzie on jest?

– Powiedziała, że nie.

– Wierzysz jej?

Sophie odwróciła się do niego.

– Tak.

– Kto w takim razie porwał Alberta?

– Hanke – odparła.

– Jesteś pewna?

– Nie.

– Co w takim razie zrobisz?

– Oni się odezwą.

– Dlaczego mieliby to zrobić?

– Czegoś chcą. Dlatego go porwali.

Mówiła tak, jakby chciała przekonać nie tylko jego, lecz także siebie.

– Nie jesteś chyba aż tak naiwna, Sophie – powiedział Jens. – Mówimy o Ralphie Hankem. Jeżeli to on porwał Alberta, nie przedstawi ci żądania, które byłabyś w stanie spełnić, i nie wypuści Alberta.

Sophie patrzyła na niego.

– Ralph Hanke bierze – ciągnął dalej Jens. – Jest

w tym dobry. Wie, jak zachowują się ludzie, którzy nie mają wyboru. Wystarczy tylko przycisnąć i uformować... Pomyśl o tych wszystkich zabójstwach. Eduardo? Dlaczego on? Daphne i Thierry? Brat Hectora, zakochana para. Żadne z nich nie należało do kręgu ludzi z bezpośredniego otoczenia Hectora. Hanke chciał tylko pokazać, że może robić, co chce. To jest jego język. Mogli cię zabić już tam, w Monachium. Teraz mają Alberta i najwyraźniej czegoś od ciebie chcą.

– Chcą Hectora – powiedziała.

– A jeśli im go wydasz? Choć wątpię, żebyś mogła to zrobić. Co się wtedy stanie?

Sophie milczała.

– Oddadzą ci go? Nie, Ralph Hanke niczego nie oddaje.

Powiedział prawdę, bez owijania w bawełnę.

– Musimy go odnaleźć – rzekła Sophie.

Jens skinął głową.

– Musimy – potwierdził.

– Tylko ty i ja? – zapytała.

– Będzie ciężko.

– Znasz kogoś, kto może nam pomóc?

– W tej chwili nikt nie przychodzi mi do głowy. A ty?
Sophie zaczęła się zastanawiać. Oczy jej się rozszerzyły.

– Tak, myślę, że znam.

Obudził się w tej samej pozycji, w której zasnął. Leżał na plecach na narzucie. Sam, bez Sanny. Za oknem była noc.

Miles przeszukał mieszkanie. Sanna nie wróciła do domu.

Jego komórka leżała na stole w kuchni. Miał pięć nieodebranych połączeń. Wszystkie od Sanny. I trzy wiadomości nagrane na pocztę głosową.

Zadzwoił do niej. Miała wyłączony telefon.

Miles zaczął odsłuchiwać wiadomości.

„Cześć, to ja, możesz przyjść po mnie do klubu? Będę tu na ciebie czekać”.

W jej głosie słyszał sztuczne opanowanie.

Kolejna wiadomość.

„Zaraz zamykają. Nie mogę wyjść stąd sama. Zadzwoń, proszę”.

Tym razem słyszał wyraźny niepokój.

Ostatnie nagranie było przypadkowe. Telefon sam włączył się w jej kieszeni. Słysząc było szum, gdy szła. Rozległ się jej głos, przytłumiony materiałem. Miles nie mógł rozróżnić słów, jednak ton był proszący. Usłyszał jakiś męski głos, pełen wyrzutu, głośny, wysoki, zdenerwowany, urażony, natarczywy...

Rozmowa została przerwana. Miles nie słyszał żadnego słowa, ale poczuł atmosferę. Była dziwna, nerwowa, niepokojąca... groźna... niezdrowa.

Sophie i Jens jechali taksówką przez cichy, zaśnieżony Sztokholm.

– Gdzie byłeś? – zapytała Sophie.

– Tu i tam – odpowiedział.

– Czemu się nie odzywałeś?

Nie miał dla niej żadnej odpowiedzi.

Sophie otworzyła drzwi do swojego mieszkania i ruszyła prosto do pokoju gościnnego. Tam, w szafie, na najwyższej półce, za pudłem z zimowymi rękawiczkami leżała drewniana kasetka. Sophie wyjęła ją i podniosła wieczko.

W środku leżała biała serwetka, stara i pomięta. Był na niej numer telefonu zapisany równym pismem przez pewnego mężczyznę, który kiedyś obiecał, że jej się odwdzięczy.

Wystukała kod kraju, a potem numer z serwetki.

Po trzech sygnałach usłyszała niemieckie „Hallo” wypowiedziane męskim głosem.

– Klaus?

– A kto pyta? – zapytał głos po niemiecku.

– Dawny przyjaciel – powiedziała cicho po angielsku.

– Klaus już tu nie ma – odparł mężczyzna po angielsku.

– Wie pan, gdzie go mogę znaleźć?

– Nie żyje – oznajmił cicho mężczyzna. – Z kim rozmawiam?

Na kilka sekund zapadła cisza.

– Co się stało? – zapytała Sophie.

– Zjadł go rak – odparł mężczyzna.

Sophie poczuła nagły smutek. Zobaczyła przed oczami Klause Köhlera. Żyłastego, niebezpiecznego i uczuciowego... innego niż wszyscy. Był jednym wielkim paradoksem. Zawiozła go do szpitala, gdy Aron Geisler

strzelił mu w brzuch. Potem jeszcze wyjęła mu kulę z ramienia. Klaus obiecał jej pomoc po tym, jak on i Michaił Asmarow pośrednio uratowali Jensowi życie w restauracji Trasten.

„Dwa razy uratowałaś mi życie”, powiedział wtedy Klaus, zapisał swój numer na serwetce i wyszedł.

– Kiedy to się stało? – zapytała teraz.

– Dwa miesiące temu.

– Długo chorował?

– Tak, ale za późno wykryto chorobę.

– Kim pan jest? – zapytała.

– Nazywam się Rüdiger, Klaus i ja żyliśmy razem.

– Proszę przyjąć wyrazy współczucia z powodu tego, co się stało.

Słowa zabrzmiały pusto.

Zapadła chwilowa cisza.

– Wydaje mi się, że słyszę u pani skandynawski akcent.

Prawda? – zapytał.

– Tak...

– W takim razie wiem, kim pani jest.

– Kim?

– Kobieta, która mu pomogła. Tą pielęgniarką.

Prawda?

Sophie nie odpowiedziała.

– Dziękuję ci. Sophie – powiedział, jakby się znali. –

Po kilku sekundach znów się odezwał. – Dlaczego dzwoniła pani do Klausa?

– Chciałam go prosić o pomoc.

– W czym?

– Teraz to już nieważne.

Chwila niepewnej ciszy.

– Do widzenia – powiedział Rüdiger i się rozłączył.

Miles zszedł do klubu ze striptizem. Tu i tam siedział jakiś samotny biedak czekający na popołudniowy pokaz.

Wślizgnął się za kotarę, za którą tacy jak on nie mieli wstępu.

Korytarzem w jego stronę szła mocno wymalowana kobieta o ognistych rudych włosach. Miała na sobie skórzany gorset, a w dłoni trzymała bicz. Jej krokom towarzyszył stukot obcasów lakierowanych kozaczków.

– Nie wiesz, gdzie mogę znaleźć Sannę? – zapytał.

– Tu nie wolno wchodzić. – Kobieta mówiła z fińskim

akcentem.

– Nie wiesz, gdzie mogę znaleźć Sannę? – powtórzył pytanie.

– A co?

– Muszę ją znaleźć.

Kobieta stanęła i zlustrowała Milesa spojrzeniem od stóp do głów. Wyraźnie uważała, że góruje nad nim pod każdym względem.

– Chcesz ją znaleźć?

Skinął głową.

– Bywasz tutaj?

Znów kiwnął głową.

Kobieta w skórzanym gorsecie rozpromieniła się.

– Ależ oczywiście! Zawsze podajemy adresy koleżanek klientom, którzy siedzą i całymi dniami się na nas gapią. Marzymy o tym, żeby któryś z was zwrócił na nas uwagę i kiedyś nas odwiedził. – Fiński akcent jeszcze potęgował sarkazm.

Świdrowała go spojrzeniem. Zmieszał się, wygrzebał portfel i pokazał jej odznakę.

– To niewiele zmienia.

Miles uświadomił sobie daremność gestu i schował

odznakę.

– Jeśli ją spotkasz, powiedz jej, że pytał o nią Miles.
Skierował się do wyjścia.

Usłyszał za sobą głos Finki.

– Jak dobrze ją znasz?

Miles zatrzymał się i odwrócił.

– Słucham?

– Jak dobrze znasz Sannę?

Miles się zastanowił.

– Dość dobrze.

Czekała na dalszy ciąg.

– Mieszkamy razem.

– To mi nie wystarczy. Opowiedz coś o niej.

– Mam ci coś o niej opowiedzieć?

Wiedziała, że ją zrozumiał, więc milczała.

– Dobrze gotuje – zaczął i usłyszał, jak zdawkowo to zabrzmiało.

Obojętne spojrzenie kobiety zdawało się to potwierdzać.

– Lubi komedie – wymamrotał. – Kiedy tylko może, zapala świece i kupuje kwiaty. Gdy jest sama w domu i ma dobry humor, nuci stare szwedzkie przeboje. – Miles

szukał w pamięci, pojawiły się kolejne szczegóły. – Ma alergię na nikiel. Kiedy się śmieje, uderza mnie mocno w ramię, świetnie zna francuski, ma piękny akcent... – Wzruszył ramionami, głupio się czuł.

Finka miała w sobie jakąś gorycz. Stała nieruchomo, jak gdyby chciała dać mu jeszcze jedną, ostatnią szansę. Miles podrapał się po głowie.

– Wychowywała się w Malmberget, mieszkała z rodzicami, którzy byli zagorzałymi komunistami – powiedział. Pogładził się po karku i ciągnął dalej. –

Sannie wydaje się, że ją kochali, ale byli tak zaangażowani w walkę polityczną, że zdarzało im się czasem o niej zapomnieć...

– Leży w szpitalu na Söder – przerwała mu.

– Słucham? – zdziwił się Miles.

– Wczoraj po pracy dorwał ją były facet. Jej stan jest ciężki – powiedziała i ruszyła z miejsca.

Miles próbował zrozumieć to, co usłyszał.

– Jak... jak on się nazywa? Ten były? – wydusił z siebie.

Finka stanęła i odwróciła się. Przez moment się wahała.

– Roger Lindgren – powiedziała. Stała jeszcze przez chwilę, trzymając się jedną ręką w talii. – Wszyscy jesteście małymi pieprzonymi pizdami – rzuciła z autentyczną odrazą, która odnosiła się do całego męskiego rodu.

Chciał zaprotestować i powiedzieć, że on taki nie jest. Ale miała rację.

Głośno stukając obcasami, minęła kotarę i weszła do klubu. Miles usłyszał perkusję z syntezatora i Samantha Fox zaczęła śpiewać *Touch me*. Kiedy dziewczyna, strzelając z bata, weszła na scenę, rozległy się pojedyncze oklaski.

Sanna była nieprzytomna. Doznała poważnych obrażeń. Miała złamaną szczękę, dolna część twarzy była zabandażowana. Jej oczy zrobiły się sinoczarne i tak spuchnięte, że nie mógł ich rozpoznać. Widział ślady zaschniętej krwi.

Coś mu mówiło, żeby stamtąd poszedł, coś innego kazało zostać i patrzeć.

Drugi głos zwyciężył.

Nie odrywając spojrzenia od Sanny, chwycił krzesło

i przysunął do brzegu jej łóżka. Jego oczy pozostały suche. Wszystko wydawało mu się suche i okropne.

Wokół syczała szpitalna aparatura. Miles chciał się pochylić i szepnąć Sannie do ucha, że jest przy niej i że nie wolno jej się poddać. Ale tego nie zrobił. Siedział tylko i się jej przyglądał, jakby ktoś go do tego zmusił. Jakaś wyższa siła. Siedź, patrz i czuj, Milesie Ingmarssonie.

Finka z klubu miała rację. Był małą pizdą.

Miles od zawsze chciał wierzyć, że jego niezaangażowane podejście do życia i otaczających go ludzi usprawiedliwiało go przed wszystkimi i za wszystko. Wyobrażał sobie, że jest człowiekiem pomiędzy, ani dobrym, ani złym, ani miłym, ani nieprzyjemnym. Chciał się bujać w przestrzeni i nie ponosić żadnej odpowiedzialności. Jak gdyby wmawiał sobie, że rzeczywistość, w której żyje, jest swego rodzaju mieszkanką przeciwieństw. I że balansując na ostrzu noża, będzie odporny na wszystko. Tak jednak nie było. Miles Ingmarsson nie był odporny na lęk przed śmiercią – świadczył o tym wypadek. Ani na miłość – o tym świadczyła Sanna. Ani na strach – pokazał to wczorajszy wieczór...

Ani na nienawiść – udowodnił to ten, kto pobił Sannę.

25

Moskwa

Michaił Asmarow schodził po ruchomych schodach na stacji metra. Jego potężna sylwetka poruszała się szybko, idąc, roztrącał przechodniów.

Za sobą miał czterech ludzi, kolejni byli prawdopodobnie w drodze. Utopił ich szefa w wannie w mieszkaniu kochanki. Sprawa była problematyczna, ocierała się o politykę. Robotę zlecił mu wolny strzelec powiązany z policją. Właśnie w ten sposób gliniarze zamawiali morderstwa. Michaił miał teraz na karku gang, a wkrótce będzie go również ścigać policja. Sypnęła go kochanka biznesmena. Pożałował, że uległ odruchowi miłosierdzia. Ją też powinien był utopić.

Pociąg metra stał na peronie. Zdąży? Usłyszał sygnał i głos maszynisty. Dał susa i tuż przed zamknięciem drzwi wskoczył do wagonu.

Kiedy pociąg ruszył, zobaczył, jak jego prześladowcy

zbiegają z ruchomych schodów. Ciężko dysząc, ruszył ku tyłowi i znalazł wolne miejsce. Usiadł. Każdy skurwysyn wiedział teraz, że jedzie tym pociągiem.

Metro, podskakując, sunęło pod ziemią. Przerwy w przepływie prądu sprawiały, że od czasu do czasu gasły światła. Michaił czuł na żebrach swój pistolet.

Na drugim końcu wagonu mała dziewczynka grała na skrzypcach. Brzmiało to pięknie, miała talent. Michaił rozejrzał się dookoła. Dzieci, dorośli i staruszkowie. Jeśli tu zostanie, dojdzie do masakry.

Pociąg ze zgrzytem zahamował na następnej stacji. Michaił wpatrywał się w ludzi migających mu przed oczami, szukając kogoś, kto mógł na niego czekać, ale nie był w stanie tego rozpoznać.

Otworzyły się drzwi, Michaił wmieszał się w tłum oczekujący na peronie. Klucząc między czterema ogromnymi filarami z marmuru, kierował się w stronę ruchomych schodów.

Na schody wiozące pasażerów w dół weszło dwóch mężczyzn. Jechali w jego stronę, wydawało się mu, że rozpoznaje jednego z nich. Wsunął dłoń pod kurtkę.

Kiedy byli na tej samej wysokości, jeden z mężczyzn

go dostrzegł. Michaił nie miał wątpliwości, że został rozpoznany. Wyciągnął pistolet z kabury i strzelił, trafiając mężczyznę w bok głowy. Potem się schylił.

Ludzie zaczęli krzyczeć i w panice zbiegać ze schodów. Napastnicy strzelali na oślep. Michaił z kucek spoglądał w górę schodów. Jeszcze chwila i dojedzie do końca. Zadzwoiła komórka, którą miał w kieszeni. Wyciągnął ją, zobaczył nieznany numer i odebrał.

– Tak? – warknął.

– Michaił?

– Tak.

Ruchome schody zbliżały się do góry.

– Tu Rüdiger.

– Poczekaj chwilę.

Michaił wstał, pokonał ostatnie stopnie i puścił się biegiem przez korytarz. Dotarł do wyjścia i wypadł na zewnątrz. Ruszył chodnikiem, trafił na otwartą bramę, przebiegł przez nią i znalazł się na podwórzu. Otaczały go domy, w górze dostrzegł kawałek nieba. Zatrzymał się, i ciężko dysząc, przystawił telefon do ucha.

– Tak?

– Tu Rüdiger.

- Już mówiłeś.
- Jesteś zajęty?
- Czego chcesz?
- Dzwoniła pielęgniarka.
- Kto? – wysapał Michaił.
- Kobieta Hectora Guzmana... Sophie... ze Szwecji.

Michaił złożył w głowie słowa Rüdigera w jedną całość i przypomniał sobie jej twarz. Pamiętał, że Sophie była piękna, dobra i miła. Po strzelaninie w Trasten znalazła się w tarapatach.

– I?

– Chodzi o dług, który przejąłeś po Klausie. Ona potrzebuje pomocy.

Klaus leżał na łożu śmierci, blady i chudy. Był pełen wyrzutów sumienia i tym podobnych bzdetów. Chciał się rozliczyć ze swoją przeszłością, zanim diabeł go do siebie weźmie, bo nikt, a zwłaszcza on sam, nie wątpił, że tak właśnie się stanie. Obietnica złożona Sophie była dla niego ważna. W krótkim czasie dwa razy uratowała mu życie, co najwyraźniej go poruszyło.

Klaus poprosił Michaiła o pomoc, a ten zgodził się przejąć dług wdzięczności w zamian za czterdzieści

tysięcy euro.

– W czym?

– Nie wiem.

– To będzie musiało poczekać, mam teraz co innego na głowie.

– Nie tak się umawialiście. Klaus wyraźnie to powiedział.

– Klaus jest teraz w pedalskim niebie pełnym nieletnich prawiczków i ma gdzieś ziemskie sprawy. A ja jestem zajęty. Przykro mi, ale nie w tej chwili.

– Dlaczego mówisz tak o Klausie? Obiecałeś mu. Poza tym dobrze ci zapłacił. Ta kobieta prosi o pomoc. Wypełnij zobowiązanie. Zrób, co należy. Takie było życzenie Klausea.

Rüdiger mówił monotonnie niczym nauczycielka. Michaił pomasaował swój byczy kark i rozejrzał się dookoła. Otaczały go budynki. Tej metafory nie można było nie zrozumieć. Był uwięziony w Moskwie. Im dłużej w niej zostanie, tym mocniej będą na niego napierały ściany.

– W porządku, skontaktuj się z nią – powiedział.

– Dziękuję, i bądź ostrożny.

Teraz w jego głosie pobrzmiewała matczyzna serdeczność. Michaił nienawidził tej gejowskiej troskliwości.

Minął podwórze i wyszedł na ulicę po drugiej stronie kwartału. Potem wrócił do metra. Przez jakiś czas nie powinni go tam szukać. Musi się wydostać z Moskwy niezauważony. To był jego pierwszy cel.

26

Villefranche

Aron stał na tarasie, spoglądając na morze i Cap Ferrat.

Elektroniczna brama na końcu ogrodu otworzyła się i na teren posesji wjechał siedmioosobowy jeep.

Aron opuścił taras i zszedł na dół, żeby spotkać się z gośćmi przy wejściu.

Pierwsza przysła Angela, prowadziła chłopców za rękę.

– Witajcie. Jestem Aron. Mieliście długą podróż?

Angela skinęła głową. Była wymizerowana. Niespokojna. Wyzuta z energii i siły.

Aron przywitał się z chłopcami. Uśmiechał się, próbując nadać całej sytuacji pozory normalności. Sonya przyszła mu na ratunek, wprowadzając Angelę i dzieci do domu.

Przed Aronem stanęli Leszek i Hasani. Dał im znak, że muszą natychmiast porozmawiać.

Mimo chłodu wybrali odosobniony stolik na tyłach domu. Raimunda przyniosła im termos z kawą i kubki. Aron i Leszek przyglądali się Hasanemu, gdy ten wrzucał do swojej kawy pięć kostek cukru i mieszał.

– Myślisz, że to prawda? – zapytał Aron.

Pytanie było skierowane do Leszka, który wzruszył teraz ramionami, jak zawsze ostrożny w wygłaszaniu opinii.

– Spójrzmy na to w ten sposób – powiedział po chwili.
– Dzwonisz do nas i każesz nam tu przyjechać, wszystkim oprócz Sophie. Ona nic o tym nie wie. Robimy, co każesz. Nagle zostaje zupełnie sama, przerażona, kto wie, może obawia się o własne życie. Ale nas zdradziła. Dlatego posuwa się do drastycznego kroku i mówi, że jej syn zniknął. Chce wzbudzić nasze zainteresowanie i sympatię.

Aron kiwnął głową. Ale Leszek nie skończył mówić.

– Taki tok rozumowania narzuca się jako pierwszy i najbardziej prawdopodobny. Choć może w tym, co mówi, kryje się prawda – dodał. – Żyłem obok niej. Nigdy nie kłamała, nie unikała nas, nigdy nie próbowała załatwić na boku własnych interesów. Zamiast tego robiła to, o co ją prosiliśmy. I to najlepiej, jak umiała.

– Odwiedziła Hankego w Monachium – powiedział Aron. – I przekazała nam fałszywe informacje po spotkaniu z Don Ignaciem i Alfonse'em. To nieprawdopodobne, żeby Albert zniknął dokładnie w chwili, kiedy ją zostawiliśmy.

Leszek opuścił głowę, on również doszedł do wniosku, który narzucał się sam.

– A ty, Hasani? – zapytał Aron.

Hasani mieszał łyżeczką w kubku.

– Nie znam jej. Na podstawie tego, co widziałem, nie mogę się wypowiadać. – Odłożył łyżeczkę. – Widziałem rozpacz w oczach chłopców, kiedy Eduardo zginął. Byłem gościem u Daphne i Thierry'ego, zanim zostali zamordowani. Jeśli ona miała z tym cokolwiek wspólnego, to... – Urwał, przyłożył kubek do ust i napił się słodkiej kawy.

Angela strzepnęła świeżo wymaglowane prześcieradło. Zanim opadło na materac, zawisło na chwilę w powietrzu.

Andres i Fabien spali już w łóżku obok. Okno było otwarte na oścież. Do Angeli docierały strzępki rozmowy mężczyzn. Pytania Arona, odpowiedzi Leszka, komentarze Hasaniego. W ich głosach słyszała wahanie. Mówili o Sophie i o zdradzie.

Angela zrozumiała, że jej życie też będzie tak wyglądało. Aron i reszta chcieli chronić ją i chłopców, ale była to tylko część prawdy. Wiedziała za dużo. Nawet jeśli zagrożenie minie, ich położenie niewiele się zmieni. Ona i chłopcy już zawsze będą żyli w swego rodzaju niewoli.

Wetknęła prześcieradło pod materac, obeszła łóżko i... przystanąła.

Hasani nie był już po jej stronie, tylko po ich. Może zawsze tak było, ale teraz zobaczyła to wyraźnie.

Tęskniła za mężem, chciała dalej żyć tak, jak postanowili... Zaczęła powlekać poduszkę.

– Śpią?

Odwróciła się.

W progu, przyglądając się śpiącym chłopcom, stała Sonya.

– Masz wszystko, czego ci potrzeba?

Angela uświadomiła sobie, że tuli poduszkę jak misia.

– Tak, dziękuję – powiedziała i skończyła nasuwać poszewkę.

Sonya już miała wyjść, kiedy dotarły do niej głosy mężczyzn. Na jej twarzy pojawił się niepokój. Podeszła do okna i spojrzała w dół. Potem zamknęła okno i zaczepiła haczyk.

– Słyszałaś, o czym rozmawiają?

– Nie, zamyśliłam się i nie słuchałam – odparła z dobrze udawanym uśmiechem.

Sonya już miała coś powiedzieć, ale w końcu zrezygnowała i wyszła.

Angela skończyła ścielić łóżko i opuściła ramiona.

Bała się. Powinna wydostać stąd siebie i chłopców. Powinna poszukać pomocy.

Wiedziała, do kogo zadzwoni.

27

Monachium

Łóżko, w którym obudził się Albert, było małe.

Rozejrzał się po pokoju. Ściany i sufit zostały wyłożone dźwiękoszczelną pianką. Brakowało okien.

Mebli było niewiele. Oprócz łóżka, w którym leżał, w pokoju był stół, a na podłodze stało krzesło.

Obok łóżka zobaczył swój wózek. Spojrzał do góry i spostrzegł metalową rurę i uchwyt na łańcuchu. Pomyśleli o wszystkim.

Ostatnie, co pamiętał, to że obudził się w samochodzie, a mężczyzna o dziwnych oczach znów go uśpił, tak jak w mieszkaniu przy Norr Mälarstrand. Mocno chwycił go za kark, a do ust i nosa przytknął ostro pachnącą chusteczkę. Albert zdążył tylko zobaczyć, że są w Niemczech.

Podniósł się z łóżka i dźwignął na wózek. W pokoju było dwoje drzwi. Jedne, bez klamki, wycięto w piance. Drugie były z drewna i prowadziły do małej, przystosowanej dla niepełnosprawnych łazienki z toaletą, umywalką i prysznicem.

Podjechał do drzwi wyciętych w piance. Bił w nie pięściami.

Zaczął krzyczeć. Jego krzyk zamienił się we wrzask,

ale nic się nie wydarzyło. Panowała kompletna cisza.

Mijały godziny. Brak okien, horyzontu i poczucia czasu niepokoiły go. Ten pokój był taki mały. Albert chciał się tylko dowiedzieć, gdzie jest, usłyszeć głos innego człowieka. Cokolwiek...

Zamknął oczy, próbował znaleźć w swoim wnętrzu spokojne miejsce. Nie potrafił, nie teraz, może później.

Godziny zlewały się ze sobą. Siedział na wózku w rogu pokoju i balansował między snem a jawą.

Nie docierały do niego prawie żadne dźwięki... Nagle usłyszał jakiś metaliczny odgłos. W pierwszej chwili wydawało mu się, że tylko go sobie wymyślił albo że było to echo jakiegoś snu. Ale nie mylił się, dźwięk rozlegał się pod ścianą przy podłodze, na ukos od niego. Brzmiało to tak, jakby ktoś coś przesuwał po małej żelaznej kracie.

Albert opadł na podłogę i nasłuchiwał, próbując zlokalizować źródło dźwięku. Oderwał kawałek pianki. Tuż nad ziemią zobaczył mały otwór wentylacyjny. Odgłos stał się wyraźniejszy. Albert przyłożył usta do otworu.

– Halo!

Zgrzytanie trwało dalej. Albert zawołał. Zrobiło się cicho. Potem usłyszał czyjś głos, dość oddalony. Ktoś coś

mówił po niemiecku. Albert nic nie zrozumiał.

– Kto tam jest? – zapytał po angielsku.

Sekunda ciszy. Potem odpowiedź w tym samym języku.

– Jestem Lothar. A ty kim jesteś?

Albert się rozluźnił. Głos innego człowieka trochę go uspokoił.

– Mam na imię Albert. Też jesteś zamknięty?

– Tak – odparł Lothar.

– Dlaczego się tu znaleźliśmy?

– Nie wiem. Skąd jesteś?

Albert miał wrażenie, że głos należy do młodego chłopaka, prawdopodobnie jego rówieśnika.

– Ze Szwecji, ze Sztokholmu. Mam szesnaście lat. A ty?

– Siedemnaście i jestem z Berlina.

Z głową przy otworze Albert zastanawiał się nad kolejnym pytaniem.

– Gdzie jesteśmy? – zapytał.

– Nie wiem, chyba na południu Niemiec, możliwe, że w Bawarii.

– Dlaczego tak myślisz?

– Wskazywałoby na to jedzenie, które mi podają.

– Kto?

– Nie wiem, oni, kimkolwiek są.

– Od dawna tu jesteś?

– Kilka dni, a ty?

– Niedawno się obudziłem. Widziałeś kogoś albo z kimś rozmawiałeś?

– Nie, wstawiają mi jedzenie do pokoju, kiedy śpię. Nikogo nie widziałem ani nic nie słyszałem.

– Jak to się stało, że tu trafiłeś?

– Zabili moją mamę – powiedział cicho Lothar.

Te słowa wszystko zmieniły. Krótka chwila rozmowy z Lotharem sprawiła, że Albert zapomniał o powadze sytuacji. Teraz wróciła mu świadomość położenia, w jakim się znajdował.

– Włamali się do nas do domu. Zabili mamę, mnie uśpili i przywieźli tutaj.

Albert siedział, patrząc przed siebie.

– Albert?

– Tak – wymamrotał.

– A ty jak się tu znalazłeś?

– Włamali się do naszego mieszkania. Uśpili mnie.

– Ktoś jeszcze był wtedy w domu?

– Moja mama.

W powietrzu zawisła ciężka cisza.

– Na pewno nic jej nie zrobili – powiedział Lothar.
Jego słowa nie brzmiały przekonująco.

28

Sztokholm

Antonia pracowała nad dwoma sprawami. To były odpady. Stare i zapomniane. Nie było czego badać, nigdy żaden podejrzany nie stanie przed sądem. Wszystkie ślady już dawno sprzątnięto lub przegapiono. Ale właśnie te sprawy zostały jej po wyjaśnieniu zabójstwa Conny’ego Blomberga.

Zadzwonił telefon.

– Tak?

– To ja, Jerry Karlsson.

– Witam, panie Karlsson – powiedziała, nie mając pojęcia, z kim rozmawia.

Odniosła wrażenie, że się tego domyślił.

– Kilka dni temu dzwoniła pani do mnie. Zajmuję się

schedami.

– Schedami?

– Majątkiem po zmarłych.

W głowie Antoni zapaliła się żarówka.

– Vinge?

– *Yes, my darling.*

– I coś pan dla mnie ma?

– *Yes, my darling.*

– Gdzie możemy się spotkać?

– W piwnicy mojego domu.

– Jest pan dewiantem?

Mężczyzna się zaśmiał.

– Nie, już nie.

Jerry Karlsson miał problemy z biodrem, utykał na prawą nogę i od kilku lat był na emeryturze. Jego jasne włosy były prawie żółte, a twarz zdobił duży krzywy nos. Kiedy szli betonowym piwnicznym korytarzem przy ulicy Metargatan, powiedział jej, że był sierżantem w gwardii przybocznej, a wcześniej bokserem wagi lekkiej. Był uprzejmy, pogodny i całkowicie normalny.

– Od jak dawna się pan tym zajmuje?

– Od kilku lat. Kupuję wszystko jak leci. Zazwyczaj od

razu komuś odsprzedają i co nieco zarabiam. Ale niektórzy nic nie mają. Ludzie w ogóle są biedni, zwłaszcza ci, którzy już nie żyją.

Ich kroki odbijały się echem.

– Wtedy magazynuję rzeczy nabyte przy różnych okazjach, czekam, aż uzbiera się tego więcej, i opycham komuś zawartość całego schowka. Jeżeli nie ma zainteresowania, oddaję raz do roku całe to barachło któremuś z dobroczynnych second-handów, na przykład Erikshjälpen. Miała pani szczęście, wkrótce pozbędę się tych starych rupieci, leżą tu od pół roku. Nie mają żadnej wartości.

Stanął przed metalowymi drzwiami i wyciągnął pęk kluczy godny woźnego.

– A ty kim jesteś, złotko? – zapytał, z wprawą odnajdując właściwy klucz.

– Nikim szczególnym, samotną policjantką, która niewiele z czegokolwiek rozumie.

Jerry otworzył zamek.

– Znam to. Nie pozostaje nic innego, jak tylko ciągnąć to dalej. Im będziesz starsza, tym mniej będziesz rozumiała.

Powiedział to bez uśmiechu, najwyraźniej nie żartował.

Otworzył drzwi i dał jej znać, że ma iść przodem.

Antonia weszła do środka. Jarzeniówki, zanim się zapaliły, przez chwilę buczały i migotały. Zobaczyła otynkowane ściany i liczne boksy zbudowane z drewnianych ram wyłożonych metalową siatką. Brakowało okien.

Były bokser wagi lekkiej, utykając, ruszył labiryntem schowków. W końcu zatrzymał się przed jednym z nich i wetknął kluczyk w kłódkę.

– Początkowo były tu dwa boksy, ale zlikwidowałem przepierzenie. Zapraszam – powiedział, otwierając drzwi.

Zajrzała do środka. Schowek miał jakieś trzy na cztery metry i był zawalony rzeczami od podłogi aż po sufit.

– Czy to wszystko należało do Vingego?

Jerry Karlsson zerknął na kartkę, na której miał coś zapisane.

– Nie, w tym schowku są rzeczy należące do trzech zmarłych, same drobiazgi, żadnych mebli.

– I część jest po Vingem?

Jerry znów spojrzał na kartkę.

– Tak to sobie zapisałem. Ale wszystko jest wymieszane i nie mam pojęcia, które rzeczy są jego.

Antonia przyjrzała się górze rupieci. Wypełnione po brzegi kartony i foliowe worki. Ubrania, książki, przybory, graty i duperele...

– Rozumiem. Mogę zaczynać?

Jerry Karlsson podniósł kciuk do góry i wyszedł.

Antonia zdusiła westchnienie i rozejrzała się dookoła.

Wyciągnęła jakiś duży karton. Damskie ubrania. Zamknęła pudło, usiadła na nim i zaczęła powoli przegrzebywać to, co miała przed sobą. Najpierw przejrzała książki. Ludzie czasem wsuwają coś między strony, na przykład banknoty albo kartki. To zajęcie było czasochłonne, cholernie nudne i wzbijało obłoki kurzu. Obmacała ubrania, ale tylko te męskie, sprawdziła, czy coś nie kryje się pośród zastawy i przyborów kuchennych. Potem przesunęła dwa oprawione plakaty, jeden z Ingo Johanssonem w rękawicach bokserskich i drugi, przedstawiający szympansa siedzącego na muszli klozetowej i trzymającego w zębach rolkę papieru toaletowego.

Za plakatami znalazła następne kartony z ubraniami,

książkami i pościelą.

Praca wymagała sporego wysiłku; nie ułatwiało jej też skryte przekonanie Antonii, że i tak niczego tu nie znajdzie.

Klamotów było w cholere i trochę. Mijały godziny.

Uderzyło ją, że nie widzi nic osobistego. Żadnych listów, notatek, zdjęć, pamiątek, które mówiłyby cokolwiek o tym, jakim człowiekiem był Lars Vinge. Miała wrażenie, że ktoś wszystko usunął.

Przejrzenie, centymetr po centymetrze, zawartości całego schowka zajęło Antonii pięć godzin. Była zmęczona, chciało jej się pić i sikać. Godziny pracy już dawno się skończyły. Zadzwoiła z komórki do Jerry'ego, który zaproponował jej, żeby skorzystała z jego kibelka.

Weszła na górę. Jerry poczęstował ją owocami i czymś do picia. Opowiedział jej, co robił w dzień zamachu na Olofa Palmego. Jak każdy, kto urodził się przed 1965 rokiem i komu trafiała się okazja do pogawędki ze śledczym. Potem Antonia wróciła do piwnicy i zaczęła od nowa przeszukiwać schowek, ostrożnie i metodycznie.

Jerry przyniósł jej termos z kawą i drożdżówkę ze sklepu, a potem znów zostawił ją samą.

Było dwadzieścia po jedenastej w nocy, kiedy

usłyszała cudowny dźwięk. Musiała przeoczyć ten kluczyk, gdy za pierwszym razem wywracała przednie kieszenie wszystkich spodni, jakie znalazła. Teraz postanowiła, że dokładnie przetrząśnie każdą sztukę ubrania. Kluczyk wypadł z tylnej kieszeni dżinsów. Antonia spostrzegła, jak błysnął w locie, a potem rozległ się piękny metaliczny brzęk, gdy uderzał o betonową podłogę. Dźwięk przywodził na myśl ton kamertonu, może A, w zaskakująco wysokiej oktawie.

Antonia spojrzała na klucz, schyliła się i go podniosła. Tak, nie myliła się. To był klucz do skrytki bankowej.

29

Sztokholm/Monachium

– Sophie, powiedz, czego potrzebujesz, a ja zobaczę, czy będę ci mógł pomóc. – Słowa Rüdigera, chłopaka Klause Köhlera, brzmiały dziwnie. Mówił jak pracownik banku, który chce opowiedzieć o funduszach emerytalnych. Potem jednak wyjaśnił jej, że Klaus chciał dotrzymać obietnicy, którą złożył jej pół roku wcześniej w restauracji Trasten.

Dlatego przed śmiercią scedował ją na Michaiła Asmarowa.

Sophie poczuła się niemal wzruszona.

– Czy Michaił wciąż pracuje dla Hankego? – zapytała.

– Po incydencie w Sztokholmie już nie. Od tamtego czasu jest wolnym strzelcem.

Sophie pokrótce przedstawiła Rüdigerowi całą sytuację. Opowiedziała, że jej syn zaginął i prawdopodobnie znajduje się w rękach Hankego, a ona potrzebuje wszelkiej możliwej pomocy, żeby go odnaleźć i przewieźć w bezpieczne miejsce.

– Jeżeli to Hanke go ma, powinniście zacząć poszukiwania na jego terenie, w Monachium. Powiem Michaiłowi, żeby się tam z wami spotkał.

Sophie i Jens odwiedzili zachodnie przedmieścia Sztokholmu. Pewien Grek o imieniu Sokrates sprzedawał tam niekoniecznie legalnie używane samochody. Jens rozejrzał się, posprawdzał bloki silników, kolor oleju i zużycie opon. Nie interesowało go nic więcej. Kupił audi, które miało więcej koni mechanicznych, niż mógł zliczyć.

Przed Sokratesem leżało fałszywe prawo jazdy i okazały plik gotówki. Był skory do śmiechu i nie przestawał opowiadać o swoim dzieciństwie na wyspie Kos.

Uścisnęli sobie ręce, Jens dostał do ręki kluczyki i wetknął je w stacyjkę. Silnik ryknął, jakby był żądny krwi.

Ruszyli na południe. Sophie oparła głowę o szybę, myśli przesłoniły jej pole widzenia. Samochód był dobrym miejscem na cichą zadumę. Ani jej, ani Jensowi to nie przeszkadzało.

– Obwiniasz się o to, co spotkało Alberta? – zapytał Jens, gdy przejechali kilkadziesiąt kilometrów.

Poczuła się tak, jakby zerwał plaster z niezagojonej rany.

– Nie – odpowiedziała krótko. Ale zdawkowa odpowiedź nie pomogła. Pytanie Jensa długo odbijało się w niej echem. Poczucie winy... – Kiedy Albert miał cztery lata, zachorował – powiedziała nagle.

Jens spojrzał na nią.

– Słucham?

– Byliśmy z nim na szkiecach, z dala od wszystkiego. Zatrzymaliśmy się w wynajętym domku. Żadnego telefonu, żadnych sąsiadów, tylko my i skalista wysepka. David pojechał do miasta, wziął łódkę, miał wrócić następnego dnia. Był koniec lata. Wieczorem Albert wpadł we wstrząs anafilaktyczny. Cały spuchł i przestał oddychać. –

Wspomnienie stało się wyraźniejsze. Sophie mówiła dalej. – Jego stan się pogorszył, zaczęłam go tracić. Polewałam Alberta zimną wodą, żeby go otrzeźwić, robiłam mu sztuczne oddychanie, wołałam. Siedziałam w ciemności, trzymając go w objęciach i wdmuchując powietrze w jego usta. Nic nie pomagało. Życie pomału z niego uchodziło, a ja nie mogłam nic zrobić. Był taki mały i bezbronny. Tuliłam go mocno, próbowałam ogrzać, nie chciałam, żeby zmarł, gdy będzie umierał. Bo wiedziałam, że umrze.

Za oknami samochodu przesuwał się krajobraz.

– Zaczęłam się modlić. Pierwszy i ostatni raz w życiu naprawdę się modliłam. Z głębi duszy modliłam się o pomoc. Obiecałam Bogu, że jeśli uratuje moje dziecko, poświęcę mu całe życie. Tak wtedy czułam i wiedziałam, co obiecuję. – Sophie zasłoniła dłonią oczy, potem ją

odsunęła i powiedziała: – Wtedy opuchlizna zniknęła. Alergia ustąpiła. Twarz Alberta odzyskała normalny kolor, zaczął oddychać i spokojnie spał w moich objęciach. – Myśli podsuwały jej obrazy. – Ale nie dotrzymałam słowa. Zapomniałam o obietnicy i żyłam tak, jak wcześniej, pochłaniał mnie nieuzasadniony niepokój i drobne zmartwienia dnia codziennego. Pół roku temu zadzwonili i powiedzieli, że Alberta potrącił samochód. I znowu się modliłam, nie tak jak wtedy, ale znów prosiłam o pomoc, żądałam jej. I po raz kolejny nadeszła, sama nie wiem skąd. Mimo że nie dotrzymałam słowa. Ale to był ostatni raz.

– Wierzysz w to? – zapytał Jens, obrzucając ją spojrzeniem.

– Tak – odpowiedziała cicho.

– Całkowicie?

– Nie, ale jakaś część mnie wierzy.

– Ta część, która chce pielęgnować poczucie winy?

Sophie spojrzała na niego. Jens prawie się uśmiechał.

Monachium by night. Zbliżali się do miasta od północnego zachodu i z daleka widzieli jego blask. Hotel leżał poza

centrum, kawałek od autostrady, w okolicy, w której nikt nie mieszkał i nic się nie działo.

Sophie i Jens podeszli razem do niskiego, drewnianego biurka recepcji. W rękach mieli niewielkie torby podróżne. Wyglądali, jakby byli tu przejazdem.

Jens ich meldował, a Sophie, korzystając z okazji, trochę się rozejrzała. W barze stało pianino. Siedział przy nim wesoły mężczyzna z dużym nosem. Właśnie grał *Do you know the way to San Jose*. W jego wykonaniu piosenka była trochę wolniejsza, spokojniejsza i miała nieco prostszy rytm na dwie czwarte.

W hotelu było kilka restauracji i drugi bar. Wszędzie kręciło się sporo ludzi. Kobiety i mężczyźni nosili plastikowe karty na paskach zawieszonych na szyjach. Gdzieś w pobliżu musiały odbywać się targi lub mieściła się hala kongresowa.

Kawałek dalej Sophie dostrzegła Michaiła Asmarowa. Siedział na jednej z kanap plecami do niej. Był wysoki, potężnie zbudowany, spokojny i nieruchomy.

Widząc go, Sophie poczuła radość. Choć widok Michaiła Asmarowa nie powinien budzić niczyjej radości. Był śmiertelnie niebezpiecznym, pozbawionym skrupułów

mordercą. Stanowił całkowite przeciwieństwo tego, w co sama wierzyła. Poczła jednak, że na jej ustach pojawił się delikatny uśmiech. Być może był jedynie wyrazem ulgi, że właśnie jego ma po swojej stronie albo że w ogóle ktokolwiek jest po jej stronie.

Jens stanął za nią i delikatnie położył jej dłoń na ramieniu.

– Chodźmy – powiedział cicho.

Ruszyli w stronę wind. Michaił zachował się tak, jakby miał oczy z tyłu głowy. Wstał, i nie podnosząc wzroku ani na nich nie patrząc, podszedł i stanął obok nich. Jens poczuł nagle w dłoni magnetyczną kartę do pokoju. Zwinnym ruchem wsunął ją do kieszeni.

Winda połyskiwała srebrno, muzyka była dyskretna. Korytarz na piątym piętrze pokrywała tłumiąca kroki ognioodporna wykładzina w kolorze ciemnej zieleni.

Weszli do pokoju Michaiła, na pościelonym łóżku leżała jego kurtka.

Po chwili drzwi się otworzyły i w progu stanął Michaił. Widok był zaskakujący. Mężczyzna wypełniał sobą prawie całą przestrzeń. Spojrzał na Sophie, spojrzął na Jensa. Nie mieli najmniejszych wątpliwości, że ich

rozpoznaje.

– Porozmawiamy? – zapytał.

Nawet gdy starał się mówić cicho, jego głos był dudniący.

Przeszedł przez pokój, wysunął krzesło spod biurka i gestem dał Sophie znać, żeby zajęła fotel. I tak był dla niego za ciasny. Jens stanął pod oknem, opierając się o parapet.

Michał usiadł z szeroko rozstawionymi kolanami i oparł na nich dłonie. Cały aż ociekał testosteronem.

– Wiem, że Hanke się ukrywa – powiedział. – Ze względów bezpieczeństwa bardzo rzadko pokazuje się razem z synem.

– Znasz któregoś z jego ludzi? – zapytał Jens.

– Możliwe.

– Możesz go zapytać?

– Nie.

Michał przyglądał się Sophie, jak gdyby próbował ją sobie lepiej przypomnieć.

– Sophie – mruknął.

Nie odpowiedziała.

Michał podrapał się kciukiem w brodę.

– Czy życie nie jest dla ciebie niesprawiedliwe?

Pytanie mogło się wydawać sarkastyczne. Ale zadał je Michaił. Nie było mowy o jakichkolwiek podtekstach. Sophie myślała przez chwilę. Przeanalizowała to pytanie kilkukrotnie i za każdym razem doszła do tego samego wniosku.

– Tak – odparła. – Życie jest dla mnie niesprawiedliwe.

Michaił świdrował ją wzrokiem. Sophie odniosła wrażenie, że zadał to pytanie, żeby ją sprawdzić. Sprawdzić jej szczerłość i nastawienie do całej sprawy. Może chciał się przekonać, czy była użalającą się nad sobą matką.

– Zmieniłaś się? – zapytał.

– To znaczy?

– Wyglądasz inaczej.

– No to pewnie tak jest.

Jego oczy przybrały na moment przyjazny wyraz, jak gdyby ją rozumiał. Potem odwrócił wzrok i wróciło jego dawne ponure ja. Wstał, podszedł do łóżka i z kieszeni leżącej na nim kurtki wyciągnął poskładaną mapę. Rozłożył ją na łóżku.

Mapa przedstawiała Monachium i okolice. Tu i tam pozaznaczano coś czarnym długopisem. Niektóre adresy zostały zakreślone, a w rogach mapy były narysowane strzałki, które pokazywały coś, co znajdowało się poza nią. Michaił oparł swój potężny palec wskazujący na centrum miasta.

– To są nieruchomości, które pamiętam z czasów, gdy pracowałem dla Ralpha Hankego. Niektóre z nich to biura, inne to mieszkania, część z nich to bezpieczne domy, niektóre są miejscami bez konkretnego przeznaczenia, a wiele z nich stoi pustych.

Sophie wskazała strzałki w rogach.

– Co one znaczą?

– To są trzy majątki. Posiadłości, domki letniskowe, myśliwskie albo zamki, nie wiem, jak je nazwać. –

Michaił zakaszlał kaszlem wysokociśnieniowca. – Są bardzo okazałe – dodał. – Leżą na uboczu i otaczają je rozległe tereny. – Spojrzał na Jensa i Sophie. – Ale Hanke ma tego więcej. Jego nieruchomości są rozrzucone po całym świecie.

– Tutaj zaczniemy – powiedział Jens.

– W porządku – odparł Michaił i zaczął się

zastanawiać nad planem działania. Wyglądało na to, że myślenie może boleć. Pocierał brew palcem wskazującym.

– Macie broń? – zapytał.

– Nie...

– A ludzi?

Pokręcili głowami.

Michaił uniósł brew.

– Ty i ja przeciw Hankemu, i to bez broni? – upewnił się.

Jens spojrział na Sophie, a potem na Michaiła.

– Tak – powiedział.

Sophie i Jens wrzucili torby do pokojów i zeszli do lobby, gdzie trafili w sam środek rozśpiewanego piekła. Pianista grał teraz *Strangers in the night* – piosenkę, która zachęcała wszystkich do nucenia. Sam też zaczął śpiewać. Zupełnie niepotrzebnie.

W barze zamówili coś do jedzenia.

– Dziękuję ci, Jens – powiedziała Sophie. – Dziękuję, że mi pomagasz.

Jens nic nie odpowiedział. Jadł.

– Czy mamy jakiś wybór? – zapytała.

Spojrzał na nią pytająco.

– Czy możemy zrobić to jakoś inaczej?

Jens pokręcił głową.

– Nie...

30

Sztokholm

Ktoś zadzwonił do drzwi. Było późno jak na wizytę w środku tygodnia. Antonia otuliła się szlafrokiem, wyszła do przedpokoju i otworzyła drzwi. Nie spodziewała się, że zobaczy za nimi Milesa Ingemarssona.

– Cześć – powiedziała zdziwiona.

– Cześć – odpowiedział.

Zapadła cisza.

– Masz chwilkę?

– Na co?

– Żeby pogadać.

– Pogadać?

– Tak.

– O czym?

Miles się zirytował.

– Wpuścisz mnie czy nie?

Antonia robiła herbatę. Miles siedział przy stole i spoglądał w ciemne okno.

– Masz okna na południe? – zapytał.

Antonia nasypała herbaty do zaparzacza. W pierwszej chwili nie usłyszała jego pytania, być może dlatego, że nie spodziewała się towarzyskiej gadki.

– Tak.

– Musi tu być ciepło, kiedy świeci słońce.

Antonia odwróciła się do niego. Miała dwa wyjścia – odpowiedzieć mu albo go zbyć. Najchętniej by go zbyła, powiedziała, żeby skończył pieprzyć. Ale z jakiegoś powodu tego nie zrobiła. Uspokoila się trochę i złagodniała.

– Tak, bywa tu gorąco, zwłaszcza latem.

Spojrzeli na siebie. Miles uśmiechnął się nieznacznie, być może z wdzięczności, że teraz, po tej krótkiej wymianie zdawkowych uwag, w jakimś sensie znaleźli się na tym samym poziomie.

Antonia postawiła na stole dwie filiżanki i dzbanek

z herbatą.

– Miles, co robisz w środku nocy w mojej kuchni?

Usiadła naprzeciwko niego.

– Nie jest wcale tak późno – odparł.

Nie miała zamiaru na to odpowiadać. Miles ważył słowa.

– Potrzebna mi twoja pomoc – powiedział.

– Do czego?

– Muszę znaleźć jednego gościa.

– Kogo?

– Byłego dziewczyny, którą znam.

– Dlaczego?

– To nie ma znaczenia – odparł.

– Ma.

Miles się zawahał.

– Kogoś pobił.

– Twoją znajomą?

– Tak – przyznał cicho.

– Mocno?

– Tak.

Antonia zobaczyła w nim wolę działania, szczerść i determinację. Cechy, których nigdy by się po nim nie

spodziewała.

– Rozumiem, że już próbowałeś go znaleźć?

– Mhm.

– I?

Miles wzruszył ramionami.

– Udało mi się ustalić jego nazwisko. Nic więcej.

– Więc w środku nocy przychodzisz do mnie, bo jestem śledczym?

– Nie jest jeszcze tak późno.

Antonia nie odpowiedziała.

– Dlaczego?

Zagryzł wargi i niepewnie rozejrzał się dookoła.

– Tylko ty wchodzisz w grę.

– Dlaczego?

– Bo jesteś policjantką.

Antonia prychnęła.

– A ty kim jesteś?

Unikał jej badawczego spojrzenia.

– Sama powiedziałaś, że nie jestem takim samym policjantem jak ty.

Antonia miała wrażenie, że Miles naprawdę tak uważa.

– A jak już go znajdziesz? – zapytała.

– Przekażesz go mnie.

Zmarszczyła czoło. Miles nawet nie mrugnął.

– Co z nim zrobisz?

– O to się nie martw – szepnął.

Już miała coś powiedzieć, ale Miles pokręcił głową i wbił w nią spojrzenie.

– O to się nie martw – powtórzył, tym razem głośniej.

Próbowała wyczuć, co ma na myśli. Miles Ingmarsson nie żartował. Miał cel i nikt nie był w stanie go powstrzymać.

– Nie przyszedłeś do mnie z pustymi rękoma, prawda?

– Nie...

– Czyli?

– Pomóż mi, a ja pomogę tobie.

– Słucham zatem.

– Chcesz poznać odpowiedzi w sprawie Trasten – powiedział.

– Co dla mnie masz?

– A co chciałabyś wiedzieć?

Z piersi Antoni zniknął ucisk. Ukryła radość.

– A co wiesz?

Odpowiedział z całkowitym spokojem.

– Nic. Wiem tyle co ty w chwili, kiedy mi przekazywałaś dochodzenie.

Prawie zdębiała.

– Naprawdę nic więcej nie wiesz?

– Tommy Jansson dał mi jasno do zrozumienia, że nie powinienem za bardzo się starać.

– Słucham?

– Nasi koledzy, Gunilla Strandberg i reszta, najwyraźniej się nie popisali. Tommy nie chce, żeby ich pamięć została splamiona.

– Tak powiedział?

– Tak.

– Wierzysz mu?

Miles wzruszył ramionami.

– A czy to ma jakieś znaczenie?

Antonia prychnęła ze zdumienia.

– Czy to ma znaczenie?!

Miles milczał.

Antonia próbowała zrozumieć siedzącego naprzeciwko niej mężczyznę. Bez powodzenia. Włała do swojej filiżanki odrobinę herbaty i przyjrzała się jej barwie. Napar już naciągnął, nalała sobie i Milesowi.

– Interesuje mnie nie tylko Trasten, Hector Guzman i tak dalej – oznajmiła.

– Co jeszcze?

– Nasi koledzy. Ci, którzy zajmowali się tą sprawą. Którzy teraz nie żyją. Których Tommy tak bardzo chce chronić.

– Dlaczego?

– Olej to.

Nie miał z tym problemu. Jak zawsze.

– Co cię interesuje? – zapytał.

– Lars Vinge.

– Już to mówiłaś.

– I teraz powtarzam.

– To było samobójstwo.

Wzruszyła ramionami.

– Mimo to zacznij od niego.

– Daj mi jakiś powód.

– Pewien ptaszek szepnął mi na ucho to nazwisko.

– Co ci jeszcze powiedział?

– Że lubi Indian.

– I gdzie jest teraz ten ptaszek?

– Nie żyje.

– Jak to?

Znów wzruszyła ramionami.

– Ptaszki umierają.

Miles uniósł jedną brew. Czekał na dalszy ciąg. Ale Antonia umilkła. Wypiła łyk herbaty, potem wstała i wyszła z kuchni.

Po chwili wróciła i usiadła.

– Naprawdę tu jesteś?

– Słucham?

– Naprawdę tu siedzisz?

Miles się zirytował.

– Jak mam odpowiedzieć na to pytanie?

Antonia westchnęła. Zdawała sobie sprawę, że gada od rzeczy. Zmieniła strategię.

– Czy ta pobita kobieta dużo dla ciebie znaczy?

– Tak – wymamrotał.

– Jak dużo?

Miles poskrobał się po głowie.

– Dużo.

Antonia czuła wahanie. Nieufność była niewątpliwie cechą jej charakteru. Choć z drugiej strony była nią również skłonność do ryzyka.

Postanowiła więc zaryzykować. Położyła na stole srebrny, płaski klucz i przesunęła go w stronę Milesa tak, że znalazł się między nimi.

– Do czego jest ten klucz? – zapytał Miles.

– Do skrytki bankowej.

– Czyjej?

– Vingego – odparła. – Jeśli dopisze nam szczęście...

Miles pochylił się do przodu i podniósł klucz.

– Gdzie go znalazłaś?

– W rzeczach po Vingem.

Przyjrzał się jej.

– Znasz nazwę banku?

– Nie.

– A numer skrytki?

– Nie.

Przez chwilę się zastanawiał.

– Vinge nie żyje od dawna. Jeśli zatem miał skrytkę w banku, na pewno została już opróżniona.

– Nie wydaje mi się.

– Dlaczego?

– Ponieważ ktoś usunął wszystkie informacje dotyczące jego finansów, majątku, długów i rzeczy, które po sobie

pozostawił.

– I co to znaczy?

– Ktoś nie chciał, żeby ujrzały światło dzienne.

– I co to znaczy?

– Że być może nadal tam są.

Miles podsunął kluczyk pod światło lampy na stole i uważnie mu się przyjrzał.

– To praktycznie niemożliwe.

– Nie wierzysz w siebie, prawda?

– Tylko idioci wierzą w siebie – odparł. – Ale mówisz serio?

– Pomóż mi otworzyć skrytkę Vingego, a ja pomogę ci odnaleźć tego faceta.

Miles przyjrzał jej się uważnie.

– A jeśli mi się nie uda?

Wzruszyła ramionami.

– Wtedy ja też go nie znajdę.

Za plecami Milesa rozległ się jakiś dźwięk. Odwrócił się i zobaczył dobrze zbudowanego mężczyznę w samych majtkach.

– Cześć – powiedział facet uprzejmym tonem, drapiąc się po brzuchu.

Jego ramiona, barki i klatka piersiowa świadczyły o tym, że dużo trenował, a brzuch zdradzał, że nie narzeka na brak apetytu.

Miles podniósł się i zobaczył, że gość nosi slipy. Sam miał podobne jako ośmiolatek.

– Jestem Ulf – powiedział mężczyzna z akcentem z Dalarny.

– Cześć Ulf – odparł Miles i wyszedł.

Gdy znalazł się na ulicy, zapalił papierosa i rzucił okiem na zegarek. Codziennie o tej samej porze odwiedzał po kryjomu Sannę. Ruszył pieszo przez miasto w stronę szpitala. Idąc, obracał w palcach kluczyk, który miał w kieszeni.

W szpitalu wszedł na oddział Sanny, schował się w korytarzu i zaczął nasłuchiwać.

Pielęgniarki, jak zawsze o tej porze, piły kawę w swoim pokoju. Miles zdjął buty i przemknął korytarzem do sali numer dziewięć. Ostrożnie otworzył drzwi i wślizgnął się do środka.

Światło było już zgaszone. Miles przysunął krzesło do łóżka, usiadł, zapalił lampkę i ustawił ją tak, żeby nie

świeciła na Sannę. Było wystarczająco jasno, żeby mógł ją widzieć. Siedząc obok niej, zawsze robił jedną jedyną rzecz – patrzył.

Po pięciu godzinach obudził się pochylony do przodu i zeszywniały. Słońce już wstało. Sanna wyglądała tak jak wcześniej. W kieszeni płaszcza miał szczoteczkę do zębów. Nad umywalką w jej łazience umył twarz i zęby. Tu był teraz jego dom.

Opuścił szpital i ruszył do pracy.

Przyszedł jako pierwszy. Gdy szedł korytarzem, jarzeniówki migwały blado.

Włączył komputer i wpisał swój dawny login z Wydziału do Walki z Przystępnością Gospodarczą.

Ekran na moment poczerniał, jak gdyby system czegoś szukał. Potem otworzyła się wewnętrzna strona wydziału. Zapomnieli usunąć go z systemu. Miles wiedział, gdzie szukać, bazy danych dawnego miejsca pracy znał jak własną kieszeń.

Wpisał numer osobowy Larsa Vingego, pojawiło się kilka stron danych. Większość z nich była bez znaczenia. Odnalazł właściwą stronę, tę z informacjami o transakcjach bankowych. Vinge miał konto, rachunek

oszczędnościowy w jakimś banku w dzielnicy Söder. Do konta była też przypisana skrytka. Bingo!

Czuł, jak spływa z niego napięcie. Poszło jak z płatka. Po chwili wróciły jednak wątpliwości. Zrozumiał, że nie ma się z czego cieszyć. Miał klucz do skrytki. I tyle. To za mało, żeby móc do niej zajrzeć. Skrytkę w banku można było otworzyć, gdy znało się jej numer, miało się klucz, dowód osobisty i potwierdzenie tożsamości wydane przez pracownika banku, który dysponował drugim kluczem.

31

Monachium

Sophie wyjrzała przez okno samochodu i zobaczyła, że Jens rozmawia z kimś w bramie po drugiej stronie ulicy.

Michaił siedział za kierownicą i żuł gumę.

Obserwowali nieruchomości w centrum miasta. Wszystkie były luksusowe i nieosiągalne. Ustalili następujący plan działania – zacząć powoli, działać ostrożnie, spokojnie sprawdzać listę posiadłości i niczego nie przegapić.

Jens wrócił. Otworzył drzwi auta i usiadł obok Michaiła, który natychmiast ruszył. Żadne z nich się nie odezwało. Mieli bolesną świadomość tego, że ich beznadziejne poszukiwania nic nie dały.

Lawirując między samochodami, skierowali się w stronę hotelu.

– Jest jeszcze jedno miejsce – powiedział Jens z namysłem.

– Jakie? – zapytała Sophie.

– Michaił, ty je znasz. Dom na przedmieściach.

– Jaki dom? – zapytał Michaił.

– Szeregowiec, latem przewiozłeś do niego broń, którą ukradłeś mi na Jutlandii. Byliście tam ty, Ralph i Christian.

Michaił przypomniał sobie dom, o którym mówił Jens, ale potrząsnął głową.

– On zawsze stoi pusty, to było nasze miejsce awaryjne.

– W jakim sensie?

– Miejsce awaryjne – powtórzył Michaił.

– Ale w jakim sensie?

Michaił spojrzał na Jensa wymownie, dając mu do zrozumienia, że nie powinien o to pytać.

– No w jakim? – powtórzył Jens, udając, że nie rozumie.

– Pamiętasz garaż i człowieka, który w nim był?

Jens pamiętał. W garażu na skrzyniach z jego bronią leżał mężczyzna z podciętym gardłem, zalany zakrzepłą krwią. Niczym wizytówka zostawiona przez Ralpha Hankego.

– To takie sprawy załatwialiśmy w tym domu.

– Sprawdźmy go – zaproponował Jens.

– Po co?

– W końcu jeździmy wszędzie – odparł.

Dom stał przy ulicy, na której poza podobnymi do niego szeregowcami nie było niczego innego. Został zbudowany w czasach, kiedy najwyraźniej nikt się niczym nie przejmował. To było miejsce, w którym ludzie musieli sobie radzić sami.

Obserwowali budynek z samochodu. W środku było ciemno, nikt się nie poruszał i nic się nie działo.

Jens wysiadł z auta. Przeciął wąską ulicę, podszedł do drzwi wejściowych i nacisnął kłamkę. Drzwi były zamknięte.

Michał westchnął.

– Chodźmy – mruknął do Sophie.

Weszli na teren posesji. Ruszyli w stronę garażu, Michał gwizdnął na Jensa. Potem tak długo szarpał drzwiami garażu, aż zamek puścił.

Rozległo się skrzypienie. Coś zazgrzytało. Kiedy kółka w końcu zablokowały się w płytkich zagłębieniach, zardzewiałe sprężyny zawiasów trzasnęły.

Zajrzeli do ciemnego pomieszczenia, pachniało stęchlizną i czymś butwiejącym. Garaż bez samochodów. Przeszukali go, ale niczego nie znaleźli...

Nieoświetlone piwniczne schody prowadziły w górę.

Korytarz na parterze był pusty i cichy. Jens i Michał sprawdzili kuchnię i dwa pozostałe pomieszczenia, a potem wszyscy razem ruszyli na piętro.

Wśród rozgrzebanej pościeli na łóżku leżał mężczyzna w spranych dżinsach i żółtym podkoszulku. Miał kręcone włosy, był brudny i nieogolony. Mógł pochodzić z południowej Europy albo północnej Afryki. Miał jakieś trzydzieści lat. Na podłodze obok łóżka stało mnóstwo świec, walały się łyżeczki, zapalniczki, dwie strzykawki, puszki po napojach i opakowania po słodyczach. Koło

jednej z nóg łóżka leżał stary, na wpół zardzewiały rewolwer. Michaił zrobił krok w przód, podniósł go i sprawdził bębenek. Był nabity. Rosjanin wsunął broń do kieszeni kurtki.

Stali, przyglądając się leżącemu mężczyźnie. Był nawalony jak stodoła po sianokosach. Miał zwolniony oddech i otwarte usta, z których spływała lepka ślina. Z jego gardła dochodziło schrypnięte rżenie. Wydawało się, że wszystko w tym mężczyźnie działa na zwolnionych obrotach, jego myśli i doznania przestały istnieć. I pewnie o to chodziło.

Sophie podeszła do niego, chwyciła jego rękę i zmierzyła puls. Był słaby, a skóra zimna w dotyku i wilgotna.

– Kto to jest? – zapytała Sophie.

– Nie wiem – odparł Michaił. – Pewnie jeden z chłopaków Hankego. Tych na wylocie.

– Na wylocie?

– To do niego podobne.

– Co?

– Ci z drugiej linii są prawie zawsze narkomanami.

– Dlaczego?

– Kiedy nie są mu już potrzebni, troszczy się o to, żeby przenieśli się na tamten świat. Zwiększa im dawki – powiedział Michaił, nie odrywając spojrzenia od mężczyzny. – Dzięki temu nie musi się zajmować ich usuwaniem. Sami odbierają sobie życie. Kiedy dla niego pracowałem, urządził tak kilku chłopaków. Mówi się, że w ten sam sposób pozbył się Sabine, matki Christiana.

Mężczyzna był w opłakanym stanie, choć jednocześnie przeżywał rozkosz. To był jego koniec. Umrze z przedawkowania, gdy serce osłabnie i stanie.

Michaił podrapał się pod nosem.

– Zaczekam tu, aż się obudzi – powiedział szeptem.

Jens zrozumiał, wziął Sophie pod rękę i sprowadził ją na dół.

Usiedli w milczeniu przy stole w kuchni. Ściany cicho trzeszczały. Za oknem z podwójnymi szybami od czasu do czasu przejeżdżał samochód.

Z góry dobiegały głuche odgłosy... Ktoś spokojnym tonem zadawał pytania, ktoś inny spokojnie odpowiadał. Po chwili jeden z głosów stał się wyższy. Głos Michaiła. Wydawał się zdenerwowany, zły i przestraszony. Michaił nie przestawał mówić, Sophie nie mogła zrozumieć słów,

docierały do niej przez ściany i sufit jako przytłumione dźwięki.

Potem usłyszeli uderzenie. Mocne uderzenie, po którym nastąpił tłumiony wrzask... okrzyk bólu zduszony czyjąś dłonią.

Spojrzała na Jensa, który spokojnie pokręcił głową.

Kolejne ciosy. Sufit nad nimi zaczął się trząść. Mężczyzna wrzeszczał z bólu.

Sophie poderwała się na nogi, ale Jens złapał ją za nadgarstek. Próbowwała mu się wyrwać, ale objął ją ramionami i mocno przytrzymał. Odgłosy bicia nie cichły. Jens trzymał Sophie jednocześnie mocno i czule. Uderzenia stały się szybsze i mocniejsze, wymierzone rytmicznie i metodycznie. Nagle wszystko ucichło.

Na schodach zadudniły ciężkie kroki Michaiła. Jens wypuścił Sophie z objęć.

Rosjanin wszedł do kuchni. Jego spojrzenie było puste.

– W jednym z majątków za miastem jest jakiś chłopak – oznajmił. – Nastolatek.

Michaił wyszedł z domu.

Sztokholm

Pralnia chemiczna Florida leżała na Rosenlundsgatan. Powietrze w środku było suche. Na obrotowym wieszaku wisiały okryte cienką folią sukienki i garnitury.

Antonia czekała przy ladzie. Radio grało ugrzeczniiony pop. Wokaliście wtórował kobiecy głos z zaplecza. Śpiewająca знаła cały tekst i trzymała tonację. Nieźle to brzmiało.

Antonia zadzwoniła barowym dzwonkiem. Piosenka ucichła.

W drzwiach do pralni stanęła Marianne. Wydawała się za stara na ugrzeczniiony pop. Miała sześćdziesiątkę na karku, ale wciąż była piękna. W swoim czasie była prawdziwą seksbombą.

– Witam panią komisarz – powiedziała z nutą pogardy w głosie.

– Czy to ty śpiewałaś, Marianne?

– Yes.

– Ładnie.

– Dzięki.

– Zaprosisz mnie na kawę? – zapytała Antonia.

– Nie – odparła Marianne. – Ale w kranie jest woda.

Wejdz, proszę.

Antonia przeszła na zaplecze, do małego aneksu kuchennego.

Marianne Grip była żoną Assara Gripa, sztokholmskiego mafiosa aktywnego w latach osiemdziesiątych, który potem zaginął bez śladu. Marianne próbowała utrzymać organizację przy życiu, głównie po to, żeby pomóc podwładnym. W jakiś dziwny sposób czuła się za nich odpowiedzialna, jakby była ich matką. Matką wszystkich drobnych przestępców...

Antonia poznała ją przez przypadek. Polubiła ją – z wzajemnością. Przemykała oczy na działalność Marianne i zostawiała ją w spokoju. Czasem w zamian prosiła o jakąś przysługę.

Marianne najwyraźniej nie żartowała, mówiąc o wodzie w kranie. Antonia dostała szklanekę.

Marianne usiadła. Wiedziała, że Antonia ma do niej jakiś interes, czekała więc spokojnie, aż policjantka zacznie mówić.

– Dwie sprawy – zaczęła Antonia.

– Jak zawsze.

– Po pierwsze, chodzi o pewną osobę, mężczyznę, mniej więcej trzydziestoletniego, który pobił swoją byłą dziewczynę – striptizerkę. Nazywa się Roger Lindgren. Szukałam go i jedyne, co znalazłam, to numer skrytki pocztowej.

Twarz Marianne nawet nie drgnęła, więc Antonia mówiła dalej.

– Będzie mi też potrzebny dowód nieżyjącego mężczyzny. Z nowym zdjęciem i starymi danymi.

– Masz jego prawo jazdy?

– Nie.

– A paszport albo jakiś inny dokument?

– Niestety nie.

Antonia wyjęła cztery zdjęcia Milesa Ingmarssona i podała je Marianne, która przez chwilę im się przyglądała.

– Do czego będzie użyty ten dowód? – zapytała.

– Nie musisz tego wiedzieć.

– Muszę.

– Dlaczego?

– Jeżeli ma zostać zeskanowany, będzie trudno. Ale

jeśli tylko okazany, sprawa będzie prostsza.

– Wydaje mi się, że tylko okazany.

– Wydaje?

– Tak.

– Czyli nie masz pewności?

– Nie.

Marianne odwróciła zdjęcia w stronę Antonii.

– Przystojny mężczyzna, nie uważasz?

– Nie.

Marianne uśmiechnęła się.

– Zawsze miło cię widzieć.

– Ciebie również.

– Jak się masz?

– Nie wiem, nie mam czasu o tym myśleć. A ty?

– Dobrze.

– A twoja córka, Ester?

– Też. Dobrze jej się wiedzie. Ojciec byłby z niej dumny. Czasem muszę się uszczypnąć w ramię, żeby się przekonać, że to prawda. Minęło trzydzieści lat, a my świetnie się ze sobą dogadujemy. Jest dla mnie wszystkim.

– Jak to zrobić? – zapytała Antonia.

– W relacji matka – córka?

– W każdej.

Marianne wzruszyła ramionami.

– Chyba po prostu trzeba być szczerym wobec samego siebie i wobec tych, których się kocha.

– I to wystarczy?

– Aż nadto.

– I to takie proste?

Marianne myślała przez chwilę.

– W praktyce nie.

– Czyli?

Marianne po raz kolejny wzruszyła ramionami.

– Nie mam pojęcia. A dlaczego pytasz? Masz problemy w związku?

– Nie.

– A ty w ogóle jesteś w jakimś związku?

– Powiedzmy.

– Z kim?

– Z kolegą z pracy.

Marianne machnęła zdjęciem Milesa.

– Tym tutaj?

– Nie, innym. Ma na imię Ulf.

– Mhm – mruknęła, kiwając głową. – Czyli jest jakiś

Ulf. I kim byś chciała dla niego być?

Antonia wzruszyła ramionami.

– A jaki on jest?

– Miły, inteligentny i boi się bliskości. Czyli podobny do mnie.

– Oczywiście tylko pod tym ostatnim względem – powiedziała Marianne.

– Oczywiście.

– Zaslugujesz na miłość. Jeśli ją spotkasz, nie uciekaj.

– Zgoda. A jak idą interesy? – zapytała Antonia.

– Nie mogę narzekać. Niejeden musi walczyć o przeżycie.

– To prawda.

– Co za cholerny kraj – powiedziała Marianne.

– Zależy, jak na to spojrzeć.

– Nie, ten kraj jest do dupy niezależnie od tego, jak na to patrzeć. Mamy rasistowski socjalizm i dobrobyt spod znaku nazizmu. Aż człowiekowi wstyd. Gdyby Assar żył, stłukłby tych wszystkich durnych rasistów na kwaśne jabłko. Nie żartuję! Nie znosił małostkowości i bezmyślności. A teraz ideę domu ludowego zaczęła trawić głupota. Tak nie może być.

Antonia czekała. Marianne taka już była, wściekła i dosadna. Mówiła o polityce z zaskakującym patosem i poczuciem sprawiedliwości, mimo że przez większą część życia łamała prawo. Paplała, nakręcając się własną gadką. Głędziła o pieprzonych socjalistach, którzy w latach siedemdziesiątych i osiemdziesiątych swoimi nieludzkimi podatkami zepchnęli ją i Assara na drogę przestępczą. O opóźnionych w rozwoju rasistowskich palantach z partii Szwedzkich Demokratów, kryptofaszystach z Partii Ludowej, zgorzkniałych komunistach, trzepniętych feministkach, ekologach srających na zielono i tak dalej.

Nim Marianne skończyła, minęło pięć minut. Prawie dostała zadyszki.

– Dziękuję za wodę – powiedziała Antonia, wstając.

Marianne ściągnęła usta, jak gdyby żałowała swojego wystąpienia.

– Nie ma za co.

Antonia wsunęła krzesło pod stół.

– Marianne, takie gadanie jest poniżej twojej godności. Stać cię na więcej.

Marianne zawstydziała się na chwilę.

– Chyba masz rację – westchnęła. – Nie wiem, dlaczego zawsze wybucham, gdy o czymś takim pomyślę.

Ta kobieta miała w sobie coś bardzo pociągającego.

– Damskiego boksera dostaniesz oczywiście za darmo – oznajmiła. – Za dowód będziesz musiała zapłacić, gotówką i przysługami.

Antonia zdjęła dłonie z oparcia krzesła.

– Jestem policjantką i żyję z policyjnej pensji.

Marianne wstała.

– Myślisz, że mnie to obchodzi? Przejdź na naszą stronę, masz naturalny talent.

Antonia uśmiechnęła się, słysząc ten komplement.

– Wiesz, co mawiał Assar? – zapytała Marianne.

– Tak – odparła Antonia.

– Chętnie posłucham.

– Kiedy zaczyna się burza, uważaj, żebyś się nie obrał.

– No właśnie.

– Ale to nie są słowa Assara – powiedziała Antonia. – Musiał je ukraść von Sydowowi, to była jego kwestia w jednym filmie...

Marianne wzruszyła ramionami.

– Możliwe, on wszystko kradł. A potem wydawało mu się, że to jego. Dlatego tak łatwo się z nim żyło.

33

Monachium

Christian Hanke znalazł swojego ojca i Rolanda Gentza w jednym z okazałych salonów w posiadłości. Siedzieli przy płonącym kominku pogrążeni w rozmowie. Kiedy wszedł do pokoju, spojrzeli w jego stronę.

– Nie powinniśmy przebywać razem – powiedział Ralph.

– Chrzanić to – odparł Christian.

– Co się stało? – zapytał Gentz.

– Jeden z naszych chłopaków został śmiertelnie pobity w jednym z bezpiecznych domów.

– Kto? Gdzie?

– Nie wiem, to nie ma znaczenia. Ale wygląda na to, że musimy zmienić lokalizację.

Na chwilę wszystko się zatrzymało.

– Myślisz, że są tutaj? – zapytał Ralph.

– Nie mamy pewności. Ale to plus porwanie Carlosa...

– Co proponujesz? – przerwał mu Gentz.

– Przenieśmy jednego z chłopców.

– Dokąd?

– Do Kolumbii, do Don Ignacia. Tam będziemy bezpieczni.

– My?

– Pojadę z nim – odparł Christian. – Wy również powinniście pomyśleć o swoim bezpieczeństwie.

– Weź Lothara – powiedział Ralph. – Syn Hectora jest ważniejszy. Niech Szwed tu zostanie.

– Właśnie jego chciałem zabrać – powiedział Christian.

Albert obudził się, kiedy para silnych ramion poderwała go z materaca, posadziła na wózku i wywiozła z pokoju.

Zdążył zobaczyć korytarz, drzwi do innych pokojów i przeszkloną wartownię.

Na dworze panowały całkowite ciemności. Próbował się rozejrzeć, ustalić, gdzie jest.

Ramiona podniosły go szorstko z wózka i wsadziły do czarnego minibusa, który czekał z otwartymi drzwiami. Mężczyzna, który wyrwał go ze snu, zniknął. Automatyczne drzwi zasunęły się gładko.

Był sam, chciał uciec z samochodu, wstać i pobiec. Wciąż jeszcze miał takie myśli, odruchy, może już zawsze miało tak być.

Otworzyły się drzwi od strony kierowcy i Albert zobaczył kontury jakiegoś mężczyzny, który usiadł za kierownicą. Po chwili odsunęły się tylne drzwi i do furgonetki wsiadło jeszcze dwóch pasażerów. Jednego z nich Albert znał.

– Ernst! – zawołał, czując niewyobrażalną ulgę.

Ale Ernst odwrócił wzrok i usiadł dwa rzędy przed Albertem, tuż za fotelem kierowcy.

– Nie wolno wam ze sobą rozmawiać – powiedział drugi mężczyzna, który zajął miejsce obok Alberta. Dzielili ich jedno siedzenie. – Nazywam się Christian.

Przesuwane drzwi zamknęły się i samochód ruszył.

– Przepraszam, że wszystko stało się tak szybko – dodał, zapinając pas.

– Ernst, czy moja mama żyje? – zapytał głośno Albert.

Ernst nawet nie drgnął, siedział i patrzył przed siebie.

– Ernst!

– Nie odzywaj się do niego – polecił Christian. –
A zwłaszcza po szwedzku.

– Ernst, odpowiadaj, do cholery! – wydarł się Albert.

– Nie wiem – westchnął Ernst.

– O czym rozmawiacie? – zapytał Christian po
angielsku.

– Gównu cię to obchodzi – odpowiedział mu Albert po
szwedzku.

– Ernst, o czym rozmawiacie? – powtórzył Christian.

– Chłopak pytał, czy jego matka żyje – wyjaśnił Ernst
po angielsku.

Christian zrozumiał, o co chodzi, i spojrzał na Alberta.

– Tak, twoja matka żyje. Zapnij pasy.

– Gdzie ona jest? – zapytał Albert.

Christian pochylił się, złapał pas Alberta i włożył go
w zatrask, który miał obok siebie.

– Nie wiem, gdzie jest twoja mama.

– Na pewno wiesz.

– Nie, nie wiem.

– A Ernst?

– On też nie wie.

Albert oparł głowę o boczną szybę. Jego mama żyła. Musiał w to wierzyć. Przeciągnął ręką po włosach. Napięcie, które czuł, zelżało. Po jego policzkach popłynęły łzy.

34

Sztokholm

Smak wymiocin przypomniiał mu, że wczoraj jadł ostrygi.

Było wpół do dziewiątej rano, a Tommy wisiał nad toaletą i rzygał jak kot.

Wczoraj wieczorem zasnął opity ginem na podłodze w piwnicy. Był jednak pewien, że to nie przez gin tak się czuł. Wiedział, ile może wypić. Wszystkiemu były winne ostrygi albo jakiś wirus. O tej porze roku łatwo złapać takie świństwo...

Zadzwonił telefon, który miał w kieszeni szlafroka. Dzwoniła Ann Margret.

– Wysłałam ci na maila zapis operacji komputerowych i listę słów wyszukiwanych przez Miller i Ingmarssona.

– Dziękuję ci, Ann Margret – wysapał.

Pociągnął za sznureczek i samotna żarówka rozbliżyła światłem. Usiadł przy biurku, włączył komputer i otworzył pocztę. Znalazł załączniki, o których mówiła Ann Margret. Wydrukował je i zaczął pobieżnie przeglądać frazy wyszukiwane przez Antonię zarówno w internecie, jak i w intranecie. Lista była długa. Antonia zajmowała się w pracy nie tylko sprawami służbowymi, lecz także prywatnymi. Przez internet kupowała książki i ubrania. Czytała internetowe wydania „Dagens Industri” i „Svenska Dagbladet”. Najwyraźniej lubiła wpisywać w wyszukiwarke każde pytanie, które przyszło jej do głowy. Grupy krwi? Jak się robi asfalt? Kto w Sztokholmie zajmuje się majątkiem po zmarłych? Ile osób było na Księżycu? Jak nazywał się drugi prezydent Stanów Zjednoczonych? Jak wygląda procedura przy otwieraniu skrzynki bankowej? Najlepsze narty slalomowe? Proste przepisy na dania z makaronem? Zabawki erotyczne dostępne w aptekach? Bibliografia Stephena Kinga?

Pytań było sporo. Tommy zaczął szukać nazwisk. Lars Vinge pojawiał się kilka razy. Zobaczył też kilka nazwisk,

których nie znał. Dlaczego Vinge? I dlaczego teraz?

Spojrzał na wydruk Milesa. Lista była dużo krótsza. Milesa interesowały dawne żaglowce, odzież męska z Jermyn Street w Londynie i przepisy kulinarne. Sprawdzał ceny różnych rzeczy. Na liście było mnóstwo nazwisk i różne nic nieznaczące pytania o skrytki bankowe i godziny otwarcia jakiejś restauracji. Potem kolejne nazwiska, żaglowce, tytoń i stare książki.

Tommy poczuł, że musi się napić. Wysunął dolną szufladę. Był tam jego powód do radości, wysoki i przezroczysty. Pokażna butelka ginu z przygranicznego niemieckiego sklepu. Wyjął ją i wypił kilka ostrożnych łyków, wystarczająco głębokich, żeby egzystencja straciła nieco ze swej szarości i odzyskała dawny kolor, zapamiętany z dzieciństwa.

Wrócił do czytania. Cały czas te cholerne żaglowce. Najwyraźniej powinny być stare, drewniane i długie. Wziął kolejny łyk ginu. Nazwy i nazwiska, jedno po drugim... Roger Lindgren. Herbie Hancock, *The Blue Note Years*.

Gdzieś z tyłu głowy Tommy'ego rozdzwonił się alarm. Cofnął się i sprawdził jedno z ostatnich nazwisk. Roger

Lindgren.

Sięgnął po listę Antonii. Przejechał po niej palcem. Zgadza się. Co za cholera? Tu też widniał Roger Lindgren.

Tommy znalazł długopis i na obu listach zakreślił nazwisko. Kim do cholery był Roger Lindgren? Wpisał go do swojego komputera, ale nie znalazł żadnych godnych uwagi informacji.

Położył obok siebie dwa zestawienia. Zaczął je uważnie i dokładnie porównywać. Zajęcie było czasochłonne, kosztowało go wiele wysiłku i wymagało pokaźnych ilości ginu. Ustalił, że obie listy łączą trzy punkty.

Roger Lindgren.

Lars Vinge.

Skrytki bankowe.

O kurwa...

Tommy zadzwonił do każdego opłacanego przez policję kapusia, którego znał. Pytał o Rogera Lindgrena.

Po czterech bezowocnych rozmowach z kryminalistami wreszcie czegoś się dowiedział.

– Jest jeden skurwiel z Trångsund, który tak się nazywa. Kawał chuja z niego, pichci amfę i leje baby.

- Gdzie go mogę znaleźć?
- Gdzie? A skąd ja to, kurwa, mogę wiedzieć?
- Możesz to dla mnie sprawdzić?
- Oddzwonię, jak coś będę miał.

Telefon odezwał się po dwudziestu minutach.

- Roger Lindgren posuwa jedną rozwódkę z Vasastan.

To jakaś działaczka kulturalna.

- Gdzie dokładnie mieszka?
- Przy Hagagatan...

35

Monachium

Sophie leżała na brzuchu i przez lornetkę obserwowała posiadłość, która znajdowała się jakieś czterysta, pięćset metrów dalej. Obok niej leżał Jens i robił zdjęcia aparatem z teleobiektywem.

Zobaczyła jakiś ruch. Kilku mężczyzn kręciło się przed głównym budynkiem z muru pruskiego. Dwór był stary, mniej więcej stu pięćdziesięcioletni, długi i szeroki. Niedawno został odnowiony, ale nie zmodernizowany.

Kawałek dalej znajdowała się stajnia z cegieł, a za nią rozciągały się pastwiska otoczone pomalowanym na biało ogrodzeniem. Tu i tam biegał jakiś samotny koń.

– Widzisz coś? – zapytał Jens.

Sophie spojrzała uważnie.

– Tak, przed budynkiem jest kilku mężczyzn.

– Są uzbrojeni?

– Nie widzę aż tak dobrze.

Jens odłożył aparat, na leżącej obok mapie zaznaczył ich pozycję, zapisał odległość od posiadłości, odwrócił się i spojrzał na słońce, po czym oznaczył jego położenie i dopisał godzinę.

Jego komórka zawibrowała. Podał ją Sophie i notował dalej.

Sophie przeczytała SMS-a.

– Zdaniem Michaiła w pozostałych posiadłościach niczego nie ma – oznajmiła.

– W takim razie to tutaj go trzymają – powiedział. – Chodź, wracamy.

Podniósł się i wyciągnął rękę do Sophie. Chwycała ją i stanęła na nogi. Ruszyli w stronę samochodu.

Sophie kilka razy obejrzała się za siebie.

Sztokholm

Facet w dzinsach i białym podkoszulku, który otworzył Tommy'emu drzwi w mieszkaniu przy Hagagatan, był naćpany i gapił się na niego szeroko otwartymi oczyma.

– Roger Lindgren? – zapytał Tommy.

– Kim jesteś?

Głos był zdecydowanie za wysoki jak na twardziela.

– Jestem gliną – odparł Tommy, mocno popychając Lindgrena do tyłu.

Ten o mało się nie przewrócił, ale wyglądał na rozbawionego, jakby oberwał już w życiu tak wiele razy, że przestał się tym przejmować.

Tommy wyjął z kabury służbowy pistolet, chwycił Lindgrena za dekolt, zaciągnął do dużego pokoju i siłą posadził na krześle.

– Kim jesteś? – zapytał.

– Przecież wiesz – pisnął Lindgren.

Tommy zdzielił go pistoletem w głowę.

Twarz Lindgrena wykrzywiła się z nienawiści i bólu.

– Kim jesteś? – powtórzył Tommy, wymierzając

Lindgrenowi kolejne uderzenie, tym razem w ucho i skroń.

– Na imię mam Roger i... powiedz, czego, kurwa, chcesz?

Trzymał się za ucho, w które właśnie oberwał. Spomiędzy jego palców sączyła się krew.

– Antonia Miller – powiedział Tommy.

– Kto?

– Antonia Miller. Kontaktowała się z tobą?

– Nie. Kto to, do cholery, jest? – zawył Lindgren, bojąc się kolejnego uderzenia. I słusznie. Tym razem dostał w dłoń, którą osłaniał ucho.

– Nie znam jej! – wrzasnął.

– Miles Ingmarsson.

Lindgren się zasłonił.

– Pierwsze słyszę.

Kolejny cios. W ciemię. Mocny jak cholera.

Lindgren osłaniał się przed następnymi uderzeniami. Nie było dobrze. Tommy miał wrażenie, że facet naprawdę nic nie wie.

Rozejrzał się dookoła.

– Mieszkasz tu? – zapytał.

– Tak, czasami.

– Ale główniana nora.

– Dziękuję...

– Dlaczego twój głos jest taki wysoki?

– Nie wiem, zawsze taki był.

– Masz coś wspólnego z Antonią Miller albo Milesem Ingmarssonem?

– W ogóle ich nie znam.

Tommy się zirytował.

Pociągnął nosem. Poczł jakiś ostry, chemiczny zapach.

– Co tak pachnie? – zapytał.

– Nic.

Tommy rzucił Lindgrenowi zmęczone spojrzenie.

– Kurewsko głupia odpowiedź.

Pociągnął Lindgrena do góry i popchnął przed sobą, przyciskając mu broń do pleców.

Podeszli do zamkniętych drzwi.

– Otwieraj – polecił Tommy.

Lindgren zaprotestował. Tommy dźgnął go mocno lufą w plecy i Lindgren dał się przekonać.

Za drzwiami wisiała kotara z plastiku. Kiedy Tommy ją odsunął, zobaczył kuchnię. Zapach chemikaliów stał się wyraźniejszy. Okna pomieszczenia były zaciemnione,

ustawiono w nim lampy promiennikowe i niezbędne wyposażenie. Miał przed sobą laboratorium narkotykowe w wersji *de luxe*.

– Nie mam pojęcia, skąd to się tu wzięło – oznajmił Lindgren bez przekonania.

– Rozumiem – odparł Tommy. – W końcu to twoja kuchnia, więc skąd, do cholery, miałbyś wiedzieć.

– To nie moja kuchnia.

– A czyja?

– Dziewczyny, z którą mieszkam.

– Kobietom nie można ufać – powiedział Tommy.

– No właśnie – zgodził się Lindgren.

– Ale gdybyś miał obstawiać... amfa?

– Trochę tak to wygląda.

Tommy zastanawiał się przez chwilę.

– Czy to dlatego? – zapytał, głośno myśląc.

– Co?

Tommy odrzucił jakąś myśl.

– Nie, nic. Zrobimy tak, Lindgren. Za to, co tu widzę, można dostać parę ładnych lat, więc zadzwonisz do mnie, jak tylko skontaktuje się z tobą Miles Ingmarsson albo Antonia Miller.

Lindgren zapamiętałe kiwał głową.

– Chyba rozumiesz, ile ja mogę? – zapytał Tommy, drapiąc się po policzku lufą pistoletu.

Lindgren nie przestawał kiwać głową.

37

Monachium

Michaił siedział przy małym biurku w swoim pokoju hotelowym. Przed nim na blacie leżały: gwintownica, taśma termoizolacyjna, stalowa linka i sześć nabojów.

Do lufy rewolweru przykręcał własnoręcznie wykonany tłumik. Gwint niezupełnie pasował do broni, która wcześniej należała do narkomana z szeregowca. Michaił trochę się namęczył, ale w końcu tłumik znalazł się na swoim miejscu.

Podniósł broń i zważył ją w dłoni.

– Będę musiał podejść blisko – mruknął do Jensa, który przeglądał zdjęcia w aparacie.

– Powinniśmy się skierować w stronę głównego wejścia.

Sophie obserwowała obu mężczyzn. Omawiali sprawy praktyczne. Czasem się z czegoś śmiali. Nie decydowało o tym poczucie humoru, tylko poczucie wykluczenia. Wrażenie, że są gdzieś obok prawdziwego świata. Ale to miejsce istniało tylko w ich wyobraźni. Byli przekonani, że w prawdziwym świecie wszystko wygląda inaczej. Dzięki temu mogli z niego szydzić, wyśmiewać go i obwiniać o różne błędy i niedociągnięcia. Ta odrealniona rzeczywistość, w której się znajdowali, nie dawała im bowiem najmniejszych powodów do śmiechu.

Sophie zostawiła ich i poszła do swojego pokoju. Usiadła na łóżku i czekała.

Po dwóch godzinach podniosła słuchawkę i wybrała numer pokoju Jensa. Odebrał po drugim sygnale.

– Słucham.

– To ja.

Odpowiedziała jej cisza.

– Chcesz do mnie przyjść?

– Tak.

Przeszła boso korytarzem. Jens czekał na nią w otwartych drzwiach.

Całowali się na stojąco, a Jens zdejmował z niej

ubranie. Był delikatny, pamiętała, że w młodości też taki był. Nie zapomniała jego czułości. Wtedy ją zdziwiła. Jego łagodność i ostrożność w połączeniu z emocjonalną pewnością siebie sprawiały, że chwile, które spędzali razem, były wyjątkowe. Tak było wtedy. Teraz tego nie lubiła. Wydawało jej się to natarczywe i krępujące, może zbyt ciepłe i osobiste. To nie czułości pragnęła.

Usiadła na nim okrakiem. Pojękiwała, Jens szeptał jej do ucha, potem odwrócił ją plecami do siebie. Jej paznokcie wbijały mu się w skórę.

Odetchnęli, przytuleni. Sophie go pogłaskała. Potem wróciła do swojego pokoju i siedziała w ciemnościach, bojąc się tego, co się miało zdarzyć.

Budzik zadzwonił o trzeciej.

Poszła do łazienki i umyła zęby. Szczoteczka szurała monotennie, lampa świeciła bladym światłem. Wymyła ręce lodowatą wodą, długo trzymała je pod strumieniem, nie czując bólu.

Związała włosy w kitkę, włożyła kurtkę i szczelnie ją zapięła. Wyszła z pokoju i zjechała do garażu. W windzie była całkiem sama.

Jens i Michaił czekali na nią przy samochodzie. Mieli

na sobie czarne, obcisłe ubrania.

Wsiadła do tyłu. Wyjechali z garażu. W powietrzu czuć było wilgoć, a światła ulicznych latarni odbijały się w kroplach wody na przedniej szybie jak rozpromienione słońca. Wycieraczki przywróciły światu ostrość.

Jens odwrócił się do tyłu.

– Udało ci się przespać?

Sophie pokręciła głową.

– Nie.

Michaił wjechał na drogę prowadzącą za miasto.

Przez pole przeszli gęsiego. Świecił księżyc, a mgła otulała wszystko niczym kołdra.

Przed nimi wyrósł las. Nieruchomy, cichy, ciemny i groźny. Weszli między drzewa, wszystkie dźwięki niosły się daleko.

Zatrzymali się na niewielkiej polanie i nadsłuchiwali dziwnie brzmiących odgłosów.

Michaił wskazał najpierw na siebie, a potem na budynek, którego zewnętrzne światła były słabo widoczne z miejsca, gdzie stali. Rosjanin ruszył w drogę. W dłoni trzymał pistolet z tłumikiem domowej roboty.

Oczy Jensa błyszcząły. Sophie widziała, że dobrze się

bawi. Czuł zdenerwowanie, strach i niepokój. Ale to była znajoma sytuacja. Był w swoim żywiole.

Spojrzał na zegarek.

– Niedługo się zobaczymy – powiedział i odszedł, niczym żołnierz udający się na wojnę, którym zresztą był, z tą jedną różnicą, że nie miał przy sobie żadnej broni.

Nie odwrócił się ani razu.

Sophie przeszła przez las do miejsca, w którym miała czekać. Była niedaleko zabudowań. Nawet gdy położyła się na brzuchu, i tak widziała budynek mieszkalny i jego najbliższe otoczenie. Patrzyła, jak Jens podkrada się do stodoły i wchodzi do środka. Poszukała wzrokiem Michaiła, ale go nie dostrzegła. Upłynęło kilka minut, nic się nie działo, wydawało się, że w posiadłości nie ma żywej duszy.

Być może gdzieś tam był Albert. Chciała wstać, pójść po niego, zabrać go do Sztokholmu, zamknąć się z nim w domu...

Gdzieś daleko ktoś się poruszył. Michaił. Stał plecami do niej, schowany za drzewem, w opuszczonej ręce trzymał pistolet.

Podbiegł do budynku mieszkalnego, wszedł na werandę i przykucnął pod jednym z okien. Po chwili zjawił się Jens i kucnął obok niego. Z kieszeni kurtek wyjęli narzędzia. Podnieśli się i przystąpili do roboty. Pracowali cicho, sprawnie i metodycznie. Szybko zdjęli z zawiasów okno i postawili je pod ścianą.

Michaił wskoczył do środka jako pierwszy, a Jens tuż za nim. Straciła ich z oczu. Usłyszała trzy przypominające pokasływania dźwięki. Minęły trzy sekundy i seria wystrzałów się powtórzyła.

Cisza, która po nich zapadła, wydawała się dziwna. Sophie czekała.

Może nie żyli? Może ludzie Hankego na nich czekali?

W drzwiach wejściowych ukazała się czyjaś sylwetka.

To był Michaił. Dał jej znak ręką.

Sophie weszła do dużego holu z ciemnego drewna. Pod sufitem wisiał ogromny drewniany żyrandol, na górę prowadziły szerokie schody. Leżał na nich martwy mężczyzna. Jego twarz i klatka piersiowa były zalane krwią. Nieco dalej w holu Sophie dostrzegła kolejne zwłoki.

Czekała. Na schodach pojawił się Jens z niewielkim karabinem maszynowym. Michaił wybiegł z salonu. Swój pistolet zamienił na karabin podobny do tego, który miał teraz Jens.

– Na górze pusto – powiedział Jens.

– Tu też – mruknął Rosjanin.

– Piwnica – rzuciła Sophie i ruszyła w stronę uchylonych drzwi, za którymi znajdowały się schody w dół.

W piwnicy było tylko jedno pomieszczenie. Miało ściany z otynkowanego betonu i powierzchnię mniej więcej stu metrów kwadratowych. Na jego środku wznosiła się betonowa konstrukcja. Przypominała dom w domu. Była pozbawiona okien, wzmocniona prętami zbrojeniowymi i wyposażona w stalowe drzwi.

Przyglądali się dziwnej budowli.

– Co to jest? – zapytała Sophie.

– Schron – odparł Michaił.

– Ktoś tam jest?

Michaił nie odpowiedział.

– Uda się nam wejść do środka?

– Nie.

– Nie ma żadnego sposobu?

Michaił nie chciał się powtarzać.

Kamery zamontowane pod sufitem były zwrócone w ich stronę.

– Nie podoba mi się to – mruknął Jens. – Jesteśmy tu uwięzieni.

Ale Sophie go nie słuchała. Podeszła do stalowych drzwi i zapukała. Rozległ się głuchy odgłos. Potem trzy razy walnęła w nie pięścią i chwilę poczekała. Nic. Zaczęła walić w drzwi z całej siły, wykrzykując imię syna.

Nagle poczuła na ramieniu czyjąś dłoń.

– Musimy już iść, Sophie – powiedział Jens.

– Nie, poczekajmy, aż ktoś stamtąd wyjdzie.

– Musimy iść.

W jego głosie słychać było zdenerwowanie.

– Zgadzam się z Jensem – powiedział Michaił. – Nie możemy tu zostać.

Obaj mężczyźni zaczęli się wycofywać.

Sophie wolałaby zostać, ale wiedziała, że mają rację. Zrobiła kilka niepewnych kroków do tyłu, potem się odwróciła i poszła za nimi.

Szybko wybiegli na zewnątrz, zatopili się

w ciemnościach i tą samą drogą, którą przyszli, ruszyli w stronę lasu. Sophie przystanęła w połowie drogi i obejrzała się za siebie. Gdzieś daleko za głównym budynkiem coś niewyraźnie świeciło we mgle. Można było rozróżnić kontury niedużego domu.

– Co to jest? – zapytała.

Michaił i Jens spojrzeli we wskazanym przez nią kierunku.

– Udało nam się ich zaskoczyć, prawda? – zapytała. – Sprawdźmy każde miejsce. Tak jak się umawialiśmy – dodała błagalnym tonem.

Znajdowali się na otwartym terenie między głównym budynkiem a niewielkim domem. Jens i Michaił szli po obu stronach Sophie, żeby ją osłaniać. Szybko posuwali się do przodu.

Teraz lepiej widzieli domek. Był zbudowany z cegły i znajdował się przy wyjeździe z posiadłości.

W środku paliło się światło. Drzwi były uchylone, a przed wejściem stał samochód z włączonym silnikiem...

Zatrzymali się jakieś pięćdziesiąt metrów od niego. Jens kucnął i przyłożył karabin do ramienia.

– Widzę w środku dwie osoby – powiedział.

Michaił w ogóle go nie słuchał. Zaczął strzelać, celując w okna. Potem puścił się biegiem w stronę domu, cały czas strzelając.

– Schowaj się za mną – krzyknął Jens do Sophie.

Strzelił w kierunku samochodu i podziurawił tylne koła. Potem zaczął ostrzeliwać dom, żeby osłonić biegnącego Michaiła. Rozległ się odgłos tłuczonego szkła.

Michaił wbiegł do domu. Usłyszeli, jak wrzeszczy i miota przekleństwa. Potem zobaczyli dwóch mężczyzn potulnie wychodzących na zewnątrz. Michaił zmusił ich, żeby położyli się obok samochodu, i plastikowymi opaskami związał im ręce na plecach.

Sophie i Jens podbiegli do niego.

– Sprawdźcie, co jest w środku – polecił Michaił.

Jens wszedł jako pierwszy, Sophie tuż za nim.

Najpierw zobaczyli coś w rodzaju przeszklonej budki wartownika. Większość szyb leżała teraz na ziemi. Na lewo była kuchnia. Poczuli zapach jedzenia. Dalej znajdowały się cztery pomieszczenia wyposażone w solidne drzwi antywłamaniowe. Troje z nich było otwartych.

Jens przeszukał pokoje. Były dźwiękoszczelne i pozbawione okien. W każdym z nich stały łóżko, stół i krzesło. To były cele. Sophie nacisnęła klamkę czwartych drzwi. Zamknięte.

– Michaił, klucze! – zawołała.

Na moment zapadła cisza. Potem Michaił wszedł do środka i podał Sophie klucz. Włożyła go do zamka, przekręciła i otworzyła drzwi.

W jednym z rogów pokoju zobaczyła skulonego nastolatka.

Nie był to Albert, tylko jakiś inny chłopak.

Ziemia zakołysała się jej pod stopami.

– Nie – szepnęła. – Nie, nie, nie...

Zaczęła się cofać. Nogi ugięły się pod nią. Opadła na podłogę.

Rozpłakała się. Płacz był dziwny, niski i zwierzęcy. Do niczego niepodobny. Brzmiał, jakby dochodził z brzucha.

Michaił spojrział na nią, a potem podszedł i ją podniósł. Jens wziął na ręce chłopca.

Cała czwórka opuściła wartownię.

Sztokholm

Tommy nie mógł się zdecydować. Wypił trochę ginu i podjął decyzję. Zadzwoił do Ovego Czarnucha, nie znał drugiego takiego skurwiela.

– Wskoczmy razem na lunch? – zapytał.

– Okej – odparł Ove.

Tommy wyszedł do ogrodu i uklęknął za szopą, w miejscu, do którego nigdy nie docierały promienie słońca. Rozkład następował tutaj wolniej, pachniało wilgocią i martwą materią organiczną. Wszędzie wały się stare liście, możliwe, że leżały tu od ubiegłego roku. Nie mogły się rozłożyć. Były pozbawione chlorofilu, brązowe i brzydkie.

Tommy zaczął kopać niewielkim szpadlem. Grunt był na wpół zmarznięty i musiał się nieźle namęczyć, żeby dotrzeć do głębokości trzydziestu centymetrów. W końcu uderzył szpadlem w puszkę po ciastkach. Zaczął rozgrzebywać ziemię rękoma. Wyjął puszkę, objął ramieniem i spróbował podważyć paznokciami wieczko z jednej strony. Odskoczyło. W środku leżały ciasno

upakowane banknoty. Euro. Lubił tę walutę, podobało mu się, że musi dodawać jeszcze jedno zero, kiedy w myślach przelicza je na szwedzkie korony. Dwadzieścia tysięcy euro zwinięte w zgrabny i ciężki rulon. Tommy wetknął go do kieszeni.

Jechał autostradą w stronę centrum miasta. Silnik służbowego samochodu pracował równo i niemrawo. Kilkoro bachorów siedzących w saabie, który go wyprzedził, machało do niego i bezgłośnie wołało „hej”.

Tommy siedział pochylony do przodu ze wzrokiem utkwionym w drodze.

Ove Czarnuch był wysoki, szeroki w barach i urodziwy, jak każdy Mulat. Uśmiechał się szeroko, błyskając białymi zębami. Jego oczy promieniowały ciepłem, ale serce było zimne jak prastary lądolód. Szedł w stronę Tommy’ego, lawirując między stolikami.

– Mister Jansson – powiedział.

– Czarnuch – wyszeptał Tommy.

Ove wysunął sobie krzesło, usiadł, spojrzał Tommy’emu w oczy i czekał. Wyraz jego twarzy świadczył

o tym, że widok Tommy'ego odświeżył mu pamięć.

– Tommy... – szepnął, otrząsnął się ze wspomnień i sięgnął po kartę. – Z przystawkami?

– Tylko danie główne – odparł Tommy.

Ove przerzucił stronę w karcie.

– Dziś mam chyba ochotę na kurczaka – powiedział szeptem Ove.

Tak naprawdę Ove nosił nazwisko Ledin, które dostał po matce. Jego ojciec, Leroy Clark, był Amerykaninem i dezercerem z Wietnamu. Do Sztokholmu przyjechał w 1971 roku i sfiksowane pacyfistki powitały go jak bohatera. W gruncie rzeczy Leroy najbardziej lubił ćpać, posuwać Szwedki, a z biegiem czasu również spuszczać manto matce Owego, Kerstin. Dziewczyna przeszła załamanie nerwowe i nie była w stanie opiekować się malcem, którego szybko umieszczono w rodzinie zastępczej w Fisksätra.

Ojciec Owego zmarł w 1975 roku po przedawkowaniu w jednej z toalet na głównej stacji sztokholmskiego metra. Miał na sobie utyłaną, poklejoną taśmą puchową kurtkę. Pilnował go agresywny owczarek niemiecki o imieniu Hero, który nie chciał dopuścić do swojego pana

sanitariuszy. Psa uśpiono, ciało Clarka skremowano, a kurtkę wyrzucono.

Nikt nie przejął się śmiercią Leroya, a już na pewno nie Ove. Dorastał bez ojca, bez matki, bez miłości i uwagi. Prześladowany w szkole, otrzymał przydomek Czarnuch.

Zachował je i zamienił w przydomek. Czasem podawał go niektórym starannie wybranym osobom, jakby chcąc im powiedzieć: „Możecie mówić i robić, co wam się podoba, ja i tak wszystko zniosę”.

Jedną z tych osób był Tommy Jansson, którego Ove przed kilkoma laty obdarzył tą szczególną formą zaufania. Zaufania, którego Tommy wcale nie pragnął.

Ove podniósł wzrok znad karty.

– Wyglądasz na wykończonego, Tommy – powiedział.

– Zamknij się – mruknął Tommy, nie odrywając oczu od karty.

– Jestem cholernie ciekawy, co się stało. Skąd ta zmiana... To fascynujące.

Tommy udawał, że czyta.

– Co jest fascynujące? – wymamrotał.

– Ty... Zawsze był z ciebie morowy chłop, prawda?

Gliniarz, uczciwy i rozmowny.

Tommy milczał, obsesyjnie skupiony na karcie.

– Coś się stało, prawda? Chodzi o twoją starą? Słyszałem, że ma już z górki.

Tommy nie odpowiedział. Ove ściągnął usta, udając zamyślenie.

– Nie, to musi być coś innego – ciągnął po chwili. – Rozpacz inaczej by na ciebie podziałała. Szukałbyś samotności, chodziłbyś skołowany i pijany. Wprawdzie teraz też pijesz, ale chodzi o coś innego. Domyślam się, że zaraz mi powiesz o co.

– Tak sądzisz?

– Skontaktowałeś się ze mną. I widzę, że się zmieniłeś. Jeżeli poprosisz mnie o przysługę, dowiem się dlaczego. Jeśli chcesz, żebyśmy kogoś sypnęli... odejdę stąd z pustymi rękami.

– Wygląda na to, że wszystko wiesz – mruknął Tommy pod nosem.

– To prawda.

Tommy zapomniał, jak wyglądały spotkania z Ovem. Czarnuch zawsze miał nad nim przewagę.

Podszedł do nich wesolutki kelner. Zamawiając kurczaka, Ove udawał równie rozradowanego. Tommy

kiwnął głową na znak, że weźmie to samo.

– I trochę wody z bąbelkami, brachu – dodał Ove.

– Tak jest, szefie – odparł kelner.

Ove uniósł kciuk w górę.

– Dla mnie piwo – powiedział Tommy.

– Okej – odparł kelner i odszedł.

Ove obejrzał się za kelnerem, a potem zwrócił się do Tommy'ego.

– Fajny facet – powiedział z uniesionymi brwiami.

– Jesteś gejem, Czarnuchu? – zapytał Tommy. – Masz ochotę go przelecieć?

Próbował odzyskać trochę pewności siebie.

– Nie, ja wolę dziewczynki. A ty, Tommy? Masz w sobie ciutkę geja?

Tommy nie odpowiedział.

– Nikt się na pana nie pogniewa, panie Jansson. Może pan wyjść z szafy – szepnął Ove.

– Przymknij się.

Ove prychnął.

– Tommy! Co się z tobą stało? Nie potrafisz już nawet trochę się podroczyć? Aż tak wyszedłeś z formy?

Kelner postawił przed Ovem wodę, a przed Tommym

zaparowaną szklanek zimnego piwa.

– I zamawiasz piwo w biały dzień? Czy nie ma już dla ciebie ratunku? Homer Simpson pijał piwo w ciągu dnia, Christer Pettersson ¹ pijał piwo w ciągu dnia, a teraz pije je Tommy Jansson? – Ove uśmieł się serdecznie ze swojego żartu. Miał dystans do życia. I do śmierci.

Kiedy siedemnaście lat wcześniej Tommy spotkał go po raz pierwszy, był podejrzany o morderstwo. Tommy wiedział, że to Ove zabił, Ove zaś wiedział, że on wie. Dowodów jednak nie było.

– Chcę, żebyś nazywał mnie Czarnuchem – powiedział Ove, gdy oczyszczono go z zarzutów.

– Nie mogę – odparł Tommy. Ove postawił jednak na swoim, dając mu do zrozumienia, że nie ma wyboru i powinien to potraktować jak skompresowaną mieszankę dowodu zaufania, groźby, prezentu i umowy, w której zawarte było coś na kształt niewyraźnego przyznania się do winy. Potwierdzenia, że Tommy miał rację, uznając go za mordercę.

Czarnuch. Ten przydomek z trudem przechodził mu przez gardło. Jednak, jak to zwykle bywało, w końcu się przyzwyczaił.

– Czym się obecnie zajmujesz? – zapytał.

– Pracuję w żłobku – odparł Ove. Od razu się zorientował, że Tommy’emu nie przypadł do gustu jego sarkazm. – Czy ma to jakieś znaczenie?

– Ma – rzekł Tommy.

– Dlaczego?

– Muszę wiedzieć.

Ove wzruszył ramionami.

– Nie robię nic szczególnego.

– Jak mam to rozumieć?

– Naprawdę spodziewasz się odpowiedzi, Tommy?

– Czyżbyś nagle stał się porządnym człowiekiem?

Ove nawet nie pisnął.

– Zakochałeś się? – zapytał Tommy.

– A co to znaczy?

Tommy się nie uśmiechnął. Ove też nie.

– Spotkałeś Boga? – drążył Tommy.

Ove się zastanowił.

– Nie, Bóg nie chce mnie do siebie wpuścić – odparł po namyśle. W jego odpowiedzi dało się usłyszeć szczerłość, smutek i powagę.

– Więc jesteś takim samym skurwysynem jak zawsze?

Ove spojrzał na niego rozczarowany. Skinął lekko głową i posłał mu szczere spojrzenie. Tommy odwrócił wzrok, jakby go sparzyło.

Stały przed nimi dwa talerze. Ove zmienił się na twarzy, znowu żartował z kelnerem. Wziął do ręki sztucce i wbił je w potrawę. Jadł z apetytem. Tommy rozgrzebywał jedzenie na talerzu i koncentrował się na piwie.

– Mów dalej – polecił Ove.

– Chcę, żebyś był w pogotowiu.

Ove uniósł jedną brew i wziął kolejny kęs.

– Żebyś w razie czego pomógł mi zdjąć jednego kolesia... albo jedną babę.

Ove przestał żuć, spojrzał na Tommy'ego ze zdziwieniem i wykrzywił twarz w teatralnym grymasie bólu.

– Aj, aj, aj. Ależ to gorące, Tommy Jansson, szef policji... *good guy*.

Tommy pił piwo dużymi łykami, unikając spojrzenia Ovego.

Ove odchylił się do tyłu, podniósł z kolan lnianą serwetę i wytarł, a raczej wypucował nią usta, ani na

chwilę nie spuszczać z oka Tommy'ego. Następnie znowu chwycił do ręki sztucce i spokojnie kontynuował posiłek.

– Co ty na to, Ove?

Nie było odpowiedzi. Ove jadł jak gdyby nigdy nic. Tommy zrozumiał, że niczego więcej nie osiągnie. Skinął na kelnera i potarł kciukiem palce wskazujący i środkowy, dając mu do zrozumienia, że chce zapłacić.

Wyszli z restauracji. Tommy ruszył przodem. Po chwili Ove go wyprzedził.

– Chodź ze mną – powiedział.

Poszli kawałek prosto, po czym skręcili i zeszli na podziemny parking.

Miał niski sufit, a wszystkie miejsca były zajęte. Ove podszedł do mercedesa AMG. Mrugnęły światła i drzwi się otworzyły. Zanim Tommy zdążył zareagować, Ove chwycił go za ramię, przyciągnął do siebie, a następnie przycisnął do betonowego słupa. Tommy poczuł mocny chwyt na ramieniu. Miał wrażenie, że połowa jego tułowia została sparaliżowana. Ove złapał go za gardło swoją potężną lewą ręką i znów przycisnął do słupa. Wolną ręką przeszukał ubranie Tommy'ego. Znalazł wyłączoną

komórkę, klucze, portfel, kopertę i dwadzieścia tysięcy euro zwinięte w rulon. Zwolnił uścisk.

– W porządku – oznajmił. – Zwykle robię kalkulację ryzyka, szukam jego czynników. Brak podsłuchu, fakt, że miałeś wyłączony telefon, a do kieszeni wsadziłeś to... – potrząsnął rulonem banknotów – sprawia, że nadal mam ochotę z tobą rozmawiać. Rozumiem.

– Co rozumiesz?

– Dwieście kawałków. Mówiłem ci o tym, prawda?

Oddał Tommy'emu komórkę, klucze i portfel. Ale zostawił sobie kopertę i pieniądze. Tommy wziął swoje rzeczy i potarł szyję.

– Tak, kiedyś o tym wspomniałeś. Dwieście tysięcy zaliczki, reszta po robocie.

– Dobra, Tommy. Nazwiska?

– Chodzi o dwóch moich kolegów, Milesa Ingmarssona i Antonię Miller. Szczegóły masz w kopercie – powiedział Tommy i wskazał rękę Ovego.

Ove pomachał banknotami.

– To za jedną osobę.

– Najprawdopodobniej jedna wystarczy – odparł Tommy niepewnie.

- Najprawdopodobniej?
- Najpierw będę musiał zorientować się w sytuacji.
- Kiedy to zrobisz?

Tommy wzruszył ramionami.

– Kiedy rozgryzę parę spraw, będziesz się mógł wziąć do roboty.

– Nie podoba mi się ten *deal* – oznajmił Ove.

– Dlaczego?

– Zgarniając glinę, dużo się ryzykuje. Cena idzie w górę.

– O ile?

Ove uśmiechnął się niczym sprzedawca.

– Niech cię o to głowa nie boli, wyślę ci fakturę.

Tommy się zastanowił i doszedł do wniosku, że nie poszło najlepiej.

– Niech tak będzie – powiedział.

– Niech tak będzie – powtórzył Ove z akcentem radiowego spikera z lat czterdziestych.

– I masz być w pogotowiu – dodał Tommy. – Ale żadnych nieprzemyślanych posunięć, jasne?

– *Aye, aye, captain!* – Ove zasalutował i wykrzywił twarz w ohydny grymasie. Wyzywającym

i nieprzyjemnym. Potem wybuchnął krótkim, donośnym śmiechem. Ove Ledin był nieprzewidywalny pod każdym względem. Może właśnie z tego się śmiał, kiedy szedł do swojego samochodu. Nagle się odwrócił.

– Widzisz go? – zapytał.

– Kogo?

– Tam, obok ciebie! – pokazywał coś, czego nie było.

Tommy spojrzał we wskazane miejsce.

– To diabeł, Tommy – powiedział. – On stoi tuż obok ciebie, poznajcie się!

Wybuchnął serdecznym śmiechem.

– Przestałbyś w końcu tak pieprzyć – rzucił Tommy.

Ove odwrócił się, jego śmiech ucichł równie nagle, jak się pojawił.

– Nie przestanę! – wrzasnął.

Tommy'ego obleciał strach. Wbił wzrok w ziemię.

Ove wskoczył do fabrycznie podrasowanego mercedesa i z piskiem opon ruszył ku światłu dziennemu.

Tommy został sam, był wstrząśnięty. Stał i próbował pojąć coś, co było niepojęte.

Teraz nazywał się Lars Vinge. W dłoni trzymał prawo jazdy ze zdjęciem Milesa Ingmarssona.

Dziewczyna za biurkiem była uprzejma i chłodna, czyli dokładnie taka, jak atmosfera w całym oddziale banku. Kroki tłumiła wykładzina dywanowa, a w całym pomieszczeniu panowała ta sama temperatura – dwadzieścia dwa stopnie.

Dziewczyna wyciągnęła dłoń, dając do zrozumienia, że czeka na dokument mogący potwierdzić tożsamość. Podał jej swoje prawo jazdy. Wzięła je do ręki i nawet nie patrząc, odwróciła i podsunęła pod świecący na czerwono czytnik kart. Nic się nie stało, więc powtórzyła ruch. Ingmarsson zdusił w sobie chęć ucieczki.

Wskazał prawo jazdy i powiedział:

– Jest uszkodzone, widzi pani?

Dziewczyna spojrzała na kod kreskowy i zobaczyła, że plastik jest pęknięty.

– W takim razie jest nieważne – oznajmiła nosowym głosem.

– Rozumiem – wymamrotał Miles.

– Musi pan zamówić nowe – dodała.

Pokiwał głową.

– Już pan to zrobił?

– Nie.

Wpisała do komputera datę urodzenia Larsa Vingego. Rzuciła okiem na obie strony prawa jazdy. Kolejka za Milesem rosła, a on chciał się stamtąd zmyć.

– Nadal jest pan naszym klientem? – zapytała.

– Dlaczego pani pyta?

– Od dawna nie zanotowaliśmy żadnych operacji – powiedziała, zerkając na monitor.

– A to konieczne?

Dziewczyna podniosła wzrok.

– Oczywiście, że nie. Ale po co panu dwa konta? Bo chyba dlatego nie odnotowaliśmy żadnych operacji?

– A czy to ma jakieś znaczenie?

– Nie, ale jeśli pan chce, mogę pana umówić z naszym doradcą.

– Nie, dziękuję. Może innym razem.

Wręczyła mu jakąś kartkę. Zerknął i zobaczył zapisany numer skrytki bankowej.

Miles podszedł do kraty w innej części oddziału. Po chwili zjawił się młody mężczyzna w garniturze i koszuli bez krawata.

– Witam, witam – powiedział zdecydowanie zbyt wysokim głosem, a potem przeciągnął kartę przez czytnik. Krata piknęła i mógł ją otworzyć.

– Proszę bardzo – powiedział i zrobił zapraszający gest ręką.

Miles zszedł po kilku stopniach i znalazł się w wąskim korytarzu. Pracownik banku przecisnął się obok niego i kilka razy go przeprosił. Całą swoją postawą manifestował uległość i podporządkowanie.

Niewyobrażalnie grube drzwi do bankowego skarbca były otwarte.

– Zero, osiem, osiemnaście – przeczytał Miles z kartki.

Pracownik banku znalazł właściwą skrytkę, wsunął swój klucz do jednego z dwóch zamków i przekręcił. Uśmiechnął się blado, bezgłośnie przepraszając za to, że w ogóle żyje, i odszedł, drobiąc nogami.

Miles zaczął się spieszyć. Wsunął klucz do zamka, przekręcił i wyciągnął ze środka długą, wysoką i szeroką plastikową skrzynkę. Postawił ją na pustym stoliku i otworzył.

Zajrzał do środka i zobaczył sportową torbę. Podniósł ją i stwierdził, że niewiele waży. Wiedział, że nie

powinien jej otwierać. Powinien za to wyjść na tyle szybko, żeby nikt nie zwrócił na niego uwagi.

Wsunął skrytkę na miejsce, wszedł po schodkach i nacisnął przycisk, który zwolnił blokadę kraty. Przeszedł przez cichy i spokojny bank, otworzył drzwi i wyszedł na zimowe powietrze, rozświetlone zdradliwym słońcem.

Antonia siedziała w samochodzie zaparkowanym po drugiej stronie ulicy. Na jego widok uruchomiła silnik i włączyła się do ruchu. Podbiegł do niej i stanął na linii pomiędzy pasami. Otworzyła mu drzwi, wzięła od niego torbę i postawiła ją na siedzeniu obok siebie. Rzuciła na nią okiem. Zzerała ją ciekawość.

– Co w niej jest? – zapytała.

– Nie wiem – odparł Miles.

Jakiś samochód za nimi najpierw zatrąbił, a potem szybko ich wyprzedził.

Antonia wcisnęła się w oparcie, wyprostowała nogi i z kieszeni spodni wyjęła złożoną kartkę.

– Roger Lindgren ma skrytkę pocztową i nie jest nigdzie zameldowany. Ale pomieszkuje u jakiejś kobiety na Vasastan.

Podawała mu kartkę, na której Miles przeczytał:

Hagagatan.

– Zasłużyłeś na to – powiedziała i wrzuciła pierwszy bieg.

– Gdzie ci się udało to zdobyć? – zapytał.

– W pralni chemicznej – odparła z uśmiechem. – Do zobaczenia.

Antonia puściła sprzęgło, zatrzasnęła drzwi i odjechała. Miles nadal stał na środku jezdni, pomiędzy dwoma pasami. Samochody jadące z obu stron niemal go muskały. Spojrzał na kartkę i zapisany na niej adres. Postanowił, że pozwoli dojść do głosu swojemu instynktowi. Mrocznemu instynktowi, który pragnął uczynić coś dobrego.

Wiedział jednak, że gdy chce się coś doprowadzić do porządku, uwolnienie mrocznych instynktów powoduje, że sprawy przybierają nieciekawą obrót.

39

Monachium

Wrócili tą samą drogą, którą przyszli. Przez pola dotarli

do samochodu zaparkowanego przy wysypanej żwirem drodze. Chłopak nie chciał z nimi rozmawiać, nie odpowiadał na pytania, które zadawała mu Sophie.

Wsiedli do samochodu.

– Nazywam się Sophie – powiedziała. – Albert, chłopiec, o którego pytałam, to mój syn.

W oczach chłopaka pojawił się błysk zrozumienia, ale w dalszym ciągu milczał.

Po powrocie do hotelu wsiedli do windy w garażu. Michaił wysiadł na parterze i wszedł do baru.

Pozostała trójka udała się do pokoju Jensa.

Sophie usiadła na jednym z dwóch łóżek i dała nastolatкови znak, żeby usiadł naprzeciwko niej, na drugim.

Chłopak się zawahał i z jakiegoś powodu spojrzał na Jensa, który stał pod oknem. Wydawało się, że czeka na jego pozwolenie. Jens kiwnął głową i nastolatek usiadł. Sophie po raz pierwszy dokładnie się mu przyjrzała.

Miał jasną karnację, wyraźne rysy, dwukolorowe oczy i usta, które... chwileczkę...

Pochyliła się i wpatrzyła się w niego. Poczł się niezręcznie i odwrócił spojrzenie.

Ten profil...

Sophie nigdy wcześniej nie spotkała tego chłopaka, ale teraz miała całkowitą pewność, kim jest. Patrząc na jego oczy, czoło i usta, widziała Hectora. Była w nim jakąś twardość, która wydawała się nie do przewyciężenia, inteligencja i ogromna odwaga, której przejawy zdążyła dostrzec, choć poznała go niedawno. Ale chłopak miał w sobie również coś innego, ciepłego i ludzkiego. Może to po matce, kimkolwiek była.

– Lothar? – zapytała.

Chłopak spojrzał na nią zaskoczony. Jens także nie krył zdumienia.

Sophie patrzyła chłopcu prosto w oczy.

– Masz na imię Lothar, prawda? – zapytała cicho.

Chłopak nie odpowiedział.

– Jak się nazywają twoi rodzice?

Spojrzał z przestachem najpierw na nią, a potem na Jensa.

Nachyliła się bardziej.

– Odpowiedz mi, nie bój się, Lothar, nie chcemy cię skrzywdzić.

Chłopak patrzył to na nią, to na Jensa.

– Moja mama nie żyje – powiedział w końcu.

– A tata?

– Nie mam ojca, nigdy go nie miałem.

Mówił opanowanym głosem. Ten chłopak był chyba z kamienia.

– Ile masz lat?

Tego dnia, gdy wybrali się z Hectorem na przejażdżkę motorówką po sztokholmskich szkiecach, powiedział jej, że ma szesnastoletniego syna. Jak gdyby chciał coś jej dać. Obdarzył ją najgłębszym możliwym zaufaniem, zdradzając swoją największą tajemnicę. „Mam syna – powiedział – nazywa się Lothar Manuel Tiedemann. Mieszka w Berlinie razem ze swoją matką...”.

– Siedemnaście – szepnął Lothar.

Sophie uświadomiła sobie, że siedzi pochylona do przodu i nie spuszcza chłopca z oka.

– Co z Albertem? – zapytała.

Lothar zawahał się, jak gdyby bał się, że powiedział za dużo.

– Co z Albertem? – powtórzyła. – Spotkałeś go? Odpowiedz, proszę.

– Kim pani jest?

– Już ci powiedziałam, jestem mamą Alberta.

Lothar próbował ocenić, czy mówi prawdę.

– Jak miał na imię jego ojciec? – zapytał.

– David.

– Co się z nim stało?

– Zachorował i umarł.

– Na co był chory?

– Na raka. A teraz mi odpowiedz.

Zawahał się.

– Tak, spotkałem go.

– Gdzie i kiedy?

– Kilka dni temu.

– Gdzie?

– Tam, gdzie mnie znaleźliście.

Sophie czekała na dalszy ciąg. Lothar zerknął na nią spod grzywki.

– Przez kilka dni mieszkał w sąsiednim pokoju.

Rozmawialiśmy przez ścianę.

– Widziałeś go? Spotkaliście się?

– Nie, nie widziałem go ani razu.

– Jak się czuł?

– Wydaje mi się, że w porządku.

– O czym rozmawialiście? Co mówił?

– O wszystkim.

– Podaj jakiś przykład.

Lothar przez chwilę się zastanawiał.

– O tym, że jego ojciec nie żyje. Że pani jest pielęgniarką. Że ma dziewczynę, Annę, że porusza się na wózku i mieszka z panią w Sztokholmie... I o tym, że dawno temu mieliście żółtego labradora, nie pamiętam, jak się wabił.

Rainer, pomyślała Sophie.

– Że pani ma problemy i dlatego został porwany.

– Miał ze sobą wózek?

– Nie wiem. Ale narzekał, że nie ma nikogo, kto mógłby mu pomóc w tym, czego nie jest w stanie zrobić sam.

Sophie wbiła spojrzenie w ziemię, starając się trzymać uczucia na wodzy. Hotelowa wykładzina była gruba i granatowa.

– Co jeszcze? – zapytała. – Co mówił? Co robił? Jak brzmiał jego głos?

– Baliśmy się i byliśmy przybici. Rozmawialiśmy, żeby było nam rażniej. Albert sądził, że pani nie żyje. Ja też

myślałem, że zrobili z panią to samo, co z moją mamą.

Sophie podniosła na niego wzrok.

– Co zrobili z twoją mamą?

– Zastrzelili ją.

W pierwszej chwili Sophie nie zrozumiała. Lothar mówił normalnym tonem. Jak gdyby jeszcze do niego nie dotarło, co się stało.

– Skąd wiesz? – zapytała.

– Byłem przy tym.

Wspomnienia wróciły. Walczył z nimi, starając się ich do siebie nie dopuścić.

– Przykro mi – powiedziała Sophie.

– Kto mnie porwał? – zapytał głuchym głosem. – Kto zabił moją mamę?

Sophie wiedziała, kto to był, ale nie miała zamiaru udzielić mu odpowiedzi. Pomyślała o Hankem i jego kompulsywnej brutalności. Miała wrażenie, że ta przemoc do niej przemówiła, przypomniała jej, że tak naprawdę jest bezsilna i nie ma żadnych szans.

Sophie wstała i zwróciła się do Jensa.

– Za parę godzin stąd wyjeżdżamy – powiedziała.

Wyszła z pokoju. Drzwi zamknęły się za nią cicho.

Jens usiadł w fotelu. Lothar siedział na brzegu łóżka, stopami dotykał ziemi, dłonie oparł na kolanach.

– Skąd wiecie, kim jestem? – zapytał.

– Możesz teraz odpocząć – odparł Jens. – Zostanę tu z tobą.

– Skąd wiecie, kim jestem? – powtórzył z większym naciskiem.

– Ja nie wiem, kim jesteś.

– Ona wiedziała – rzucił Lothar, wskazując drzwi.

Jens wzruszył ramionami.

– Nie jestem nią.

– Dlaczego zabrali Alberta?

– Odpocznij trochę.

Lothar próbował zaprotestować, ale Jens go uciszył.

– Nie teraz, w swoim czasie wszystkiego się dowiesz. Najpierw musisz odpocząć.

Lothar niechętnie położył się na łóżku, wsadził pod głowę dwie poduszki i włączył pilotem telewizor.

Mecz Bundesligi. Gra toczyła się szybko, była uporządkowana. Piękny atak i mocne strzały z dużej odległości. Poprzeczka. Słupek. Jeden gol został uznany za spalony. Nikt specjalnie nie protestował.

Lothar zasnął.

Jens podniósł się z fotela, podszedł do chłopaka, nakrył go narzutą i wyłączył telewizor. Potem wrócił na swoje miejsce.

On też zwrócił uwagę na rysy Lothara. Tak jak Sophie dostrzegał podobieństwo do Hectora Guzmána.

Potarł dłonią oczy. Ogarniało go zmęczenie. Chwilę później głowa opadła mu na ramię i usnął.

Nagle się obudził.

Lothar siedział wyprostowany na łóżku. Był przerażony i krzyczał.

40

Villefranche

Hector Guzman otworzył oczy.

Jego rozszerzone źrenice zwęziły się do rozmiaru główki od szpilki. Przez kilka sekund wpatrywał się w sufit. Nagle ogarnęła go panika i zaczął się rzucać. Jego ruchom brakowało siły, kopniaki były wymierzone w coś, czego nie było, co istniało tylko w jego dopiero co

rozbudzonej świadomości. Runął bezwładnie na podłogę. Oddychał nierówno i ochryple.

Nie wiedział, gdzie jest. Bał się.

Hector Guzman narodził się na nowo.

41

Sztokholm

Czarna sportowa torba leżąca na stoliku do kawy wyglądała niewinnie. Była zrobiona z nylonu połączonego z goreteksem.

Antonia przyglądała się jej tak, jakby zawierała coś świętego, odpowiedź na każde możliwe pytanie. Możliwe, że tak właśnie było.

Pochyliła się i rozsunęła zamek. Zajrzała, wyjęła to, co było w środku, i drżącymi rękoma położyła na stole.

Patrzyła na pękatą plastikową teczkę, służbowy segregator i czarny notatnik.

Raz jeszcze zajrzała do torby i przejechała dłonią po dnie, żeby się upewnić, że niczego nie przegapiła. W jednym rogu wyczuła pod palcami mały plastikowy

przedmiot. Chwyciła go i wyjęła.

Pendrive.

Spojrzała na leżące na stole przedmioty. Od czego zacząć?

Zdecydowała się na mały czarny notatnik. Otworzyła go. Drobne litery pokrywały szczelnie każdą stronę, wszystko zapisano ołówkiem. Pismo wyglądało na kobiece. Było tam dużo uwag i rozważań. Z tekstu nie wynikało, kto jest autorem. Antonia zamknęła notatnik i sięgnęła po zeszyt w linie. Męski, niedbały charakter pisma. Dużo tekstu, który wydawał się jeszcze mniej zrozumiały niż ten w notatniku. Otworzyła służbowy segregator. Zawierał informacje o Hectorze Guzmanie i jego interesach, między innymi o szlaku przemytniczym, którym przerzucano kokainę z Paragwaju do Rotterdamu. O jego powiązaniach z innymi syndykatami, o jego pochodzeniu i życiu. Informacje sięgały daleko wstecz. Materiał dowodowy, jakich mało. Sięgnęła ponownie po czarny notatnik. Przeczytała go uważniej. Zrozumiała, że musiał należeć do Gunilli Strandberg. Czytała go na zmianę z materiałami z segregatora. W jej głowie pojawił się obraz, dość niewyraźny, ale sugerujący, że Gunilla

Strandberg zdefraudowała pieniądze przeznaczone na dochodzenia, nad którymi miała pracować.

Przejrzała zeszyt. Należał do Larsa Vingego. Notatki, niedokończone myśli. Doczytała do końca.

W poprzek pustej strony Lars Vinge napisał w pośpiechu: Tommy Jansson.

Myśli zakotłowały się w jej głowie. O kurwa...

Z plastikowej teczki wysunęły się różne papiery. Wydruki z komputera, odręczne notatki, zdjęcia... mnóstwo zdjęć. Niektóre twarze były jej znane. Gunilla Strandberg, jej brat Erik, Anders Ask, policjanci, którzy pracowali nad sprawą Trasten. Kilka podobizn Hectora Guzmana i Arona Geislera. Na samym końcu Antonia znalazła plik zdjęć przedstawiających jedną kobietę. Była prawdopodobnie ostatnią osobą, którą Antonia spodziewała się tu zobaczyć. Podniosła jedną z fotografii. Kobieta stała w oknie kuchni. Zdjęcie zrobiono przy użyciu teleobiektywu. Antonia nie miała wątpliwości, kogo przedstawia.

To była ta pielęgniarka. Sophie Brinkmann.

Villefranche

Nad ich głowami bezgłośnie pracował wentylator.

Hector przyjrzał się kobiecie, która uważnie przemywała jego ramię w miejscu, w którym właśnie zrobiła mu zastrzyk. Nazywała się Raimunda, mówiła do niego po hiszpańsku, zachowywała się tak, jakby go dobrze знаła, promieniała przy tym niczym słońce i od czasu do czasu wybuchała śmiechem.

Usiłował zrozumieć, co się dzieje. Nie mógł mówić – spróbował, ale nie udało mu się wydobyć żadnego dźwięku.

Utrzymanie oczu otwartych wymagało od niego nie lada wysiłku. Nie było nawet mowy o tym, żeby poruszył ręką czy nogą. Wydawało się to zbyt trudne, fizycznie i psychicznie.

Miał czucie i widział, choć przedmioty znajdujące się w odległości kilku metrów stawały się niewyraźne i nie był w stanie na niczym się skupić. Tak jakby zmysł równowagi przestał działać, a on sam kołysał się na falach.

Kobieta pomogła mu wstać z podłogi i wrócić do łóżka, a potem sprawdziła, w jakim jest stanie. Zadawała pytania, które wymagały odpowiedzi „tak” lub „nie”. Chciała się przekonać, czy pamięta swoje imię oraz imiona krewnych i przyjaciół. Hector odpowiadał, kręcąc lub kiwając głową. Kątem oka zauważył, że ma długie włosy.

Potem usłyszał przyciszone głosy i czyjeś kroki. W drzwiach stanął Aron.

– Raimunda, zostaw nas na chwilę samych – polecił pielęgniarce i usiadł na krześle obok łóżka.

Wargi Hectora poruszyły się, jakby wypowiadał imię Arona.

– Hector – rzekł Aron.

Hector przełknął ślinę i spróbował coś powiedzieć.

Aron posunął mu notatnik i długopis. Hector nie był w stanie sięgnąć po nie ręką, czuł się tak, jakby nie miał mięśni, a jego mózg nie wysyłał żadnych sygnałów.

Aron mu pomógł. Położył notatnik na kołdrze, włożył długopis w jego dłoń i przycisnął ją do kartki. Następnie usiadł, pamiętając, że jego dawny szef lubił wszystko robić sam.

Hector spróbował unieść ramię. Aron musiał szybko wstać i znów mu pomóc, przesuwając czubek długopisu nad kartkę.

Hector siedział nieruchomo, nie potrafił nawet nabazgrać na papierze kilku liter. Aron już miał się zerwać po raz kolejny, ale Hector pokręcił głową. Widać było, że rośnie w nim wściekłość z powodu ponizenia, jakiego doświadczał. Skoncentrował się i udało mu się zrobić kreskę. Potem drugą. Aron cierpiał razem z nim. Dwie kreski nic jeszcze nie znaczyły.

Aron cierpliwie czekał, wiedział, że nie powinien przerywać, że Hector musi sam to zrobić.

Płynęły minuty. W końcu Hectorowi udało się ułożyć na kartce słowo.

„Co”.

To słowo zawierało w sobie wszystko.

– Jesteśmy w Villefranche – wyjaśnił Aron. – Kobieta, którą widziałeś, to Raimunda, należy do grupy stale dyżurujących pielęgniarek i lekarzy, którą parę lat temu stworzył twój ojciec.

Hector wbił w niego spojrzenie.

– Pamiętasz Sztokholm i Trasten?

Hector wypowiedział bezgłośnie „tak”.

– Pamiętasz, że razem z Sophie uciekłeś do Hiszpanii?

Hector szukał w pamięci.

– Że ktoś na was napadł na autostradzie?

Usta Hectora ułożyły się w słowo „Sophie”.

– O niej później – rzekł Aron. – W tym samym czasie Hanke zaatakował dom twojego ojca w Marbelli. Doprowadziłeś do niego Sophie, a potem straciłeś przytomność. Uruchomiliśmy czekającą w pogotowiu ekipę i przenieśliśmy cię do domu w górach, gdzie zajęła się tobą Raimunda. – Aron umilkł, podrapał się energicznie w tył głowy i napotkał spojrzenie Hectora. – Adalberto został ciężko ranny. Twój ojciec nie żyje.

Usłyszeli pospieszne kroki na schodach. Bose dziecięce stopy uderzały o stopnie, a potem puściły się biegiem przez korytarz. Do pokoju, w którym siedzieli, wpadło dwóch chłopców w piżamach. Młodszy przeraził się na widok obudzonego Hectora i złapał brata za rękę.

Hector nie bardzo wiedział, co się dzieje, przymknął oczy. Do pokoju weszła Angela. Wtedy zrozumiał, kogo ma przed sobą, mimo że od lat nie widział ani jej, ani chłopców.

– Zabierz stąd Fabiena i Andresa – polecił Aron.

Angela położyła dłonie na ramionach synów, ale Fabien się odsunął.

– Już się obudziłeś? – zapytał z szeroko otwartymi oczyma.

Hector kiwnął głową.

– Długo spałeś – powiedział chłopiec.

Angela przyciągnęła chłopców do siebie.

– Chodźcie, wujek Hector musi odpocząć.

Odwróciła się w stronę Hectora, spojrzała na niego obojętnie i wyszła z pokoju.

Aron zobaczył, że Hector chce coś powiedzieć. Wstał i zamknął drzwi.

– Eduardo? – zapytał bezgłośnie Hector.

– Hector, dopiero co się wybudziłeś ze śpiączki.

Hector czekał na dalszy ciąg.

– Po pięciu miesiącach – powiedział Aron bez ogródek.

Hector spojrzał w ziemię. Myślał o tym, co właśnie usłyszał, podniósł wzrok i wydawało się, że chce coś powiedzieć, ale zmienił zdanie. Zbyt wiele pytań czekało na odpowiedź.

– Eduardo – powtórzył bezgłośnie.

– Został zamordowany w Biarritz kilka tygodni temu.

Hector znieruchomiał, jednak na jego twarzy nie widać było rozpaczy. Poszukał wzroku Arona.

– Wydaje nam się, że stoi za tym Hanke – powiedział Aron. – Znalazł Eduarda... Niedługo potem zamordowano Daphne i Thierry'ego w ich butik.

Hector słuchał.

– Równocześnie zniknął Ernst. Zakładam, że jest u Hankego.

Aron wiedział, że kolejna zła wiadomość mogłaby mieć opłakane skutki. Przekazał więc szefowi jedyną dobrą.

– Carlos – powiedział.

Oczy Hectora się rozszerzyły.

– Uciekł z Trasten do Hankego i podał im twoją pozycję w Maladze. Znaleźliśmy go głównie dzięki Sonyi. Uznała to za swój obowiązek. Przywiozła go do domu w górach, żeby zobaczyć ciebie i to, co zrobił.

Aron zrobił pauzę. Oczy Hectora się zwęziły.

– Gdzie jest teraz? – zapytał Aron. – W piekle, tam, gdzie jego miejsce.

Hector lekko się uśmiechnął, przez kilka sekund czuł prawdziwe szczęście.

W pokoju panowały cisza i spokój. Aron nie chciał go burzyć, ale nie miał wyjścia.

– Sophie... – zaczął. – Związałem ją z nami, nie byłem pewien, jak to sobie obmyśliłeś. Pracowała z Leszkiem i ze mną, pomagała nam, ale... Carlos... Carlos wspomniał, że widział ją w Monachium u Hankego, uczestniczyła w czymś w rodzaju spotkania. Ralph Hanke, Roland Gentz i ona.

Hector słuchał uważnie.

– Carlos nie słyszał całej rozmowy, ale twierdził, że oferowała Hankemu części naszej organizacji. Jak tylko się o tym dowiedziałem, wycofałem Leszka i Hasaniego ze Sztokholmu i sprowadziłem ich tutaj razem z Angelą i dziećmi. Wtedy zniknął Ernst, to ona musiała go wydać.

Hector zaczął pisać. Trwało to bardzo długo.

– Straty? – zapytał Aron. – Jako że jesteś poszukiwany międzynarodowym listem gończym, wszystkie twoje konta zostały zamrożone, a legalne spółki skonfiskowane. Hanke, z pomocą Ernsta, po kawałeczku przejmuje resztę. Przepisują na siebie wszystko, co do nas należy. Możemy

tylko stać i się temu przyglądać.

Hector wskazał napisane słowo.

– Miażdżące – podsumował Aron.

Hector próbował oswoić się z tą wiadomością, ale Aron nie skończył mówić.

– Jest jeszcze jedna sprawa. Możliwe, że Hanke namierzył jeszcze kogoś.

Aron nachylił się do Hectora.

– Lothara – szepnął.

Hector pokręcił głową, jakby było to zupełnie niemożliwe.

– Carlos powiedział, że Hanke znalazł chłopca, którego szukał. Zadzwoiłem na policję i zgłosiłem włamanie do mieszkania Franki. Sprawdzili i powiedzieli, że mieszkanie jest puste i nie ma śladów włamania. Franka nie odbiera telefonów. Wysłałem naszego człowieka do Berlina, szuka, ale na razie bez rezultatów. Franka i Lothar zniknęli.

Hector myślał z wysiłkiem.

– Kto jeszcze wiedział o Lotharze oprócz ciebie, mnie i jego matki? – zapytał Aron.

Hector patrzył w sufit, śledząc wzrokiem ruch

wentylatora. Kiedy spojrział na Arona, w jego oczach widać było smutek.

– Sophie – powiedział bezgłośnie.

43

Sztokholm

Tommy Jansson z każdym potrafił się dogadać. Uważał to za jedną ze swoich mocnych stron.

Teraz rozmawiał z kierownikiem oddziału banku, w którym Lars Zasraniec Vinge miał skrytkę.

Tommy zasunął taką gadkę, że kierownikowi nie przyszło nawet do głowy, by zakwestionować jego prawo do zapoznania się z informacjami na temat działań klienta banku, mimo braku jakiegokolwiek urzędowego nakazu i na podstawie samej tylko służbowej legitymacji.

Okazało się, że dzień wcześniej Lars Vinge otworzył swoją skrytkę. Znając dokładną godzinę, Tommy obejrzał nagranie z bankowej kamery.

Na czarno-białym filmie z kasjerką rozmawiał Miles Ingmarsson.

Pieprzony Ingmarsson...

Tommy jechał przez miasto, popijając gin z tonikiem z papierowego kubka po kawie. Machały do niego zasmarkane bachory z innych aut.

Drzwi do mieszkania Milesa Ingmarssona były stare i marnej jakości. Łatwiej je było przebić na wylot, niż otworzyć wytrychem. Tommy użył łomu i wyrwał zamek. Mieszkanie stanęło otworem. Tommy wszedł do środka i przymknął za sobą zdezelowane drzwi. Staął i nasłuchiwał. Tu i tam coś trzeszczało.

Tommy pracował jak włamywacz. Przetrzęsął kuchnię, duży pokój, sypialnię, gabinet, łazienkę, przedpokój i znowu duży pokój. Sprawdzał każde miejsce, wywlekając wszystko na wierzch i zrzucając na podłogę.

Kiedy skończył, ciężko dyszał. Stał pośrodku pobojowiska i rozejrzał się dookoła. Nie znalazł nawet śladu tego, czego szukał.

Na pendrivie były pliki dźwiękowe. Antonia przesłuchała

je, korzystając z bezprzewodowych słuchawek. Były to nagrania z podsłuchu założonego w leżącym na przedmieściach domu Sophie Brinkmann. Poroniony pomysł. Nagrały się wyłącznie rozmowy Sophie z jej synem Albertem. Plus kilka rozmów telefonicznych. Wszystkie dotyczyły zwyczajnych codziennych spraw i niczym się nie wyróżniały.

Antonia po raz kolejny obejrzała zdjęcia, jedno po drugim, przyglądając się Sophie w różnych sytuacjach.

Ktoś prowadził intensywną obserwację. Dlaczego?

Podłoga była zasłana pozostałymi materiałami z torby Vingego. Antonia próbowała ułożyć je w jakąś całość. Cały czas słuchała przy tym nagrań.

Nagle do jej uszu dotarł nowy dźwięk. Odchyliła jedną słuchawkę. Z korytarza dobiegał jednostajny, przenikliwy sygnał dzwonka.

Spojrzała przez wizjer i zobaczyła Tommy'ego Janssona. Wyglądał na wykończonego. Stał i patrzył w ziemię. Nagle pochylił się, przycisnął dzwonek i spojrzał prosto na nią.

Ogarnął ją strach, cofnęła się o krok. Nie wiedziała, dlaczego Tommy stoi pod jej drzwiami... Choć

jednocześnie wiedziała.

Wycofała się po cichu. Dzwonek zabrzączał jeszcze kilkakrotnie. Próbowwała się skupić. Czy powinna mu otworzyć? Nie przychodziło jej do głowy żadne kłamstwo, nie wiedziała, jak mogłaby mu się wytłumaczyć...

Za drzwiami rozległ się jakiś cichy dźwięk. Coś przeskakiwało i chrobotowało w zamku. Tommy majstrował przy nim pistoletem do awaryjnego otwierania drzwi.

Antonia nie miała czasu do stracenia. Wpadła do dużego pokoju. Zdjęcia i notatki leżały rozsypane na podłodze. Zgarnęła wszystko rękami i wepchnęła do sportowej torby. Tommy zawzięcie pracował wytrychem.

Nie zdążyła. Tommy nacisnął klamkę. Drzwi pozostały jednak zamknięte. Znów rozległo się chrobotanie.

Antonia zgarniała papiery, zdjęcia, notatniki, wszystko, co tylko wpadło jej w ręce.

Kiedy usłyszała, jak otwierają się drzwi i Tommy Jansson wchodzi do jej mieszkania, ogarnął ją paraliżujący strach i wydawało jej się, że umrze.

Chwyciła swojego laptopa i sportową torbę Larsa Vingego i wymknęła się z pokoju. Tommy był coraz bliżej, słyszała jego ciężkie kroki.

Nie miała czasu do namysłu, wiedziała, że może się schować tylko w jednym miejscu. W sypialni pod łóżkiem. Wsunęła się tam razem z torbą i laptopem. Mocno przycisnęła do siebie oba przedmioty, jak gdyby chciała je ochronić przed światem. Było jej bardzo ciasno, głowę musiała odwrócić w bok. Bała się oddychać.

Tommy wszedł do sypialni i stanął bez ruchu. Antonia wstrzymała oddech. Co on tu robi? Czeka na nią? Widziała jego buty. W końcu odwrócił się i wyszedł z pokoju.

Usłyszała hałas, gdy wybebeszał jej mieszkanie.

Nagle znów znalazł się w sypialni. Wyrzucił z szafy wszystkie ubrania. Metodycznie przeszukał każdą szufladę w szafie, komodę pod oknem i nocną szafkę. Wszystkie rzeczy lądowały na podłodze. Zerwał z łóżka narzutę i kołdrę.

Przestała się poruszać, oddychać... istnieć.

Tylko się nie pochylaj, pomyślała.

Tommy wyszedł z pokoju.

Zaczęła nadsłuchiwać. Poszedł? Został? Czekał na nią?

Postanowiła odczekać. Czas płynął nieznośnie wolno. Minęło pół godziny. Wygrzebała się spod łóżka. Włożyła komputer do torby i przeszła przez zdewastowane

mieszkanie. Zajrzała do dużego pokoju. Panował w nim kompletny chaos.

Minęła kuchnię i korytarz. Zerwała z wieszaka kurtkę i torebkę, przez niedomknięte drzwi wyszła na korytarz, zbiegła po schodach i tylnymi drzwiami wyszła na zewnątrz. Skręciła w prawo. Nie opuszczało jej uczucie, że zaraz zostanie zatrzymana. Komórkę wrzuciła do mijanego kosza. Samochód zostawiła tam, gdzie stał. Szła szybkim krokiem. Ani razu się nie odwróciła.

Zatrzymała taksówkę, opadła na siedzenie i podała kierowcy adres Ulfa w Sundbybergu.

Nie było go w domu. Usiadła na schodach z torbą na kolanach i czekała.

Tommy siedział w służbowym wozie. Na fotelu obok niego leżało zdjęcie kobiecej twarzy. Znalazł je u Antonii, pod fotelem w dużym pokoju. Przegapiłby je, gdyby nie to, że przyłożył twarz do podłogi. Zdjęcie wydrukowano z komputera. Od razu je rozpoznał. Razem z wieloma innymi leżało w sportowej torbie, którą Lars Vinge parę miesięcy temu przekazał mu na placu Mariatorget.

Przedstawiało Sophie Brinkmann, pielęgniarkę, którą Gunilla chciała wykorzystać, by dostać się do Hectora Guzmána.

Tommy dodał w końcu dwa do dwóch. Ten idiota Lars Vinge skopiował wszystkie materiały i zdeponował je w skrytce bankowej. Miles Ingmarsson wy dostał je, posługując się fałszywym dowodem, i przekazał tej kurwie Miller.

Tommy'emu zaczęła drgać powieka.

Kiedy Tommy wrócił do domu i wszedł do dużego pokoju, chłopak Vanessy, ten pierdolony etnolog miłujący kwiatki i drzewka, siedział pijany w jego fotelu i czytał książkę. Z kuchni dobiegał szcęk naczyń, Vanessa i Emelie pomagały matce.

Tommy zatrzymał się w progu. Mattias wyczuł jego obecność i podniósł wzrok.

– Hejka – powiedział ten czerwony skurwysyn.

Tommy nie odpowiedział, kiwnął tylko prawie niedostrzegalnie głową.

Mattias podniósł w górę kieszonkowe wydanie książki.

– Wziąłem to z półki.

Tommy zmrużył oczy. *Skafander i motyl*. Jedna z książek Moniki.

– Aha...

– Opowiada o sparaliżowanym facecie, który cierpi na zespół zamknięcia.

Tommy wbił spojrzenie w tego pokręconego gnoja. Prawdopodobnie intelektem próbował rekompensować brak mięśni. Najwyraźniej trudne książki stanowiły dobrą pożywkę dla takiego pieprzenia.

Tommy stał nieruchomo. Mattias poczuł się niepewnie.

– Bardzo ciekawa – powiedział i schował nos w książkę.

– Dlaczego nie pomagasz w kuchni?

– Powiedziały, że nie trzeba.

– Tak powiedziały?

Mattias pokiwał głową.

– Dokładnie tak?

Mattias nie odpowiedział.

– I dlatego siadłeś sobie w moim fotelu?

– W pana fotelu?

– To chyba oznaka despotyzmu, nie sądzisz?

Tommy wyszedł z pokoju. Za plecami usłyszał

prychnięcie Mattiasa.

Zaczął nucić w duchu *Ooh, la, la*, żeby nie zawrócić i nie udusić tego gnoja gołymi rękami.

Wszedł do kuchni i przytulił córki.

– Cześć, tato.

Uściski córek wydały mu się chłodne i zdawkowe. Atmosfera była dziwna i napięta. Uśmiechy niepewne. Bały się jego dziwnego charakteru i tego, czym jeszcze może je zaskoczyć.

Monica próbowała się uśmiechać. Tommy zobaczył, że obok niej na stojaku na kółkach stoi butla z tlenem. W dłoni Moniki dostrzegł przezroczysty ustnik, przez który od czasu do czasu oddychała.

– Nowa? – Tylko tyle przeszło mu przez gardło.

Uśmiechnęła się w odpowiedzi.

– Aha, świetnie – powiedział i sięgnął na półkę po butelkę wina.

Obiad był jak zawsze na wysokim poziomie. Jedli i rozmawiali o niczym. Tommy rozmyślał o Ingmarssonie i Miller. Ucisk, który czuł w piersi, przesunął się w górę, do mózgu. Sprawiał, że trochę ciężko mu się myślało. Wypił

wino. Spokojnie, ale szybko – ten trik zawsze działał. Był przekonany, że nikt nie zauważył, ile wypił.

Mattias poruszył temat gender. Miał go w małym palcu. Przemawiał głośno i władczo do kobiet Tommy’ego zebranych przy stole.

Tommy jadł wpatrzony w talerz. Mocno przeżuwał każdy kęs i oddychał płytko przez nos. Jego ciśnienie rosło w miarę wywodów Mattiasa na temat struktur władzy i patriarchalnego społeczeństwa...

Tommy próbował myśleć o czymś innym, wyłączyć się, ale nosowy głos tego lewackiego besserwissera niósł się przez pokój na takiej częstotliwości, że nie dało się go nie słuchać. Hasła takie jak „perspektywa równości płci”, „seksizm”, „kobieca piłka nożna”, „liberalne feministki”, „parytet”, „role płci”, „kwestie płci w języku” wdzierają się siłą do świadomości Tommy’ego.

Wpadł w amok, nie był w stanie nic na to poradzić. Wściekłość wytrysnęła z gadziego mózgu, przepłynęła przez głowę i dotarła do oczu.

– Ty mały upierdliwy gnojku – warknął Tommy, podrywając się z krzesła i chwytając Mattiasa za włosy.

Przygryzł dolną wargę i zaczął walić głową chłopaka

o stół. Talerz pękł. Córki krzyczały. Monica głuchym i słabym głosem kazała mu przestać. Ale on niczego nie słyszał. Uderzał zapamiętale i z przyjemnością. Czuł się tak, jakby udało mu się podrapać swędzące plecy.

Wyładował się i wprawiło go to w pogodny nastrój, rozczuliło. Miał wrażenie, że ogarnęła go fala ciepła.

Zatrzymał się na chwilę i spojrział na Mattiasa. Chłopak miał na twarzy odłamki porcelany, sos i warzywa.

Tommy zobaczył kątem oka, że Monica próbuje wstać, żeby go powstrzymać, ale sparaliżowane mięśnie odmówiły jej posłuszeństwa. Zaczął okładać Mattiasa po twarzy otwartą dłonią. W końcu uznał, że wystarczy. Puścił włosy chłopaka, usiadł na krześle i zrelaksowany odchylił się do tyłu.

Mattias wyglądała na skołowanego. Z nosa lała mu się krew, włosy stały mu dęba, a on sam niepewnie rozglądał się dookoła, nie do końca pojmując, co się stało.

Córki cicho płakały. Monica wpatrywała się w swojego męża. Tommy zorientował się, że wciąż się uśmiecha. Jego uśmiech był szczery. Płynął prosto z serca.

– Czuję się dobrze, Monico – szepnął. – Nieprzyzwoicie dobrze.

Nie odpowiedziała. Wciąż na niego patrzyła. Tommy spojrzął córkom w oczy. Odwróciły wzrok. Wtedy poczuł wątpliwości.

– Chyba nie ma zakazu? Od czasu do czasu można chyba czuć się dobrze? – Z jego głosu zniknęła jednak wcześniejsza pewność.

Komórka, którą miał w kieszeni, zaczęła wibrować. Podniósł kłapkę.

– *Saved by the bell* – powiedział z wyraźnym szwedzkim akcentem.

Vanessa zaczęła głośniejsz płakać.

Tommy zerknął na numer i syknął do córki, żeby była cicho.

– *Yep* – powiedział do słuchawki, wstając z krzesła.

Miał słaby zasięg. Machnął ręką w stronę Vanessy, dając jej znak, żeby przestała ryczeć.

– Halo – powiedział.

– Tommy? – zapytał ktoś wysokim głosem.

– Tak.

– Tu Roger Lindgren. Odwiedził mnie twój znajomy, Miles.

Tommy odszedł od stołu i zadzwonił do Czarnucha.

Miles schrzanił pierwszą rundę. Leżał teraz na podłodze, a Roger Lindgren kopał go w głowę.

A przecież dokładnie się przygotował. Wiedział, co zrobić.

Wszedł do domu przy Hagagatan, zadzwonił do drzwi, wepchnął Lindgrena do środka i kilka razy mu przyłożył. Sądził, że dzięki zaskoczeniu będzie miał przewagę. Plan był taki, że od razu powali go na podłogę, a potem zrobi to, po co przyszedł.

Ale Lindgren nie był zaskoczony. Ani trochę. Miles zrozumiał to, kiedy tylko facet otworzył mu drzwi.

Lindgren z przyklejonym uśmiechem na ustach poruszał szczękami tak, jak gdyby żuł gumę. Jego twarz błyszczała od potu, a w oczach widać było obłęd. Był naćpany.

– To ty jesteś Miles Ingmarsson? – zapytał.

Głos miał wysoki jak nastoletnia dziewczyna.

– Skąd to wiesz, do cholery?

Lindgren ucieszył się i zaczął wściekle okładać Milesa pięściami, dopóki nie powalił go na podłogę.

Potem rozpętało się prawdziwe piekło. Lindgren zaczął

kopać go po głowie i wydawało się, że nigdy nie skończy. Miles czuł, że jeszcze chwila i straci przytomność. Krwawił. Kopniaki były mocne i brutalne. Czuł przypływ adrenaliny, która miała złagodzić ból, ale nie dawała rady. Miles szybko zrozumiał, że zaraz umrze.

Dokładnie w chwili, w której zaczął tracić świadomość, Lindgren przestał go kopać. Miles jak przez mgłę zobaczył, że facet siada na nim okrakiem, wyjmując telefon i gdzieś dzwoni.

– Tu Roger Lindgren. Odwiedził mnie twój znajomy, Miles.

Miles nic z tego nie rozumiał. Coś mu jednak zaczęło świtać. Nie czuł złości. Kiedy wpadał do mieszkania, nie był wkurzony. Ani trochę. Był niespokojny, ostrożny i okłamywał się, że jego plan zadziała. Tak się oczywiście nie stało. Zapomniał o najważniejszym elemencie... o wściekłości. To dlatego leżał tu jak jakaś ofierma i pozwalał się bić.

Cofnął się myślami w czasie... Sanna...

Przypomniał sobie jej błagający głos, który słyszał w telefonie... jej zmasakrowaną twarz... jej wyjątkowość i szczerłość...

To dlatego tu przyszedł. Zobaczył nad sobą ohydną, zaćpaną twarz Lindgrena...

Lewą ręką chwycił go za włosy. Złapał dobrze, całą dłonią, i mocno trzymał. Prawą dłoń złożył w pięść, odchylił ramię i przyładował.

Trafił tego gnoja tuż pod oko i poczuł, jak pęka kość policzkowa. Uderzył jeszcze raz, a potem kolejny. Teraz kość była nie do uratowania.

Później wszystko potoczyło się jak we śnie. Czas się rozmył, to przyspieszał, to zwalniał. Miles siedział okrakiem na Lindgrenie, młóćąc go, ile wlezie, i waląc jego głową o podłogę. Lindgren próbował się bronić, ale jego ciosy trafiały w próżnię.

Pięści Milesa znalazły właściwy rytm. Zatracił poczucie czasu i przestrzeni. To był wspaniały stan. Najwyraźniej tak właśnie musiał wyglądać *flow*, o którym napisano całe tomy.

Lindgren został unieszkodliwiony, jego koniec wydawał się bliski. Ale nie wolno mu było umrzeć, Miles jeszcze z nim nie skończył.

Zimna woda, pomyślał.

Wstał, przeszedł przez mieszkanie i znalazł zamknięte

drzwi, za którymi musiała znajdować się kuchnia.

Odsunął kotarę z plastiku i zobaczył błękitną poświatę, jak gdyby otworzyły się przed nim bramy niebios. Jednak miał przed sobą nie raj, lecz laboratorium do produkcji narkotyków.

Wszedł do środka i poczuł ostry, nieprzyjemny zapach. Okna były zaciemnione workami na śmieci, przyklejonymi taśmą. Błękitne światło pochodziło z lamp UV zainstalowanych nad długim stołem. Piętrzyły się na nim maszyny elektryczne, menażki, butelki odporne na działanie temperatury, palniki gazowe i substancje chemiczne: benzen, aceton, benzyna, wodorotlenek sodu i kwas solny. Oprócz tego środek w spreju do uruchamiania silników, połamane i zepsute inhalatory dla dzieci cierpiących na alergię, wata, filtry do kawy, gumowe rękawice i zapałki.

Miles przyjrzał się temu wszystkiemu.

Pod jedną z lamp ultrafioletowych leżała górka czystego, białego proszku.

To lepsze niż zimna woda, pomyślał.

Znalazł łyżkę, wziął jedną z foliowych torebek, zgarnął do niej amfetaminę i wyszedł z kuchni.

Lindgren leżał nieruchomo na plecach, z rękoma rozrzuconymi na podłodze. Obserwował Milesa przez zapuchnięte oczy.

– Co to jest? – zapytał takim głosem, jakby miał zajęczą wargę. Mówił jednocześnie przez nos i podniebienie.

Miles nie odpowiedział, ale Lindgren zrozumiał, co się zaraz stanie.

– O kurwa, nie, ona nie jest rozcieńczona – zawołał z przerażeniem.

Miles usiadł Lindgrenowi na klatce piersiowej, nabrał czubatą łyżkę i wepchnął mu ją do gardła. Lindgren zakaszał i spróbował wypluć proszek, ale Ingmarsson zatkał mu usta. Rozejrzał się dookoła. Mieszkanie wyglądało okropnie. Umeblowano je rzeczami z pchlich targów i tanim barachłem z okazji podróży po Azji. Obrazy były brzydkie, a zdjęcia pseudoartystyczne. Estetyczny nonsens... Miles czekał cierpliwie, aż u Lindgrena pojawi się odruch przełykania. I się doczekał. Przerażenie w oczach mężczyzny było jednoznaczne. Zażył wysokooktanową amfetaminę. To był koszmar. Kwintesencja złotego strzału.

Restart.

Przedłużone życie.

Pach!

Jego serce zaczęło pracować na wysokich obrotach. Puls przyśpieszył, w krwiobiegu wrzało. Miles przyjrzał się Lindgrenowi. Wyglądał jak Hulk w czasie transformacji. Cały się trząsał. Wymiotował. Wił się z bólu i przerażenia.

Miles nie miał już siły bić tego skurwiela. Pochylił się nad nim, zbliżył usta do jego zakrwawionego ucha i wyszeptał „Sanna”. Potem spokojnie się przyglądał, jak Roger Lindgren umierał na coś, co prawdopodobnie było atakiem serca albo po prostu całkowitą zapaścią.

Ingmarsson wstał, rozpiął rozporek i zaczął sikać na Lindgrena. Wydawało mu się to naturalne. Swoisty wielki finał.

Usłyszał za sobą jakiś dźwięk. Odwrócił się, obryzgując ciało strugą moczu.

W pokoju stał Tommy Jansson razem z jakimś obcym facetem.

– Cześć, Ingmarsson – rzucił Tommy.

Musiało upłynąć kilka sekund, zanim Miles zrozumiał,

co się stało. Skończył sikać, strząsnął ostatnie krople moczu i zapiął rozporek.

– Cześć Tommy – odparł i, nie wiedząc czemu, otrzepał dłonią nogawki spodni.

Krew miał wszędzie, na twarzy, na włosach, na rękach. Rzeźnik, który właśnie obsikał ciało.

– Miles Ingmarsson – powiedział Tommy. – Nie sądziłem, że masz jaja.

Miles nie zareagował. Czekał na dalszy ciąg.

– Widzę, że było gorąco – stwierdził Tommy.

Miles otarł nos przedramieniem.

– Zależy, jak na to spojrzeć – odparł.

– A jak można na to spojrzeć? – zapytał Tommy i zaśmiał się sztucznie. – Moim zdaniem widać, że było gorąco. – Spojrzał na swojego towarzysza. – Prawda, Ove?

Ove przyjrzał się Rogerowi Lindgrenowi.

– Tak jest, gorąco, bez dwóch zdań.

Tommy podrapał się pod brodą.

– Ten koleś w ogóle jeszcze żyje? – zapytał, wskazując zwłoki na podłodze.

Miles odwrócił się i zaczął szukać w Lindgrenie oznak

życia.

– Nie, nie wydaje mi się.

– Co się, kurwa, stało z twoją ręką? – zapytał Ove, wybałuszając oczy na Milesa.

Miles przyjrzał się swojej prawej dłoni. Knykcie dwóch palców, środkowego i wskazującego, były zmiażdżone, kości śródrezcza sterczały pod napiętą skórą jak jakieś cholerne kołki od namiotu.

– Nie mam pojęcia – odparł.

– Ona jest, kurwa, połamana – zaśmiał się Ove.

– Naprawdę?

– Tak, jak ja pierdołę.

Miles zbadał dłoń.

– Na to wygląda – mruknął.

– Tak mocno mu przyłożyłeś, że złamałeś rękę!

Ove zarechotał, jego śmiech brzmiał serdecznie.

– Ingmarsson, w tej chwili zyskałeś mój absolutny szacunek. Mówię ci to. Nazywam się Ove, Ove Czarnuch.

Miles nic z tego nie zrozumiał.

– Co tu robisz? – zapytał Tommy.

– A ty? – odparł Miles.

Przez chwilę gapili się na siebie.

– Co znalazłeś w skrytce bankowej Vingego? – zapytał Tommy.

– Nic – skłamał Miles.

Tommy kiwnął głową, udawał, że wierzy.

– Co się tu, do cholery, wydarzyło? – zapytał, pokazując ciało Lindgrena. – Dlaczego zabiłeś tego biedaka?

Miles wzruszył ramionami.

Ove powtórzył jego ruch, teatralnie i z przesadą.

– Miles, stać cię na więcej – powiedział Tommy.

– Czy to ma jakieś znaczenie?

– Oczywiście, że ma.

– Musiałem.

Ove zakrył dłonią usta i zrobił wielkie oczy.

Tommy spojrzał na niego z irytacją, a potem znów odwrócił się do Milesa.

– Dlaczego musiałeś?

– Przez rozwój.

– Jaki rozwój?

– Osobisty. Zakochałem się – wymamrotał Miles.

Tommy patrzył na niego z odrazą. Ove odegrał ogromne zdumienie.

– Potem o mało co nie zginałem w wypadku – ciągnął dalej Miles. – Doznałem wtedy czegoś w rodzaju objawienia.

Ove twardo odstawiał pantomimę. Zasłonił twarz, odgrywając wypadek, udał przerażenie, a potem Jezusa wiszącego na krzyżu.

Miles wskazał Lindgrena kciukiem lewej ręki i powiedział:

– A potem zjawił się on i wszystko zniszczył.

Ove zrobił smutną minę i obiema rękami chwycił się za serce.

– Możesz przestać!?! – wrzasnął wkurzony Tommy, który kątem oka oglądał cały ten spektakl.

Ove zastygł w bezruchu jak postać z kreskówki, wyglądał na bardzo smutnego. Ułożył usta w podkówkę, opuścił ramiona i ciężko stąpając, zaczął iść w kierunku Lindgrena. Im był bliżej, tym kroki stawały się lżejsze, a on sam bardziej wyprostowany. Kiedy stanął obok ciała, odzyskał swój normalny wygląd.

– Teraz znów jestem sobą!

Szeroko się uśmiechnął, usiadł obok ciała Lindgrena i pokazał palcem Milesa.

– Tak samo jak twój kumpel. On też stał się sobą, to właśnie próbuje nam powiedzieć.

Tommy zmierzył Milesa spojrzeniem.

– Sobą? Czyli kim? – zapytał.

Miles milczał.

– Czy to prawda? Jesteś sobą? – zapytał Tommy i pokazał leżące w głębi pokoju ciało. – Czy to właśnie jest Miles Ingmarsson? Co?

– Może – szepnął Miles.

– Rozmawiamy szczerze i otwarcie. *I like it!* – zawołał Ove.

Tommy przeciągnął dłonią po brodzie.

– Można chyba powiedzieć, że popełniłeś tu morderstwo. Prawda? – zapytał Tommy

Miles wzruszył ramionami.

– Może – powiedział.

– Może? – zaśmiał się Tommy nieprzyjaźnie. – Przecież to było morderstwo!

Ove podniósł torebeczkę, wsunął do niej palec i go oblizał. Potem spojrzał na Tommy'ego.

– Co ty, kurwa, robisz?

– Co robię? Chyba wystarczy, jeśli beknie za to

morderstwo, nie? To właśnie robię.

Ove prychnął i wstał, trzymając w ręce torebkę z amfetaminą.

– Będzie siedział w pierdlu i kłapał dziobem, dopóki ktoś go w końcu nie wysłucha. Przecież jest gliniarzem. Jansson, ależ ty masz kretyńskie pomysły.

– Rozważam tylko różne możliwości – odparł obojętnie Tommy.

– Różne możliwości? – powtórzył Ove głosem opóźnionego w rozwoju dziecka. – Ty nie rozważasz, tylko pękasz, brak ci jaj, żeby zrobić to, co ustaliliśmy. Nie ma innej możliwości, koteczku.

Podszedł do Tommy’ego.

– Skąd, do cholery, możesz wiedzieć, co ja myślę... – zaczął Tommy.

Ove zdzielił go mocno w twarz. Rozległo się głośne plaśnięcie. Tommy wyglądał na zaskoczonego.

Miles czekał na odpowiedni moment, żeby wybiec z pokoju. Ale mężczyźni stali mu na drodze. Nie mógł uciec oknem, bo mieszkanie znajdowało się na drugim piętrze.

– Proszę – powiedział Ove serdecznie. – Weź trochę.

Podsunał Tommy'emu torebkę z amfetaminą.

– Co to jest?

– Amfa. Wygląda na to, że trzepie jak diabli. Pomoże ci na tę twoją łajzowatość.

Tommy się zdenerwował.

– I mówi to ktoś, kto nie chciał wypić piwa do obiadu!

– No proszę, uderz w stół... – powiedział Ove.

Znów się uśmiechał. Zmiana nastroju była uderzająca. Zapraszającym gestem podsunał Tommy'emu torebkę.

– Co? Mam się naćpać? – zapytał Tommy ze wzburzeniem.

– No już dobrze, weź troszkę i przestań się mazgać.

Ove nabrał palcem wskazującym nieco proszku i ostrożnie wyciągnął go w stronę Tommy'ego.

– Ty pierwszy – warknął Tommy.

Ove zrobił dwa szybkie wdechy, zanurzył powtórnie palec w proszku i podsunał go Tommy'emu.

Tommy wciągnął, skrzywił się z odrazą i mocno potarł nos.

– Smakuje jak lekarstwo – rzucił.

– Pięknie to ująłeś, Tommy – odparł Ove. – Pora zabrać stąd naszego przyjaciela.

Tommy prowadził na haju. Obie ręce trzymał na kierownicy i wytrzeszczał oczy. Ove siedział wsłuchany w radio. Właśnie grało *Fantasy Earth, Wind & Fire*. Przyłączył się i zaśpiewał: *Take a ride in the sky...*, czysto i w wysokich rejestrach. Śpiewać to on potrafił.

Miles siedział z tyłu skuty kajdankami. Jechali już dobre pół godziny. Coraz bardziej oddalali się od miasta i cywilizacji. Nagle stanęli w ciemnym i odludnym miejscu. Ove wyciągnął Milesa z samochodu i popchnął w kierunku brzegu morza.

Miles zobaczył przed sobą niekończącą się czarną taflę wody, na której tu i tam pływała cienka kora.

– Wiesz, że to wszystko tak naprawdę niczemu nie służy – powiedział Ove, wskazując jakiś punkt w mroku.

– Słucham?

– Wszystko jest zbędne i bez znaczenia. Dlatego nie powinieneś się bać tego, co się teraz stanie. –

Najwyraźniej lubił sobie też pofilozofować. – To, co się stanie, ma taki sam sens, jak cała reszta. Boimy się śmierci, kiedy niewłaściwie rozumiemy życie, gdy nam się wydaje, że nasza obecność tutaj ma jakiś cel albo gdy wyolbrzymiamy własne znaczenie. To jest pycha. Wtedy

śmierć bywa męcząca, w przeciwnym razie jest w porządku.

Miles spojrział na złowieszczą morską toń.

– Połóż się – szepnął Ove.

Woda to śmierć, pomyślał Miles.

– Nie chcę – powiedział.

– Spokojnie.

Głos Ovego był bardzo blisko.

– Nie chcę – powtórzył.

Słyszał, jak to zabrzmiało. Jakby te słowa wypowiedziało przestraszone dziecko, które nie chce umierać.

– Tommy – odezwał się najgłośniej, jak mógł.

Tommy nie odpowiedział.

Miles miał wrażenie, że znalazł się w środku sennego koszmaru. Poczul ciepłą strugę na nodze. Popuścił w spodnie.

– Tommy – powtórzył, tym razem nieco cieńszym głosem.

Dostał mocnego kopniaka w kolano i nogi ugięły się pod nim z bólu. Potem został mocno pchnięty, a kiedy się zachwiał, dostał pięścią w głowę. Upadł na ziemię. Ove

złapał go pod ramiona i zawlókł na brzeg. Miles widział nad sobą niebo, gwiazdy, a może nawet galaktyki.

Ove przewrócił go na brzuch. Miles wpatrywał się w wodę. Ove pewnym ruchem wepchnął jego głowę pod powierzchnię.

Woda była lodowata. Miles wierzgał nogami, ale nic tym nie wskórał. Próbował się obrócić i wyrwać z żelaznego uścisku Owego.

Usłyszał jego przytłumiony głos wołający Tommy'ego. Miles poczuł, że Tommy chwycił jego nogi i na nich usiadł. Został unieruchomiony, był bez szans. Miał coraz mniej powietrza. Dzwoniło mu w uszach, piekło w gardle, oczy wychodziły mu z orbit, a w mózgu wrzało. Serce biło szybko i mocno.

Potem skończyło mu się powietrze. Ból przeszył jego pozbawione tlenu ciało.

Umierał, choć wcale nie był na to gotowy.

W chwili, w której zrozumiał, że zaraz umrze, coś wślizgnęło się między uchodzące z niego życie a ogromną, mroczną wieczność. Coś, czego nie było, a jednak istniało. Nie miało żadnej formy, struktury i nie było w żaden sposób określone, a mimo to wydawało się rzeczywiste.

Było jak głos, który milczał. Jak czyjaś obecność, niewidzialne ręce, które go obejmowały i uspokajały.

Niezależnie od tego, czym było, objawiło się Milesowi jako możliwość. Możliwość, której nigdy nie brał pod uwagę. Przed którą się wzbraniał, której unikał i z której szydził. Była zarezerwowana dla słabych, samotnych i nieco przygłupich. Możliwość, której nie można było brać na poważnie...

Tommy zdjął mu kajdanki.

Miles czuł, jak unosi się na wodzie. Owe puścił jego włosy i odepchnął go od brzegu. Miles zaczął pomału opadać w dół. Cały czas niosło go to coś. Płynął z prądem, który odciągał go od lądu i popychał ku śmierci.

44

Północne Niemcy

Jens tankował. Sophie i Lothar wysiedli, żeby rozprostować nogi. Stacja benzynowa świeciła w wieczornych ciemnościach. Przebiegającą obok autostradą pędziły samochody.

Lothar zaczął drżeć i objął się ramionami.

– Zimno ci? – zapytała Sophie.

W pierwszej chwili nie odpowiedział, ale w końcu wymamrotał ciche „tak”. Sophie otoczyła jego plecy ramieniem. Czując dotyk, Lothar zeszywniał. Później się odprężył. Zaczął płakać. Sophie czuła, jak się trzęsie. Mocno go tuliła, a on łkał, trzymając głowę na jej ramieniu.

Napotkała spojrzenie Jensa.

Lothar wysunął się z jej objęć i odszedł kawałek. Chciał побыć sam.

Obejrzała się za nim.

Zadzwoił jej telefon. Zastrzeżony numer.

– Tak? – odebrała.

Głos Rolanda Gentza był wyraźny.

– Czy to wy złożyliście nam wizytę?

– Gdzie jest Albert? – zapytała.

– Z nami.

– Gdzie jest Albert? – powtórzyła.

– Wiesz, kim jest ten chłopak, którego wzięliście ze sobą? – zapytał Gentz.

Sophie się odwróciła. Zobaczyła, że Lothar usiadł na

ławce piknikowej pomiędzy stacją benzynową a autostradą.

– Tak – odparła.

– Zorganizujemy wymianę.

– Chcę, żeby odbyło się to jak najszybciej – powiedziała, siląc się na opanowanie. Wołała, żeby nie słyszał w jej głosie desperacji.

– Nawiaż kontakt z Aronem – polecił Roland. – Powiedz, że masz Lothara i że chcesz im go przekazać. Daj nam Hectora. Tylko na nim nam zależy. Jeżeli ci się to uda, odzyskasz Alberta.

– Byliście tam?

– Gdzie?

– W posiadłości, kiedy was odwiedziliśmy? Albert tam był?

– Nie.

Połączenie zostało przerwane.

Opuściła dłoń, w której trzymała telefon. Samochody jechały autostradą w obu kierunkach.

Jens uruchomił silnik.

Michaił wyszedł ze stacji benzynowej.

Lothar podniósł się z ławki i ruszył w stronę

samochodu.

45

Sztokholm

Antonia i Ulf leżeli w łóżku. Kiedy mu opowiedziała, co się stało, opuścili jego mieszkanie i schronili się u sąsiada dwa piętra wyżej. Wyjechał na parę tygodni i poprosił Ulfa, żeby podlewał mu kwiaty i karmił chomika. Chomik już nie żył, ale kwiaty się trzymały.

Leżeli przykryci kołdrą na dwóch materacach, które rozłożyli na podłodze. Ulf był opanowany, ale wyczuwała w nim napięcie. Przytuliła się do niego od tyłu i mocno go objęła.

– Boję się – powiedziała.

Ulf pogładził jej dłoń.

– Pomogę ci – odparł.

– Boisz się?

Chwilę się zastanawiał.

– Nie, chyba nie – powiedział ze śpiewnym akcentem.

– A co czujesz?

– Jestem zaskoczony... i wściekły.

Choć wydawało się to niemożliwe, przysunęła się do niego jeszcze bliżej.

– Lubię cię – powiedziała.

– A ja ciebie.

Mimo że mieszkanie było dziwacznie urządzone i ozdobione naiwnymi obrazami przedstawiającymi płaczących klaunów, delfiny wyskakujące z wody w promieniach zachodzącego słońca i misy z owocami, Antonia czuła się w nim dobrze i bezpiecznie. Miała wrażenie, że jest kompletna.

– Co zrobimy potem? – zapytała.

– Kiedy?

– Gdy będziemy to mieć za sobą. Kiedy już zrobimy, co trzeba, wsadzimy Tommy’ego do więzienia i będziemy wolni.

– Wtedy wrócimy do mojego mieszkania.

– Pytam serio.

Ulf zastanawiał się nad odpowiedzią dobre pół minuty.

– Wtedy zabiorę cię do mojego domku letniskowego. Będziemy polować. Gotować i kochać się w różnych miejscach. Chcesz?

– Chcę – odparła Antonia.

Miles dryfował pod wodą. Świadomość tliła się w nim wątlým płomieniem. Życie to uparta bestia.

Trafił na coś pionowego. Potrącił gruby łańcuch, który go zatrzymał. Bezwładnie unosił się obok niego.

Tłący się w nim płomień zaczął świecić jaśniej, na tyle żeby krązenie w ramionach powróciło. Ta odrobina siły wystarczyła Milesowi, by odepchnął się w górę. Ruch był prawie niezauważalny.

W ciemnościach wolno unosił się w stronę powierzchni. Znow się podciągnął... Wysiłek go osłabiał i sprawiał, że uchodziło z niego życie.

W końcu głowa Milesa przecięła taflę wody, ręką luźno obejmował łańcuch. Tuż obok podskakiwała biała plastikowa boja.

Mimo że otaczało go świeże i chłodne zimowe powietrze, do jego płuc nie dotarła ani odrobina tlenu. Nie mógł zrobić wdechu. W ustach czuł smak krwi, całe ciało przenikał niewyobrażalny ból, a w uszach głucho dudniło.

Kiedy wymiotował wodą, wszystkie narządy

wywróciły się na drugą stronę. Wylało się z niego kilka litrów zanieczyszczonej słonawej cieczy.

W ten sposób pozbył się całej wody. Był teraz odciśnięty jak stary zmywak i suchy jak martwa gałąź.

Nagle okazało się, że może zaczerpnąć trochę powietrza, oddech nastąpił automatycznie. Ból się utrzymywał, był bardziej dotkliwy niż wtedy, gdy śmierć trzymała go w swoich szponach. Ale Miles pomału wracał do życia. Zaczekał przy boi, dopóki nie usłyszał, że samochód Tommy'ego Janssona odjeżdża. Wtedy popłynął w stronę lądu.

Ociekał wodą, za plecami miał morze, pod stopami ziemię, a w płucach powietrze. Tryskał życiem jak jakiś cholerny gejzer.

Był pewien, że przed chwilą, pod wodą, spotkał Boga. Nie był to jednak ten Bóg, który wybaczał, kochał i nie potępiał. O nie. Miles spotkał dawnego Boga, w którego nikt już nie miał odwagi wierzyć. Tego, którego odrzucono i zastąpiono jakimś gamoniem chrzaniącym o duchowości, wiecznej miłości, szczęściu i tym podobnych bzdurach.

On spotkał Boga karzącego. Bezwzględного. Tego, który rzeczywiście był wszechwiedzący. Objawił mu się

we własnej osobie. I to On wziął Milesa pod ramiona i powiedział: „Jeśli popełnisz błąd, ukarzę cię. Jeśli postąpisz właściwie, ukarzę cię za to, że ci się wydaje, że postępujesz właściwie. Jeśli spróbujesz zrobić, co trzeba, zostawię cię na chwilę w spokoju”.

Ten Bóg był potężniejszy od śmierci, która nie dała Milesowi rady ani w wypadku drogowym, ani kiedy został pobity, ani kiedy był topiony.

Miles zaczął przeklinać. Wyrzucał z siebie najgorsze przekleństwa prosto w ciemną noc. Przeklinał wszystko, co istniało na tej pierdolonej planecie, na której przyszło mu żyć. Słyszeli go tylko fauna, flora i srogi Bóg. Krzyki Milesa odbijały się dalekim echem.

Ruszył prosto w mrok.

Część trzecia

46

Jutlandia

Samotny biały domek otaczały bezlistne drzewa. Liczył około stu pięćdziesięciu lat, miał słomiany dach i błękitne framugi okien.

Jens wyjął klucze schowane w spróchniałym pniu.

Otworzył drzwi i oprowadził wszystkich po domu. Na piętrze każdy znalazł dla siebie jakiś pokój. Jens przywołał skinieniem Michaiła i razem zeszli do biblioteki, w której książki stały rzędami na półkach z czereśniowego drewna. Na jednej ze ścian wisiały, jeden pod drugim, trzy karabiny. Jens rozpiął uchwyty i zaczął zdejmować broń. Michaił odbierał ją od niego. Pierwszy był winchester kaliber 22 z charakterystyczną dźwignią przeładowania. Potem hiszpańska dubeltówka, stara dobra aya. A na końcu M1 garand.

Michaił trzymał w rękach garanda i uważnie mu się przyglądał. M1 garand był samopowtarzalnym karabinem

z czasów drugiej wojny światowej. Miał drewnianą kolbę, ważył pięć kilo, był długi na metr i ładowany przy użyciu ładownika, który po wystrzeleniu ostatniego naboju był automatycznie wyrzucany z charakterystycznym metalicznym brzękiem.

– Jak twojemu dziadkowi udało się go zdobyć? – zapytał Michaił.

– Pojęcia nie mam – odparł Jens.

Wyjął z komody pudełko z amunicją i kilka z nich podał Michaiłowi.

– Garand na górze, dubeltówka w kuchni, a winchester w dużym pokoju.

Michaił chwycił karabin, zabrał amunicję i wszedł po schodach na górę. Minął pokój Lothara, zawahał się i zawrócił. Zapukał do drzwi czubkiem buta, wszedł i wręczył Lotharowi broń.

– Wiesz, jak ją załadować? – zapytał.

– Nie – odparł Lothar.

Michaił położył pudełko z amunicją na łóżku, usiadł obok nich i przyjrzał się Lotharowi.

– W porządku? – wymamrotał.

Lothar pokiwał głową.

– To dobrze. Pokażę ci, jak to się robi.

Rozłożył na narzucie naboje i ładowniki.

– Pociski musisz włożyć o tutaj – powiedział i wskazał.

Lothar przysiadł obok Rosjanina i napełnił magazynek.

Siedzieli obok siebie i w milczeniu ładowali broń.

– Dobra robota – pochwalił go Michaił, gdy skończyli.

– Dziękuję – odparł Lothar uprzejmie.

– Dasz sobie radę – powiedział Michaił. – Czas jest twoim sprzymierzeńcem.

Lothar spojrział mu w oczy.

– Dziękuję – powtórzył.

Michaił wstał z łóżka i wyszedł z pokoju.

W kominku w dużym pokoju leżał przygotowany stosik drewna. Jens przyłożył do niego zapałkę. Suche polana zajęły się i zaczęły trzaskać.

Jens kucnął przy ogniu, szukając ciepła. Do pokoju wszedł Lothar. Przystanął przy niskiej szafce i przyjrzał się oprawionym w ramki fotografiom.

Jens spojrział przez ramię.

– Moi dziadkowie mieszkali tutaj przez całe życie.

Babcia umarła kilka miesięcy temu. W dzieciństwie spędzałem tu praktycznie każde wakacje.

Ogień w kominku płonął równym i mocnym płomieniem. Jens dorzucił dwa polana.

– Dom odziedziczyła moja matka i jej rodzeństwo. Miał zostać sprzedany. – Podniósł się i mówił dalej. – Nie mogłem się pogodzić z tym, że go stracę, więc go odkupiłem. Nie wiem, czy to był dobry pomysł.

Lothar podniósł jedno ze zdjęć. Zostało zrobione w latach sześćdziesiątych i przedstawiało odświętnie ubranych dziadków Jensa, Vibeke i Esbena, którzy wybierali się na jakieś przyjęcie.

– Dlaczego? – zapytał.

– Dlaczego nie wiem, czy to był dobry pomysł?

– Tak.

– Trudno powiedzieć.

– Spróbuj.

Jens podszedł do niego i spojrzał na zdjęcie.

– Chyba chodzi o wspomnienia. Teraz, kiedy to miejsce należy do mnie, zaczęły się rozmywać. Gdy kupowałem ten dom, chodziło mi o coś przeciwnego.

Poklepał Lothara po ramieniu.

– To przyjazny dom, będzie ci się tu dobrze spało – stwierdził.

Drzwi się otworzyły i do pokoju weszła Sophie. Sprawiała wrażenie, jakby starała się na nich nie patrzeć.

– Rozmawiałam z Aronem – powiedziała do Jensa po szwedzku.

Jens spodziewał się, że powie coś więcej, zapyta go o zdanie lub będzie się chciała wspólnie nad czymś zastanowić. Ona jednak zwróciła się do Lothara.

– Musimy porozmawiać – powiedziała po angielsku.

– O czym?

Zwlekała chwilę z odpowiedzią.

– O twoim ojcu.

47

Villefranche

Hector siedział na werandzie osłonięty parasolem i spoglądał na ogród i półwysep Cap Ferrat. Parasol łopotał w powiewach chłodnej bryzy.

Był bardzo słaby. Chodził z trudem i nie był w stanie

niczego podnieść. Raimunda zmuszała go do ćwiczeń. Były irytująco proste, w pewnym stopniu poniżające, a ich wykonanie przychodziło mu z dużym trudem. Raimunda mówiła, że robi postępy, ale jemu wydawały się zbyt małe, żeby mógł się z nich cieszyć. Wytłumaczyła mu przyczyny niesprawności. Powiedziała, że niektóre dolegliwości nigdy nie ustąpią, a inne – jeśli będzie ćwiczył zgodnie z jej zaleceniami – z czasem powinny minąć. Lubił ją. Jej bezpośredniość i pozytywne nastawienie były szczere.

Odzyskał głos, ale struny głosowe wciąż miał słabe i nie mógł głośno mówić. Zdarzało się, że głos odmawiał mu posłuszeństwa. Musiał się wtedy napić wody i chwilę odczekać.

Zauważył też w sobie inne zmiany, ale nikomu o nich nie wspomniał. Czasem dostrzegał kątem oka coś, czego nie było. Od czasu do czasu wyraźnie słyszał, jak ktoś coś mówi przyjaznym tonem, mimo że obok niego nikogo nie było.

Jego lewa ręka nie była tak sprawna jak kiedyś. Zdarzało się, że nagle zaczynał płakać, mimo że nie czuł ani bólu, ani smutku.

Co dziwne, poprawił mu się wzrok. Miał wrażenie, że

widzi wszystko z większą ostrością. Kolory zrobiły się bardziej intensywne, dostrzegał więcej szczegółów, lepiej potrafił ocenić głębię i odległość. Świat wyglądał zupełnie inaczej niż wcześniej.

Jego emocje stały się jeszcze bardziej skrajne. Coś banalnego i pozbawionego znaczenia mogło go poruszyć do głębi, podczas gdy sprawy decydujące o życiu i śmierci przyjmował obojętnie. Przed zapadnięciem w śpiączkę było podobnie, ale teraz stało się to bardziej odczuwalne, jak gdyby zdumienie niektórymi rzeczami było równie potężne co obojętność na inne.

Czyjeś kroki wyrwały go z zamyślenia. To był Aron. Zatrzymał się na chwilę i uważnie mu się przyjrzał. Potem przysunął sobie krzesło i usiadł obok. Patrzyli na ten sam kawałek świata.

– Rozmawiałem przez telefon – oznajmił Aron.

– Z kim? – zapytał Hector.

– Z Sophie.

Sophie, pomyślał Hector. Cały czas była obecna w jego świadomości, unosiła się w niej odległa i niedostępna.

– Ma Lothara i chce go nam przekazać.

– Hanke – mruknął Hector. – O co im chodzi?

– O ciebie – odparł Aron.

– To oczywiste. Czego od mnie chcą?

– Chcą cię widzieć martwego.

– Co mają zamiar zrobić?

– Zwabić cię Lotharem. Chodzi o wymianę. To właśnie próbuje załatwić Sophie.

– Wie, że się obudziłem? – Hector spojrzał na zatokę, widok był nieskończenie piękny. – Jak brzmiał jej głos? – zapytał.

– Wydawała się opanowana, jak zawsze. Chłodna, bezpośrednia i...

Aron się zastanowił.

– Tak?

– Sam nie wiem. W jej głosie było coś jeszcze. Pustka, brak złudzeń, może zmęczenie.

Hector wyobraził ją sobie taką, jaką ją pamiętał... przystępną, ciepłą, naturalną, piękną. Miała zielone oczy, ledwie dostrzegalne piegi i otaczało ją światło. Promieniała nim, ale nie był to czysty blask, dawało się w nim dostrzec nieco ciemniejsze tony.

– Co powiedziała o Lotharze?

- Niewiele.
- Jak on się czuje?
- Powiedziała, że dobrze.
- Dowiedziałeś się czegoś jeszcze?
- Nie...
- Grożą jej czymś?

Aron wzruszył ramionami.

– Przekazywała mi informacje, nie chciała odpowiadać na pytania.

Nad zatoką przeleciał helikopter.

- Co to wszystko znaczy?
- Hanke dwoi się i troi. Na coś się zanosi.
- Wiem. Ale dlaczego Sophie?
- Czy to ważne?
- Tak.

– Hanke odbiera nam wszystko. Co mógłby ci zabrać, jeśli nie dziecko i kobietę, którą kochasz?

Hector śledził wzrokiem przelatującą maszynę.

- Zgódź się na spotkanie, wymianę, czy czego tam sobie życzą.
- Choć wiemy, że zrobią wszystko, żeby cię zabić?
- Zrób, co możesz, żeby temu zapobiec. Za to ci płacę.

Chroń mnie i Lothara. Przechytrz tych skurwysynów.

– Musi chyba być inne wyjście?

– Masz jakąś propozycję?

– Mnóstwo.

– A taką, która zagwarantuje Lotharowi bezpieczeństwo?

– Nie jestem w stanie czegoś takiego ci obiecać...

– Będą chcieli go skrzywdzić – powiedział Hector i spróbował poruszyć palcami lewej dłoni. – Nie mamy wyboru. Ja nie mam. Zadzwoń do niej, powiedz, że się obudziłem i że zgadzamy się na spotkanie w wybranym przez nich miejscu.

– Przemyśl to, proszę.

– Już powiedziałem... – Hectora opuściły siły. Błyskawicznie pobladł, a na jego twarzy pojawiło się zmęczenie.

Aron dostrzegł to i ostrożnie zapukał w przesuwane okno.

Wyszła do nich Raimunda.

– Chodźmy do środka – powiedziała. – Pomogę ci.

Angela posadziła Andresa i Fabiena przed telewizorem. Czekwała na odpowiednią okazję. Ta pojawiła się, kiedy Raimunda poszła pomóc Hectorowi.

Angela pobiegła do kuchni i złapała bezprzewodowy telefon. Potem weszła na piętro, zamknęła się w łazience i odkręciła wodę. Wybrała numer, który znała na pamięć. Dzwoniła na policję w Biarritz.

Pracując przez lata jako aplikantka w kancelarii adwokackiej, wiele razy spotkała Paula Gustave'a Peltiera, komisarza Policji Narodowej. Upartego śledczego skupionego na własnej karierze...

W słuchawce rozległ się trzask i Angela usłyszała głos, który przywitał ją w imieniu policji w Biarritz.

Płynną francuszczyzną poprosiła o połączenie z *lieutenant* Peltier.

– Proszę mu powiedzieć, że dzwoni Angela Garcia Riviera i że to pilne.

Nastąpiła cisza, po której usłyszała dwa ciche, trzeszczące sygnały. Ktoś odebrał.

– Angela? – zapytał Gustave niskim, schrypniętym głosem.

– Tak – odpowiedziała.

– Zniknęłaś. Prowadzimy śledztwo w sprawie śmierci Eduarda. Gdzie jesteś?

– Potrzebna mi twoja pomoc, Gustave. – Mówiła cicho, przybliżając usta do słuchawki.

Prośba i ton jej głosu musiały go zaskoczyć.

– Jak mogę ci pomóc?

– Mnie i chłopcom potrzebna jest ochrona.

– Rozumiem – powiedział, przeciągając sylaby.

– Znasz Hectora Guzmana?

– Hector Guzman... – powtórzył Gustave pod nosem, szukając w pamięci.

– Hiszpan – wyjaśniła Angela. – Syn Adalberta Guzmana z Marbelli. Mieszka w Sztokholmie.

– Tak, teraz sobie przypominam. Interpol przez wiele lat bezskutecznie ścigał jego ojca. Sztokholm, mówisz? To tam doszło parę miesięcy temu do porachunków w restauracji? A Hector Guzman uciekł i wysłano za nim międzynarodowy list gończy. Zgadza się?

– Tak.

– Dlaczego mi o nim mówisz? Gdzie jesteś?

– Posłuchaj mnie. Wiem, gdzie jest Hector Guzman i jego prawa ręka. Wiem też dużo więcej. Mogę ci to

powiedzieć. W zamian za ochronę. Ja i chłopcy potrzebujemy ochrony.

W słuchawce zapadła cisza.

– O czym ty mówisz, Angelo?

Prysznic szumiał.

– Mój mąż był bratem Hectora Guzmana.

48

Sztokholm

Kiedy Miles dotarł do drogi, słońce już wzeszło. Ruch był niewielki. Próbował zatrzymać przejeżdżające samochody i w końcu zabrał się z pastorem kościoła zielonoświątkowego, który nie miał komórki i uważał, że Bóg jest super.

– Wcale taki nie jest – powiedział Miles, który dopiero co Go spotkał.

– Wydaje mi się, że powinien pan zajrzeć do szpitala – odparł pastor z szerokim uśmiechem.

– To może zaczekać. Muszę najpierw skorzystać z telefonu.

Mijali na zmianę lasy albo pola. Drogowskazy z dziwacznymi nazwami i małe drewniane wille z otwartymi ogródkami na tyłach. Miles nie znał tego świata.

Pastor wysadził go w jakiejś osadzie bez nazwy.

– Niech cię Bóg błogosławi – powiedział na pożegnanie.

– I nawzajem – odparł Miles, nie wiedząc, co odpowiedzieć.

Znalazł kiosk z kiełbaskami, do którego można było wejść. W środku unosił się odór spalenizny, stały automaty do gry, a klientelę stanowili bezrobotni, którzy stracili już wszelką nadzieję na znalezienie pracy.

– Muszę zadzwonić – powiedział do kobiety przy kasie.

Dała mu swój telefon, starszy model, taki z klawiaturą.

– Jak się czujesz, biedaku? – zapytała go.

Zdawał sobie sprawę, że musi strasznie wyglądać. Został pobity, miał złamaną rękę, umarł i zmartwychwstał. Był brudny i brzydki.

– Jakoś przeżyję – odparł.

– A ręka? – zapytała, wskazując jego prawą pięść.

– Wydaje mi się, że jest złamana, ale poza tym okej.

Kobieta chciała coś powiedzieć, ale Miles odszedł na bok. Zadzwoił do Antonii Miller. Od razu zgłosiła się poczta głosowa.

– Musisz zniknąć na jakiś czas – powiedział i się rozłączył.

Potem zadzwonił do Iana, swojego brata, nieuleczalnego dziwkarza, który miał tajne gniazdko rozkoszy na Birkastan. Korzystał z niego od czasu do czasu, jeśli akurat nie bawił się w ojca i męża.

– Muszę wypożyczyć to twoje tajne mieszkanie – oświadczył Miles.

Nie rozmawiał z bratem całe wieki i szybko sobie przypomniał dlaczego.

– No nie wiem, nie bardzo mi to teraz odpowiada.

– Powiem o wszystkim twojej żonie i dzieciom.

– Spadaj na drzewo, smarku – rzucił Ian, jakby wciąż miał dwanaście lat. Może tak właśnie było.

Miles nie zdążył nic powiedzieć, bo Ian przeanalizował sytuację i zmiękł w obliczu groźby.

– Zostawię otwarte drzwi. Klucze będą leżały na stole w kuchni. Ale tylko spróbuj coś, kurwa, zepsuć...

Miles się rozłączył i oddał telefon miłej kasjerce. Podawała mu bandaż, który wyjęła z apteczki.

– Na razie ją obwiąż, ale potem powinieneś iść do lekarza.

Miles przyjął opatrunek, gotowy z miejsca się z nią ożenić.

Znalazł wolny stolik, stanął przy nim i obandażował złamaną dłoń. Obok niego jakiś mężczyzna obojętnie naciskał na automacie guzik z napisem „Kredyt”. Na ekranie ukazały się dwie wisienki i dama pik. Pudło. Mężczyzna po raz kolejny nacisnął guzik. Znowu pudło.

Miles jechał autobusem, kolejką podmiejską i metrem. Wracając do Sztokholmu, wracał do rzeczywistości. Próbował zachować spokój, ale mu się to nie udawało.

Kupił nowy smartfon i nową kartę, a potem szybko pojechał na Birkastan.

Gniazdko rozkoszy, dwupokojowe mieszkanie spółdzielcze na Norrbackagatan, było zapisane na firmę, która należała do kumpla Iana. Wyglądało na to, że się nim dzielili. Kumpel pracował w branży telekomunikacyjnej i kręciły go małe dziewczynki. Miles nie wiedział, co

kręciło Iana, i nie chciał tego wiedzieć.

Zaskoczył go wygląd mieszkania. Urządzono je ze smakiem. Miles wiedział, że nie było to dzieło Iana. Ani, jak się domyślał, jego kumpla pedofila. Może kupili je razem z wyposażeniem.

Na stoliku stała świeca wetknięta w butelkę po ekskluzywnym winie. Stearyna musiała skapywać całe wieki, dotarła aż do wiklinowego koszyczka, który zdobił dół butelki.

Miles usiadł na dużej, obitej pluszem kanapie. Miała wyglądać na starą, ale była nowa i kosztowała majątek.

Korzystając z nowo zakupionego telefonu, spróbował znaleźć numer domowy Miller. Wyglądało na to, że takiego nie miała. Poszukał jej ewentualnych krewnych. Obdzwonił różne osoby o nazwisku Miller, ale nikt nie znał Antonii. Możliwe, że już nie żyła.

Poszukał w pamięci. Przypomniał mu się koleś w slipkach, który pojawił się w jej kuchni. Jak on się nazywał? Ulf.

Miles widywał go również podczas wieczorów na sygnale. Przez lata był mundurowym i patrolował ulice. Potem awansował i został wywiadowcą. Miles nie znał

żadnych wywiadowców. Zresztą nie znał nikogo. Zadzwoił na numer wewnętrznej centrali.

Odezwał się jakiś męski głos.

– Poproszę z wywiadem kryminalnym – powiedział.

– Łączę.

Miles usłyszał kilka sygnałów. Odezwał się inny głos, tym razem kobiecy, który podał numer wydziału.

– Uffe? – zapytał Miles.

– Słucham?

– Szukam Uffego...

– Jakiego Uffego? – zapytała poirytowana.

– Nie wiem, jak ma na nazwisko. Wysoki facet, wydaje mi się, że pochodzi z Dalarny. Przeszedł do was niecały rok temu, wcześniej jeździł na patrole...

– A, tak. Wiem, o kogo chodzi. Ale tu nikt nie mówi na niego Uffe. To po prostu Ulf. Na nazwisko ma Lange.

Rozległ się sygnał, a potem następny, jakby rozmowa została przełączona. Prawdopodobnie numer był połączony z komórką Ulfa. Włączyła się poczta głosowa, standardowy komunikat.

– Abonent jest chwilowo niedostępny, naciśnij jeden, żeby zostawić wiadomość. Poczekaj, żeby połączyć się

z centralą.

Miles spojrział na wyświetlacz telefonu i wcisnął jeden. W słuchawce rozległ się sygnał. Miles postawił wszystko na jedną kartę.

– Antonia Miller? – zapytał. Głos miał schrypnięty, jakby cały dzień nic nie mówił.

Cisza była o sekundę za długa. Miles mówił dalej.

– Pozdrów ją od bezapelacyjnie najgorszego gliniarza w całej policji.

Potem podał swój nowy numer i się rozłączył. Telefon zadzwonił po dziesięciu minutach. Antonia wydawała się zdenerwowana.

– Czy to połączenie jest bezpieczne? – zapytał.

– Nie wiem, wydaje mi się, że tak – odparła.

– Gdzie jesteś?

Zawahała się.

– U przyjaciela.

– Jesteś tam bezpieczna?

– Tak, ale nie wiem, jak długo. Jestem poszukiwana.

– Za co?

– Nie wiem, same zmyślane brednie. List gończy został wysłany wczoraj. Ale to nie ma znaczenia. I tak jestem

spalona, nie mogę się pokazać na zewnątrz.

– Weź taksówkę i przyjeźdź do mnie. Dasz radę?

– Tak.

– Wybierz którąś z mniejszych korporacji, takich, które nie robią zdjęć pasażerom – powiedział. – I...

– Tak?

– Może powinnaś ostrzec Ulfa.

– Już to zrobiłam.

Miles podał jej właściwą ulicę, ale niewłaściwy numer domu.

Przez chwilę chodził nerwowo po mieszkaniu, potem stanął przy oknie w dużym pokoju, ostrożnie odsunął zasłonkę i zaczął obserwować ulicę.

Antonia przyjechała po dwudziestu minutach. Wsiadła z taksówki i podeszła do bramy domu naprzeciwko. Stanęła przed nią i wyjęła komórkę. Miles uważnie rozejrzał się po okolicy. Sam nie wiedział, czego szuka. Może czegoś, czego nie powinno tam być. Albo kogoś. Na ulicy nic się nie działo. Była pusta, nie licząc starszej pani czekającej na swojego teriera, który miał zatwardzenie.

Komórka Milesa zawibrowała. Na wyświetlaczu zobaczył numer Antonii. Spojrzał na nią z góry i odebrał.

– Dom naprzeciwko, trzecie piętro – powiedział, a potem podał jej kod do domofonu i powiedział, jakie nazwisko będzie widnieć na drzwiach.

Po chwili zadzwonił dzwonek, jeden z tych, które robią „ding-dong”. Sygnał był dwutonowy i prawie można go było uznać za przyjemny.

Miles spojrział przez wizjer i dokładnie sprawdził zniekształcone krawędzie pola widzenia. Pusto. Przekręcił oba zamki, otworzył drzwi, wpuścił Antonię, po czym równie szybko zamknął.

Była blada jak ściana. Spojrzała na niego, na rany widoczne na jego twarzy i na zabandażowaną rękę. Nic jednak nie powiedziała. Przeszła do pokoju, niosąc w ręce sportową torbę.

Usiadła na kanapie i w kilku krótkich zdaniach opowiedziała o tym, jak Tommy włamał się do jej mieszkania. Miles opowiedział o próbie zabójstwa.

– O Boże – szepnęła.

Miles stał oparty o framugę drzwi.

– Myślałem, że nie żyjesz – powiedział.

– Myliłeś się. Gdzie jest teraz Tommy?

– Podejrzewam, że szuka ciebie.

Spojrzała na niego uważnie.

– Sądzi, że nie żyjesz? – zapytała.

Miles pokiwał głową.

– A co z Rogerem Lindgrenem?

– Nie żyje.

– Jak to się stało?

– Zatłukłem go.

Antonia przyjrzała się mu, szukając za tymi obojętnymi słowami jakichś uczuć.

– Potem pojawił się Tommy. Musiał nas mieć na oku. Pytał o skrytkę bankową i o Larsa Vingego – wyjaśnił.

Ich spojrzenia powędrowały w kierunku torby, którą Antonia trzymała na kolanach.

– Znalazłaś coś? – zapytał.

Antonia odsunęła zamek. Wyjęła pękaty segregator. Wsunęła do niego rękę i wyciągnęła plik wydrukowanych fotografii. Rzuciła je na stolik.

Miles podszedł do niego, pochylił się i zobaczył zdjęcie mniej więcej czterdziestoletniej kobiety jadącej na rowerze. Pracowała w ogrodzie. Wychodziła ze szpitala Danderyd. Stała w oknie willi i patrzyła prosto na niego. Na stoliku leżało jeszcze wiele innych fotografii

przedstawiających tę samą kobietę w różnych sytuacjach. Wszystkie zrobiono przy użyciu teleobiektywu.

– Jest pod obserwacją – mruknął pod nosem.

– Była...

– Kto to jest?

– Nazywa się Sophie Brinkmann.

Miles przyglądał się zdjęciom.

– Jej nazwisko pojawiło się w sprawie Trasten – dodała Antonia. – To pielęgniarka, która opiekowała się Hectorem Guzmanem, kiedy trafił do szpitala po wypadku.

Miles podniósł wzrok.

– Tak?

– Raz z nią rozmawiałam, zadałam jej parę pytań, ale nic nie wiedziała.

Antonia próbowała sobie przypomnieć tamto spotkanie.

– Ale?

– Nie ma żadnych ale. Oprócz zdjęć w torbie było mnóstwo nagrań.

– Jakich nagrań?

– Niewiele zdążyłam przesłuchać. Ale to nagrania z podsłuchu.

– U kogo?

Antonia wskazała zdjęcie Sophie.

– Dlaczego założono u niej podsłuch?

– Nie wiem.

Miles podniósł plik zdjęć i zaczął je przeglądać. Zobaczył Gunillę Strandberg, Larsa Vingego, jakiegoś brodatego mężczyznę, na oko sześćdziesięcioletniego. Jego czerwona twarz świadczyła o nadciśnieniu. To musiał być Erik Strandberg, brat Gunilli. Miles przerzucał kolejne zdjęcia. Anders Ask i Hans Berglund, koledzy Vingego. Hector Guzman i Aron Geisler. Potem zobaczył fotografię zrobioną z dużej odległości. Uważnie się jej przyjrzał, zobaczył blondyna siedzącego na ławce w okolicach Strandvågen. Kiedy robiono następne zdjęcie, mężczyzna musiał odwrócić głowę. Miles zobaczył jego profil.

– To on – powiedział.

– Kto? – zapytała Antonia.

Miles podsunął jej zdjęcie.

– Ten facet z Meksyku.

– Co?

– To ten facet, którego odebrałem z Arlandy i który został odbity.

Miles spojrział na człowieka, który po wypadku uratował mu życie. Prawą dłonią przetarł twarz.

– Kto o tym wszystkim wie? – zapytała Antonia.

– Tommy – odparł Miles.

– A oprócz niego?

Miles obrzucił spojrzeniem stół. Antonia zrobiła to samo. Wśród tych wszystkich materiałów na pierwszy plan wybijała się jedna osoba – Sophie Brinkmann. Zdjęcia. Nagrania z jej domu.

– Musimy ją sprawdzić – powiedziała Antonia.

Wzięli się do pracy. Sophie Brinkmann nie odbierała telefonu, nie pracowała już jako pielęgniarka, nic jej z nikim nie łączyło. Była aspołeczna, nawet w internecie.

Antonii udało się dodzwonić do Yvonne, jej matki, która powiedziała, starannie dobierając słowa, że Sophie pojechała z Albertem na turnus rehabilitacyjny na Cypr. Z kolei Miles rozmawiał z nauczycielem Alberta, który potwierdził słowa matki Sophie i dodał, że Albert ma wrócić za trzy tygodnie.

Antonia wyszukała numer do firmy zajmującej się roznoszeniem gazet w Sztokholmie.

– Mehmet z Tidningstjänst, słucham.

– Dzień dobry, zastanawiam się, o której dostarczacie gazety na Eriksbergsgatan? Jutro rano wyjeżdżam i chciałam przejrzeć gazetę w taksówce.

Mehmet poprosił, żeby chwilę zaczekała. Wystukał coś na klawiaturze.

– Eriksbergsgatan... czyli Östermalm. Między trzecią a wpół do czwartej.

Kiedy Ann Margret myślała o pracy, czuła stres i wyrzuty sumienia. Brakowało jej słów uznania.

Postanowiła popracować w domu. Na stole w kuchni ustawiła laptop, drukarkę i kilka segregatorów. Chciała się zasłużyć, dać Tommy’emu coś jeszcze, pokazać, że docenia okazane jej zaufanie, usłyszeć, że jest ważna, zdolna... że można na niej polegać. Potrzebowała tego.

Wypiła kieliszek białego wina, czwarty z rzędu. Wino w kartonie to świetny wynalazek.

Szefowie lubili zestawienia. Właśnie nad takim pracowała. W jednym segregatorze zebrała materiały, które tworzyły aż zbyt przejrzysty obraz.

Eros Ramazzotti chrypiał ze starej wieży z ubiegłego

wieku. Ann Margret wsunęła kolejne wydruki do segregatora, wychyliła kolejny kieliszek.

Gdyby była trzeźwa, umiała myśleć logicznie albo po prostu przyjrzała się materiałom z odrobiną nieufności, być może zobaczyłaby pewną, niewielką wprawdzie, ale jednak niewątpliwą zależność.

Ale Ann Margret napędzały kompleksy i chęć wykazania się, której źródłem było egoistyczne pragnienie bycia zauważoną i docenioną. A takie cechy charakteru znacznie zawężają pole widzenia.

Zadzwoiła do Tommy'ego. Na wpół pijana i dzięki temu odważna, przeprosiła, że dzwoni o tak późnej porze. Pracowała właśnie w domu nad pewnym zestawieniem i zastanawiała się, czy nie chciałby na nie rzucić okiem. Mógłby do niej wpaść, napić się wina i przejrzeć teraz te papiery, a jeśli mu to nie odpowiada, to pokaże mu je jutro w pracy.

– Zaraz będę – powiedział Tommy schrypniętym głosem.

Ann Margret przeczesła włosy przed lustrem w łazience. Pomalowała na czerwono usta i upewniła się, że jej majtki nie są widoczne przez białe spodnie. Nuciała

przy tym razem z Erosem, choć bez słów, ponieważ w ogóle ich nie rozumiała. Rozpyliła trochę perfum na szyję i potarła ją nadgarstkiem, po czym zrobiła przed lustrem uwodzicielską minę. Chciała nalać sobie jeszcze trochę wina z kartonu, ale okazało się, że jest już pusty. Ten fakt za każdym razem jednakowo ją zaskakiwał.

Otworzyła lodówkę i wyjęła następny karton. Z wprawą go otworzyła i napełniła kieliszek.

Pół godziny później rozległ się dzwonek przy drzwiach. Ogarnęła wzrokiem mieszkanie, żeby upewnić się, że wszystko wygląda przyzwoicie.

Otworzyła drzwi i zobaczyła uśmiechniętego Tommy'ego. Jego oczy były lekko zamglone, najwyraźniej i on był trochę wstawiony.

Prowadząc Tommy'ego do kuchni, starała się poruszać kusząco.

Usiedli obok siebie. Świece rozsiewały zapach fiołków. Poczęstowała go winem i zaczęła opowiadać o zestawieniu. Uświadomiła sobie, że od czasu do czasu wybucha śmiechem. Cieszyła się, że Tommy nie jest na nią zły.

Tommy wcale jej nie słuchał, wpatrywał się w ścianę.

Wisiały na niej litery układające się w słowa: *carpe diem*. Patrzył na te słowa i nie mógł sobie przypomnieć, co znaczą.

Pochylił się, wziął jeden ze skoroszytów, położył sobie na kolanach i przerzucił kilka stron. Ann Margret plotła coś o Antonii Miller.

– ...często dzwoni do matki, która mieszka w Falköping, do japońskiej restauracji i do tego całego Ulfa. Od czasu do czasu dzwoni też do przyjaciółki.

Tommy czytał, Ann Margret nie przestawała mieć. Echo jej słów przebiło się do jego świadomości. Przerwał jej.

– Jaki Ulf?

Ann Margret zamilkła, przez chwilę zastanawiała się nad odpowiedzią, szukając w pamięci.

– Ulf – powiedziała. – Ten wywiadowca! Ulf Lange.

Pochyliła się w kierunku kartonu z winem, nacisnęła kurek i napełniła kieliszek.

– Wspominałam o nim we wcześniejszych raportach – powiedziała Ann Margret i wychyliła kieliszek. – Antonia dzwoni do niego kilka razy w tygodniu. Możliwe, że się spotykają, pisałam ci przecież, że tak mi się wydaje. Nie

mam na to żadnych dowodów, ale moim zdaniem to prawdopodobne. Pisałam ci o tym. Można powiedzieć, że na własną rękę zinterpretowałam fakty.

– Rozmawia z nim w godzinach pracy?

– Co?

– Rozmawia z nim prywatnie czy służbowo?

– Zobaczmy... – powiedziała i chrząknęła, starając się ukryć zdenerwowanie.

Ann Margret nachyliła się do Tommy'ego i przerzuciła kilka kartek w segregatorze, który trzymał na kolanach. Przesunęła palcem wzdłuż spisu materiałów i odnalazła właściwą zakładkę.

Trochę to trwało. Musiała położyć segregator na stole, sprawdzała numer telefonu i godzinę.

– Mhm, tak jak myślałam – powiedziała niepewnie. –

Rozmawiają poza godzinami pracy, głównie wieczorami...

– I mówisz, że coś ich łączy? – zapytał Tommy.

– Tego nie wiem, ale pokojarzyłam różne fakty i doszłam do wniosku, że...

Tommy wszedł jej w słowo.

– Prawdziwy z ciebie skarb – powiedział obojętnym

tonem.

Uśmiechnęła się trochę krzywo.

– Dziękuję.

Tommy wziął skoroszyt, otworzył na pierwszej stronie i zaczął go przeglądać od początku. Strona po stronie. Ann Margret sączyła wino i nie przestawała gadać.

Czytał i nie mógł wyjść ze zdumienia. Był zaskoczony, że w trakcie lektury można stworzyć sobie aż tak jednoznaczny obraz. Cały ten pierdolony segregator, pod względem konstrukcji był niczym otwarta księga, w której można było zobaczyć, co tak naprawdę robił Tommy Jansson.

Rzucił okiem na siedzącą obok niego kobietę, która paplała i chciała być pomocna. Naprawdę nie domyślała się, o co chodzi? Przecież wszystkie dane miała w tym segregatorze, w dodatku ułożone w porządku chronologicznym. Każdy, kto miałby choć odrobinę oleju w głowie, zrozumiałby – zwłaszcza biorąc pod uwagę pytania, jakie zadawał jej przez ostatnie pół roku – że musiał mieć coś wspólnego ze śmiercią Gunilli Strandberg i Larsa Vingego.

Czy ta kobieta mogła być aż tak głupia?

– Musimy to uczcić! – oznajmił, zamykając z trzaskiem segregator.

Zaśmiała się.

– Uczcić?

Opróżnił swój kieliszek.

– Świetnie się spisałaś, Ann Margret. Chodź, ja zapraszam!

Zaśmiała się jeszcze raz, nic nie rozumiejąc.

– Co? – odparła.

Tommy’emu udało się nie okazać rozdrażnienia. Nie cierpiał się powtarzać.

– Idziemy to uczcić!

– Teraz?

– Tak, ale najpierw jeszcze się napijemy.

Ann Margret zarechotała ze szczęścia.

– O rany! Naprawdę?

Siedzieli w jej żalostnej kuchni. Tommy dopilnował, żeby nie przestała pić, dopóki zupełnie się nie zalała i nie straciła resztek swego i tak nikłego rozumu. Wstała, rozrzuciła ręce na boki, odrzuciła głowę do tyłu i zaczęła tańczyć. Kiepsko jej to szło.

Zataczając się, pochyliła się do przodu i spróbowała go pocałować. Zupełnie straciła kontakt z rzeczywistością. Idealnie, pomyślał Tommy.

W drzwiach lodówki znalazł butelkę campari, a w zamrażarce oszronioną butelkę czystej. Wziął karton soku jabłkowego i przygotował zabójczego drinka. Do butelki campari wlał odrobinę soku i mnóstwo wódki. Chwycił dwa kieliszki.

– *One for the road* – zawołał.

Spróbowała powiedzieć coś do rymu, ale wyszedł jej tylko bełkot.

Wsiedli do jego służbowego samochodu. Ann Margret rozlała trochę swojego drinka na siedzenie. Dobrała się do radia, bo była spragniona muzyki. Leciało *One night in Bangkok*. Zaczęła śpiewać. Tommy przyglądał jej się z odrazą. Bardzo mu to wszystko ułatwiała.

Jechali dość długo, ale pijana Ann Margret straciła poczucie czasu.

Tommy zdecydował, że uda się tam, gdzie Ove Czarnuch wykończył Milesa Ingmarssona. Powiedział wtedy, że to jego ulubione miejsce do topienia ludzi.

– Gdzie jesteśmy? – wybełkotała Ann Margret z wyrzutem.

– Na łonie natury – powiedział. – Zrobimy sobie piknik.

Wyrzała półprzytomnie na zewnątrz. Potem spojrzała na Tommy'ego.

– Tutaj? – zapytała. – Przecież jest zimno i ciemno.

– No co ty, nie ma co narzekać na pogodę. Chodź!

Nagle coś w niej zaskoczyło.

– Nie, nie chcę. Chcę wracać do domu.

– No dawaj, nie marudź – powiedział ze śmiechem.

Wysiadł, okrążył maskę i podszedł do jej drzwi.

Ann Margret błyskawicznie je zablokowała. Patrzyła na niego z wymuszonym uśmiechem, którym próbowała zamaskować rosnący niepokój.

Tommy zapukał w szybę i nisko się pochylił.

– O co ci chodzi, Ann Margret? Otwórz!

– Chcę wracać do domu. Już późno. Zimno mi i jestem zmęczona.

Trochę otrzeźwiała.

Tommy zaczął walić w okno.

– Nie wygłupiaj się, wysiądź, to się napijemy.

Opuściła wzrok i zacisnęła usta.

Tommy otworzył zamek pilotem, który miał w kieszeni i szarpnął drzwi. Ann Margret usiłowała przeskoczyć na fotel kierowcy, ale Tommy złapał ją za ramię. Krzyczała, kiedy wyciągał ją na zewnątrz. Jej białe spodnie pokrył śnieg zmieszany z błotem. Tommy puścił jej ramię. Podniosła się i rzuciła do ucieczki, ale złapał ją bez trudu. Do brzegu morza był jeszcze kawałek. Tommy pomyślał, że równie dobrze może ją zabić od razu.

Przewrócił Ann Margret na plecy i przyparł ją do ziemi. Chwytał jej gardło i mocno zacisnął na nim dłonie. Próbowwała wypowiedzieć jego imię, ale nie mogła wydobyć z siebie głosu. Tommy odwrócił głowę i przycisnął nos do ramienia.

Ann Margret rzucała się i wierzgała nogami. Tommy pomyślał, że czas skończyć z piciem.

49

Jutlandia

W kominku płonął ogień.

– Dlaczego w Malmö? – zapytał Michaił ze swego fotela.

– Nie wiem – odparła Sophie. – Roland powiedział, że spotkamy się na wielopoziomowym parkingu. Mam wejść z Lotharem na samą górę...

Stała ze skrzyżowanymi ramionami i przyglądała się swojej stopie, którą wykonywała na dywanie bliżej nieokreślone ruchy.

– Co powiedział Aron, kiedy podałaś mu miejsce? – zapytał Jens z drugiego fotela.

– Nic, zgodził się. Będą tam.

– Nie miał żadnych uwag?

– Nie...

– Co jeszcze mu powiedziałaś?

– Powiedziałam, zgodnie ze wskazówką Rolanda, że Hector też ma czekać na samej górze.

– A Aron tak po prostu na to przystał?

– Tak.

– Jak będzie wyglądała wymiana? – zapytał Michaił.

– Mam czekać, dopóki nie zjawi się Hector. Wtedy mam mu przekazać Lothara i odejść. Albert będzie na mnie czekał w samochodzie zaparkowanym piętro niżej.

Jens i Michaił wymienili spojrzenia.

– O co chodzi? – zapytała.

– O nic, to wszystko wydaje mi się po prostu trochę dziwne – odpowiedział Jens.

– Powiedz mi, co w tym wszystkim nie jest dziwne?

– To trudne – szepnął.

Na chwilę zapadła cisza.

– No i stało się, Jens – stwierdziła w końcu Sophie.

– Co masz na myśli?

– Powiedziałeś mi, że nawet jeśli będę w stanie wydać Hankemu Hectora, to twoim zdaniem i tak nie odzyskam Alberta.

– Mhm, zgadza się.

– Nadal tak uważasz?

Jens nie odpowiedział.

– Co w takim razie mi radzisz? – zapytała.

– Nie mam dla ciebie żadnych rad.

– Daj spokój. Powiedz mi, co mam robić!

W głosie Sophie słychać było zdenerwowanie.

– A możesz tam nie pójść?

Sophie pokręciła głową.

– Nie, nie mogę.

– No właśnie.

– Założmy, że dojdzie do wymiany i uda się nam zabrać Alberta – odezwał się Michaił.

Sophie zamknęła i otworzyła oczy.

– Jak to rozegramy? – zapytała.

– Ja nie mogę się tam pokazać. Byłem ochroniarzem Hankego, obie strony zaczęłyby do mnie strzelać. Będę czekać gdzieś w pobliżu w samochodzie, którym potem uciekniemy. Jens będzie miał na oku piętro, na którym ma czekać Albert. Ty i Lothar zrobicie to, co wam kazali.

– Broń? – zapytał Jens.

– Nie, tym razem będziemy nieuzbrojeni – odparł Michaił. – Zachowamy neutralność. Będą trzy grupy. My, ludzie Hectora i ludzie Hankego. Niech oni się sobą zajmą, my trzymajmy się od tego z daleka. Szybko się pojawimy i szybko znikniemy. Lepiej nie następować nikomu na odcisk bez potrzeby.

Sophie przez chwilę stała ze spuszczoną głową, obejmując się ramionami.

– Zajrzę do Lothara – szepnęła i wyszła z pokoju.

Polana w kominku trzaskały i skwierczały. Michaił podrapał się po karku.

– Rozwalą Hectora od razu na tym parkingu – powiedział.

– Myślisz, że Aron się z tym liczy?

– Tak. Porozstawia w pobliżu snajperów.

– A co zamierza Hanke?

– To zależy od tego, który z jego ludzi będzie odpowiadał za logistykę. Albo sprzątną Hectora na miejscu, albo go ze sobą wezmą. Nie mam pojęcia.

Ogień płonął. Do świtu było coraz bliżej.

50

Sztokholm

Była noc. Nocą mogli poruszać się w miarę swobodnie.

Miles Ingmarsson i Antonia Miller szli w ciemnościach. On nie żył, a ona była poszukiwana.

Znalazła w gniazdku rozkoszy trochę damskich ubrań. Włożyła czółenka na wysokim obcasie i dopasowany szary płaszcz. Miles wybrał elegancką marynarkę. Szli pod ramię. Wyglądali jak para wracająca z imprezy do domu. Na Karlbergsvägen zwołał przy nich radiowóz. Tłusty

gliniarz z nieapetycznie wyglądającym hamburgerem w dłoni przyjrzał im się uważnie. Po chwili samochód przyśpieszył i odjechał.

Kiedy stanęli pod domem Sophie Brinkmann na Eriksbergsgatan, wybiła trzecia. Po kwadransie zjawił się dostarczyciel gazet. Była nim ubrana na sportowo dziewczyna. Miles i Antonia udawali lekko zawianych, powiedzieli, że zapomnieli kodu i weszli razem z nią do środka. Pozataczali się chwilę, przywołali windę i jadąc do góry, zobaczyli, jak dziewczyna zbiega po schodach.

Mieszkanie Brinkmann leżało na trzecim piętrze. Antonia zajrzała do środka przez otwór na listy i zobaczyła kratę. Nie było sposobu, żeby ją ominąć. Na podłodze leżała sterta gazet i poczty.

– To na nic – powiedziała.

Zjechali na dół i wyszli na ulicę. Miles cofnął się o kilka kroków, spojrział w górę na fasadę i coś pokazał palcem.

– Tamten balkon należy do jej mieszkania.

Powędrował wzrokiem do rynny, która znajdowała się na rogu budynku.

– Łatwo tam wejdiesz – stwierdził.

Antonia spojrzała w górę, do balkonu było dość daleko.

– Ja? – zapytała.

Miles podniósł w górę zabandażowaną rękę.

Antonia zagryzła wargi, zrzuciła czólenka z nóg i zdjęła płaszcz.

Szarpnęła dwa razy rynnę i zaczęła się wspinać. Miles śledził ją wzrokiem. Miała silne ramiona. Podciągała się coraz wyżej, obejmując nogami rynnę.

Zapalił papierosa.

Antonia była coraz bliżej celu. Minęła już poziom balkonu. Na moment zawisała bezwładnie w powietrzu, potem puściła się, odepchnęła nogami i z wyciągniętymi ramionami poleciała w stronę balkonu. Przez sekundę znajdowała się w powietrzu, potem jej ręce chwyciły dolną krawędź balustrady. Cały balkon zaczął się trząść.

Miles palił nerwowo. Antonia podciągnęła się do góry i chwyciła górną krawędź balustrady. Następnie raz jeszcze się podciągnęła, przerzuciła ciało nad poręczą i wylądowała na balkonie. Zdjęła bluzkę, okręciła nią rękę i stłukła szybę w drzwiach. Zniknęła w mieszkaniu.

Miles czekał, odpalając papierosa od papierosa.

Pozdrowił mijającą go parę i pomachał do przebiegającego obok psa. Podszedł do niego jakiś podpity chłopak i poprosił o papierosa. Miles poczęstował go i podał mu zapalniczkę. Młodzieniec oznajmił mu z radością, że dopiero co spotkał miłość swojego życia i że miała zajebiste cycki. Potem sobie poszedł.

Miles odprowadził go wzrokiem. Ludzie dzielili się na dobrych, złych i...

– Orientuj się! – usłyszał.

Spojrzał do góry i zobaczył, jak coś leci w jego stronę. Foliowy worek. Spadał z dużą prędkością. Zadziałał instynkt. Miles złapał worek jak zawodowy bramkarz. Papieros nadal tkwił w jego ustach.

Antonia przechodziła już przez poręcz balkonu. Skoczyła w stronę rynny, chwyciła ją i zsunęła się w dół.

Podniosła z ziemi płaszcz, włożyła go na siebie i wsunęła stopy w czółenka.

– Pora wracać do domu – powiedział Miles.

Zawartość worka wylądowała na podłodze w gniazdku rozkoszy.

Antonia wrzuciła do niego wszystko, co miało jakikolwiek związek z Sophie. Zabrała nawet te rzeczy, które na pierwszy rzut oka wydawały się bez znaczenia.

Ostrożnie i dokładnie oglądała każdy przedmiot, a potem podawała go Milesowi. Udzieliło mu się jej skupienie. Wszystko sprawdzał dwa razy: karteczki z odręcznymi notatkami, paragony, wyciągi z konta, notes z numerami telefonów, fotografie i serwetkę, na której zapisany był jakiś numer. Informacje ze szkoły Alberta, jakieś notatki na marginesach gazet, stertę starych rachunków i tym podobne papiery.

– Dobra – powiedziała Antonia pod nosem i spojrzała na rzeczy na podłodze. Wskazała je dłonią i powiedziała:

– Czyli to jest Sophie Brinkmann.

Miles przeglądał notes z numerami telefonów.

– Będziemy musieli trochę podzwonić – stwierdził.

– Jest noc – odparła Antonia.

– To znaczy, że wszyscy powinni być w domach.

Udając kolegów z pracy albo dawnych znajomych, obdzwonili figurujące w notesie osoby. Wyrwani ze snu ludzie odpowiadali na pytania, ale nie wiedzieli nic godnego uwagi.

Antonia spojrzała na numer zapisany na serwetce. Zobaczyła, że ma niemiecki prefiks. Zadzwoiła.

Usłyszała sygnał, cholernie długi sygnał. A potem kolejny.

Uciszyła gestem Milesa, mimo że w ogóle się nie odzywał.

Ktoś odebrał i usłyszała niewyraźny męski głos. Postanowiła zaryzykować.

– Sophie – rzuciła.

– *Hello, Sophie* – powiedział mężczyzna łamaną angielszczyzną.

– Z kim rozmawiam? – zapytała Antonia obojętnym tonem.

– To ja, Rüdiger.

I co teraz? – pomyślała Antonia. Skończyły się jej pomysły.

– Muszę się skontaktować z Sophie – oznajmiła po angielsku.

– Nie mogę ci pomóc – odparł mężczyzna.

– Grozi jej niebezpieczeństwo.

– To dla mnie za mało. Zaraz się rozłączę. Nie dzwoń więcej.

– Czekaj! – Antonia prawie krzyknęła. – Masz z nią kontakt?

Mężczyzna nic nie odpowiedział. Antonia postawiła wszystko na jedną kartę.

– Nazywam się Antonia Miller, pracuję w szwedzkiej policji, życiu Sophie grozi niebezpieczeństwo, mojemu również. Ukrywam się i wydaje mi się, że Sophie robi to samo. Muszę się z nią skontaktować.

Mężczyzna milczał, ale nie odłożył słuchawki.

– Zostawię swój numer – powiedziała.

Żadnej odpowiedzi.

Podyktowała numer swojej komórki. Kiedy skończyła, mężczyzna się rozłączył.

W pokojach techników pachniało potem.

Tommy Jansson siedział w małym jasnym gabinecie Stefana Anderssona, niższego rangą szefa Wydziału Technicznego, i popijał poranną kawę z plastikowego kubeczka.

– Co ta Miller zrobiła? – zapytał Stefan.

Tommy się skrzywił.

– Szantażowała przestępców i wyciągała od nich pieniądze. Więcej nie mogę ci powiedzieć, ale wszystkich nas zwiódła.

Stefan zagwizdał.

– A jest coś jeszcze?

Tommy udał, że się waha.

– Ale to zostanie między nami?

Stefan Andersson pokiwał głową.

– Zdefraudowała kupę kasy. Kiedy to odkryliśmy, próbowała zrzucić winę na innych.

Oczy Stefana się zwęziły.

– Chciała nas wszystkich umoczyć w gównie? O ja pierdołę.

– Delikatnie mówiąc – szepnął Tommy. – To dlatego tu jestem. Chcę cię prosić o przysługę. Ale chciałbym, żeby to na razie zostało między nami.

– Tak?

– Antonia się ukrywa. Pozbyła się starego telefonu, ale na pewno ma już nowy. Spotyka się z gościem z wywiadu, Ulfem Langem.

– I?

– Trzeba sprawdzić jego telefon. Zobaczyć, z kim

ostatnio rozmawiał, ustalić jej numer i namierzyć sygnał.

Stefan cmokał rytmicznie.

– Rozmawiałaś z tym całym Langem? – zapytał.

– Nie, no co ty – zaprzeczył Tommy.

– To dobrze – powiedział Stefan.

– Myślisz, że to jest do zrobienia?

– Jasne. W dzisiejszych czasach wszystko da się zrobić. Możemy zacząć od razu. Skorzystamy z mojego prywatnego komputera.

– A potem?

– Potem, jak już będziemy mieli jej numer, to ją znajdziemy. Jeżeli tylko ta suka nie wyłączyła GPS-u, będziemy mogli określić jej położenie z dokładnością co do metra.

Jego kolega był już pochłonięty zadaniem.

– To do roboty – powiedział Tommy.

Stefan wyjął z torby laptop.

– Siadaj obok mnie – powiedział wesoło.

Tommy przesunął swoje krzesło na drugą stronę biurka.

– A możesz sprawdzić, czy GPS jest włączony?

– Jasna sprawa – odparł Stefan.

– I wszystko zostanie między nami?

– Słowo skauta – odparł Stefan i podniósł do góry dwa palce.

51

Malmö

Leszek wszedł na dach domu handlowego. Wyjął z torby części karabinu, złożył go i opuścił dwunożny statyw przyczepiony do lufy. Położył się na brzuchu tuż obok wylotu wentylacji i przycisnął karabin do prawego ramienia. Przez celownik doskonale widział budynek wielopoziomowego parkingu.

Jakieś pięćdziesiąt metrów na prawo od niego Hasani właśnie montował swój karabin.

W słuchawce, którą Leszek miał w uchu, rozległ się głos Arona:

– Dwa.

– Dwa – powtórzył Leszek przez mikrofon, biegnący wzdłuż policzka.

– Trzy.

– Trzy – powiedział Hasani.

– Sprawdźcie teren – polecił Aron.

Leszek przyłożył oko do celownika i zaczął lustrować okolicę. Parking, samochody, domy. Sprawdzał każde okno, każde piętro. Każdy kąt i zaułek, który mógł dostrzec. Były jednak takie miejsca, których zobaczyć nie mógł, miejsca, w których mogli się czaić snajperzy.

Gdy tylko któryś z nich zobaczy błysk z lufy, cała trójka skieruje tam swoją broń. Wtedy jednak może już być za późno. Nie mieli też pewności, czy będzie taka konieczność. Może Hanke chciał zabrać Hectora ze sobą...

Leszek nie miał bladego pojęcia, co planuje Hanke. Aron i Hasani również tego nie wiedzieli. Nie mówiąc już o Hectorze.

Jechali nowym outbackiem, który Jens wypożyczył na jazdę próbną w salonie w Jägersro.

Sophie i Lothar wysiedli na ulicy koło parkingu. Kiedy szli przejściem dla pieszych, Sophie obejrzała się przez ramię i zobaczyła, jak Jens znika.

Była zdziwiona tym, jak niewiele pytań miał Lothar, gdy opowiedziała mu o jego ojcu. Powiedział za to, że

chciałby sobie kupić nowe ubrania. Zabrali go na zakupy.

Garaż był ciemny, wilgotny i wypełniony samochodami. W windzie było ciasno. Połyskiwała aluminium.

Kupując nowe rzeczy, Lothar starannie je wybierał. Dżinsy, tenisówki, koszula w paski, granatowy kaszmirowy sweter z dekoltem w serek.

– Piękny jesteś – stwierdziła Sophie.

– Piękny? – zapytał.

– Ładnie wyglądasz.

Chciałaby móc go mocno przytulić i powiedzieć, że wszystko będzie dobrze.

Gdy wysiedli z windy na najwyższym piętrze, poczuli ostry, zimny powiew.

Na twarzy Lothara malowały się niepokój i napięcie. Był milczący i zamknięty w sobie. Sophie szła blisko niego, nieświadomie próbując go osłaniać.

Spojrzała na zegarek. Od wyznaczonej godziny minęło już dwadzieścia minut. Usłyszeli warkot dobiegający z niższego piętra. Po chwili na górę wyjechał samochód, który zaparkował na wolnym miejscu kawałek dalej. Wysiadł z niego jakiś mężczyzna w marynarce. Podszedł

do tylnych drzwi auta, otworzył je, wyjął ze środka skórzaną teczkę i ruszył w stronę windy. Sophie śledziła go wzrokiem, dopóki nie zniknął.

– Cześć.

Ktoś był za nimi.

Sophie odwróciła się i zobaczyła Hectora, który kucnął między dwoma zaparkowanymi samochodami.

Spojrzała mu prosto w oczy. Wydawał się spokojny, niemal rozbawiony.

– Hector? – zapytała.

Zeszczuplał. Miał dłuższe włosy. Jak na szwedzki klimat był zdecydowanie za cienko ubrany.

– Wydaje mi się, że będzie bezpieczniej, jeśli i wy się schowacie.

Posłuchali go. Przykucnęli między samochodami. Hector znajdował się zaledwie parę metrów dalej.

Sophie nie mogła zapanować nad uczuciami. Mimo okoliczności ogarnęła ją radość. Czuła podekscytowanie, choć nie był to ani właściwy czas, ani miejsce. Pamiętała to uczucie, jego smak i barwę, dzieliła je tylko z Hectorem. Wydawało jej się, że dostrzega teraz u niego ten sam rodzaj czułości, że on też rozpoznaje i przypomina

sobie to, co choć minęło, pozostało niedokończone. Ale było też coś jeszcze. Chłód i obojętność. Może smutek. Jednocześnie promieniował pewnością siebie, jakby panował nad sytuacją, mimo że był teraz całkowicie zdany na łaskę innych. A jednak tu był. Jak gdyby przyście na to spotkanie mu odpowiadało. Można by pomyśleć, że od czasu, kiedy widzieli się po raz ostatni, lepiej rozumiał życie.

– Witaj, Sophie – rzucił głębokim i schrypniętym głosem.

– Witaj, Hectorze – odpowiedział cicho.

Jego spojrzenie powędrowało do chłopca.

– To jest Lothar – oznajmiła Sophie.

Hector uważnie przyglądał się synowi.

– Cześć, Lothar – powiedział.

Lothar nie odpowiedział.

– Wiesz, kim jestem? – zapytał Hector.

Lothar pokiwał głową.

Hector wyczytał wszystko z jego twarzy.

– Przepraszam za wszystko. Przykro mi z powodu twojej mamy. Źle, że tak się stało.

Lothar opuścił wzrok.

W powietrzu czuć było napięcie. Sophie spojrzała w niebo, było granatowe. Potem zrobiła tak, jak jej kazali.

– Zostań tu, Lothar, nie wstawaj.

Podniosła się i zaczęła się oddalać.

Usłyszała za sobą głos Lothara.

– Sophie?

Kiedy znalazła się w otwartej przestrzeni, przyśpieszyła kroku. Szła w stronę wind.

Usłyszała za sobą głos chłopca, a kiedy się odwróciła, zobaczyła, że wstał.

– Dokąd idziesz? – W jego głosie słyhać było zdziwienie i zagubienie.

– Zostań tam, gdzie stoisz. Schyl się! Zrób, co mówię.

Mówiła ostrym tonem, ale bez przekonania. Lothar zachowywał się jak zdeorientowane zwierzę domowe, któremu nagle zmieniono właściciela.

– Dlaczego?

Zobaczyła w nim dziecko.

– Lotharze – powiedział Hector. – Schowaj się.

Chłopak odwrócił się w stronę ojca. Sophie wbiła wzrok w ziemię i pośpiesznie odeszła. Serce miała rozdarte.

Nagle obok niej coś przeleciało ze świstem. Usłyszała głośne młaśnięcie, gdy kula wbijała się w ciało.

Hector upadł bezwładnie na ziemię. Rozległy się kolejne strzały, wszystkie oddano z broni z tłumikiem. Kule młóciły o samochód, przy którym leżał Hector.

Sophie schroniła się za najbliższym autem.

Strzały ucichły.

Wyjrzała zza samochodu i zobaczyła, że skulony Lothar przywarł do opony. Kilka metrów dalej leżał Hector. Oberwał. Wyglądało na to, że dostał w lewe udo. Mocno krwawił.

Znów rozległ się ten sam dźwięk, choć brzmiał odrobinę inaczej. Broń wyposażona w tłumik pokasływała teraz w pewnej odległości. Nie oni byli celem. Pociski z cichym świstem przelatowały nad ich głowami, z dwóch przeciwległych stron.

Spojrzała w stronę Hectora. Leżał w tej samej pozycji, ale teraz z bronią w ręku. Z jego rany nie przestawała płynąć krew.

– Już po wszystkim? – zapytał Lothar.

– Nie ruszaj się – polecił Hector.

Sophie napłynęły łzy do oczu. Otarła je rękawem.

– Musisz opatrzeć ranę, zatrzymać krwawienie – powiedziała do Hectora.

Jednym pociągnięciem wyrwał pasek ze spodni i przewiązał nim udo.

– Zaciśnij go tak mocno, jak tylko dasz radę.

Znowu zaczęły świstać kule. Trafiały w samochód, za którym schronił się Hector. Teraz nadlatywały z drugiej strony. Rozbiły szybę nad jego głową, przeorały karoserię. Ostrzał trwał długo.

Hector nawet nie drgnął. Został wzięty w dwa ognie. Najmniejszy ruch i oberwie.

Strzały ucichły, pozostawiając po sobie osobliwą ciszę.

Sophie, Lothar i Hector odetchnęli. Nawet nie próbowali się poruszyć.

– Sophie? – zapytał Hector schrypniętym głosem.

– Tak?

– Jak się masz?

– Tak sobie, a ty?

– Bywało lepiej.

W jego głosie pobrzmiwała ironia.

– Niby kiedy?

Domyślała się, że się uśmiechnął.

– Kiedy się obudziłem ze śpiączki, myślałem o tobie – powiedział.

Spuściła wzrok.

– Też mi cię brakowało – odparła.

Lothar, który znajdował się między nimi, słuchał, choć nie rozumiał ani słowa po szwedzku.

– Co tu robisz, Sophie? – zapytał Hector.

Nie odpowiedziała.

– Zdradziłaś mnie?

– Co to znaczy? – Tylko tyle zdołała z siebie wydusić.

– Zdradziłaś mnie? – powtórzył, tym razem akcentując „mnie”.

– Nie, Hectorze – odpowiedziała. – Nie zdradziłam.

– Co tu robimy?

Pytanie zawisło w powietrzu.

– Jesteśmy tu przez nasze dzieci – stwierdziła.

– Albert? Co z nim?

– Nie wiem.

Hector słyszał bezradność w jej głosie.

– Gdzie on jest?

Na samochód, przy którym siedział, znów runął grad

kul. Z dwóch stron. Snajperzy musieli ze sobą współpracować. Nagle ostrzał ucichł. Tak jak wcześniej, ktoś zaczął strzelać do nich. Nad głowami Sophie, Hectora i Lothara znowu śmigały kule.

Hector skulił się tak bardzo, jak tylko mógł. Chyba zaczęło do niego docierać, że jego los jest przesądzony i że nie wyjdzie z tego żywy.

– Weź Lothara i uciekajcie! – zawołał.

Kolejne pociski trafiły w samochód, omijając Hectora. Na razie. Sophie wiedziała, że prędzej czy później snajperzy dopną swego.

– Dasz radę wstać i tu przybiec? – zapytała Lothara.

Szyba nad jej głową eksplodowała. Pocisk nadleciał od tyłu, niemal musnął jej ciemię i wbił się w asfalt.

Sophie zamarła. Nie była w stanie się poruszyć.

Aron leżał z karabinem snajperskim na dachu po drugiej stronie garażu. Znajdował się naprzeciwko Leszka i Hasaniego. Był wyżej od nich, miał lepszy widok. Przez celownik przyglądał się budynkom otaczającym parking.

Mężczyzna, który postrzelił Hectora, ukrywał się na

dzwonnicy. Aron namierzył go i podał jego położenie Leszkowi i Hasaniemu. Podziurawili go jak sito. Ale było już za późno. Hector został ranny, a oni ujawnili swoje pozycje. Poza tym znalezienie ludzi Hankego było praktycznie niemożliwe. Byli inteligentnie rozmieszczeni, przechodzili z miejsca na miejsce i starali się zbliżyć do Hectora.

Chwilowo jednak zajął się czymś innym. Czymś, co sam zaplanował. Nikt inny o tym nie wiedział.

Wyłączył radio, teraz był nieosiągalny. Przywarł do ziemi, spojrzał przez celownik optyczny na samochód, za którym schowała się Sophie. Dostrzegł jej głowę.

Wypuścił powietrze, wstrzymał oddech i nacisnął spust. Karabinem szarpnęło, pocisk wystrzelił z lufy, szyba samochodu trysnęła odłamkami. Stracił Sophie z pola widzenia, nie wiedział, czy trafił. Nie odrywając oka od celownika, czekał, czy Sophie się pokaże.

Włączył radio. Usłyszał zestresowany głos Leszka.

– ...jedyńka zgłoś się, jedynka zgłoś się! Potrzebuję pomocy! Numer trzy oberwał. Nie daję rady! – krzyczał.

Aron skierował celownik na przeciwległy dach i zobaczył, jak Leszek opuszcza swoją pozycję. Przesunął

karabin na lewo. Hasani leżał płasko na ziemi, skąpany we własnej krwi. Został podziurawiony kulami. Już nie żył.

– Tu jedynka. Coś przerwało odbiór – powiedział Aron do mikrofonu.

– Zwijam się stąd. Spróbuję dotrzeć do Hectora – wydyszał Leszek.

Aron przesunął celownik na dach parkingu. Samochód, przy którym leżał Hector, był ostrzeliwany. Aron nie był w stanie zobaczyć strzelającego. Rozejrzał się za Sophie. Nigdzie jej nie widział.

Na dach parkingu wyjechało nagle rozpędzone subaru. Aron dostrzegł kierowcę.

Prowadził Jens Vall.

Sophie leżała przyciśnięta do ziemi. Na rampie parkingowej pojawił się ryczący silnikiem samochód. Zahamował z piskiem opon. Otworzyły się drzwi.

Ogarnęła ją panika, była przekonana, że wybiła jej ostatnia godzina. Miała supeł w żołądku. Teraz ci ludzie zabiją ją, Lothara i Hectora. Już nigdy nie zobaczy Alberta. Jeśli w ogóle jeszcze żył... Zbliżą się do niej... Staną...

I wystrzelą... A może nie ma to już żadnego znaczenia?

Usłyszała głuchy pomruk silnika. Samochód cofał się teraz z dużą prędkością gdzieś za jej plecami. Zakręcił, zahaczył o zaparkowane auta i zaczął się o nie ocierać. Odważyła się wyrzeć.

W jej stronę z otwartym bagażnikiem jechało subaru, które ukradł Jens. Sophie, niewiele myśląc, wstała i wskoczyła do bagażnika głową naprzód. Siedzenia były opuszczone, przeturlała się do przodu, uderzyła o coś ramieniem, ale nawet nie poczuła bólu. Jens cofał dalej, zbliżając się do Lothara. Chłopak poszedł śladem Sophie i wskoczył do bagażnika.

– Jedź dalej! – wrzasnął Lothar.

Jens się zawahał.

– Zrób, co mówi – krzyknęła Sophie.

Kule zaczęły uderzać o samochód.

Jens docisnął pedał gazu i wjechali w podziurawiony wrak, obok którego leżał skulony Hector.

Lothar położył się na brzuchu, Sophie trzymała go za nogi. Chłopak wyciągnął rękę w stronę swojego ojca.

Hector chwycił jego dłoń i się odepchnął. Lothar wciągnął go do środka, a potem krzyknął coś do Jensa,

który zmienił bieg i wcisnął gaz do dechy.

Nogi Hectora wystawały z samochodu. Jens ruszył w stronę zjazdu. Kule uderzały o dach, drzwi i szyby. Sekundy nieznośnie się dłużyły.

W końcu Jens z poślizgiem wpadł na rampę prowadzącą w dół, wjechał pod dach i gnał dalej na pełnym gazie.

– A Albert? – krzyknęła Sophie.

– Nie ma go tutaj, nikogo tu nie ma.

Koen de Graaf był przebrany za gońca rowerowego. Przyglądał się wszystkiemu z najwyższego piętra biurowca.

Był nafaszerowany herą. Tylko wtedy mógł funkcjonować. Uczucia były wyłączone, a rzeczywistość przyjemna i dająca się kontrolować. Na początku wszystko szło dobrze. Potem jednak stracił panowanie nad sytuacją i nad snajperami.

Hector był sam. Jego ludzie się ukrywali. Koen liczył na coś przeciwnego. Spodziewał się, że będą się trzymali blisko Hectora, żeby go chronić, bo założą, że to on i tylko

on jest celem.

Tymczasem Hector był sam na dachu, nie licząc kobiety i chłopaka. Chyba został ranny. Ale to za mało.

Na dodatek wpieprzył się w to wszystko jakiś samochód, który wciągnął kobietę, chłopaka i Hectora jak jakiś cholerny odkurzacz.

Snajperzy Koena otworzyli do niego ogień, ale nie udało im się go zatrzymać.

Koen uważnie śledził rozwój wypadków, mocno drapiąc się przy tym po policzku. Kiedy dotarło do niego, że samochodu nie uda się zatrzymać, wyszedł z biura, zjechał windą na dół i okrążył budynek. Miał tam zaparkowany rower. Jasnoniebieski, szybki i nowoczesny. Kierownica typu baranek i opony z kolcami.

Koen pędził ulicami. Z piasty dochodziło przyjemne cykanie.

Lawirując między samochodami, zostawił za sobą korek. Potem przejechał na czerwonym i wskoczył na chodnik. Przewidywał ruchy ludzi. Heroina była wprost stworzona dla rowerzystów...

Miasto znał na pamięć. Wiedział, gdzie leży Szpital Uniwersytecki. To była jego jedyna szansa. Postanowił

z niej skorzystać.

Jens z trudem posuwał się zakorkowanymi ulicami. Było zbyt widno, a zniszczony przez kule samochód za bardzo rzucał się w oczy. Ludzie oglądali się za nimi. Zadzwoił do Michała.

– Przyjedź pod Szpital Uniwersytecki – powiedział i się rozłączył.

Sophie, na tyle, na ile mogła, opatrzyła ranę Hectora. Bardzo cierpiał, stracił dużo krwi i zaczął słabnąć. Lothar trzymał ojca za rękę.

– Ludzie Hankego będą nas gonić – powiedział Hector słabym głosem. – Zadzwoń do Arona.

– Nie, nie teraz – odparła Sophie.

Hector nie zrozumiał.

– Najpierw zawieziemy cię do szpitala, a potem zadzwonimy do Arona.

Teraz zrozumiał, o co chodziło Sophie.

– Lothar zostanie ze mną – powiedział, starając się nadać głosowi ostry ton.

– Lothar pojedzie z nami – oświadczyła Sophie.

Hector spojrział na syna. Chciał przejść na angielski i zapytać go o zdanie, żeby go wciągnąć w pertraktację, ale Sophie odczytała jego zamiary.

– Nie, Hectorze. Zapomnij o tym. Nie pogarszaj sprawy.

Z piskiem opon zatrzymali się przed głównym wejściem do szpitala. Drzwi bagażnika uniosły się do góry. Zobaczyli potężną sylwetkę Michaiła. Rosjanin chwycił Hectora, który jęknął i przeszył Sophie spojrzeniem.

Sophie odwróciła wzrok. Michaił wyciągnął z samochodu wrzeszczącego z bólu Hectora i położył go na ziemi.

Przesiedli się do ukradzionego przez Michaiła passata.

– Cześć – powiedział Rosjanin, przekręcając kluczyk.

– Cześć, Michaił – odpowiedzieli chórem.

Kiedy odjeżdżali, Lothar obejrzał się za siebie i zobaczył, jak pracownicy szpitala wybiegają na zewnątrz i pochylają się nad jego ojcem.

Sophie wybrała numer Leszka.

– Odwieźliśmy Hectora do szpitala. Jedźcie po niego.

– A Lothar? – zapytał Leszek.

Sophie się rozłączyła.

Sonya wjechała na rozległy parking przed szpitalem. Stała na uboczu, daleko od wejścia.

Leszek i Aron wysiedli z samochodu i szybkim krokiem weszli do budynku.

Stanęli w holu, zupełnie nie wiedząc, w którą stronę powinni się udać. Spojrzeli na plan budynku, ale okazał się nieczytelny. Nie mieli czasu do namysłu. Postanowili zacząć od oddziału ratunkowego i stamtąd odszukać drogę do sal operacyjnych, gdzie, jak mieli nadzieję, leżał Hector. Zapytali o drogę pielęgniarkę, portiera i praktykanta z przedziałkiem z boku. Trzy minuty później szli już właściwym korytarzem, otwierając drzwi do każdej sali.

W końcu go znaleźli. Leżał na noszach przykryty zielonymi sterylnymi prześcieradłami. Lampy rzucały na niego mocne światło. Oczy miał zamknięte, spał. Wokół niego stały cztery osoby w zielonych strojach, zielonych czepkach i białych maseczkach chirurgicznych. Panowała pełna równowaga płci – chirurg była kobietą, anestezjolog

mężczyzną, a oprócz nich w sali byli jeszcze pielęgniarka i pielęgniarz.

Lekarka zaprotestowała i kazała im wyjść.

Leszek wyciągnął z kieszeni pistolet automatyczny i wycelował w anestezjologa.

– Gotowe? – zapytał, wskazując Hectora.

– Nie – odpowiedziała lekarka.

– Umrze, jeśli go teraz stąd zabierzemy?

– To zależy. Trzeba go pozszywać. Stracił dużo krwi.

Poza tym wydaje się, że już przed postrzałem był w nie najlepszej formie. Zgadza się?

– Niedawno obudził się ze śpiączki – odparł Aron.

– Śpiączki? Jak długo w niej przebywał?

– Długo. Zeszyj ranę najlepiej, jak potrafisz. Śpieszy się nam.

Lekarka zrobiła, co mogła. Dostali na drogę leki przeciwbólowe, jałowe bandaże i jeszcze kilka drobiazgów, które pielęgniarka wyjęła z szafki.

– Rozbieraj się – powiedział Aron do lekarki.

Potem wskazał anestezjologa i dodał:

– Ty też.

Aron i Leszek ubrani w zielone fartuchy wyprowadzili nosze z Hectorem z sali. Znaleźli puste szpitalne łóżko i zaciągnęli je pod salę operacyjną, żeby zablokować drzwi.

Następnie ruszyli w stronę przeciwną do tej, z której przyszli. W pośpiechu minęli szklane drzwi i znaleźli się na klatce schodowej. Oprócz schodów były tam również dwie szerokie windy.

Jedna z nich nadjechała. Otworzyły się drzwi. Pusto. Wepchnęli nosze z Hectorem i sami weszli do środka, a Leszek nacisnął guzik parteru. Drzwi windy zaczęły się wolno zasuwać.

Usłyszeli szybkie kroki, do środka wsunęło się czyjeś ramię i drzwi automatycznie się rozsunęły.

Facet, który wsiadł, sapał i uśmiechał się z wdzięcznością. Musiał być gońcem – świadczyły o tym obcisły strój, kask na głowie i plecak. Miał dziwne rysy. Coś było nie tak z jego oczami...

Stanął w wolnym miejscu, przy rogu noszy, spojrzał na Hectora, a potem w sufit.

Winda ruszyła w dół.

Nic się nie działo, Leszek na chwilę się wyłączył.

Spojrzał na swoje buty.

Goniec szybko wyjął coś z plecaka.

– Broń – powiedział Aron cichym i spokojnym głosem.

Leszek złapał Koena za rękę z pistoletem. Szarpnął ją do góry i do tyłu. Aron chwycił drugą. Wspólnymi siłami przewrócili go na plecy i przycisnęli do podłogi, trzymając jego ręce w górze. Leszek oparł mu stopę na brzuchu. Aron przyłożył but do szyi i nadepnął z całej siły. Koen patrzył na nich wytrzeszczonymi oczami. Winda zbliżała się do parteru. Leszkowi udało się podnieść drugą nogę i czubkiem buta wcisnąć guzik z napisem „Stop”. Winda zakołysała się i stanęła.

Leszek i Aron oparli na Koenie cały swój ciężar. Próbował stawić im opór, ale był bez szans. Po minucie broń wysunęła mu się z ręki, a powieki opadły. Aron i Leszek nie przestawali go dusić.

Serce Koena stanęło, a on sam runął na łeb na szyję prosto w mroki piekieł.

Aron i Leszek puścili jego ręce. Opadły bezwładnie na ziemię.

Leszek nacisnął guzik z literą P i winda ruszyła.

Na parterze było pusto. Spokojnie wypchnęli z windy nosze z Hectorem. Szli zdecydowanym krokiem. Nikt nie zwrócił na nich uwagi. Sonya czekała na tyłach szpitala. Przenieśli nieprzytomnego Hectora do samochodu. Aron usiadł z tyłu obok niego, a Leszek z przodu. Sonya uruchomiła silnik i odjechała.

Aron odwrócił się w stronę Hectora i zbadał mu puls. Był równy, ale słaby.

Westchnął i potarł dłońmi twarz.

– Co za pierdolony bajzel – mruknął i spojrzął do tyłu, żeby sprawdzić, czy nikt za nimi nie jedzie.

– Hector żyje – powiedział Leszek.

Tak, Hector żył. Ale Hasani nie. Aron zastanawiał się, czy to mogła być jego wina. Wyprostował się.

Sophie... Już miał ją na celowniku...

Aron analizował w myślach to, co się stało. Sonya spokojnie prowadziła, kierując się ku wyjazdowi z miasta.

Dlaczego Malmö? – pytał się w duchu Aron.

Zostawili za sobą korki i zjechali na autostradę do Kopenhagi. Obrali kurs na północną Francję. Aron nie przestawał myśleć. Kiedy przejeżdżali przez most nad Sundem, przyglądał się płaskiemu duńskiemu

krajobrazowi.

Dania... Jens Vall. Był tam dzisiaj, znów pojawił się u boku Sophie. Dania i Jens Vall. Wydawało mu się, że gdzieś tu jest wspólny mianownik. Ale gdzie? Był zestresowany, miał chaos w głowie. Próbował coś sobie przypomnieć, ale nie mógł.

Głośno westchnął i jeszcze raz potarł twarz.

– Leszek – powiedział.

Leszek zerknął do tyłu.

– Pomóż mi. Co łączy Danię i Jensa Valla?

Zaczęli się wspólnie zastanawiać. Leszek przypomniał sobie pierwszy.

– Statek z Paragwaju... Port w Rotterdamie, to tam spotkaliśmy Jensa po raz pierwszy.

– I?

– Po wymianie ognia z Michałem, wypłynęliśmy z portu, a kiedy schodziliśmy ze statku, wysadziliśmy Jensa na zachodniej Jutlandii. Pamiętasz? Thierry po nas przyplynał.

Aronowi rozjaśniło się w głowie. Oczywiście, jak mógł o tym zapomnieć... Jens zadzwonił z łodzi do babci. Mieszkała na Jutlandii.

Aron zrozumiał, że jest u kresu wytrzymałości. Za sobą mieli Szwecję, przed sobą Danię. Rozwazał w duchu jedną możliwość. Wykończony czy nie, jeszcze nie zrobił tego, co powinien. Nie zaszkodzi spróbować...

– Wysadźcie mnie tutaj – powiedział i wskazał lotnisko Kastrup, które ukazało się ich oczom, gdy tylko zjechali z mostu.

52

Villefranche

Mimo że temperatura nie przekraczała szesnastu stopni, chłopcy pływali w basenie. Raimunda miała ich na oku. Siedziała obok na leżaku i czytała książkę.

Angela stanęła przy oknie w swoim pokoju. Zobaczyła, jak Andres ochlapuje Raimundę wodą, a ona odkłada książkę i z udawaną złością rusza w jego kierunku. Andres zapiszczał ze strachu i uciechy, a potem zaczął uciekać. Gwałtownie wymachując rękami i nogami, posuwał się do przodu w żółwym tempie. Fabien, pluskający się w płytkiej części basenu, poszedł w ślady brata, krzyknął uradowany

i zaczął uciekać, choć nikt go nie gonił.

Angela odeszła od okna, wzięła z łóżka dwie spakowane walizki, zeszła szybko po schodach i ustawiła je jedną na drugiej w schowku na szczotki. Przez chwilę stała nieruchomo, potem wzięła głęboki oddech i stąpając po zimnej marmurowej posadzce holu, podeszła do dużych dębowych drzwi. Otworzyła trzy zamki i przeszła do salonu, którego podłogę w całości pokrywał dywan.

Wychodzące na basen francuskie okna były otwarte. Zasłonka z lnu powiewała, muskana popołudniową bryzą. Angela zatrzymała się w ciemnym domu i wyglądała na zewnątrz. Raimunda siedziała z podwiniętymi nogawkami na krawędzi basenu i moczyła nogi w wodzie. Ochlapowała chłopców, którzy próbowali się jej odwdzięczyć tym samym.

Angela zerknęła na zegarek. Minęła minuta albo dwie. Następnie usłyszała odgłos ostrożnie otwieranych drzwi i czyichś kroków.

Nie odwracała się. Wiedziała, kto to był. Wyszła prosto na słońce z uśmiechem przyklejonym do ust.

– Dzięki, Raimundo, teraz moja kolej. W kuchni czeka na ciebie lunch.

Raimunda wstała z krawędzi basenu.

– Dziękuję, kochana – odparła, odwróciła się w stronę Andresa w basenie i posłała mu groźne spojrzenie. – A tego nicponia należy wychować.

Andres wybuchnął śmiechem. Surowość zniknęła z twarzy Raimundy, zastąpił ją promienny uśmiech. Ruszyła w stronę domu.

Angela poczekała, aż zniknie w środku, po czym dała znak chłopcom, żeby wyszli z wody, jednocześnie zbierając ze stołu ich niebieskie szlafroki. Chłopcy zaczęli protestować. Angela dała im do zrozumienia, że to nieodpowiedni moment. Zdziwieni jej nagłą powagą, zrobili, co kazała. Wyszli z basenu, włożyli szlafroki i chwycili jej wyciągnięte dłonie.

Angela poszła z nimi do domu. Chłopcy zostawili mokre ślady na dywanie w salonie. Po willi kręcili się policjanci.

– Mamo? – odezwał się Andres i pytająco rozejrzał się dookoła.

Nie odpowiedziała, pociągnęła tylko synów za sobą. Minęli kuchnię. Raimunda siedziała przy stole. Pilnowało jej dwóch umundurowanych funkcjonariuszy. Angela

napotkała jej spojrzenie i odwróciła wzrok. Raimunda wydawała się zaskakująco spokojna. Czuła się pewnie, bo wiedziała, że to nie ona zdradziła.

Angela spotkała się z Gustave'em Peltierem w jadalni. Był taki, jakim go zapamiętała. Wyglądał na zapracowanego. Miał na sobie dzinsy, marynarkę, buty z cielecej skóry, a pod szyją fular. Jego półdługie włosy przetykała siwizna. Niedbała próżność mężczyzny w średnim wieku.

– Jesteś gotowa, Angelo? Gdzie są walizki? – zapytał.

– W schowku pod schodami.

Gustave strzelił palcami w stronę umundurowanego policjanta i dał mu znak, żeby przyniósł bagaże. Puścił przodem Angelę i chłopców. Zaprowadził ich do czekającego przed domem policyjnego wozu.

Za kierownicą siedział policjant w cywilnym ubraniu – młody chłopak, w którego oczach widać było całkowitą koncentrację.

Gustave wskoczył na przednie siedzenie i odjechali. Mówił coś szybko przez walkie-talkie. Willa została w tyle.

Dania

Wracali z Malmö, kierując się ku zachodniej części Jutlandii. Sophie poczuła, że jej komórka zaczyna wibrować. Wyjęła ją z kieszeni.

– Słucham.

– Co się stało? – zapytał Roland Gentz typowym dla siebie obojętnym tonem.

– Dlaczego mnie o to pytasz?

– Hector żyje?

– Nie wiem.

– Żył, kiedy ty i chłopiec odjeżdżaliście?

– Gdzie jest Albert?

– Odpowiedz na moje pytanie.

– To ty odpowiedz na moje – powiedziała Sophie.

– Albert ma się dobrze. Hector żyje?

– Żył, kiedy odjeżdżaliśmy. Chcę porozmawiać z Albertem.

– To wykluczone. Gdzie jest teraz Hector?

– Nie wiem. Nie dotrzymaliście umowy.

Próbowała zachować spokój i opanowanie.

– Daj mi Alberta do telefonu – poprosiła cicho. – Nic tym nie zyskacie. Chcę z powrotem mojego syna...

– Musimy wiedzieć, czy Hector żyje.

– Dlaczego?

– Czekaj na nasz telefon.

W słuchawce zapadła cisza. Rozłączył się.

W środku cała się trzęsła. Czuła żal i rozpacz, frustrację i wściekłość, bezsilność i desperację. Uczucia wzięły ją w niepodzielne władanie. Całkowicie się im poddała. Pozwoliła im się męczyć, palić, gryźć i dusić. Czekwała. Nic innego jej nie pozostawało.

Poczuła, że ktoś pogłaskał ją po ramieniu. Niezdarnie i niepewnie. To Lothar. Jakby przeproszał, że to on, a nie Albert siedzi obok niej. Jakby to była jego wina.

Chwyciła jego dłoń. Uspokoiło ją to, sprawiło, że się opanowała...

Spojrzała na świat za oknem. Pogoda była niezdecydowana. Chłód i ciepło zawarły pokój i spotkały się w okolicach zera, tworząc nie-pogodę.

Szukała czegoś podobnego w sobie. Nie-bycia, emocjonalnego punktu zerowego. Ale nic takiego nie istniało...

– Sophie, pytała o ciebie jakaś policjantka – powiedział Michaił.

Nie zrozumiała.

– Co powiedziałaś?

Poszukał w lusterku jej wzroku.

– Szukała cię jakaś szwedzka policjantka, Antonia jakaś tam, mówiła, że musi się z tobą skontaktować.

– Skąd to wiesz?

– Od Rüdiger.

Antonia, pomyślała Sophie. Antonia Miller. Pamiętała tę kobietę. Prowadziła dochodzenie w sprawie strzelaniny w restauracji. Przyszła do niej z wizytą, gdy Sophie mieszkała w willi w Stocksund. Zadawała pytania, próbowała ukryć swoją ciekawość...

– Co mówiła?

Michaił się wyprostował i znów spojrział w tylne lusterko.

– Nie wiem. Rüdiger powiedział tylko, że się z nim skontaktowała.

– Dzwoniła do niego?

– Tak.

– Co jej powiedział?

– Myślę, że nic.

Michał pogrzebał chwilę w kieszeni i coś z niej wyjął. Sięgnął do tyłu i podał jej małą kartkę. Był na niej zapisany szwedzki numer komórkowy.

Jens odwrócił się i spojrzął na Sophie, ale nic nie powiedział. Być może czekał na jej decyzję.

– Była u mnie w domu i znalazła numer zapisany na serwetce – wyjaśniła.

Nic mu to nie mówiło.

– Zadzwoń do niej. Dowiedz się, czego chce. Nie masz nic do stracenia – powiedział i odwrócił się z powrotem do przodu.

Sophie położyła telefon na kolanach i wyjrzała za okno, jak gdyby spodziewała się tam zobaczyć jakąś wskazówkę.

Wystukała numer z kartki. Rozległy się dwa sygnały. Potem odezwał się kobiecy głos.

– Tak?

– Szukała mnie pani.

Chwila ciszy.

– Tak, rzeczywiście.

W głosie kobiety słychać było ulgę.

– Dlaczego? – zapytała Sophie.

– Gdzie pani jest?

Krajobraz za oknem przelatywał jej przed oczami, nie dostrzegając niczego konkretnego. Prawie wszystko było rozmazane.

– Jeśli nie powie pani, w jakiej sprawie pani dzwoniła, odłożę słuchawkę.

Po drugiej stronie znów zapadła cisza, jak gdyby Antonia wazyła każde słowo, bojąc się, że popełni błąd i straci jedyną szansę.

– Ja też uciekam – powiedziała w końcu.

– Ja nie uciekam – odparła Sophie obojętnym tonem.

– Teraz już tak.

– Proszę mówić jaśniej – rzuciła Sophie.

– Trochę się wydarzyło.

– Co na przykład?

– Lars Vinge?

– Co z nim?

– Wie pani, kim był?

– Tak.

– Zostawił torbę. Teraz ja ją mam.

– I?

– Jest w niej mnóstwo materiałów dotyczących pani osoby. – Głos Antoni stał się pewniejszy. – Muszę zrozumieć dlaczego, żeby móc to wszystko zakończyć.

– Co chce pani zakończyć?

– Jeszcze nie wiem.

– Powiedziała pani, że ktoś panią ściga. Kto?

– Muszę się ukrywać. Więcej nie mogę zdradzić.

– Co pani wie?

– Całkiem sporo.

– A czego pani nie wie?

– Jeszcze bardzo wielu rzeczy.

Sophie napotkała spojrzenie Jensa.

– A do czego jest pani potrzebna moja pomoc?

– Muszę sobie stworzyć obraz.

– Jaki obraz?

– Tych, którzy nie żyją. Co się z nimi stało? Co wiedzieli? Co pani wie? Co się wydarzyło w Trasten? Oprócz mnie jeszcze ktoś musi się ukrywać. Też jest policjantem. Jesteśmy na tropie czegoś naprawdę dużego...

Sophie skupiła wzrok na szybie. Zobaczyła odciski dziecięcych dłoni. Michał ukradł samochód jakiejś

rodzinie.

– Sophie? – powiedziała Antonia tonem przyjaciółki.

– Tak?

– Czy jest coś, w czym mogę ci pomóc?

Sophie znów przeniosła wzrok za szybę. Świat stał się wyraźniejszy. Zobaczyła inne samochody, krajobraz i niebo.

– Tak, w odnalezieniu syna – szepnęła.

54

Villefranche

Po wysadzeniu Arona Leszek i Sonya jechali bez przerwy. Z Rødby do Puttgarden popłynęli promem. Potem przecięli Niemcy, dotarli do południowej granicy, przeprawili się przez Alpy i zjechali do Lugano. Tam Hector się obudził. Pojechali dalej przez Włochy, a gdy znaleźli się na wysokości Morza Śródziemnego, skręcili na zachód i ruszyli w stronę Lazurowego Wybrzeża i Villefranche.

Biorąc pod uwagę okoliczności, Hector czuł się nieźle. Niedługo znów znajdzie się pod opieką Raimundy.

Do Villefranche dotarli wczesnym rankiem. Miasto było pogrążone we śnie. Jechali wijącą się w górę drogą prowadzącą do willi.

Leszek zerknął w stronę domu. Przyglądał się fasadzie. W pokoju gościnnym, którego okna wychodziły na drogę, zaciągnięto roletę. To był umówiony znak, że wszystko jest w porządku... Ale ten znak obowiązywał po południu, a nie wczesnym rankiem. Teraz roleta powinna być podniesiona, a w oknie powinna się palić nocna lampka. Tak się umawiali, a Raimunda była dokładna.

– Nie zatrzymuj się, jedź dalej – polecił Sonyi. – A ty, Hector, schyl się i schowaj.

Minęli willę, Leszek nie zauważył niczego niepokojącego. Pojechali dalej i zatrzymali się na rogu posiadłości, za pierwszym wzniesieniem.

– Zaczekajcie tu na mnie – powiedział.

Wysiadł z samochodu i zniknął w ogrodzie.

Zaczął szybko zbiegać w stronę domu. Gdy był już blisko, przeskoczył przez mur i wylądował na trawniku przy basenie. Stał nieruchomo i przez chwilę nasłuchiwał. Panowała kompletna cisza. W basenie pływały zabawki i dmuchany materac. To się nigdy

wcześniej nie zdarzyło. Raimunda dbała o porządek.

Chowając się za drzewami i krzakami, obszedł dom i znalazł się przed frontem. Zobaczył zaparkowanego małego peugeota. Raimunda jeździła nim po zakupy. Poszedł dalej, przykucnął pod oknami salonu i zajrzał do pokoju. W środku było ciemno, meble stały na swoich miejscach. Potem sprawdził okna jadalni. Tu też wszystko wydawało się być w porządku.

Schylił się, przeszedł pod kuchnię i ostrożnie zajrzał przez okno. Jakiś mężczyzna siedział w ciemnościach przy stole. Czerwonawy promień światła latarki był wystarczająco jasny, żeby mógł czytać książkę. Oprócz niej na stole znajdowały się jeszcze termos, kubek, gazeta i czarny błyszczący pistolet.

Leszek spróbował zajrzeć głębiej. Na podłodze przy zlewie spały dwie kolejne osoby. Leżały w śpiworach na karimatach. Obok jednej z nich stał czarny plecak. Miał logo francuskiej policji. Wszystko stało się jasne.

Leszek wycofał się stamtąd bezszelestnie. Przeskoczył mur, przebiegł przez ogród sąsiada i dotarł do samochodu.

– W domu czeka na nas policja – oznajmił, siadając z tyłu, obok Hectora.

Sonya uruchomiła silnik i odjechała.

– A co z innymi? – zapytał Hector.

– Nikogo nie widziałem. Wygląda na to, że wychodzili w pośpiechu.

Zaczęli się zastanawiać.

– Jak policja nas znalazła? – zapytał Hector.

– Raimunda albo Angela – odparł Leszek.

– Angela – stwierdziła Sonya.

Żaden z nich nie zaprotestował.

– Ile ona wie? – zapytał Hector.

– Wystarczająco dużo – mruknęła Sonya.

– To znaczy?

– Zna nasze imiona, nazwiska i naszą historię. Była żoną twojego brata.

Sonya jechała dalej krętymi drogami.

– Gdzie teraz? – zapytała.

– Musimy zniknąć z powierzchni ziemi – zawyrokował Hector.

– Nie mamy pieniędzy – odparła Sonya. – A brak pieniędzy to brak przyjaciół.

Poszukała w lusterku spojrzenia Hectora.

– Żadnych pieniędzy i żadnych przyjaciół – mruknął

pod nosem.

Uśmiechnął się, jakby mimo wszystko było w tym coś zabawnego.

Zaczęli się przerzucać nazwiskami. Partnerów, przyjaciół, znajomych, ludzi, których kiedyś znali. Nie mogli się zwrócić do nikogo z nich – kontakt z każdą z tych osób wiązałby się z ryzykiem. Skończyły im się pomysły.

Mniej więcej po kwadransie Leszek zwrócił się do Hectora:

– A ten daleki kuzyn twojego ojca?

– Który? – zapytał Hector.

– Adalberto co roku wysyłał pieniądze do jakiegoś klasztoru w Toskanii. Pamiętasz? Dzięki jego darowiznom ten klasztor w ogóle jeszcze istniał.

Hector przez chwilę myślał. Tak, teraz sobie przypominał. Roberto...

– Jedziemy do Toskanii – zdecydował.

55

Sztokholm

Paszporty były zgodne ze standardami Unii Europejskiej.

Marianne siedziała za kierownicą swojego srebrnego jaguara XJ6. Trzymała dokumenty jak celnik i uważnie im się przyglądała.

– Potrzebował półtora dnia, żeby je zrobić. To niesamowite, czego potrafią dokonać niektórzy fałszerze – powiedziała Marianne i podała paszporty Antonii i Milesowi, którzy siedzieli z tyłu.

Otworzyli swoje nowe dokumenty i spojrzeli na zdjęcia, fałszywe nazwiska i fałszywe podpisy.

– Mam nadzieję, że rozumiecie, że robię dla was wyjątek.

Patrzyli na nią, nie bardzo rozumiejąc, co ma na myśli.

– To cud – powiedziała Marianne. – Fałszywe dowody i paszporty, którymi można się posługiwać bez obaw. Niech wam się nie wydaje, że to norma.

Marianne wbiła w nich wzrok.

– I jeszcze jedno. To jest jaguar rocznik siedemdziesiąt sześć. Jeśli go choćby zarysujecie, nigdy wam tego nie wybaczę.

Otworzyła długie i ciężkie drzwiczki. Wysiadła, pochyliła się i zajrzała do środka. Odetchnęła i twarz jej

złagodniała.

– Cokolwiek zamierzacie, bądźcie ostrożni – powiedziała i zatrasnęła drzwiczki.

Miles i Antonia przesiedli się do przodu. Miles zajął miejsce za kierownicą. Była duża i wąska. Przekręcił kluczyk. Stary silnik zapalił i zaczął miarowo mrużyć. Antonia włączyła GPS w telefonie, otworzyła aplikację z nawigacją i wpisała nazwę małej jutlandzkiej wioski, którą podała jej Sophie.

Podsunęła telefon Milesowi. Spojrzał na wyświetlacz.

– Mamy przed sobą dziesięć godzin podróży – powiedział i włączył się do ruchu.

– Zagramy w coś? W dwadzieścia pytań? – zapytała Antonia.

Tommy leżał na kanapie z głową na piersiach Moniki. Głaskała jego włosy, delikatnie, prawie niezauważalnie.

– Byłeś dobrym człowiekiem, Tommy – powiedziała Monica. Jej głos był niski, cichy i niewyraźny. Mówienie przychodziło jej z trudem. – Zawsze, odkąd cię poznałam. Byłeś dobry dla mnie, dla dziewczynek i wszystkich,

których znałeś. Nawet dla wrogów.

Tommy patrzył na sufit i otwarte drzwi. Szukał symetrii.

– Ale potem stałeś się zły.

Przymknął jedno oko i udało mu się ją dostrzec.

– Przystałeś ze mną rozmawiać, stałeś się milczący, chodziłeś przygnębiony. Od czasu do czasu wybuchałeś, jakbyś wyrzucał z siebie depresję. Zmieniłeś się. Chciałam ci pomóc, ale nie potrafiłam do ciebie dotrzeć... Zamknąłeś się w sobie i przepadłeś.

Tommy otworzył oko i patrzył w sufit.

– Może już po wszystkim? Może już ci przeszło? – zapytała. Nagle urwała. Oddychała z wysiłkiem. Gdy się odezwała, jej głos był jeszcze słabszy. – Powinieneś pomówić z córkami i się przed nimi wytłumaczyć. Nie przenoś na nie swoich problemów. Kiedyś potrafiłeś z nimi rozmawiać, spróbuj i teraz... Zrób coś dobrego.

Tommy słuchał jej, ale nie rozumiał. Kiedyś nie miałby z tym trudności. Ale to było kiedyś. Dawniej był inny, wszystko było inne. Był policjantem, mężem, ojcem, kolegą z pracy, twardo stąpającym po ziemi, rozsądnym. Był kimś, kto mimo dość pesymistycznego spojrzenia na

życie, próbuje postępować właściwie. Teraz nadal był policjantem, mężem, ojcem i tak dalej. Ale oprócz tego stał się też przestępcą i mordercą. Człowiekiem, który zachowując wcześniejsze podejście do życia, świadomie dążył do tego, żeby postępować niewłaściwie. Wszedł na pewną drogę i nie mógł już tego zmienić, nawet jeśli bardzo tego pragnął. Wiązałoby się to ze zbyt poważnymi konsekwencjami.

Monica była dla niego wszystkim. Może to ta świadomość była siłą, która go napędzała. A jeśli tak, to przecież powinna być z gruntu dobra, a nie zła.

Przeniósł wzrok na swoją żonę.

– Przestałem pić – wyznał.

Spojrzała mu głęboko w oczy.

– To dobrze – szepnęła.

– Kocham cię – powiedział.

Zobaczył, że mu uwierzyła. Dużo to dla niego znaczyło, bo sam sobie już nie wierzył. Odwrócił głowę.

– Kocham nasze córki – dodał.

Monica nie przestawała gładzić jego włosów.

Słońce schowało się za chmurą i w pokoju zrobiło się ciemno.

– Chciałbym móc cofnąć czas. Ale to niemożliwe.

– Masz rację, Tommy, to niemożliwe.

Jej głos był bardzo słaby i cichy. Przypominała piskłę, które wypadło z gniazda.

Czas płynął gdzieś obok nich. Tommy chciał tak zostać przytulony do Moniki, czuć się bezpiecznie, zwyczajnie. Tak, jakby był w porządku.

– Tommy – szepnęła Monica.

Czekał, co powie.

– Chcę, żebyś mi coś obiecał.

Spróbował ją uprzedzić.

– Zajmę się wszystkim, obiecuję...

– Nie, nie o to chodzi – przerwała mu.

Obróciła jego twarz w swoją stronę.

– Kiedy przyjdzie czas, pomóż mi przejść na drugą stronę.

Tommy nie wiedział, jak się zachować.

– Obiecuj, że mi pomożesz, jeśli okaże się, że jestem uwięziona w swoim ciele. Nie chcę tego przeżywać, nie chcę się bać. Obiecuj, że mnie wyprawisz na tamten świat.

– O czym ty, do cholery, mówisz?

Przyglądał się jej szeroko otwartymi oczami. Na

twarży Moniki malował się spokój. Jej opanowanie tylko pogarszało sprawę. Tommy wstał i wyszedł do kuchni. Trzymając się za głowę, okrążył stół. Co ja, do cholery, robię w kuchni? – pomyślał.

Pokonał wąskie, strome schody do piwnicy.

Zajrzał do najniższej szuflady biurka i odkrył, że jest pusta. Zapomniał, że wylał cały gin do sedesu.

Szumiało mu w głowie. Przygryzł kciuk.

Z jego kieszeni dobiegł dzwonek telefonu. Odebrał.

– Słucham.

– Mówi Stefan.

– Jaki Stefan? – wrzasnął Tommy.

– Stefan Andersson, sekcja techników.

Tommy podrapał się mocno w głowę.

– Słucham.

– Udało mi się zlokalizować telefon Antonii Miller.

Właśnie włączyła GPS.

– Gdzie jest?

– Norrbackagatan, Vasastan, Birkastan.

Tommy otworzył szafkę, w której przechowywał broń myśliwską. Wyjął starą, połyskującą na srebrno

trzydziestkę ósemkę z uchwytem wyłożonym masą perłową. Parę miesięcy temu zwędził ten rewolwer w czasie rewizji u jednego śliskiego adwokata.

Upewnił się, że broń jest naładowana, i zważył ją w dłoni.

Chwycił wiszącą w przedpokoju zimową kurtkę, która miała ukrytą wewnętrzną kieszeń. Wsunął do niej rewolwer, ubrał się i otworzył drzwi odgradzające go od pieprzonego świata.

Z samochodu zadzwonił do Czarnucha i podał mu adres na Birkastan. Jechał na pełnym gazie, służbowe auto rzeziło z wysiłku.

Ove Czarnuch już na niego czekał, oparty o maskę swojego merca. Tommy minął go, szukając wolnego miejsca parkingowego. Ove wydawał się wyluzowany.

Tommy zaparkował i ruszył pieszo w stronę Czarnucha, który tymczasem obszedł samochód. Pstryknął teraz pilotem i otworzył bagażnik. Tommy zobaczył cały arsenał Owego elegancko ułożony na kocu. Dwa pistolety, dwa karabiny, jeden nieco krótszy z celownikiem optycznym i jeden stary, pokryty rdzą, do tego trzy noże – dwa

butterfly i jeden Bowie – i dwa tłumiki. Ove wykonał ręką zapraszający gest i powiedział:

– *Voilà.*

– Na co masz ochotę? – zapytał Tommy.

Ove podrapał się po brodzie z taką miną, jakby musiał wybrać jedną czekoladkę z całej ogromnej bombonierki, i wskazał czarny nowoczesny pistolet oraz jeden z tłumików.

Pochylił się, przykręcił tłumik do broni i uniósł ją w górę, jakby pokazywał trofeum.

– A co dla ciebie?

– Nic – odparł Tommy.

Ove rozdziawił usta i wybałuszył oczy.

– *Living on the edge*, co, Tommy? – zapytał.

Tommy’ego wkurzał ten pieprzony sarkazm. Nigdy nie wiedział, jak zareagować.

– Spierdalaj – rzucił tylko, bo nic innego nie przyszło mu do głowy.

Ove zatrzasnął bagażnik i ruszyli w kierunku wejścia do budynku. W ich stronę szedł jakiś mężczyzna ze średniej wielkości psem.

Ove stanął jak wryty, spojrzął na zwierzaka i przywarł

plecami do ściany domu.

– Psów się boisz? – zapytał Tommy ze śmiechem.

W jego głosie pobrzmiwało zadowolenie. W końcu był górą.

– Tak – powiedział szczerze Ove. – Boję się ich od dzieciństwa.

Przewaga Tommy’ego zniknęła, zanim zdążył do niej przywyknąć.

Wchodzili już do środka, kiedy zadzwonił Stefan.

– Co znowu, do cholery? – zapytał Tommy.

– Sygnał zniknął. Potem pojawił się na trasie Essingeleden. Miller wyjeżdża z miasta.

– Kurwa...

Tommy zawrócił i zaczął biec do samochodu.

– Jedźmy moim – krzyknął za nim Ove.

Tommy zawahał się na chwilę, potem podbiegł do mercedesa i wskoczył na siedzenie obok kierowcy.

Ryk silnika odbił się echem między domami, a w jednym z zaparkowanych aut włączył się alarm.

Jutlandia

Pogoda była okropna. Wiał porywisty wiatr. Rosnące wokół domu drzewa gięły się w jego podmuchach. Deszcz ze śniegiem uderzał o szyby. Lothar stał przy wykuszowym oknie w swoim pokoju i wyglądał na zewnątrz.

Sophie oparła się o futrynę drzwi. Nie wiedziała, czy zachwycił go żywioł za oknem, czy po prostu się zamyślił.

Przeniosła ciężar ciała na jedną nogę. Nacisk na próg stał się większy i drewno zaskrzypiało.

Lothar spojrzał do tyłu i chwilę jej się przyglądał.

– Powiniennem stąd uciec? – zapytał w końcu.

– Nie, Lothar, nie powinieneś.

– Co ze mną zrobicie? – Jego głos brzmiał zdecydowanie.

– Nie wiem – szepnęła.

– Znowu jestem więźniem? Tym razem waszym?

– Nie, nie jesteś.

– Czyli mogę się spakować i stąd pójść?

– Nie, tego nie możesz zrobić.

– Więc jestem tu więźniem?

Sophie objęła się ramionami. Czasem, nawet gdy jest

ciepło, można poczuć chłód.

– Chcę dołączyć do ojca – poprosił niemal szeptem.

Nie była w stanie tego znieść. Odwróciła się, chcąc zejść na dół.

– Zdaniem Alberta wydaje ci się, że nie możesz sobie pozwolić na popełnienie błędu – powiedział Lothar do jej pleców.

Sophie zatrzymała się i odwróciła.

– Powiedział, że wydaje ci się, że nie możesz sobie pozwolić na popełnienie błędu, i dlatego jesteś przekonana, że postępujesz właściwie – dodał.

– Wiem, że źle robię – oznajmiła, próbując się bronić.

Lothar wolno pokręcił głową.

– Albert o nic cię nie oskarżał. Nie wiedział, czy żyjesz. Opowiedziałem mu o tym, co się stało z moją mamą, że została zamordowana. Bał się, że ciebie też mogli zabić.

– A co miał na myśli?

– Mówił, że to dlatego potem jest, jak jest.

– Bo nie wolno mi popełnić błędu?

Lothar wzruszył ramionami.

– Może.

– Albert tak powiedział?

Lothar pokiwał głową.

Sophie chciała prychnąć. Oznajmić, że nie wie, o czym mówi. Ale wiedziała.

– Co jeszcze powiedział ci Albert?

– To bez znaczenia.

Lothar mówił spokojnie. W jego słowach nie było krytyki ani wyrzutu.

– Dlaczego mi o tym mówisz?

– Moja mama została zamordowana. A ja jestem ciągnany raz tu, raz tam, w świecie, z którym nic mnie nie łączy, w którym nie mam nic do powiedzenia. Spotkałem swojego ojca, choć nawet nie wiedziałem, że istnieje, i od razu mnie z nim rozdzielono.

Zamilkł. Po chwili odezwał się nieco łagodniejszym tonem.

– A przez cały czas to ty decydujesz o tym, co się ze mną stanie.

– To nieprawda – zaprotestowała.

– Prawda. Moje życie jest w twoich rękach, ale nie masz odwagi tego przyznać.

Sophie odwróciła wzrok. Deszcz i śnieg waliły

o szyby. Kiedy wiatr próbował przeniknąć przez stare mury, rozlegało się coś w rodzaju westchnień.

– Co mam w takim razie zrobić? – zapytała.

Nie czuła się z tym wszystkim dobrze.

– Wznies się ponad to.

– Ponad co?

– Ponad to, co dobre i złe.

Syn Hectora. Wykopany ojciec. Nagle nazywał rzeczy po imieniu, burząc przy tym czyjeś wyobrażenie o sobie, nadając sprawom właściwe proporcje. Odważny, rozsądny... nieznający granic.

– Jak? – zapytała szeptem Sophie.

– Powiedz mi. Co planujesz, co się ze mną stanie. Muszę to wiedzieć – poprosił Lothar.

– Wiesz.

– Nie wiem, skąd miałbym to wiedzieć, skoro mi tego nie powiedziałaś.

Sophie miała ochotę uciec. Ale tego nie zrobiła. Dwa razy przełknęła ślinę, potem powiedziała:

– Chcę odzyskać syna. Zrobię wszystko, żeby do mnie wrócił.

– Wszystko?

Kiwnęła głową z zaciętym wyrazem twarzy.

Odwróciła się, zeszła na dół i schowała się w kuchni. Oparła się o zlew, zamknęła oczy i głośno oddychała.

Lothar zszedł za nią.

– Masz ochotę na coś do jedzenia albo do picia? – zapytała, odwrócona do niego plecami.

– Chętnie się czegoś napiję – odparł, siadając.

Przecinając plac, Michaił musiał walczyć z wichrem i deszczem. Szedł mocno pochylony do przodu.

Srebrny jaguar stał przed kawiarnią.

Michaił podszedł do niego od tyłu. Rzucił okiem na tablicę rejestracyjną, po czym nawet się nie oglądając, otworzył tylne drzwiczki i wcisnął się do środka.

– Jedź – polecił Milesowi.

Antonia obejrzała się do tyłu, ale Michaił pokazał jej, że ma patrzeć przed siebie.

Zostawili za sobą plac i wioskę. Michaił pokierował ich na lokalną drogę. Trochę przyśpieszyli. Michaił obejrzał się do tyłu, z kieszeni kurtki wyciągnął walkietalkie i przycisnął guzik nadawania.

– I jak?

Usłyszeli szum. Rozległ się głos Jensa.

– Trudno mi powiedzieć, a ty jak myślisz?

Michaił znów spojrzął do tyłu. Pogoda była okropna, widoczność słaba. Z trudem dostrzegał passata, którym jechał Jens. Między nimi były trzy inne samochody.

– Czysto – stwierdził Michaił.

– Trochę jeszcze sobie pojeździmy, a potem wracamy do domu.

Michaił kazał Milesowi skręcać to tu, to tam. Zrobili w ten sposób parę kółek.

Pół godziny później znaleźli się w alei prowadzącej do domku babci Jensa. Miles zaparkował przed wejściem i wysiedli.

Antonia rozejrzała się dookoła. Mimo niepogody obudowany pruskim murem domek wyglądał pięknie.

Michaił zdążył już otworzyć bagażnik i wyjąć z niego sportową torbę. Teraz dał gościom znać, żeby oparli się o samochód. Pomógł Milesowi, popychając go mocno do przodu. Miles podparł się obiema rękami. Poczul ból w złamanej dłoni.

– Nie ruszaj się – polecił mu Michaił i go przeszukał.

Potem wziął się za Antonię.

– W torbie – wyjaśniła Antonia. – Moja służbowa broń jest w torbie.

Michaił dał im gestem znać, żeby weszli do domu.

W holu czekała na nich Sophie. Po chwili spędzonej przy aucie byli zmarznięci i przemoczeni.

– Witaj, Sophie – powiedziała Antonia, ocierając z czoła krople deszczu.

Sophie nie odpowiedziała, spojrzała na mężczyznę, który szedł za Antonią. Miles się przedstawił.

– Chodźcie za mną – rzuciła Sophie i poprowadziła ich do kuchni.

Miles i Antonia usiedli przy stole. Sophie stanęła oparta o zlewozmywak. Biła z niej czujność.

Michaił przyszedł jako ostatni. Postawił torbę na stole, wziął sobie krzesło, przeniósł je pod ścianę i usiadł na nim z szeroko rozstawionymi nogami.

– Dziękuję, że mogliśmy przyjechać – powiedziała Antonia.

Sophie czekała.

Antonia sięgnęła po torbę. Wyjęła z niej wszystkie wydrukowane zdjęcia i wysypała na stół. Dała Sophie

znak, żeby spojrzała.

Sophie zobaczyła siebie w różnych sytuacjach. W willi w Stocksund, w ogrodzie, za kierownicą, na rowerze. Dostrzegła też zdjęcie Alberta przed wypadkiem. Stał obok niej w kuchni.

– Oprócz tego są jeszcze niezliczone godziny nagrań z podsłuchu – oznajmiła Antonia.

– Wiem – odparła Sophie.

Miles i Antonia spojrzeli na nią ze zdumieniem.

– Skąd pani to wie? – zapytał Miles.

– Znaleźliśmy mikrofony – odparła Sophie.

– Jak?

– Przeszukaliśmy willę – wyjaśniła Sophie schrypniętym głosem.

– Kto je zainstalował? – zapytała Antonia.

– Wy – powiedziała Sophie.

– Nie, to nie my.

– Ależ tak, wy, policja. Gunilla Strandberg.

Antonia myślała gorączkowo.

– Dlaczego? – zapytała z błyskiem w oku.

Sophie pamiętała ten gorączkowy zapach Antonii, który dostrzegła już w czasie ich pierwszego spotkania. Jej

ciekawość, głód wiedzy... Wydawało się, że Antonię trawi jakaś obsesja, którą próbuje trzymać na wodzy.

Sophie podniosła zdjęcie Alberta.

– Powiedzcie, co wiecie. Po co tu przyjechaliście – powiedziała.

Antonia spojrzała na Milesa, jakby chciała go prosić o pomoc.

– To twój show – oznajmił.

Antonia wzięła się w garść.

– Mogę prosić o trochę wody? – zapytała.

Sophie wzięła szklankę z półki, napełniła ją wodą i podała Antonii, która od razu wypila połowę.

Postawiła szklankę przed sobą i zajrzała do niej, jakby jej opowieść miała się unosić na wodzie.

– Byłam pierwszym funkcjonariuszem śledczym, który przybył do Trasten po strzelaninie w sierpniu ubiegłego roku. Prowadziłam tę sprawę, ale niczego nie osiągnęłam. Jakiś czas temu zostałam odsunięta od śledztwa. Moje miejsce zajął Miles.

Machnęła ręką w kierunku Milesa i opowiadała dalej. O tym, że Miles miał nic nie robić, a ona szukała odpowiedzi na własną rękę, ale znalazła tylko więcej

pytań. Po pewnym czasie zmieniła tok myślenia i postanowiła przyjrzeć się policjantom, którzy zajmowali się sprawą Guzmana. Gunilli Strandberg i jej bratu. To też jej nic nie dało. Potem zupełnie nieoczekiwanie trafiła na trop, kiedy Håkan Zivkovic, gangster ze Sztokholmu, napomknął, że powinna przyjrzeć się Larsowi Vingemu. To doprowadziło ją do skrytki bankowej i torby, która teraz leżała przed nimi. Potem Tommy próbował zabić Milea, więc zaczęli się ukrywać. Dzięki serwetce, którą znaleźli w mieszkaniu Sophie, mogli się z nią skontaktować.

– No i jesteśmy – dodała Antonia na zakończenie.

Sophie wskazała torbę Larsa Vingego.

– Jeśli masz jakieś pytania, to słucham – powiedziała spokojnie.

Tommy leżał na mokrej ziemi i patrzył przez lornetkę. Obok niego leżał Ove z okiem przytkniętym do celownika karabinu. Widoczność była kiepska, a powietrze wilgotne i zimne. Wiatr przenikał do szpiku kości. Co za popieprzony kraj, ta Dania...

W starej wiejskiej kuchni Tommy widział w sumie

cztery osoby... Sophie Brinkmann, jakiegoś cholernego olbrzyma, który zajął miejsce pod ścianą. Przesunął wzrok. Przy stole siedziała Antonia Miller i jeszcze ktoś, zwrócony do niego plecami... To chyba nie może być... – pomyślał Tommy. Mężczyzna odwrócił głowę.

Tommy zobaczył jego profil.

Teraz nie miał już najmniejszych wątpliwości. To był Miles Pierdolony Ingmarsson, który powstał z martwych.

– Widzisz to, co ja? – wymamrotał Tommy.

– Widzę cztery osoby – odparł Ove.

– A tego gościa przy stole?

Ove patrzył przez chwilę bez słowa.

– Tak – powiedział powoli.

– Kiepsko ci idzie topienie ludzi – stwierdził Tommy.

– Ranisz mnie, Tommy – odparł Ove smutnym głosem.

– Dasz radę sprzątnąć oboje?

– Możliwe.

– Możliwe?

– Kto jest ważniejszy?

Tommy się zastanowił. Antonia Miller. To ona za wszystkim stała, wiedziała najwięcej i była najlepiej zorientowana. Musiała zginąć jako pierwsza. To dla niej tu

przyjechał. Ale z drugiej strony... Miles...

– No dalej, Tommy. Klient nasz pan. Powiedz, co mam zrobić!

Antonia była w siódmym niebie. Przeżywała rozkosz. Słuchała i rozumiała. Wszystko stało się jasne. Każdy krok, każde słowo, każdy szczegół dotyczący morderstw popełnionych w Trasten. Sophie i Michaił niczego nie pominęli. Antonia śledziła w głowie przebieg wypadków. Patrzyła na obecne tam osoby, słuchała ich słów, przyglądała się temu, co robią. Zobaczyła, kto i w jaki sposób dokonuje zabójstw. Śledztwo, którego nie dane było jej doprowadzić do końca, w pewnym sensie rozgrywało się na jej oczach. Otrzymała odpowiedź na każde pytanie. Twarze, które do tej pory oglądała tylko na papierze, ożyły i zaczęły do niej mówić. Poznała też prawdę o skorumpowanym rodzeństwie policjantów, podsłuchu w willi w Stocksund i o tym, jaką właściwie rolę w tym wszystkim odegrała Sophie. Antonia chłonęła każde słowo.

– A Vinge? – zapytała.

Sophie odgarnęła z twarzy kosmyk włosów.

– To on prowadził obserwację i to on jest autorem tych wszystkich zdjęć, na których jestem. Zrobił się natrętny. Potem udało nam się go złapać. Zaczął mówić. Powiedział, że Gunilla i jej ludzie są skorumpowani. Twierdził, że zamordowali jego dziewczynę...

– To dlatego zabił Gunillę i sam się zastrzelił? – upewniła się Antonia.

Sophie nie zastanawiała się długo.

– Może to nie on.

– Dlaczego?

– Ponieważ on miał jakiś cel. Mimo wszystko na czymś mu zależało.

– Mimo wszystko?

– Vinge był inny.

– W jakim sensie?

– Coś z nim było nie tak, zafiksował się, ale jakoś tak niefortunnie.

– A takie osoby nie odbierają sobie życia?

Sophie nie odpowiedziała.

– Tam musiał być ktoś trzeci, ktoś, kto o wszystkim wiedział.

– Tommy Jansson – stwierdził Miles.

– Szef naszego wydziału. Bliski przyjaciel Gunilli Strandberg – podkreśliła Antonia. – To przed nim musimy się ukrywać i to jego musimy posłać za kratki... – Urwała. Musiała się oswoić z myślami i wrażeniami. Uporządkować je.

Sophie przetarła rękami zmęczoną twarz.

– Jak się pani czuje? – zapytała Antonia.

– Jak się czuję?

– Tak.

– Nie wiem, co odpowiedzieć – odparła, prawie się uśmiechając.

– A co z pani synem? – zapytała Antonia. – Zdaje się, że potrzebuje pani pomocy w jego odnalezieniu?

Szyba za plecami Antonii rozprysła się na kawałki. Pocisk przeleciał przez kuchnię, trafił Antonię w kark i rozpadł się, rozrywając jej aortę.

Antonia spadła z krzesła, krwawiąc obficie. Śmierć nastąpiła natychmiast.

Padły kolejne strzały. Kule rozbiły resztki szyby i wbijały się w ściany. Tłukły naczynia na półkach. W powietrzu latały odłamki drewna i tynk.

Wszyscy padli na podłogę. Miles osłaniał Anonię i zacisnął rękę wokół jej szyi. Ciemna i gęsta krew lała mu się spomiędzy palców.

Michaił podał Sophie służbowy pistolet Antonii i przedostał się na piętro.

– Chroń Lothara – krzyknęła za nim Sophie.

Doczołgała się do Milesa, chwyciła jego ramiona i mocno je ścisnęła. Podniósł wzrok i spojrzał jej w oczy.

– Ona nie żyje – powiedziała Sophie.

Podawała mu broń Antonii. Miles przyjął pistolet.

Na górze rozległy się głuchoe salwy, po pięć strzałów każda, po których słyhać było charakterystyczne brzęknięcie, kiedy ładownik sam się wystrzeliwał. Michaił robił użytek z garanda.

Usłyszeli szybkie kroki za oknem, ktoś otworzył drzwi wejściowe, przeciął hol i ruszył do kuchni.

Miles uniósł lewą dłoń, w której trzymał pistolet, i skierował ją w stronę biegnącego ku nim człowieka z karabinem.

– Nie! – krzyknęła Sophie i w ostatniej chwili pociągnęła dłoń Milesa w dół.

Do kuchni wpadł skulony Jens. Był zdyszany. Usiadł na

podłódze pod ścianą, rzucił okiem na ciało Antonii, a potem na Milesa.

– Na zewnątrz jest co najmniej dwóch mężczyzn – powiedział i odetchnął. – Jakieś sto metrów na wschód od domu... – przełknął ślinę i dodał: – I chyba jeszcze jeden między drzewami od strony zachodniej.

Przez chwilę przyglądał się Milesowi.

– My się znamy – stwierdził.

Miles nie odpowiedział.

Na górze znów odezwał się karabin Michała.

– Albo zostaniemy tutaj i będziemy się bronić, dopóki nie wzejdzie słońce... – zaczął Jens.

Upewnił się, że jego karabin jest nabity.

– Albo wyjdziemy razem z... – urwał i spojrzał na Milesa.

– Ingmarsson, Miles Ingmarsson – przedstawił się Miles.

– Albo razem z Milesem Ingmarssonem wyjdziemy im na spotkanie – dokończył Jens.

Sophie przyjrzała się obu mężczyznom. Na twarzy Jensa dostrzegła strach, ciekawość i ekscytację. Z twarzy Milesa trudno było cokolwiek wyczytać. Była pozbawiona

wyrazu.

– Idziemy – powiedział Miles bezbarwnym tonem.

Nie musiał mówić nic więcej. Wyszedł na korytarz.

Jens ruszył za nim, ale zatrzymał się w progu i spojrzał na Sophie.

– Trzymaj się blisko Michaiła – polecił jej.

Sophie nie zareagowała.

– To strach trzyma mnie przy życiu – wyjaśnił Jens.

Nie spodziewała się tych słów.

– Jaki strach? – zapytała.

– Między innymi ten – powiedział i zatoczył koło dłonią. W drugiej ręce trzymał karabin.

Zdziwiła się, że właśnie teraz zebrało mu się na rozmowę. Chciała jednak...

– Nie wierzę – odparła.

Jens spojrzał na ciało Antonii Miller, a potem na Sophie. W jego oczach pojawił się wyraz bólu.

– Co chcesz mi powiedzieć? – zapytała Sophie.

– Chciałbym, żebyśmy byli wolni. Nie chcę, żeby to tak wyglądało. Jestem zmęczony.

Po tych słowach się rozstali. Jens wyszedł z domu.

Sophie przez chwilę śledziła go wzrokiem, po czym

spróbowała trochę się uspokoić. Usiadła w połowie wysokości schodów. Otaczające ją ściany dawały osłonę.

Michaił siedział na górze pod oknem, karabin ułożył sobie między nogami.

– Gdzie Lothar? – zapytała Sophie.

Michaił pokazał palcem swój lewy bok.

– Tu jestem – powiedział Lothar i wyjrzał zza Rosjanina. – Pomagam w przeładowywaniu.

– Lothar – zawołała.

Chłopak jeszcze raz jej się pokazał.

– Możesz być spokojny – powiedziała.

Zrozumiał, że miała na myśli ich ostatnią rozmowę. Uśmiechnął się i schował za Michaiłem.

Na dworze rozległ się wystrzał, Michaił stanął i oddał trzy wściekłe salwy.

W tej samej chwili, w której huknął garand, ktoś zakrył Sophie usta dłonią i ściągnął ją w dół po schodach. Zamknął ją w żelaznym uścisku i przycisnął do podłogi.

Kiedy Michaił oddawał kolejne dwa strzały, mężczyzna, który ją trzymał, położył się na jej plecach. To był Aron...

Znów dało się słyszeć charakterystyczne dzwonienie,

ładownik uderzył o podłogę. Sophie miała wrażenie, że dźwięk rozległ się tuż obok niej. Chciała krzyknąć, wezwać Michaiła na pomoc. Ale Aron Geisler był niesamowicie silny. Przyciskał ją do ziemi całym swoim ciężarem i zatykał jej usta z taką siłą, jakby trzymał jej głowę w imadle. W drugiej ręce miał nóż. Sophie zdążyła zobaczyć błysk ostrza. Nie było zbyt długie. Ot, nieco większy scyzoryk. Aron wbił go w jej prawy bok. Narzędzie, które wyglądało na bardzo ostre, wydało jej się tępe, gdy czuła, jak przebija kolejne warstwy skóry i tkanek. Miała wrażenie, że wbija się w nią coś niezmiernie grubego i dużego. Ból przeszył całe jej ciało. Krzyczała w dłoń Arona, Michaił nie przestawał strzelać. Aron przekręcał ostrze, wyciągał je i znowu wbijał, żeby spowodować jak największe obrażenia. Sophie straciła czucie. Aron wyciągnął nóż. Sophie na moment pociemniało w oczach.

Leżała nieruchomo, patrząc na buty Arona, bezgłośnie poruszającego się po kuchni. Zobaczyła go całego, kiedy stanął przy stole, na którym leżały rozrzucone zdjęcia. Szybko zgarnął je do sportowej torby i wyszedł z domu.

Krew zalała jej oczy. Gęsta ciemność czająca się za jej

plecami zaczęła ją wsysać.

Wiatr i deszcz ze śniegiem pogarszały widoczność. Jens przedzierał się przez zarośnięty ogród. Miles poruszał się gdzieś z przodu, na prawo od niego. Zbliżali się do celu, każdy od swojej strony.

Jens usłyszał jakiś dźwięk. Zatrzymał się, przykucnął i zaczął nasłuchiwać. Dudniło mu w uszach.

Czas stanął w miejscu. Gdzieś w oddali ryknął silnik, ktoś odjeżdżał samochodem. Jens nadal tkwił nieruchomo w tym samym miejscu. Coś się poruszyło po jego prawej stronie. Zza ściany deszczu wyłonił się Miles, na jego twarzy malowały się obojętność i spokój.

Przykucnął obok Jensa. Przez chwilę nasłuchiwali razem.

– Tam już nikogo nie ma – szepnął Jens.

– Dziękuję, że uratowałeś mi wtedy życie – powiedział Miles.

– A uratowałem? – zdziwił się Jens.

– Tak, gdyby nie ty, już bym nie żył.

Kiedy weszli do domu, Jens od razu zobaczył Sophie. Leżała u podnóża schodów w kałuży krwi. Oczy miała zamknięte. Był przy niej Michaił.

– Nie, nie, nie – wymamrotał Jens i puścił się biegiem.

Michaił robił, co mógł, żeby powstrzymać krwawienie. Blady i przerażony Lothar donosił mu ręczniki.

– Potrzebuje natychmiastowej pomocy – powiedział Michaił.

– Zadzwońię po karetkę. Przenieś ją do samochodu, wyjadę im naprzeciw – polecił Miles.

Jaguar pędził wiejską drogą.

Jens siedział z tyłu na Sophie i przyciskał ręczniki do jej rany, z której nieprzerwanym strumieniem płynęła krew.

Miles prowadził. Pochylił się i sięgnął po torebkę Antonii, która leżała na podłodze. Wsunął do niej dłoń, poszperał chwilę w środku i wyjął paszport od Marianne. Podał go Jensowi.

– Myślisz, że się nada? – zapytał.

Jens wziął dokument i rzucił okiem na zdjęcie.

– Tak – odparł i wsunął paszport Sophie do kieszeni spodni.

Przed nimi pojawiło się niebieskie, migające światło karetki. Miles mrugnął długimi światłami.

Przesiadka nie trwała długo. Sanitariusze, kobieta i mężczyzna, położyli Sophie na noszach i wepchnęli je do karetki. Jens wsiadł za nimi do środka i drzwi się zatrzasnęły. Ambulans odjechał na sygnale.

Miles został sam na drodze. Patrzył za karetką, dopóki nie zniknęła mu z oczu. Ulewa się skończyła.

Spojrzał na jaguara, który stał z otwartymi drzwiami i zakrwawionym tylnym siedzeniem.

Wskoczył za kierownicę, zakręcił i ruszył, szukając na mapie w telefonie jakiegoś jeziora.

Okazało się, że jedno jest całkiem niedaleko.

Miles siedział za kierownicą. Silnik jaguara pracował na jałowym biegu. Brzeg jeziora, w które wchodził niski pomost, zajmowała piaszczysta plaża. Słońce zachodziło. O tej porze roku szybko się ściemniało.

Antonia... Miles przypomniał sobie jej twarz. Nie powinna była umrzeć. Wolałby, żeby to jego dosięgła ta kula... Ogarnęła go rozpacz, ale szybko ją stłumił.

Zadzwoił do brata. Ian odebrał.

– Halo?

– Posłuchaj, braciszku – powiedział Miles. – Już nie istnieję, zaginałem, nie ma mnie. Potrzebuję twojej pomocy, bezwarunkowo. Jesteś w stanie mi jej udzielić?

– Opowiedz, co się stało.

– Nie. Pytam, czy możesz mi pomóc.

Miles słyszał w słuchawce oddech brata.

– Tak.

– Dobra. Kto kieruje kopenhaską ambasadą?

– Idiota, ten pieprzony dyslektyk, który siedział w komisji obrony narodowej w riksdagu i który obmacał praktykantkę...

Miles wszedł mu w słowo.

– Potrzebny mi ktoś, kto siedzi na górze w którejś z pobliskich ambasad, ale to musi być ktoś w porządku, ktoś, komu można zaufać. Kto nagne trochę przepisy i będzie potrafił milczeć.

– Nie rozumiem...

– Ktoś z Berlina, Warszawy, Hagi, Brukseli, Paryża albo Wiednia. To nie musi być sama góra, może być człowiek, który jest tam numerem dwa albo trzy.

– Niezupełnie rozumiem.

– To musi być zaufany człowiek. Czego tu można nie rozumieć?

Ian zaczął wymieniać nazwiska różnych osób, większość z nich była jednak idiotami, debilami albo tępymi osłami. Jak przeważające grono ludzi pochodzących z jego świata.

– A może w Pradze... – mruknął w końcu Ian.

– Co w Pradze?

– Tam ambasadorem jest ten stary babsztyl od socjaldemokratów... jak ona się nazywała? A tak, Solveig Svensson..

– I?

– Beznadziejna baba, a jej zastępcą jest ta ciota ze Smålandii, która się za nią ciągnie od lat. Wiesz, ten gość, który jej kiedyś pisał przemówienia. Ale jeśli mnie pamięć nie myli, tamtejszy numer trzy jest w porządku. Nazywa się Wessman. On jest ulepiony z odpowiedniej gliny, otrzaskany, ma doświadczenie, główkuje jak MSZ-etowiec i tylko on odważa tam rzetelną robotę. Często bywał na obiadach u rodziców, poznałeś go.

Otrzaskany, ulepiony z odpowiedniej gliny, główkuje jak MSZ-etowiec, pomyślał Miles. W rodzinie

Ingmarssonów tak właśnie mówiło się o kolegach z pracy.

– Można mu zaufać?

– Tak, jeśli dasz mu to, na czym mu zależy.

– A na czym mu zależy?

– Tak jak wszystkim innym, na forsie i wpływach.

– Czy możemy dać mu jedno i drugie?

– My?

– Tak, my – powiedział Miles z naciskiem. – Czy w tej ambasadzie jest jeszcze ktoś, kogo mogę znać?

– Z tego, co wiem, to nie.

– Chcę, żeby mnie tam zatrudnili i to od zaraz, pod fałszywym nazwiskiem, z fałszywym CV, ale na średnim szczeblu. Żadne tam funkcje reprezentacyjne, żadnej dyplomacji, mam być pierdołą, którym nikt się nie przejmuje. Załatw to z Wessmanem.

Ian zaśmiał się sucho.

– Chwila, chwila, co ty sobie, do cholery, myślisz...

Miles mu przerwał.

– Żadne takie. Udowodnij, że sam jesteś ulepiony z odpowiedniej gliny, że potrafisz to załatwić. – Miles wyobraził sobie minę brata, który na pewno teraz siedział i gryzł się w język. – I jeszcze jedno, Ian – dodał po

chwili.

– Co?

– Na oddziale intensywnej terapii w szpitalu na Söder leży pewna kobieta, Sanna Renberg. Odwiedź ją i dopilnuj, żeby niczego jej nie brakowało. – Miles się otworzył. – Tym razem naprawdę potrzebuję twojej pomocy. Inaczej bym...

Ian usłyszał ton głosu Milesa, zrozumiał powagę sytuacji i spróbował złagodzić nieco wstyd, jaki musiał czuć jego starszy brat.

– W porządku, zobaczę, co da się zrobić.

Rozmowa dobiegła końca.

Miles zapalił papierosa i opuścił nieco boczną szybę.

Antonia nie żyła. Zaciągnął się, jego dłoń zadrżała.

Tommy Jansson...

Miles opróżnił kieszenie marynarki. Otworzył drzwi i położył na ziemi swój telefon, portfel i paczkę papierosów.

Kilka razy głęboko się zaciągnął. Ryknął silnikiem.

Tommy Jansson... ten pierdolony skurwysyn.

Docisnął do końca pedał gazu, wrzucił szósty bieg. Silnik zawył, samochód szybko nabierał prędkości i wpadł

z poślizgiem na pomost. Koła zadudniły na deskach. Kraniec pomostu był coraz bliżej.

Samochód na moment zawisł w powietrzu, po czym runął do wody, maską w dół. Przednią szybę zalała fontanna wody. Miles uderzył głową o twardą kierownicę. Samochód unosił się jeszcze na powierzchni, ale szybko nabierał wody.

Milesowi udało się otworzyć drzwi. Wsunął się do zimnej wody i odpłynął od auta. Jaguar zniknął, jego światła jeszcze przez chwilę świeciły, ale później woda spowodowała zwarcie i nie było go już widać.

Miles wyszedł na brzeg, pozbierał swoje rzeczy i przez lasy i pola ruszył w stronę domu Jensa.

Zadzwoił do Ulfa i powiedział mu, że Antonia została zamordowana.

Ulf rozplakał się do słuchawki.

Przy Sophie siedział pielęgniarz w odblaskowej kurtce. Na wodoodpornym materiale zebrały się krople deszczu.

Słysząc było głuchy dźwięk o wysokiej częstotliwości – sygnał karetki. Syrena wyła w mroku rozdieranym

zimnym niebieskim światłem, które pojawiało się we wnętrzu pojazdu i z niego znikало. Sophie leżała na noszach, była do nich przypięta pasami i okryta żółtym kocem. Czuła kołysanie karetki.

Nagle sygnał ucichł. Niebieskie światło wirowało jak oszalałe. Teraz Sophie słyszała mruczenie silnika. Samochód jeszcze bardziej przyśpieszył. Może znajdowali się na zwykłej drodze, a może na autostradzie. Sophie nie miała żadnego punktu odniesienia, ale i tak nie mogła się oprzeć wrażeniu, że karetka leci w powietrzu.

Gdzieś niedaleko odezwał się jakiś głos, który przyciągnął jej uwagę. Zobaczyła zarys mężczyzny siedzącego na rozkładanym siedzeniu. To był Jens.

– Co mówiłeś? – szepnęła.

Jens przysunął się do niej.

– Jestem tu. Nie bój się.

– To Aron Geisler – wyszeptała. – To on mnie zaatakował.

Poczuła rękę Jensa na swoim policzku, poprosił, żeby nic nie mówiła. Patrzył na nią ze smutkiem.

Sophie znów zdała sobie sprawę z prędkości, z jaką się poruszali. Karetka jechała szybko. Niewyobrażalnie

szybko.

Po raz pierwszy spojrzała w dół, na siebie. Krew była wszędzie. Na jej piersiach, ramionach i brzuchu. Wilgotna i zimna.

– Źle ze mną? – zapytała.

Pielęgniarz nachylił się nad jej twarzą i spojrzął jej w oczy.

– Proszę spokojnie leżeć i nic nie mówić – powiedział do niej po duńsku.

Proszę nic nie mówić...

Wtedy pojęła. Niezliczone razy wypowiadała te słowa do swoich pacjentów. „Proszę nic nie mówić”. Kierowała je do tych, którzy byli bliscy utraty przytomności, do osób, z których gwałtownie uciekało życie.

Karetką ostro zahamowała. Znów rozległ się sygnał. Tym razem wydał jej się głośniejszy, wdzierał się do jej świadomości.

Ogarnął ją przejmujący chłód, poczuła mdłości połączone z osłabieniem, które rozchodziło się z okolic szyi. Potem pojawiło się wrażenie bezwładnego unoszenia się do góry nogami. Wydawało jej się, że zaraz runie w dół i że to będzie koniec. Nie była w stanie utrzymać się

na powierzchni. Chłód przybrał na sile, przesywał każdą komórkę jej organizmu. Zaczęła się trząść.

Pielęgniarz poderwał się, stanął przy niej i przycisnął ją do noszy, próbując ją unieruchomić. Spojrzała w jego oczy i zobaczyła strach.

Usłyszała swój własny głos, powtarzający „nie”. Brzmiało to tak, jakby chciała powiedzieć „Dobry Boże, nie mogę teraz umrzeć”.

– Stawiam tysiaka, że mój kutas jest większy – powiedział Ove do Tommy’ego.

Zrobili sobie w lesie postój na siku.

– Nie zakładam się – wymamrotał Tommy i rozsunął rozporek.

– Mądrze robisz – odparł Ove. – Byłbyś tysiaka w plecy. A kto chciałby być tysiaka w plecy tylko dlatego, że ma małego kutasa?

– Podejrzewam, że nikt – rzucił Tommy.

– Masz rację. Nikt – zgodził się Ove i zaczął sikać.

– Skończyłem z pićciem – oświadczył Tommy.

– *Way to go*, koteczku! To pasuje do takiego

przystojniaka jak ty. Bo pewnie wiesz, że niezły z ciebie przystojniak?

– Ciągłe to słyszę.

Ove cały się rozpromienił.

– Tommy! Zażartowałeś? O kurde! Coraz lepiej. Ty i ja, Tommy. Kurwa, ale pięknie.

Porechotał chwilę, a potem zaczął gwizdać temat z Rocky'ego, skupiając się na strudze moczu.

Tommy wsunął prawą dłoń pod kurtkę i z ukrytej kieszeni wyciągnął trzydziestkę ósemkę.

– Zimą wypisuję w śniegu swoje imię – powiedział Ove. – Dużymi albo małymi literami, starannie albo byle jak.

Tommy ułożył sobie pistolet w dłoni, podniósł rękę i wystrzelił. Rozległ się przeraźliwy huk, głowa Ovego odskoczyła pod wpływem siły, z jaką uderzyła w nią kula. Ove padł, jak stał. Powód jego dumy wciąż wystawał mu z rozporka.

Tommy skończył sikać, strząsnął ostatnie krople moczu, schował ptaszka i podszedł do Ovego, który leżał na boku i patrzył na niego szeroko otwartymi oczami. W jego policzku była duża dziura. Oddychał płytko i z trudem.

Górna szczęka została strzaskana, zęby pływały luzem we krwi.

Tommy przyjrzał mu się bez słowa, podniósł broń i wystrzelał w Czarnucha cały magazynek. W sumie oddał sześć strzałów. Ove dostał w krocze, klatkę piersiową, ramiona, szyję i czoło.

Umierał sześć razy.

Woda w zlewie zrobiła się bladoróżowa. Aron zmył z rąk krew Sophie. Zatrzymał się w motelu przy granicy duńsko-niemieckiej.

Przeszedł do pokoju i otworzył torbę, którą zabrał z domu Jensa. Wysypał jej zawartość na łóżko i zaczął ją uważnie przeglądać. Wiedział, że te materiały dotyczyły Sophie, mówiły o tym, że była obserwowana, a obserwujący ją policjanci – skorumpowani. Ale świadczyły też o czymś innym, o tym, że mogła donosić glinom, a już na pewno, że kontaktowała się z Gunillą Strandberg, która polowała na Hectora. Wprawdzie dowody były niejasne, a materiały niejednoznaczne, ale dało się z nich skleić obraz obciążający Sophie. Dzięki

temu Hector zrozumie, co się stało, i łatwiej będzie mógł o niej zapomnieć.

Aron podzielił zawartość torby na dwie sterty. Na jedną odkładał to, co mogło skompromitować Sophie. Na drugą – całą resztę.

Pierwszą stertę włożył z powrotem do torby, a potem usiadł na łóżku i zniszczył tę drugą. Kartki podarł na wąskie paski, nośniki danych połamał, a zdjęcia uszkodził tak, żeby nie można było rozpoznać twarzy.

Zgarnął to wszystko i wsypał do plastikowego worka. Następnie zawiązał go i wyrzucił do kontenera za motelową restauracją.

57

Monachium/Valle del Cauca

– Wygodnie ci? – zapytał Christian.

Albert pokiwał głową.

Bombardier challenger, prywatny odrzutowiec, mógł pomieścić osiem osób. Ich było czterech. W wyłożonym beżową skórą i orzechem włoskim wnętrzu znajdowali się

Albert i Christian, a na fotelach za nimi Ernst i Roland.

– Potrzebujesz czegoś? – zapytał znowu Christian.

Albert pokręcił głową.

– Chcesz się czegoś napić?

– Nie – odparł Albert schrypniętym głosem.

– A coś zjeść?

Na twarzy Christiana pojawił się uśmiech. Albert go nie odwzajemnił. Odwrócił wzrok.

Challenger unosił się na wysokości dwunastu tysięcy metrów. Płynął na prądzie strumieniowym. Albert jadł, czytał i próbował zabić czas. Kiedy zapadła noc, usnął, ale co jakiś czas się budził. Gdzieś wylądowali, nie widział gdzie, bo na zewnątrz było ciemno. Zatankowali i wznieśli się w powietrze. Albert znowu zapadł w sen.

Nastał dzień. Odrzutowiec obniżył lot, przebił się przez warstwę chmur i szerokim łukiem okrążył jakieś miasto. Następnie ułożył się w odpowiedniej pozycji i wylądował na prywatnym lotnisku z wieżami kontrolnymi, które wyglądały jak relikwiny dawno minionych czasów. Koła samolotu dotknęły ziemi, maszyna zaczęła hamować i kołować w stronę dwóch srebrnych cadillaców

escalade.

Na niebie widniało białozółte słońce, które niemiłosiernie prażyło. Rozgrzane powietrze drżało. Byli daleko od domu.

– Gdzie jesteśmy? – zapytał Albert.

– Chodź, pomogę ci wysiąść – powiedział Christian.

Jechali przez rozległe tereny, a potem przez las przypominający dżunglę. Zatrzymał ich szlaban. Ze stojącej obok budki wyszedł uzbrojony wartownik. Po chwili znów sunęli przez las. Snajperzy przez cały czas mieli ich na muszce. Nagle las się skończył i zobaczyli zamek, zoo, baseny, wodospad i korty tenisowe.

Samochód pokonał krętą dróżkę i zatrzymał się przed wejściem.

Kiedy drzwi po stronie Alberta zostały otwarte, wózek już na niego czekał. Christian pomógł mu wysiąść.

Po schodach szedł ku nim szeroko uśmiechnięty brunet w luźnej koszuli i dżinsach.

– Witaj, Christianie! – powiedział mężczyzna. – I ty, Albercie. – Stał przed Albertem i dodał. – Znam twoją mamę. Jestem Alfonse Ramirez, bratanek Don Ignacia. Ten

dom należy do niego, prosił, żebym was przywitał w jego imieniu.

Potem przyjrzał się twarzy Alberta.

– Jesteście do siebie podobni, ty i twoja mama. Masz szczęście.

Zaśmiał się i dał znak Christianowi. Równocześnie dźwignęli wózek z Albertem i wnieśli go po schodach do domu.

Postawili go na podłodze urządzonego z przepychem holu. Albert zobaczył marmury, złoto i naturalnej wielkości zwierzęta z porcelany. W klatce zawieszzonej pod sufitem miotał się szympans, który od czasu do czasu wrzeszczał. Obok nich przemykali służący w liberii i ochroniarze. Wszystko wyglądało jak w filmie. Kiepskim filmie.

Podszedł do nich mężczyzna, pięćdziesięcioletni, blade, czarnowłose, przygarbiony.

– Don Ignacio, to są Christian Hanke i Albert Brinkmann – oznajmił Alfonse.

Szympanś wrzasnął.

Ignacio przyjrzał się Christianowi, a potem Albertowi.

– Co to jest? – zapytał, wskazując Alberta.

– To jest Albert – odparł Christian.

– Co robi w moim domu to porwane dziecko na wózku? A gdzie szczeniak Guzmana?

– Straciliśmy go – wyjaśnił Christian.

– Aha, a co mam zrobić z tym tutaj?

– On jest ze mną. Chwilowo.

– Chwilowo?

Szympanś znów krzyknął i zaczął rzucać się w klatce. Don Ignaciowi to nie przeszkadzało, ale Christianowi tak.

– Tak, chwilowo – odpowiedział z lekką irytacją w głosie.

– A ty? Jak długo masz zamiar tu zostać? Też chwilowo?

– Zostaniemy tu, dopóki nie dowiemy się, co z Hectorem.

Ignacio spojrział na niego z niechęcią.

– Chcecie się tu ukrywać?

– Prędzej czy później Hector wpadnie w nasze ręce. Potrzebujemy tylko trochę czasu, żeby się pozbierać.

Don Ignacio się zdenerwował.

– Chwilowo? Pozbierać się? Co to za popieprzona gadka? Ty i twój ojciec chcieliście dostać Hectora.

Dlatego zaczęliśmy współpracować. Dzięki nam dotarliście do jego syna, daliśmy wam na to ludzi i środki. Pomogliśmy wam tak, że bardziej się nie dało. Dostaliście Hectora na tacy, wystarczyło tylko pociągnąć za spust, i nawet to spieprzyliście. A teraz jeszcze to?

– Nasza współpraca będzie trwać, dopóki nie uporamy się z Hectorem. Tak to widzimy.

Don Ignacio otworzył szeroko oczy, udając zdumienie.

– Tak to widzicie?

Odwrócił się do Alfonse’a.

– Oni tak to widzą, Alfonse.

Albert z uwagą śledził przebieg rozmowy. Słowa Don Ignacia ociekały sarkazmem. Szympons nad ich głowami darł się jak oszalały.

Christian spojrział na swoje stopy. Don Ignacio świdrował go wzrokiem.

– Ja widzę to trochę inaczej, drogi Christianie Hanke. I tylko to się liczy.

Szympons szalał.

Don Ignacio podniósł dłoń. Do Christiana podszedł ochroniarz i dał mu do zrozumienia, że chce go przeszukać. Christian rozpostarł ręce na boki. Ochroniarz znalazł jego

telefon i włożył go sobie do kieszeni.

– To samo zrobiłem z Rolandem i Ernstem – oświadczył Don Ignacio. – Będziecie moimi gośćmi, dopóki nie postanowię, co z tym wszystkim zrobić. Jeżeli spróbujecie się stąd oddalić, uznam to za zniewagę. Moi ludzie zapolują na was w lesie i strzelą wam w plecy. Wasze ciała rzucimy hipopotamom. Będą na was szczać i deptać po was, aż zrobią z was miazgę. Wtedy dostaną was świnię.

Ochroniarz chwycił Christiana pod ramię i go wyprowadził.

– A ty, chłopcze? – zapytał Don Ignacio. – Co ci się stało? Dlaczego siedzisz na wózku?

Albert spojrział na Don Ignacia, potem na Alfonse'a i znów na Don Ignacia.

– Potrącił mnie samochód – powiedział.

Na twarzy Don Ignacia nie było nawet śladu empatii.

– Kiedy?

– Parę miesięcy temu.

– Już zawsze będziesz na nim jeździł? – zapytał, wskazując wózek.

– Na to wygląda.

– Dajesz sobie radę?

– Zazwyczaj tak.

Język Don Ignacia wykonał jakiś ruch. Przyszła mu do głowy nowa myśl.

– Ludzie Hankego dobrze cię traktowali?

Pytania padały jedno po drugim.

– Nie mam porównania – odparł Albert. – Pierwszy raz zostałem porwany.

Don Ignacio i Alfonse równocześnie się uśmiechnęli.

– Albercie, odpowiedz na pytanie Don Ignacia – powiedział spokojnie Alfonse.

– Nie mogę powiedzieć, że dobrze.

Don Ignacio mruknął coś pod nosem.

– Nigdy nie lubiłem Niemców.

Don Ignacio nad czymś się zastanawiał, na jego czole pokazała się żyła. Na twarzy miał wyraz rozgoryczenia. Po chwili ocknął się z zamyślenia.

– Jestem zmęczony Hankem, Alfonse. Zmęczony Guzmanem i tym, że te skurwysyny nie potrafią się pozabijać. – Westchnął z irytacją. – Dopilnuj, żeby chłopak dostał coś do jedzenia – powiedział i wyszedł.

Nicea

Za oknami pokoju hotelowego błyszcząły światła Nicei.

Pracowali cały dzień. Angela, Gustave, rosła prokurator i jej asystent.

Angela przekazała im wszystko, co wiedziała.

Jej historia zaczęła się w Marbelli. To tam poznała Eduarda, ale również Hectora i ich ojca, Adalberta. Wcześniej zrozumiała, że rodzina prowadzi nie do końca legalne interesy. Razem z Eduardem postanowili zacząć własne życie, na własnych warunkach. Przez lata ich kontakty z rodziną Guzmanów były sporadyczne. Potem, gdy Hectora potrącił w Sztokholmie samochód, zjawił się u nich Hasani. Żyli jak wcześniej, aż nagle, zupełnie niespodziewanie, Eduardo został zamordowany. Hasani przewiózł w pośpiechu ją i chłopców do Sztokholmu, gdzie zapewniono im ochronę. Po śmierci Daphne i Thierry'ego zostali przeniesieni do mieszkania na ulicy Norr Mälarstrand. Pewnego dnia musieli je szybko opuścić. Hasani powiedział im, że mają z nim iść i przewiózł ich przez całą Europę aż do Villefranche.

Asystent prokuratora wprowadzał do komputera imiona i nazwiska, które wymieniała. Po przepuszczeniu ich przez bazy danych, pojawiały się zdjęcia, które przypinano szpilkami do opartej o kanapę tablicy. W środku znajdował się Hector Guzman. W kręgu dookoła niego widnieli: Aron Geisler, Leszek Śmiały, Hasani, Sonya Alizadeh, Ernst Lundwall i Sophie Brinkmann.

Prokurator siedziała w fotelu. Angela i Gustave na krzesłach.

– Jak myślisz, co tam się stało? Dlaczego Sophie Brinkmann i jej syn nie pojechali razem z wami? – zapytał Gustave.

– Nie wiem – odparła Angela. – Wszystko działo się bardzo szybko. Hasani przyszedł po nas i powiedział, że musimy się spieszyć. Wsadził nas do samochodu i przywiózł do Villefranche.

Gustave uważnie przyjrzał się tablicy i wskazał zdjęcie Ernsta.

– A co z nim? Gdzie był wtedy technokrata Ernst Lundwall?

– Przychodził od czasu do czasu. Nie mieszkał razem z nami. Wydaje mi się, że tamtego dnia go nie było, ale nie

jestem pewna.

– Czy Leszek albo Hasani o nim wspominali?

– Nie, przez całą drogę milczeli. Od czasu do czasu konsultowali się tylko z Aronem przez telefon.

Gustave podrapał się po głowie.

Prokurator przysłuchiwała się ich rozmowie. Teraz uśmiechnęła się przepaszająco do Angeli.

– Madame Garcia, powiedziała nam pani więcej, niż ktokolwiek mógł sobie wymarzyć. Czegoś nam jednak brakuje i myślę, że sama pani wie czego.

Angela wiedziała. Brakowało choćby jednego wydarzenia, które mogłoby stanowić podstawę do wszczęcia postępowania.

Gustave znów zabrał głos.

– Mieliśmy nadzieję, że niezwłocznie będziemy mogli rozpocząć dochodzenie w sprawie Guzmana. Musimy jednak obrać inną drogę.

– Jaką? – zapytała Angela.

Gustave machnął ręką w kierunku tablicy.

– Szwecja. To tam toczy się jedyne śledztwo w sprawie Hectora Guzmana, które cokolwiek znaczy. Pół roku temu w restauracji w Sztokholmie miała miejsce

strzelanina, to były porachunki między różnymi grupami. Potem Hector zapadł się pod ziemię.

Gustave wstał, podszedł do tablicy i wskazał palcem Sophie.

– Nazywasz Ernsta technokratą, Hasaniego ochroniarzem, Leszka szefem niższego szczebla – powiedział i odwrócił się do Angeli. – A ją jak byś nazwała?

Angela myślała przez chwilę.

– Nie wiem. Miałam w każdym razie wrażenie, że ona tam jest dlatego, że nie ma innego wyboru.

– Grożono jej?

Angela ściągnęła usta.

– Może... Choć z drugiej strony pracowała dla nich. Czasem na chwilę gdzieś znikła, naradzała się z Leszkiem, uczestniczyła w tym wszystkim, co toczyło się wokół nas, a o czym nas nie informowano.

Gustave spojrział na tablicę i po raz kolejny wskazał zdjęcie, na którym była Sophie.

– Uczestniczyła? A może odgrywała główną rolę?

– Może – zgodziła się Angela.

– Co ją łączyło z Hectorem? – zapytała prokurator.

– Byli parą.

Gustave uniósł brwi.

– Poznali się w zeszłym roku, po tym, jak został potrącony przez samochód. Ona pracowała jako pielęgniarka...

Gustave wymamrotał coś, co świadczyło o tym, że informacja wzbudziła jego zainteresowanie.

– Jaka ona jest? – wtrąciła się prokurator.

Angela zaczęła się zastanawiać, wyobraziła sobie Sophie.

– Zwyczajna... ale w niezwykły sposób.

– Co to znaczy? – zapytała prokurator.

– Ciepła... ale również zimna, zamknięta w sobie.... i otwarta. Egoistka, ale z empatią. Zrównowazona, wrażliwa... Silna, nawet wtedy, kiedy jest słaba...

– To brzmi tak, jakby miała rozdwojoną osobowość.

– Ale tak nie jest.

Pytania i odpowiedzi na chwilę zawisły w powietrzu.

Gustave zwrócił się w stronę prokurator i pokazał tablicę.

– Wyślę za nią międzynarodowy list gończy.

– Dlaczego? – zapytała prokurator.

– Jeżeli chcemy wziąć na cel kogoś z tej grupy, to kogo?

Prokurator pokiwała głową.

– Oczywiście madame Brinkmann.

59

Sztokholm

W sypialni wisiała marynarka i koszula, którą trzy miesiące temu Monica dała mu na urodziny.

Tommy stał przed lustrem zawieszonym na wewnętrznej stronie drzwi od szafy i zapinał koszulę. Widać, że się za siebie wziął, pomyślał. Brak alkoholu nie sprawił, że stał się piękniejszy, ale przynajmniej był bardziej stabilny. Miał w sobie pewną solidność. Chciał ją zachować.

Monica siedziała przy drzwiach balkonowych i przyglądała się sroce, która podskakiwała na śniegu w poszukiwaniu pożywienia. Przysunęła maskę tlenową do ust i odetchnęła.

Tommy stanął przed nią, trzymając w dłoniach poły

marynarki.

– Dostałem ją od ciebie. Elegancka, prawda?

Spróbował się uśmiechnąć i wyglądać uwodzicielsko. Nie wyszło. Monica odwróciła wzrok.

Rozległ się nieprzyjemny dźwięk dzwonka u drzwi. Do domu weszła jak zwykle rozgadana opiekunka Moniki. Tajka, wysoka i szeroka na metr. Tommy nie potrafił zapamiętać jej imienia.

Razem z nią przyszła pielęgniarka, która niosła nowy wózek dla Moniki. Wyciągnęła rękę do Tommy'ego.

– Dzień dobry. Jak rozumiem, to pan jest mężem Moniki?

– Tommy Jansson – rzucił w przelocie i ruszył w kierunku wyjścia.

– Wychodzi pan? Przecież mieliśmy porozmawiać?

– Porozmawiać?

– Tak, przesłałam panu informację na ten temat.

– Musiałem ją przeoczyć. Czego ma dotyczyć rozmowa?

– Monica dostanie nowy wózek. Będziemy też musieli omówić podłączenie jej do respiratora. Wygląda na to, że wkrótce będzie to konieczne – powiedziała pielęgniarka,

głośno i dokładnie wymawiając każde słowo, jakby Tommy był głuchy i głupi.

– Aha – mruknął.

– Cześć Moonicaaa – rozszczebiotała się Tajka.

Tommy, Monica i pielęgniarka siedzieli w dużym pokoju. Monica na swoim nowym wózku.

Tajska opiekunka robiła w kuchni kawę. Pielęgniarka położyła przed nimi broszury i opowiadała o różnych sposobach postępowania i poszczególnych modelach respiratorów.

Tommy zerknął na żonę. Monica spojrzała mu w oczy. Oboje wiedzieli, co to znaczyło.

„Pomóż mi przejść na drugą stronę”.

Monica miała dobroć wypisaną na twarzy. Jak mógłbym ją unicestwić? – pomyślał Tommy. Moją Monicę...

Poczuł mdłości.

Kiedy opiekunka przyniosła kawę, Tommy przeprosił i wyszedł.

Popędził do ubikacji i pochylił się nad muszlą. Próbował wymiotować, ale nie mógł.

Jutlandia/Praga

Operacja trwała sześć godzin. Sophie walczyła o życie.

Leżała teraz na oddziale pooperacyjnym. Znajdowała się pod wpływem silnych leków i nie było z nią żadnego kontaktu. Jej świadomość wędrowała gdzieś między światami.

– Wyjdzie z tego? – zapytał Ejnar Larsen, komisarz z Kolding.

Obok niego w nogach łóżka stała Vibeke Steen, lekarka. Nie licząc znoszonej policyjnej kurtki, Larsen ubrany był po cywilnemu. Dżinsy miał podciągnięte odrobinę za wysoko, a pomiętą koszulę wieńczył krawat w kolorze kreciej szarości.

– Pacjentka nie żyła, kiedy ją przyjmowaliśmy – wyjaśniła lekarka. – Musieliśmy ją reanimować. Obrażenia były bardzo skomplikowane. Ten, kto ją pociął, wiedział, co robi.

– On? – zapytał Larsen.

– Tak, on. Kiedy coś takiego zrobiła kobieta?

– Nigdy nie można mieć pewności – odparł Larsen.

– Można. Za każdym razem, kiedy spotkam się z przypadkiem okrutnej przemocy, będę mówiła „on”. W dniu, w którym okaże się, że to kobieta była sprawczynią, przyznam, że się myliłam, zgoda?

Larsen się zaśmiał. Sprawiał wrażenie sympatycznego. Metr dziewięćdziesiąt wzrostu, okrągła twarz, czerwone policzki i rude włosy.

– Zgoda...

Trzymał w dłoni paszport, który Sophie miała w kieszeni, i notatnik, z którego czytał.

– Dwóch mężczyzn przekazało tę kobietę personelowi karetki na drodze, jeden z nich pojechał z nią. Widziałaś go?

– Nie...

– A widziała pani kogoś, kto mógłby mieć coś wspólnego z tą kobietą?

– Niestety nie...

– Coś jeszcze?

– To Szwedka, tak wynika z paszportu.

– Widzę.

– Nie powinna była przeżyć.

– Co ma pani na myśli?

– Nie żyła, kiedy ją przywieziono. Ale coś sprawiło, że do nas wróciła.

– To chyba wasza zasługa?

– Mhm – mruknęła lekarka bez przekonania. – Choć nic jeszcze nie wiadomo. Zobaczymy, czy z tego wyjdzie.

Larsen zajrzał do paszportu.

– Czy to wszystko? – zapytała lekarka.

Larsen wydawał się nad czymś zastanawiać, ale ocknął się z zamyślenia.

– Tak, oczywiście. Bardzo dziękuję za pomoc – powiedział.

Vibeke Steen skierowała się do wyjścia. Larsen w dalszym ciągu wpatrywał się w paszport.

– Przepraszam – powiedział nagle.

– Tak? – zapytała lekarka i się odwróciła.

Larsen pokazał jej dokument.

– Czy to naprawdę jest jedna i ta sama osoba?

Pytanie trochę ją zdziwiło, ale zawróciła.

Rzuciła okiem na zdjęcie Antonii Miller, a potem na Sophie.

– Trudno powiedzieć – stwierdziła.

Ejnar Larsen się zdenerwował, patrzył to na zdjęcie, to

na leżącą w łóżku kobietę.

– Może na granicy by ją przepuścili – powiedział. – Ale to są dwie różne osoby. Nos! Proszę spojrzeć na nos.

Lekarka wzruszyła ramionami.

– To pan jest policjantem. Będę tu aż do rana, gdyby pan czegoś potrzebował – oznajmiła i wyszła.

Ejnar Larsen stał z paszportem w dłoni i myślał. Wcisnął guzik nadajnika, który miał przymocowany do lewego ramienia.

Najpierw rozległy się trzaski, a potem usłyszał czyjś głos.

– Tu Ejnar. Muszę sprawdzić szwedzki numer osobowy – powiedział i odczytał cyfry.

Dania i Szwecja udostępniały sobie nawzajem dane ze swoich baz ewidencji ludności.

Ejnar Larsen poczekał chwilę i dostał informację, że taki numer nie istnieje.

– Sprawdźcie jeszcze raz – polecił i powtórzył numer. Potem podał jeszcze numer paszportu i poprosił, żeby poszukano po nazwisku.

To samo. Ten numer nie istniał, podobnie jak osoba o takim nazwisku.

– W porządku, dziękuję.

Radio ucichło.

Larsen usiadł na krześle i dokładnie obejrzał paszport. Podniósł go pod światło, przyjrzał się cyfrom i sprawdził, jak było zafoliowane zdjęcie. Nie potrafił rozstrzygnąć, czy paszport jest fałszywy...

Zbliżał się wieczór, nie miał ochoty zostawać dłużej w pracy. Chciał wrócić do domu, pobawić się z dziećmi, uszczypnąć żonę w tyłek i pooglądać telewizję. Dziś chyba był ten angielski serial o zamku...

Skierował uwagę na kobietę w łóżku. Kim była? Dlaczego tu leżała? Kto chciał ją zabić?

Przyjrzał się jej dokładnie. Miała klasyczną urodę. Może nawet miała w sobie jakąś szlachetność? Ale było w niej również coś innego... Swoista dobroduszość. Larsen uważał, że potrafi dostrzegać takie rzeczy. Nawet jeśli zdawał sobie sprawę, jak niedorzeczne mogło się to wydawać. Tak właśnie było... Żywił przekonanie, że, patrząc na człowieka, można w dużej mierze ocenić jego wnętrze. Ta kobieta była ofiarą czegoś, nad czym nie miała kontroli. Dostrzegł to. W jego świecie takie osoby należało chronić...

Ta ostatnia myśl przesądziła sprawę. Zadzwoił do policjanta dyżurującego na komisariacie i przedstawił sytuację.

Godzinę później do szpitala wkroczyło dwóch chłopaków z laboratorium kryminalistycznego. Zrobili pacjentce zdjęcia, pobrali próbki DNA ze śliny i z krwi, a potem zeskanowali jej dłonie, żeby pobrać odciski palców.

Po kolejnych trzydziestu minutach zjawił się świeżo upieczony posterunkowy, który mruknął, że ma pełnić straż pod drzwiami.

– Świetnie – odparł Ejnar i wskazał wolne krzesło. – Możesz je wziąć. Wiesz, co masz robić?

– Nie wpuszczać do środka nikogo poza personelem medycznym i zgłaszać wszystko, co mi się wyda podejrzanе.

– Dobrze – powiedział Ejnar.

Posterunkowy wyszedł z sali. Technicy pracowali jeszcze przez kilka minut, po czym zaczęli pakować swój sprzęt do teczek.

– Co teraz? – zapytał Ejnar jednego z nich.

– Wrzucimy wszystko w system i prześlemy Szwedom,

zobaczymy, czy u nas albo u nich coś wyskoczy.

Jens szedł wolno korytarzem. Przed pokojem Sophie siedział policjant.

Z środka wyszło dwóch gliniarzy po cywilnemu. Każdy z nich trzymał w ręce torbę, która wyglądała jak skrzynka.

Technicy kryminalni, pomyślał Jens. Oni są niebezpieczni. Założył, że fałszywa tożsamość Sophie została ujawniona. Jeżeli trochę się postarają, wkrótce odkryją tę prawdziwą.

Minał policjanta, siedzącego przy drzwiach, doszedł do końca korytarza i wyszedł ze szpitala.

Kenneth Wessman był niski, ostrzyżony na jeża i przypominał teriera, który ma zamiar kogoś ugryźć. Wbrew swojemu wyglądowi był pozytywnie nastawiony do życia.

Miles Ingmarsson spotkał się z nim U Malého Glena, pubie i restauracji w jednym. Leżała o kilka przecznic od szwedzkiej ambasady.

– Witamy w Pradze – powiedział Wessman, ściskając dłoń Milesa. – To ty jesteś Miles, brat Iana. Podobno już kiedyś się spotkaliśmy.

Ostatnie zdanie wypowiedział obojętnym tonem, potem wysunął krzesło i usiadł przy stoliku.

– Ale to chyba nie ma teraz żadnego znaczenia, prawda? – zapytał.

– Najmniejszego – odparł Miles i zajął miejsce naprzeciwko niego.

– Dobra – powiedział Wessman i położył ręce na stole.
– Wygląda na to, że wpadłeś w cholerne tarapaty. Mnie osobiście kompletnie to nie interesuje... Ale twój brat mówi, że potrzebujesz pracy, mieszkania i anonimowości. Zgadza się?

– Tak.

– Czym chciałbyś się zajmować?

– Poszukiwaniami i chciałbym mieć dostęp praktycznie do wszystkiego.

– Na całym świecie czy tylko w Szwecji?

– Na całym świecie.

– To będzie trochę kosztować. Mówisz, że chciałbyś mieć dostęp praktycznie do wszystkiego. Co masz na

myśli?

– Wszystkie informacje i doniesienia.

Wessman wyraźnie się zdziwił.

– Aha. To będzie jeszcze droższe. I cholernie ryzykowne.

– Co ci powiedział Ian?

– Mam ci pomóc zrobić kolejny krok w karierze.

O forsie powinienem rozmawiać z tobą.

– A więc ile to będzie kosztować? Praca, anonimowość, dostęp do informacji i mieszkanie?

Wessman chwilę rozważał sprawę w myślach. Potem podał Milesowi konkretną sześciocyfrową sumę.

– W porządku – zgodził się Miles. – Ale załatw lekarza.

– Lekarza?

– Tak, lekarza z dostępem do sprzętu i leków, który przy tym potrafi trzymać gębę na kłódkę. Dasz radę? Jeśli tak, nie będę się targował.

– Jesteś chory?

– Ja nie.

Wessman nie pytał o nic więcej.

– Zobaczą, co da się zrobić – oznajmił.

– To mi nie wystarczy.

Na moment zapadła cisza.

– Będziesz miał lekarza. Kiedy i na jak długo?

– Jeszcze dam ci znać.

Rozmowa dobiegła końca, cała reszta pozostała niedopowiedziana.

– Masz przy sobie paszport? Ten fałszywy?

Miles podał mu dokument. Wessman schował go do wewnętrznej kieszeni marynarki.

– Dobra. Zatrudnię cię pod tym nazwiskiem. Będziesz u nas pracował jako inżynier komputerowy, dzięki temu będziesz mógł zajrzeć praktycznie wszędzie.

– Nic nie wiem o komputerach. Co mam zrobić, jeśli ktoś o coś zapyta?

– Chyba robiłeś już wcześniej w dyplomacji?

Miles pokiwał głową.

– Rób zatem to, co potrafimy najlepiej. Kłam.

Szwedzka ambasada leżała kilka przecznic od restauracji.

Ruszyli brukowanymi uliczkami w stronę zamku.

Wessman pokazał jakiś budynek na prawo od nich.

– Tam będziesz mieszkał. Przyjaciół ma tam wolne

lokum. Już je zarezerwowałem.

Wszystko znajdowało się w zasięgu ręki i wyglądało nieźle. Miles polubił Pragę.

Kenneth Wessman wprowadził Milesa do ambasady. Załatwił mu pracę i postarał się, żeby Miles mógł swobodnie wchodzić i wychodzić. Wszystko zostało przygotowane. Obyło się bez problemów. Miles zaczął lubić Wessmana.

Jego pokój mieścił się w piwnicy, na samym końcu ciemnego korytarza. Nie było w nim żadnych okien, stały za to trzy komputery, trochę szwedzkich mebli biurowych, kilka serwerów, czajnik elektryczny i słoik kawy rozpuszczalnej.

– I jak? – zapytał Wessman.

Pokój był klaustrofobicznie mały i bezosobowy.

– Nie mogło być lepiej – powiedział Miles i powiesił płaszcz na wieszaku.

61

Jutlandia

Jens i Michaił weszli do szpitala o trzeciej dwadzieścia nad ranem. Dyżurujący przed drzwiami do pokoju Sophie policjant w błękitnej koszuli nalewał sobie właśnie kawy z termosu. Na jego kolanach leżał długopis i gruba książka pod tytułem *Kamikadze sudoku*.

Kiedy zobaczył, że szybkim krokiem zbliża się do niego dwóch potężnych mężczyzn, zaczął się podnosić.

– Stać! – krzyknął i nieporadnie sięgnął do kabury. Wydawało się, że bije się z myślami. Przesunął rękę w stronę nadajnika, spróbował nacisnąć guzik i zdał sobie sprawę, że traci czas. W końcu wyciągnął dłoń po gaz pieprzowy, który miał w skórzanym futerale przy pasku. Ten brak zdecydowania przypieczętował jego porażkę. Michaił chwycił go i zaniósł do sali. Tam położył go na brzuchu, taśmą gaffa obwiązał mu ręce i usta, a potem zaciągnął go do toalety. Zabrał mu pistolet i nadajnik, a następnie zamknął drzwi.

Jens zwolnił blokadę przy kółkach łóżka, na którym leżała Sophie. Razem z Michaiłem wypchnęli je na korytarz i ruszyli w stronę tylnego wyjścia ze szpitala.

Kiedy przechodzili obok aneksu kuchennego, otworzyły się drzwi i wpadła na nich Vibeke Steen. Zdenerwowała

się.

– Dokąd ją zabieracie?

– Daleko stąd – odpowiedział Jens po duńsku.

– Nie wolno wam.

– I tak to zrobimy.

– Jest w bardzo złym stanie. Umrze, jeśli nie będzie miała właściwej opieki – nie poddawała się Vibeke.

– Będzie miała opiekę – odparł Jens.

– Kiedy?

– Za jakieś dziesięć, piętnaście godzin.

– Wtedy może już być za późno...

Jens widział, że lekarce bardzo zależało na życiu Sophie.

– Przemyślcie to – powiedziała.

– Proszę nam w takim razie pomóc – odparł Jens.

Vibeke Steen popatrzyła na niego sceptycznie spod przymrużonych powiek.

– Jak?

– Tak czy siak ją stąd zabierzemy.

– Ona nie może się obudzić – oświadczyła lekarka. – Musicie dopilnować, żeby była uspiona. Nie może zacząć krwawić. Musi być cały czas pod kroplówką.

Sprawdzajcie jej puls.

Jens puścił łóżko i podszedł do Vibeke. Widział, że ją to zaniepokoiło, ale nie mógł nic na to poradzić. Chwycił ją pod ramię.

– Przynieśmy to, co będzie nam potrzebne.

Opróżnili z leków jeden składzik. Vibeke cały czas tłumaczyła mu, jak powinien opiekować się Sophie, jakie lekarstwa jej podawać, jak często i w jaki sposób. Kiedy skończyła, Jens poprosił ją o klucze. Zamknął ją w składziku i odszedł.

Wyprowadzili łóżko na tyły szpitala.

Stał tam chevrolet express z otwartymi tylnymi drzwiami. W środku czekał Lothar. Wsunęli łóżko z Sophie i za pomocą plastikowych uchwytów umocowali je do podłogi i ścian. Potem wolno i spokojnie odjechali.

Samochodem trochę rzucało. Jens i Lothar przymocowali kroplówkę. Jednocześnie Jens przekazywał Lotharowi informacje, które przed chwilą usłyszał od lekarki.

– Zajmę się tym – powiedział Lothar.

– Dobrze – odparł Jens i na chwilę przerwał wieszanie kroplówki.

– Dobry z ciebie chłopak – dodał, klepiąc Lothara po ramieniu.

Lothar nie odpowiedział. Zajął się układaniem lekarstw w plastikowej skrzynce na podłodze.

Jens przeszedł do przodu i usiadł na siedzeniu obok Michaiła.

Ejnar Larsen nie mógł się otrząsnąć ze zdumienia. O poranku jego młodszy stażem kolega został znaleziony przez swojego zmiennika. Leżał związany w toalecie. Pacjentka o nieustalonej tożsamości zniknęła. Tak samo jak łóżko, w którym leżała.

Ani jedna kamera monitoringu niczego nie zarejestrowała.

Larsen zerknął do wiadomości, która przyszła ze Szwecji. Analizy DNA nic nie wykazały, podobnie jak odciski palców. Kobieta nadal pozostawała anonimowa.

Podrapał się po głowie, czasem tak robił, gdy musiał pomyśleć. Coś nie dawało mu spokoju.

Przypominał sobie doniesienia z ostatnich dni, zgłoszenia i śledztwa. Coś widział, dostrzegł to

w przelocie... ostatnio... całkiem niedawno...

Wiadomość od kopenhaskiej policji, która pracowała nad zgłoszeniem od policjantów z Malmö. Po drugiej stronie Kattegatu mieli problemy i prosili o pomoc.

O co, do cholery, mogło chodzić?

Ejnar zaczął grzebać w papierach. Piętrzyły się w nierównych i nieuporządkowanych stosach. Przeklinał siebie za swoje bałaganiarstwo. W końcu jednak znalazł to, czego szukał.

Przebiegł wzrokiem raport. Na parkingu w Malmö doszło do zagadkowej strzelaniny. Nie było żadnych świadków. Szwedzka policja sądziła, że posłużono się bronią wyposażoną w tłumiki. Wszystkie informacje były bardzo skąpe... Jednak to nie wiadomość o strzelaniu przykuła uwagę Ejnara. Zainteresowało go wydarzenie w szpitalu, do którego doszło niedługo potem...

Szukał dalej wśród papierów na biurku i przeczytał, że do Szpitala Uniwersyteckiego w Malmö zgłosił się ranny mężczyzna. Nie miał przy sobie żadnych dokumentów, został zoperowany, a po operacji zabrano go dwóch nieznanym mężczyznom. Potem rozplynęli się w powietrzu.

Wszystko wyglądało tak samo jak tutaj.

Ejnar znów podrapał się po głowie.

– Cześć!

Podniósł wzrok. Stała przed nim Vibeke Steen. Zaczął wstawać.

– Proszę usiąść. Jak poszło z rysownikiem? – zapytał.

Vibeke zajęła miejsce.

– Sama nie wiem. Pamięć bywa zawodna... Ale mam nadzieję, że te portrety trochę wam pomogą.

Ejnar zaczął ją przesłuchiwać. Vibeke opowiedziała o tym, jak zachowywali się mężczyźni, na których natknęła się w korytarzu. Nie grozili jej, ale byli stanowczy.

– Zależało im na tej pacjentce – powiedziała.

– Byli jej przyjaciółmi?

– Możliwe...

– Coś mówili?

Vibeke się zastanowiła.

– Powiedzieli, że za dziesięć, piętnaście godzin będzie miała właściwą opiekę.

– Coś jeszcze?

– Jeden z nich mówił po duńsku. Ale trochę dziwnie.

– Dlaczego?

– Wie pan, jak to jest, gdy ktoś długo mieszka za

granicą i posługuje się przestarzałym językiem. On mówił trochę jak dziecko.

Ejnar Larsen notował.

– Mam jeszcze jedno pytanie – oznajmił.

– Słucham...

– Dlaczego ktoś mógł zrobić coś takiego? Zabrać pacjentkę ze szpitala?

– Co pan ma na myśli?

– Czy coś takiego zdarzyło się kiedykolwiek wcześniej?

Vibeke wyglądała, jakby miała zamiar się roześmiać.

– Tak, w tym tygodniu już trzy razy.

Zaśmiał się z żartu.

– Nie, to pierwszy taki przypadek – odparła.

A jednak nie pierwszy, pomyślał. Kilka dni wcześniej po drugiej stronie Kattegatu wydarzyło się dokładnie to samo.

Pozegnał się z Vibeke Steen, usiadł i kontynuował rozważania.

Dlaczego ktoś robi coś takiego? Podejmuje ogromne ryzyko...

Prawdopodobnie można tak postąpić w sytuacji, gdy

jest się ściganym, może poszukiwanym listem gończym.

List gończy...

Ejnar zaczął szperać w komputerze. Nie miał dostępu do szwedzkiego systemu, więc zaczął od duńskiego. Poszło szybko, ponieważ kobiety stanowiły zdecydowaną mniejszość. Nie widział jednak żadnej, która przypominałaby pacjentkę. Zaczął przeglądać informacje z Europolu, a następnie z Interpolu.

Przez dobre pół godziny przewijał stronę w dół i zobaczył aż za dużo zdjęć poszukiwanych kobiet. Nagle ją rozpoznał. List gończy został wysłany przez francuską policję i miał niski priorytet.

Nazywała się Sophie Brinkmann, była Szwedką i mieszkała w Sztokholmie...

Ejnar podniósł słuchawkę i wybrał numer komisarza Gustave'a Peltiera, który wystawił list gończy.

62

Toskania

Hector siedział na ławce pod cyprysem i spoglądał na

świat, który rozciągał się przed nim. Miał na sobie czarny benedyktyński habit.

Klasztor leżał na płaskowyżu. Widok z ogrodu zapierał dech w piersiach. Pofalowane wzgórza, lasy, wsie, pojedyncze gospodarstwa, góry i horyzont.

Tuż obok leżał niewielki ogródek. Pracowało w nim dwóch mnichów, którzy wrywali uschnięte rośliny i spalali ziemię.

Hector zobaczył, że w jego stronę idzie Aron z czarną sportową torbą w ręku. Usiadł obok niego na ławce.

– Jak ci się to udało? – zapytał Aron.

– To dzięki Roberto, dalekiemu kuzynowi ojca – odparł Hector.

– Czy to miejsce jest bezpieczne?

– Gdzie byłeś?

– W Danii.

– Znalazłeś ich?

– Nie wszystkich.

– Co z Lotharem?

– Nie wiem. Kiedy się zjawiłem, jego już nie było.

– Co się stało?

Drzewa wokół nich szumiały delikatnie na wietrze.

– Sophie nie żyje – oznajmił Aron.

Hector drgnął, nieznacznie, ale jednak.

– Znalazłem ją na podłodze w tamtym domu. Ktoś na nich napadł.

– Co z Lotharem? – powtórzył Hector.

– Nikogo więcej nie widziałem. Było pusto.

Hector próbował wyłączyć uczucia, ale coś w jego piersi...

– Oprócz... – zaczął Aron.

– Tak?

– Oprócz jeszcze jednych zwłok. Jakiejś kobiety.

– Kto to był?

– Nie jestem pewien, ale wydaje mi się, że to ta policjantka, która prowadziła sprawę Trasten. Czytaliśmy o niej w gazetach, pamiętasz?

Hector przez chwilę się zastanawiał.

– Tak, pamiętam. Miller?

– Mhm, Antonia Miller.

– A co ona tam robiła?

Aron podał Hectorowi torbę.

– Przejrzyj to.

Hector spojrzał wyczekująco na Arona, a potem

otworzył torbę.

To, co zobaczył, sugerowało, że Sophie była w kontakcie z policją już od czasu ich pierwszego spotkania. Przekazywała im informacje, donosiła na niego i robiła to świadomie.

– Wcześniej nas zdradziła – powiedział Aron. – Oszukiwała nas, i to do samego końca.

Hector zaczął szybko przerzucać zdjęcia i notatki, ale nie miał na to siły. Oddał torbę Aronowi.

– Kto ich napadł? Kto zabił Sophie i Antonię?

– Trudno powiedzieć. Jensa, Michaiła i Lothara już tam nie było. Nie wiem.

Hector przyjrzał się Aronowi. Niezmordowanie walczył o ich przetrwanie. Ale teraz coś się w nim zmieniło. Zniknęła pewność, którą miał w oczach. Jak gdyby coś ukrywał i starał się to zamaskować. Próbował nie uciekać wzrokiem, nie mrugać i udawać, że jest taki jak zawsze. Choć z drugiej strony musiał być u kresu sił. Jak wszyscy.

– Dziękuję – powiedział Hector.

– Za co?

– Za wszystko.

W oddali rozległo się bicie dzwonów. Hector wstał i ruszył w stronę klasztoru. Dwaj mnisi pracujący w ogródku już tam szli. Z różnych stron nadchodzili kolejni.

Aron patrzył za Hectorem.

Hector wszedł do kaplicy i usiadł w drewnianej ławce. Mnisi zaczęli śpiewać. Ich śpiew był piękny, melancholijny i... Hector nie potrafił znaleźć właściwego słowa.

Sophie nie żyła. Smutek go przytłoczył. Osaczyły go tęsknota, rozpacz i poczucie niewyobrażalnej straty.

Śpiew mnichów odbijał się głębokim echem od chłodnego kamiennego sklepienia.

Stała przed nim Sophie, widział ją wyraźnie. Zdobył się na odwagę i nie zamknął oczu.

Uświadomił sobie istnienie jednego uczucia. Marzenia, niemal nieświadomego, które żyło w nim od czasu, kiedy spotkał ją po raz pierwszy. Marzył o tym, że to ona jest tą właściwą kobietą, jego ratunkiem, życiem, że będzie w stanie urzeczywistnić to wszystko, z czym on sam nie potrafił sobie poradzić. Że dzięki niej znajdzie szczęście

i będzie je z nią dzielił...

Z jego gardła wydobył się jęk bólu. Zakrył usta dłonią. Czuł, że zaraz zacznie się trząść. Rozpacz próbowała wziąć w nim górę i wywrócić wszystko do góry nogami. Stawił jej opór, walczył, usiłował powstrzymać łzy i jęk.

Udało mu się. Po chwili mógł odsunąć dłoń.

Wróciły do niego słowa Arona. „Oszukiwała nas”. Tak, to nie ulegało wątpliwości. Czy jego też oszukiwała? Czy miało to dla niego teraz jakiegokolwiek znaczenie?

Ona nie żyła.

Nie było jej.

Już nigdy więcej jej nie zobaczy.

Głosy mnichów wznosiły się i opadały.

Gdyby wierzył w to, co oni, pomodliłby się za jej duszę. Ale nie wiedział, jak to się robi.

Jedynym, co łączyło go z tymi mężczyznami, był fakt, że tak jak oni był biedny jak mysz kościelna i tak samo jak oni nie posiadał nawet ubrania, które miał na grzbiecie. Ale ci śpiewający mężczyźni sami zdecydowali się na życie w biedzie. Hector natomiast wybrał kiedyś coś dokładnie odwrotnego.

Do rozpacz dołączyła wściekłość. To ona prowadziła

go przez życie, głęboko schowana gdzieś w okolicach żołądka, w małym, czarnym, szczelnie zamkniętym świecie, który zbudował sobie już w dzieciństwie. Poczł, jak go teraz ogarnia. Co dziwne, sprawiła, że się uspokoił, odegnała rozpacz, pomogła mu zebrać myśli i podjąć decyzję. Postanowił, że odnajdzie swojego syna, odbierze z procentami wszystko to, co kiedyś było jego, i zabije każdego skurwysyna, który sobie z nim pogrywał.

Dokładniej sobie wyobraził, co zrobi z człowiekiem, który zabił Sophie i odebrał mu jego marzenie.

63

Praga

Sophie otworzyła oczy. Pokój był jasny, zasłnki w oknach cienkie. Sufit znajdował się wysoko nad nią. Pamiętała jazdę karetką, wiedziała, że był przy niej Jens. Teraz też był blisko, siedział na krześle przy łóżku.

- Gdzie jesteśmy? – zapytała szeptem.
- W Pradze – odpowiedział.
- Dlaczego?

- Ukrywamy się tutaj.
- Co z Albertem?
- Nie wydarzyło się nic nowego.

Naprzeciwko łóżka stała duża szafa z otwartymi drzwiami. W środku wisiały jej ubrania.

- Michaił rozpakował twoją torbę – wyjaśnił Jens.

Na stoliku obok niej leżały równo poukładane lekarstwa, wata i środki antyseptyczne.

– To Lothar – powiedział Jens. – Opiekę nad tobą uznał za swój obowiązek. W czasie podróży podawał ci lekarstwa i pilnował, żebyś się nie obudziła.

- Jak się tu znaleźliśmy?

– Przyjechaliśmy samochodem z Danii. W szpitalu przeszłaś operację. Zaczęła się tobą interesować policja. Musieliśmy działać szybko.

- Do kogo należy to mieszkanie?

– Miles o wszystko się postarał, nawet o lekarza, który od czasu do czasu do ciebie zagląda...

Uchyliły się drzwi i do pokoju zajrzał Lothar. Był radosny, promieniał, jak gdyby jej przebudzenie było cudem, zmartwychwstaniem.

Udzieliła jej się jego pozytywna energia.

– Dziękuję, że się mną opiekujesz – szepnęła z wysiłkiem.

– Potrzebuje pani czegoś?

– Nie, dziękuję. Jak ci się tu podoba? – zapytała.

– Spojrzałem na mapę. Mieszkamy w samym centrum. Jeśli pójdziemy ulicą w dół, dojdziemy do placu, a potem do Mostu Karola. Po drugiej stronie Wełtawy jest Stare Miasto. Jeśli pójść w drugą stronę – powiedział i machnął ręką gdzieś za siebie – można dojść do ogromnego parku, w którym mieści się obserwatorium.

– Któregoś dnia się tam wybierzemy – szepnęła bardzo cicho.

Rozmowa wyraźnie ją zmęczyła.

– Super – odparł Lothar i zniknął.

– Cieszy się – stwierdził Jens. – Zmienił się. Jest dumny z tego, że pomógł uratować ci życie. Nie zniósłby, gdybyś umarła. Był załamany, kiedy zostałam ranna. Lgnie do ciebie. W pewien sposób jesteś teraz jego mamą.

Nie wiedziała, jak zareagować na to, co właśnie powiedział jej Jens. Poruszyła się nieznacznie. Poczowała ból.

Zajrzała pod kołdrę i obejrzała ranę.

– Pomożesz mi ją przemyć?

Jens podniósł się i przestawił swoje krzesło bliżej łóżka.

Powiedziała mu, co ma wziąć ze stolika z lekarami. Odsunęła kołdrę na bok i podciągnęła bluzkę.

Jens ostrożnie zerwał kompres. Rana była rozległa. Długa, pofałdowana, różnokolorowa i precyzyjnie zeszyta.

– Powiedz mi, co mam robić – poprosił Jens, zwilżając ligninę środkiem odkażającym.

– Myślę, że sam to wiesz – odparła.

Jens zaczął przemywać ranę od środka ku brzegom. Sophie podskoczyła, kiedy alkohol dotarł do niezagojonego miejsca.

Jens oczyszczał ranę ostrożnymi ruchami. Spojrzał Sophie w oczy. Kiwnęła głową na znak, że dobrze robi. Podniosła dłoń i pogłaskała go po głowie.

– Dobrze...

Przyglądała się mu, gdy pracował w skupieniu.

– Znowu mnie zostawisz? – zapytała.

Jens nie odpowiedział.

– Kiedyś się obudzę, a ciebie znowu nie będzie?

– Nie – odparł cicho.

Miles pracował niestrudzenie od czterech dni. Niemal bez przerwy. Szukał, sprawdzał, analizował. Znowu stał się policjantem.

Ambasada była, praktycznie rzecz biorąc, centralą szpiegowską, miała bliskie powiązania ze szwedzkimi służbami wywiadowczymi.

We wcześniejszych latach, w czasie zimnej wojny, ich spojrzenie było zawsze skierowane na wschód, w stronę Rosjan. Teraz ich działalność koncentrowała się głównie na wspieraniu szwedzkich firm w krajach, w których działały ambasady. W praktyce sprowadzało się to do szpiegostwa przemysłowego. Wszystko odbywało się w zawoalowany i nienachalny sposób, w każdej ambasadzie było w to wtajemniczonych zaledwie parę osób. W Pradze należał do nich Wessman.

– Masz coś? – zapytał Miles, kiedy Wessman zapukał w futrynę drzwi.

Kenneth wszedł do środka, w ręce trzymał jakieś papiery.

Chcąc zdobyć informacje, na których zależało

Milesowi, stworzyli wspólnie studium przypadku z pytaniami od Ericssona. Tej firmie służby wywiadowcze zawsze chętnie udzielały pomocy. Wessman porozmawiał osobiście z kilkoma facetami z wywiadu. Powiedział, że zleceniodawca chciałby poznać parę szczegółów dotyczących spotkań, które odbywał jego niemiecki konkurent. Na przykład kiedy i gdzie miały miejsce, a także w jaki sposób podróżował.

Wywiad udzielił mu informacji bez problemu, dla nich to była rutyna.

Kenneth Wessman pomachał kartkami i podał je Milesowi.

– Spółka z ograniczoną odpowiedzialnością, która należy do Hankego, posiada kilka samolotów, a wynajmuje kilka innych – powiedział. – Tu jest wykaz większości z nich oraz lista tras, na jakich latały w ciągu kilku ostatnich tygodni.

Miles zerknął na kartki.

– A pasażerowie?

– Tych list pewnie nigdy nie uda nam się zdobyć.

– Na pewno?

– Tak, wtedy musieliby pokopać głębiej. To musi nam

wystarczyć – powiedział, a w jego głosie pobrzmiwała irytacja.

– W porządku. Dziękuję – odparł Miles i zaczął przeglądać listy.

Były długie, ale jeden lot od razu rzucił mu się w oczy.

Wybiegł z ambasady i ruszył w stronę mieszkania. W kąciку ust miał papierosa, a pod pachą plik papierów. Zbiegając w dół, parę razy poślizgnął się na wyłożonej kocimi łbami uliczce, ale udało mu się odzyskać równowagę.

Drzwi otworzył mu Michaił.

Miles wyminął go, ciężko dysząc.

– Jens! – krzyknął.

Jens wyjrzał na korytarz z pokoju Sophie i dał mu znak ręką. Miles minął kuchnię. Przy stole, na którym leżały dwie kupki kart, siedział Lothar.

– Cześć, Lothar – rzucił w przelocie.

Lothar pomachał mu ręką.

Kiedy wszedł do pokoju, Sophie nie spała.

– Witaj w Pradze – powiedział.

– Dziękuję – odparła słabym głosem.

Podał Jensowi plik kartek, a Jens od razu zaczął je przeglądać, strona po stronie.

– Znalazłeś coś? – zapytała Sophie.

– Możliwe – odparł Miles.

– Co?

Miles wskazał papiery, które czytał Jens.

– To są informacje o lotach, jakie ostatnio odbywali ludzie Hankego.

Sophie czekała na dalszy ciąg.

– To może być trochę naciągane, ale jeden z samolotów należących do filii firmy Hankego wyleciał z Augsburga, małego lotniska na zachód od Monachium, i udał się do Cartago w Kolumbii, gdzie wylądował na lotnisku wojskowym.

– Kiedy? – zapytała Sophie.

– W interesującym nas okresie.

– Kiedy się do nich wybrałam, też poleciałam do Cartago – szepnęła.

– Wiem – odparł.

– A pasażerowie?

Miles pokręcił głową.

– Nigdy nie zobaczymy ich listy.

Jens podniósł wzrok znad papierów.

– Mogę tam pojechać – oznajmił cicho i jakby mimochodem.

W kuchni rozległ się głos Lothara, wesoły i lekko zadziorny.

– Michał, gramy dalej, czy się poddajesz?

Zbliżyli się do tematu, którego żadne z nich nie chciało podjąć.

Miles zrozumiał, o co chodzi.

– Zaparzę kawę – powiedział głucho i wyszedł.

Usłyszeli odległy śmiech Lothara. Wydawał się uszczęśliwiony.

– Weź go ze sobą – powiedziała Sophie chłodno i bez owijania w bawełnę.

Atmosfera w pokoju zgęstniała.

– Kurwa – szepnął Jens zniesmaczony sam sobą.

Nie potrafili poradzić sobie ze wstydem, który czuli.

– To wydaje się nie w porządku – powiedział.

Sophie siedziała nieruchomo.

Jens wstał i wyszedł z pokoju.

Niebo za oknem było zimowe. Błękitne, przejrzyste, jasne i rozległe. Sophie powędrowała ku niemu wzrokiem.

Wszędzie, gdzie się pojawiała, ginęli ludzie. Teraz miała kogoś zdradzić. Nie potrafiła już dłużej niczego przed sobą usprawiedliwić. Chciała zamienić się w coś innego, ukryć się i przestać czuć. Zdawała sobie sprawę, że to też było kłamstwem. Kiedy Aron wbijał w nią swój nóż, sprawił jej ból, który wydał jej się wyzwalający. Miała wrażenie, że wyrównywał rachunki. To jednak szybko minęło. Nikt nie był w stanie uwolnić jej od tego, co teraz czuła.

Walczyła ze sobą, próbując trzymać Lothara na dystans. Równie dobrze mogłaby próbować nie dopuścić do siebie głodu lub pragnienia. Było to niemożliwe.

Cały czas był obecny w jej myślach. Nie tylko ze względu na wyrzuty sumienia, które czuła. Myślała o nim jak o dziecku. Dziecku, które jej szukało, potrzebowało i które jej ufało.

Jens powiedział jej, że jest dla Lothara drugą mamą. Może i on był jej drugim synem, może tego chciała, bez względu na to, jak bardzo się opierała.

Lothar zajrzał do jej pokoju. Co godzinę podawał jej środki przeciwbólowe, oglądał ranę, mierzył puls

i temperaturę.

– Michał oszukuje w karty – powiedział i sprawdził, czy kropłówka płynie tak, jak powinna. – Ten wredny goryl nie chce się do tego przyznać – dodał.

Napotkał wzrok Sophie i roześmiał się tak, że prawie się zakrztusił.

– Pojedziesz jutro z Jensem – przerwała mu.

– Dokąd? – zapytał, opierając ręce na kolanach.

– To bez znaczenia – odparła i spojrzała na niego ze smutkiem.

Wydawało się, że Lothar rozumiał, na co się zanosi. Jak gdyby wcześniej zapomniał, w jakiej sytuacji się znajdował, a teraz ponownie sobie to uświadomił. Jakby w tym właśnie momencie zdał sobie sprawę z tego, że ci ludzie wcale nie chcą jego dobra, że jest dla nich tylko kartą przetargową. Możliwe, że poczuł się w tej chwili jak najbardziej samotny człowiek na świecie.

Rozejrzał się niepewnie po podłodze i pogładził dłońmi uda.

– Rozumiem – powiedział, siląc się na swobodny, wesoły i niemal wdzięczny ton.

Sophie zrobiło się niedobrze.

– Zobaczymy się jeszcze kiedyś? – zapytał.

Teraz jego głos zabrzmiał krucho. Sophie nie zdobyła się na odpowiedź.

– Wszystko będzie dobrze – oznajmił, jakby znów wziął na siebie odpowiedzialność za wszystko, w tym również za jej dobre samopoczucie, za to, żeby nie musiała mieć wyrzutów sumienia.

Wstał i wyszedł z pokoju.

64

Nicea/Sztokholm

Gustave Peltier nie zdążył jeszcze wyjechać z Nicei, gdy zadzwonił do niego Ejnar Larsen, duński kolega po fachu.

Rozmowa go zaskoczyła. Sophie Brinkmann nagle się odnalazła. Z ciężkimi obrażeniami po pchnięciu nożem trafiła do szpitala w małej miejscowości na Jutlandii. A Ejnar Larsen miał jakąś teorię dotyczącą strzelaniny w Malmö. Ale to musiało poczekać.

– Weź ze sobą wszystko, co masz, i spotkaj się ze mną w Sztokholmie – powiedział Gustave. Potem

zarezerwował sobie bilet. Przemknął nad Alpami i wylądował na Arlandzie.

W hali przylotów spotkał się z wysokim, rudowłosym Ejnarem. Uścisnęli sobie dłonie. Ejnar wywarł na nim bardzo pozytywne wrażenie.

Tommy Jansson, nadzorujący śledztwo w sprawie Trasten, spotkał się z nimi przed lotniskiem i zawiózł ich do miasta swoim volvo.

Jansson opowiadał im o tym, co szwedzkie. Trollach, reniferach, Lapończykach, obchodach Midsommar i pijaństwie. Łodziach na sztokholmskim archipelagu, konkursie Eurowizji i konikach z Dalarny.

Próbował udawać rześkiego i ucieszonego, ale nie za bardzo mu to wychodziło. Wyglądało na to, że nie czuje się najlepiej. Gustave spojrzał na Ejnara. Duńczyk sprawiał wrażenie, jakby również uważał, że w tej całej sytuacji coś nie gra, skrzyżował ramiona na piersi i usiłował żartować z Tommym, który w ogóle go nie rozumiał.

Tommy zaparkował przed komisariatem na Kungsholmen i zaprowadził ich do sali konferencyjnej.

Ejnar napełnił swój kubek kawą. Tommy sięgnął po drożdżówkę cynamonową, zanurzył ją w kawie, przeżuł,

oddychając przez nos, po czym dolał sobie kawy i wziął kolejną bułkę. Wydawało się, że odrobinę go to uspokoiło.

– Dobra – powiedział Gustave. – Dziękuję, że mogliśmy się tak szybko spotkać. Skontaktowała się ze mną bratowa Hectora Guzmana i przekazała nam trochę informacji na jego temat. Niestety wymknął się nam. Kiedy z nią rozmawialiśmy, jedna osoba wydała nam się niezwykle interesująca. Chodzi o Sophie Brinkmann. Nie udało nam się stworzyć klarownego obrazu, ale sądzimy, że jest blisko Hectora, prywatnie i zawodowo. Postanowiliśmy wziąć ją na cel i wysłaliśmy za nią list gończy, na który trafił Ejnar, gdy próbował ustalić tożsamość anonimowej pacjentki szpitala na Jutlandii. Okazało się, że to była Sophie.

Tommy słuchał. Ejnar podjął opowieść.

– To może mieć związek ze strzelaniną w Malmö, do której doszło parę dni wcześniej. Tam też ranny został wywieziony ze szpitala przez swoich ludzi.

– Kto to był? – zapytał Tommy.

– Sądząc po rysopisie, mógł to być Hector Guzman. Ale nie udało nam się tego ustalić z całkowitą pewnością – dodał Ejnar.

Tommy przyjrzał się obu mężczyznom. Teraz była jego kolej, żeby zabrać głos. Przybrał nową postawę, był spokojniejszy, nieco bardziej opanowany. Zachowywał się jak gliniarz.

– Mamy tu u siebie niezły burdel – powiedział.

Duńczyk i Francuz wyglądali na zaciekawionych.

– Przez długi czas robiono nas w balona. Dwoje naszych bliskich kolegów zmieniło stronę.

Gustave Peltier podniósł brwi.

– Sęk w tym, że oboje pracowali nad sprawą Trasten.

– Proszę wyjaśnić.

– To długa historia. Na początku dochodzenie prowadziła Antonia Miller. Uważałem, że sobie nie radzi, nie popycha sprawy do przodu. Krótko mówiąc, że odwała fuszerkę. Powiedziałem jej, że chciałbym, żeby ktoś inny się tym zajął. Walczyła o to, żeby zachować te robotę, i zaproponowała Milesa Ingmarssona, który jej zdaniem był dobry. Znałem go już wcześniej, więc pomyślałem: „Dlaczego nie?”. Teraz gorzko tego żałuję. Okazało się, że ta dwójka, Miller i Ingmarsson, współpracowała ze sobą. Nie mieli żadnych skrupułów. Grozili różnym podejrzanym typom i zbijali kasę na ich interesach. Kiedy zacząłem się

wszystkiego domyślać i już prawie deptałem im po piętach, rozplynie się w powietrzu. Pewnie zrozumieli, co się święci.

– Ostatni ślad? – zapytał Ejnar.

Tommy westchnął.

– To cholernie przykra sprawa... Parę tygodni temu Miles Ingmarsson zamordował Rogera Lindgrena, miejscowego producenta amfetaminy. Mamy jego DNA, krew i odcisk buta. Łączyły ich jakieś interesy... teraz to zrozumieliśmy...

Tommy wyglądał na załamane. Ejnar poczuł do niego sympatię.

– Nie jesteśmy w stanie wszystkiego przewidzieć – powiedział pocieszająco.

Tommy zagryzł wargi i spojrzał Ejnarowi w oczy, jakby chciał powiedzieć „dziękuję”.

– Jak to wszystko wpłynęło na śledztwo? – zapytał Gustave.

– *Status quo*. Śledztwo, rzecz jasna, stoi w miejscu. To wszystko skomplikowało.

Gustave odchylił się na oparcie z kubkiem kawy w dłoni.

– Zbierzemy to, co mamy – powiedział. – Sprawdzimy, co możemy, i spróbujemy ruszyć sprawę do przodu. Hector Guzman musi zostać ujęty. Sophie Brinkmann będzie naszą przepustką do niego. Wysłałem za nią międzynarodowy list gończy, niedługo powinniśmy ją namierzyć.

– Brzmi niezłe – stwierdził Tommy.

– Naprawdę niezłe – dodał Ejnar.

Poszło lepiej, niż Tommy się spodziewał. Starał się sprawiać wrażenie uczciwego, lekko naiwnego i pełnego skruchy. Wkrótce zaprosi Gustave'a i Ejnara do swojego małego, niepozornego szeregowca i zmusi ich, żeby przeżyli towarzyskie katusze w trakcie obiadu zjedzonego wspólnie z nim, jego śmiertelnie chorą żoną i ich dwoma dobrze wychowanymi córkami. Tym samym domaluje ostatnią kreskę na obrazie własnej osoby, jaki pragnął stworzyć w ich głowach.

A on będzie mógł dalej iść wolny przez to mieniące się kolorami piekło, które sam sobie zgotował.

Valle del Cauca

Wylądowali. Podczas krajowego lotu z Bogoty porządnie ich wytrzęsło. Jens, Michaił i Lothar wysiedli z samolotu i znaleźli się w zupełnie innym świecie. Oślepiającego słońca, nieznośnego upału i obcych zapachów.

Na lotnisku wzięli taksówkę, starego nissana z powgniatanymi zderzakami. W samochodzie strasznie trzęsło, a kierowca popijał piwo.

Zatrzymali się w hotelu w centrum Cartago.

Pokój nie był ani duży, ani mały. Stały w nim dwa łóżka, komoda, telewizor, a pod nim minibarek.

Michaił wyciągnął się na jednym łóżku, Lothar na drugim i od razu włączył telewizor.

Jens wybrał numer Alfonse'a Ramireza. Dostał go od starego znajomego, z którym kiedyś robił interesy, a który miał bezpośredni numer do Kolumbijczyka.

W słuchawce odezwał się jakiś głos.

– Skontaktuj się z Alfonse'em Ramirezem i powiedz mu, że Jens ze Sztokholmu jest w mieście i chce się z nim spotkać. Zadzwoń za trzy godziny.

Zamówili sobie posiłek do pokoju i oglądali dziwne

programy w telewizji. Czas płynął wolno. Lothar usnął.

Jens po raz kolejny wybrał numer. Człowiek, którego imienia nie znał, podyktował mu adres.

– Możesz tam jechać od razu – powiedział.

Jens kiwnął głową na Michała. Wyszli z pokoju, zostawiając na drzwiach zawieszkę „Do not disturb”.

Dom wyglądał całkiem zwyczajnie. Ot, otynkowany na biało domek przy ruchliwej ulicy. Miał bardzo niewiele okien i był otoczony niskim murkiem.

Jens otworzył drzwi. Znaleźli się w restauracji, w środku panowała ożywiona atmosfera i grała muzyka. Oświetlenie było mocne i zawieszane wysoko. Rozbawione dzieci biegały wkoło, dorośli pili, tańczyli i odurzali się różnymi prochami.

Alfonse Ramirez wyszedł Jensowi na spotkanie. Wyciągnął do niego dłoń i nachylił mu się do ucha, żeby przekrzyczeć hałas.

– Wyprzystojniałeś od ostatniego razu.

Zaśmiał się ze swojego żartu i dał znak, żeby Jens za nim poszedł.

Torując sobie drogę w tłumie, dotarli do małego stolika. Siedział przy nim anemicznie blady mężczyzna,

który zlustrował Jensa pustym wzrokiem.

– Don Ignacio – powiedział Alfonse i dał Jensowi znak, żeby usiadł naprzeciwko.

Don Ignacio, pomyślał zaskoczony Jens...

Mężczyzna promieniował energią, jakby otaczało go pole siłowe. Było jak tarcza, wydawało się, że wszyscy w restauracji je wyczuwają. Nikt zaudto się do niego nie zbliżał ani nie okazywał strachu. Wszyscy zgodnie udawali, że świętują i doskonale się bawią. Ponieważ *on* tak postanowił.

– Wy już się znacie – stwierdził Don Ignacio, machając ręką w stronę Alfonse'a.

Nie było widać żadnych ochroniarzy, ale musieli tam być. Wszędzie. Przez cały czas.

– Tylko na siebie wpadliśmy – odparł Jens.

– W Trasten... – powiedział Alfonse. – Ten dzień zaliczam do najlepszych w moim życiu.

Jens nie podzielał jego opinii.

– Powiedz, kim jesteś – polecił Don Ignacio.

– To ty powiedz, kim jesteś – odparł Jens.

Don Ignacio się zaśmiał. Jego śmiech zabrzmiał szczerze, jakby nikt wcześniej się tak do niego nie zwrócił.

– Wiesz, kim jestem – powiedział, a uśmiech błyskawicznie zniknął z jego twarzy.

– A ty wiesz, kim ja jestem. Inaczej nigdy byście mnie tu nie wpuścili.

Don Ignacio przesunął palcem wskazującym pod nosem.

– Mój ojciec pracował w kolejach państwowych i miał bardzo dziwaczne pomysły – powiedział.

– Jakie na przykład?

– Chciał, żebym zdobył wykształcenie, znalazł pracę i się ożenił.

– Istny szaleniec – stwierdził Jens.

– Mhm – mruknął Don Ignacio. – Opowiedziałem ci o sobie, a teraz wyjaśnij nam, dlaczego tu jesteś.

Uprzejmość zniknęła bez śladu.

Jens postanowił zaryzykować.

– Przyjechałem, żeby zabrać Alberta do domu.

Don Ignacio i Alfonse milczeli. Jens starał się zobaczyć jakąś reakcję, cokolwiek... Oni jednak siedzieli nieruchomo, patrzyli przed siebie pustym wzrokiem i czekali na dalszy ciąg. To mu wystarczyło. Teraz wiedział, że go mają.

Alfonse przerwał impas.

– Wtedy w Sztokholmie... leżałeś w Trasten na podłodze, a tamten Rosjanin się nad tobą pastwił. Ledwo żyłeś, a i tak mu przygadałeś. Potem miało się okazać, że prawdopodobnie właśnie to uratowało nam życie. Grałeś na zwłokę. Zaciekawileś mnie i kiedy wróciłem do domu, sprawdziłem, kim jesteś. Nie było to łatwe, wymagało sporo czasu i zachodu, a ludzie, z którymi rozmawiałem, nie byli chętni do pomocy. Ale w końcu udało mi się stworzyć twój obraz.

Jensowi się to nie podobało.

– Masz niezłe doświadczenie zawodowe – mówił dalej Alfonse. – Pracowałeś z wieloma. Jesteś dobrym przemytnikiem, może najlepszym, jakiego można dziś wynająć. Jak to się stało, że cię nie znaleźliśmy? – Zaśmiał się teatralnie, potem zrobił pauzę i pochylił się do przodu.

– Powiedz, jak zamierzasz osiągnąć to, o czym mówiłeś?

– Chcę wymienić Alberta na Lothara, syna Hectora Guzmana.

Don Ignacio i Alfonse wymienili spojrzenia.

– Lothar – powiedział Don Ignacio. – Wartość tego chłopaka spadła. Tak jak całego interesu. Znasz tę

historię?

– Niezupełnie – odparł Jens obojętnym tonem.

Wokół nich trwało przyjęcie, grała muzyka, ludzie się śmiali.

– Na początku chodziło o interesy. Ludzie Hankego zaatakowali Hectora, potrącili go samochodem. To miało być ostrzeżenie. Hector podniósł poprzeczkę i wysadził w powietrze dziewczynę Christiana Hankego, choć celem był prawdopodobnie sam Christian. Wtedy sprawa zrobiła się osobista. A kiedy porachunki robią się osobiste, wszystko zazwyczaj się pieprzy. Nie uważasz?

Jens nie odpowiedział. Ignacio Ramirez otarł twarz dłonią. Pod oczami miał ciemne kręgi, na jego bladej cerze odznaczał się popołudniowy zarost. Odezwał się.

– Jak wam się udało przejąć Lothara? Pytam z czystej ciekawości.

– Dlaczego chcesz to wiedzieć?

Don Ignacio potrząsnął głową, jak gdyby chcąc podkreślić, że nie ma żadnych ukrytych zamiarów.

– Chcę po prostu wiedzieć, jak to wyglądało.

Jens odchylił się do tyłu.

– Szukaliśmy Alberta – zaczął. – Założyliśmy, że to

Hanke go porwał, zaczęliśmy więc poszukiwania od Monachium.

– Jacy „my”?

– Sophie, ja i Michaił...

– Michaił? – zapytał Alfonse.

– Kiedyś pracował dla Hankego. Spotkałeś go w Trasten. To on, a nie ja, uratował wtedy życie nam wszystkim.

– To ten potężny Rosjanin?

– Tak.

– A więc zaatakowaliście posiadłość Hankego? – zapytał Don Ignacio.

Jens pokiwał głową.

– W ile osób? Kto jeszcze z wami był?

– Nikt – odparł Jens. – Tylko nasza trójka.

Don Ignacio i Alfonse starali się nie okazywać zaskoczenia.

– A jaką mieliście broń? – zapytał Alfonse.

– Michaił miał stary rewolwer.

– A ty?

Jens znów potrząsnął głową.

– Nic? – zapytał Alfonse.

– Nic. Założyliśmy, że uzbroimy się na miejscu.

Don Ignacio wybuchnął śmiechem, Alfonse poszedł w jego ślady.

– Co was tak ubawiło?

– Tak po prostu weszliście i go zabraliście? – zapytał Don Ignacio.

Jens nie odpowiedział.

Don Ignacio się wyprostował.

– Źle ocenili sytuację, myśleli, że jest was więcej. Założyli, że Guzman przypuścił zmasowany atak. Albert został wywieziony kilka dni wcześniej. Ralph i Roland wyjechali dosłownie parę minut przed waszym przyjściem, a Lothar miał właśnie zostać przeniesiony przez strażników, którzy z nim zostali... Mieliście szczęście.

Jens pokręcił głową.

– Nie mieliśmy. Przyszliśmy, żeby odebrać Alberta, ale go nie znaleźliśmy.

– Za to dostaliście Lothara. Gdyby nie on, nie byłoby cię tu teraz.

Don Ignacio zmienił ton.

– Zgadamy się na twoją propozycję z jednym małym zastrzeżeniem – oświadczył.

Jens czekał na dalszy ciąg.

– Będziesz częścią wymiany. Zostaniesz u nas i będziesz dla nas pracował.

Jens się tego nie spodziewał... Było źle... Gorzej niż źle.

Alfonse i Don Ignacio siedzieli przed nim, lekko się uśmiechając. A to skurwysyny, pomyślał.

– Jaką będę miał gwarancję, że Albert bezpiecznie dotrze do matki? – zapytał Jens.

– Załatwimy to – odparł Alfonse.

– Musi się dostać do Europy niezauważony, nie może podróżować pod swoim nazwiskiem.

– Są różne sposoby. Został tu prawdopodobnie przywieziony samolotem wojskowym. Sami często nimi latamy.

– Chcę, żebyście go wysłali jako przesyłkę dyplomatyczną.

Alfonse pokiwał głową.

– W porządku, nie ma problemu.

– A zamiana? – zapytał Jens.

– Sam zdecydujesz, jak do niej dojdzie. Ale ty i Lothar zostanieie z nami...

Jens spuścił wzrok. Rysującą się przed nim drogę spowijał mrok, nie widział jej końca, ale podejrzewał, że prowadziła prosto do piekła.

Michaił pakował torbę Lothara, wkładał do niej rzeczy, które ten zdążył wyjąć i położyć na hotelowej komodzie. Ten chłopak potrafił utrzymać porządek.

Lothar wyszedł z łazienki z pastą i szczoteczką w dłoni. Podał je Michaiłowi, który je zapakował.

Lothar westchnął. To było nerwowe westchnienie, jakby w pokoju kończyło się powietrze.

– Siadaj – powiedział Michaił i wyjął kajdanki.

– Nigdzie nie ucieknę.

Nie było jednak dyskusji. Lothar usiadł, a Michaił przykuł go do żelaznej ramy łóżka.

Skończył pakować torbę i zasunął zamek. Odwrócił się do Lothara.

– Spotkałem twojego tatę – oświadczył. – Potrafiłem go na przejściu dla pieszych w Sztokholmie. Złamał nogę i trafił do szpitala. Pracowałem wtedy dla Ralpha Hankego.

Lothar nie wiedział, dlaczego Michaił mu to mówi.

– Parę tygodni później wróciłem do Szwecji razem z kumplem i grożąc Hectorowi bronią, kazałem mu się wycofać z interesów. Poszło jednak inaczej, niż planowaliśmy. Wszystko się spieszyło. Obezwładnili nas, mój kumpel oberwał w brzuch, a ja zacząłem przygotowywać się na śmierć. Ale twój ojciec darował mi życie.

Lothar trochę się odprężył, zaczął słuchać uważniej.

– Później mogłem mu się za to odwdzięczyć. Pomogłem im w restauracji.

– W Trasten? Sophie mi o tym mówiła – wtrącił Lothar.

– Tak, w Trasten.

Michaił potarł brodę dłonią.

– Przez cały czas twój ojciec okazywał siłę, zachowywał się z godnością i nie pozwalał sobie niczego narzucić. Ty też taki bądź. Jesteś jego synem. Nie zapominaj, że jesteś silny i nie powinieneś nikomu ulegać, niezależnie od tego, jak dużą władzę będzie nad tobą miał.

Lothar siedział pogrążony w myślach, które kołatały się w jego głowie.

– Słyszałeś, co powiedziałem? – zapytał Michaił.

– Tak – odparł po chwili Lothar.

Ciszę przeciął dzwonek hotelowego telefonu.

Pojedynczy. Oznaczał pożegnanie.

– Ojciec po mnie przyjedzie – powiedział Lothar.

– Dobrze, tego się trzymaj.

– A ty, Michaił? Też po mnie przyjedziesz?

– Nie, przecież twój ojciec ma to zrobić. Sam tak powiedziałaś. – Michaił przyjrzał się mu uważnie. –

Trzymaj się, Lotharze Guzmanie – powiedział i opuścił pokój.

Michaił minął hotelowe lobby i wyszedł na pograżoną w mroku ulicę. Przed chwilą musiało padać. Powietrze było gorące i parne.

Ogarnęło go przygnębienie. Nie był w stanie go opanować. Chciał je zamienić we wściekłość, ale nie potrafił. Zamiast wściekłości pojawiły się smutek i poczucie pustki... Lubił Lothara, nie podobało mu się to, co się teraz działo.

Minął kilka przecznic, wskoczył do taksówki, która zawiozła go na ustalone wcześniej miejsce spotkania.

Wysiadł na niedużym rynku w jakiejś podrzędnej dzielnicy. W powietrzu unosił się zapach jedzenia, śmieci i spalin. Przewody elektryczne wisiały nad jego głową niczym pajęczyna. Latarnie rzucały żółty matowy blask, jak gdyby miały niskowatowe żarówki. Michaił czuł się, jakby znalazł się w świecie, w którym istniało tylko niskie napięcie. Zewsząd dobiegały do niego odgłosy samochodów, mopedów, ludzi, psów i muzyki, które razem tworzyły mieszaninę bodźców. Ale on był pogrążony w smutku.

„Kurwa...”.

Nagle zahamował przed nim błyszczący SUV.

Michaił wskoczył na tylne siedzenie. W środku było cicho i chłodno.

Alfonse szczyrzył do niego zębami w uśmiechu.

– To prawie jak spotkanie po latach, zjazd weteranów z Trasten – powiedział i zarechotał.

Jens czekał na przystanku przy ruchliwej ulicy we wschodniej części miasta. Ludzie jeździli tu jak wariaci. Kierowcy motocykli i mopedów śmiali się śmierci

w twarz.

Koło niego zatrzymał się duży srebrny cadillac. Jens otworzył tylne drzwi. Zobaczył Alberta i wsiadł do środka. Nie licząc kierowcy, byli sami.

– Cześć, Albert – powiedział Jens.

– Cześć, Jens – odparł Albert.

Był opalony i miał zmierzwiłone włosy.

Kierowca włączył się do ruchu.

– Jak się czujesz? – zapytał Jens.

– W porządku.

Nie wyglądał na ucieszonego, wydawało się, że coś go zastanawia.

– Na pewno?

– Co się teraz dzieje? – zapytał Albert.

– Jestem tu po to, żeby cię stąd zabrać.

– Dokąd?

– Do twojej mamy.

– Do domu?

– Nie... Jeszcze nie teraz. Na razie pojedziesz do Pragi, przez jakiś czas tam pomieszkacie.

– Jak wam się udało mnie uwolnić?

– Czy to ma znaczenie?

– Tak, ma...

Cadillac grzał dwupasmową jezdnią, wpychał się między inne pojazdy, lawirował, przejeżdżał na żółtym świetle.

– Nie, nie ma. Liczy się tylko to, że stąd wyjedziesz i wrócisz do mamy.

– Nie dla mnie – zaprotestował Albert.

– Co się z tobą stało? – zapytał Jens.

Kierowca zatrąbił i dodał gazu.

– Słyszałem, jak o tym rozmawiali.

– Kto i o czym?

– Mówili, że mam zostać na kogoś wymieniony.

– Tak – potwierdził Jens. – Zgadza się.

– Na Lothara?

– Tak...

– A czy ktoś zapytał mnie o zdanie?

– Jak mielibyśmy to zrobić?

– Chcę tu zostać – oświadczył Albert.

– Dlaczego jesteś taki uparty?

– Przestań, Jens. Chcę tu zostać. Nie chcę, żebyście mnie wymieniali na Lothara. On nic nie zrobił.

– A ty?

– Ja też nie, ale nie o to chodzi...

– Twoja matka cię potrzebuje – powiedział Jens.

Albert obrzucił go spojrzeniem.

– Teraz przesadziłeś.

Albert wydawał się obojętny. Albo tylko takiego udawał.

Jens odwrócił się w jego stronę.

– Posłuchaj mnie – powiedział.

Albert uciekł spojrzeniem.

– Twoja mama została ranna.

Na twarzy chłopaka pojawił się strach.

– Co się stało?

– Została pocięta nożem.

– Jak się czuje?

– Całkiem dobrze, biorąc pod uwagę okoliczności.

Albert miał mętlik w głowie.

– Kto to zrobił?

– Aron Geisler – odparł Jens.

Albert spojrział na niego ze zdziwieniem.

– Aron? Ale dlaczego?

– Na razie nie wiemy... Ale to nie ma znaczenia.

Ścigają nas, policja wysłała za nami listy gończe. Niestety

nie masz wyboru, musisz teraz pojechać do swojej mamy.
Rozumiesz?

Albert nad czymś się zamyślił.

– Rozumiesz? – powtórzył Jens.

– Tak – odparł Albert.

To było bardziej do niego podobne, upór zniknął.

– Nie wiem, czy cię to pocieszy, ale zostanę tu
z Lotharem.

– Zostaniesz?

– Tak.

– Dlaczego?

– Mam być częścią wymiany. Ale nie myśl o tym.

Albert spuścił głowę, jakby ze wstydu.

– Nie wiem, co powiedzieć – wyszeptał w końcu.

– Nie musisz nic mówić ani czuć się winny. Tak już jest
i nie ma to nic wspólnego z tobą.

Kiedy skręcili na lotnisko wojskowe, padał deszcz. Na
płycie stał boeing 737 z włączonymi silnikami. Na ogonie
miał emblemat sił powietrznych Kolumbii. Do tylnego
wejścia były przystawione schody.

Podjechał do nich jeszcze jeden cadillac. Jens śledził

go wzrokiem. Samochód zatrzymał się i wysiadł z niego Michaił. Podszedł do nich i powiedział:

– Chodź, Albert. Musimy dopilnować, żebyś stąd odleciał.

Albert przywitał się z nim, a potem cała trójka ruszyła w stronę czekającej maszyny.

– Co zrobisz potem, Michaił? – zapytał Jens.

– Potem?

– Kiedy wrócisz do Europy. Wyjedziesz z Pragi?

– Nie, trochę tam zostanę.

– Dlaczego?

– Z różnych powodów.

– Podaj jeden z nich.

Michaił obrzucił go spojrzeniem.

– Uważam, że Lothar nie powinien przebywać w tym kraju z tymi ludźmi. Wiem, że się ze mną zgadzasz.

Wyjął z kieszeni jakąś kartkę.

– Skontaktuj się ze mną na tej stronie – powiedział i wsunął Jensowi kartkę do kieszeni.

Wnieśli po schodach wózek z Albertem i wstawili go do środka.

Jens wyciągnął rękę. Albert ją uściśnął.

– Uważaj na siebie i na mamę – powiedział, odwrócił się, poklepał Michaiła po ramieniu i zbiegł po schodach.

Potem ruszył w stronę samochodu, w którym czekał na niego Alfonse.

Michaił wepchnął do środka wózek z Albertem. Z tyłu samolotu znajdowała się pusta ładownia, a nieco dalej z przodu stało siedem rzędów obszernych starych siedzeń pierwszej klasy. Na oko pochodziły z lat osiemdziesiątych.

Michaił pomógł Albertowi zająć miejsce.

Z kokpitu wyszedł do nich jeden z pilotów w zielonym, lotniczym mundurze. Złożył wózek Alberta.

– Wylądujemy w Pradze. Podczas kołowania ukryjemy chłopca w skrzyni, która jest oznaczona jako przesyłka dyplomatyczna – wyjaśnił. – A ty – dodał, wskazując palcem Michaiła – wyjdiesz z nami i znikniesz gdzieś po drodze.

Jens przyglądał się boeingowi, sunącemu w stronę pasa startowego. Miganie świateł pozycyjnych rozświetlało mrok za zasnutą deszczem szybą.

Silniki ryknęły i maszyna ruszyła po mokrym pasie. Po

chwili wzniosła się gwałtownie w górę i zniknęła w ciemnościach.

Albert wraca do mamy – pomyślał Jens.

– A teraz podaj nam adres hotelu – polecił Alfonse.

Jens poczuł chęć, żeby skrócić mu kark, udusić szofera, zabrać Lothara i uciec.

Jednak siedzący obok niego Alfonse trzymał w ręku pistolet, a na kolanach kierowcy leżał drugi.

To będzie musiało zaczekać.

Alfonse poszedł za Jensem do hotelowego pokoju. Pistolet luźno wisiał w jego dłoni.

Jens odpiął Lotharowi kajdanki, wziął jego torbę i cała trójka opuściła pokój.

Kiedy wyjechali z miasta, Jens odwrócił się do Lothara i powiedział:

– Zostanę tu z tobą.

Lothar nie zrozumiał.

– Od tej pory pracuję dla tych ludzi. Będę sporo podróżował, ale postaram się odwiedzać cię tak często, jak to tylko możliwe.

Lothar uczeplił się jakiejś myśli, wyraźnie się odprężył

i uspokoił.

– Dobrze – wyszeptał.

Nowy dom, położony w dżungli zamek narkotykowego króla, ukazał się ich oczom, gdy wyjechali z gęstego lasu.

Posiadłość jarzyła się w mroku. Przyglądali się zwierzętom w klatkach, kortom tenisowym, basenom, wodospadowi i lądowisku dla helikoptera.

Samochód minął dom, przejechał przez niewielki las i skręcił w szutrową drogę.

U stóp porośniętego zielenią pagórka znajdował się rząd parterowych, pomalowanych na biało domków, kilka ogródków, oranżeria i dwa budynki bez okien. Wyglądało to jak osiedle willowe w miniaturze, z tą jednak różnicą, że otaczało je wysokie na trzy metry metalowe ogrodzenie, na którym wisały tabliczki ostrzegające przed wysokim napięciem. Teren wokół ogrodzenia patrolowali strażnicy, a do środka prowadziła okratowana brama.

Samochód, w którym jechali, zatrzymał się. Na oświetlonej werandzie jednego z domków Jens zobaczył trzech mężczyzn. Byli swobodnie ubrani, wyglądali prawie tak, jakby byli na wakacjach. Siedzieli przy stoliku i chyba

grali w karty...

Alfonse spojrział do tyłu, na Jensa.

– Znasz ich? – zapytał, pokazując głową w stronę werandy.

Mężczyźni znajdowali się w pewnej odległości, ale Jens rozpoznał jednego z nich.

– To Ernst Lundwall – powiedział.

– Zgadza się – odparł Alfonse. – A pozostali dwaj to Christian Hanke i Roland Gentz.

Syn Ralpa Hankego i jego prawa ręka, pomyślał Jens.

Wyglądało na to, że Don Ignacio Ramirez kolekcjonuje ludzi. Tak jak kolekcjonował zwierzęta w klatkach. Jens i Lothar mieli teraz powiększyć zbiory. Sytuacja była jasna. Alfonse i Don Ignacio dysponowali osobami, dzięki którym mogli przejąć dowolną część interesów Hankego i Guzmana. A może nawet całość... Ponieważ mieli ich synów.

Jens spojrział na Lothara. Siedział z tyłu. Z jego twarzy nie można było wyczytać, co o tym wszystkim sądzi.

– Wy nie będziecie tu mieszkać. Będziecie gośćmi w domu Don Ignacia – wyjaśnił Alfonse.

– Co to znaczy? – zapytał Jens.

– Że zaczynamy tam na górze – powiedział, wskazując główny budynek. – Jeśli będziesz się dobrze sprawował i wykażesz chęć współpracy, to... sam rozumiesz... Wtedy Lothar nie będzie miał powodów do narzekań.

66

Sztokholm

Tommy prowadził wózek z Monicą. Dzień był zimny. Monica przyglądała się przyrodzie, pięknej jak zawsze. Niezależnie od tego, jak szaro i nudno było wokół, Monica cieszyła się tym, co widziała.

Przestała się odzywać do Tommy'ego. Sądził, że wynikało to z postępów choroby. Ale czasem mówiła, i to bardzo wyraźnie. Postanowiła jednak, że do Tommy'ego nigdy więcej się nie odezwie. A wtedy on zaczął z nią szczerze rozmawiać. Ich wspólne spacerowanie, takie jak ten, zrobiły się nie do wytrzymania. Popychając ją przed sobą, opowiadał jedną odrażającą historię po drugiej. Jak gdyby chciał ulżyć swojemu sumieniu. Tylko do tego była mu potrzebna. Nie mówił wszystkiego wprost, ale ona i tak

domyśliła się prawdy. Tommy był mordercą i to wielokrotnym. Jego szczerść była jej zupełnie niepotrzebna. Za pomocą mądrych słów i dziecięcej psychologii próbował się usprawiedliwiać. Poza tym cały czas przypominał jej o tym, że robił to wszystko dla niej, że chciał tylko, żeby wyzdrowiała.

Zrozumiała, jak bardzo jest pokrecony. Nie był w stanie niczego jej oszczędzić, opowiadał o wszystkim i twierdził, że to jej wina.

– Pamiętasz Danię? – zapytał. – To były chyba nasze najlepsze wakacje. Dziewczynki były takie szczęśliwe. Kochały plażę i tamtejsze restauracje. Znów tam pojedziemy. Zatrzymamy się w tym samym miejscu. Znów będziemy się dobrze bawić.

Niezależnie od tego, o czym mówił, w jego głosie słyhać było całkowitą pewność. Jak gdyby każda myśl, która przychodziła mu do głowy, była słuszna. Ona nawet nie pamiętała tamtych wakacji.

Widziała, że Tommy już nigdy w niczym jej nie pomoże. A już na pewno nie ułatwi jej przejścia na tamten świat. Mimo że tak bardzo go o to prosiła. Nawet tego nie mógł dla niej zrobić, po tym jak poświęciła mu całe życie.

Tommy myślał tylko o sobie i to o sobie przez cały czas się troszczył. Dał się porwać sile pomału wciągającej go do świata, w którym wszystko było wypaczone i w którego centrum znajdował się on sam.

Mogła się za niego tylko modlić. Często i intensywnie. Mając nadzieję, że pewnego dnia się opamięta i palnie sobie w łeb.

67

Praga

Na lotnisku Václava Havla w Pradze Kenneth Wessman pokazał celnikowi swój paszport dyplomatyczny. Pokwitował odbiór drewnianej skrzyni wysłanej ze szwedzkiej ambasady w Kolumbii.

Skrzynia została załadowana do furgonetki.

Miles siedział za kierownicą, Wessman wskoczył na siedzenie obok i ruszyli. Zamiast skierować się do miasta, wjechali między budynki. Po chwili jazdy zobaczyli, że w ich stronę zmierza potężny mężczyzna w samej koszuli.

Michał odsunął tylne drzwi i wspiął się do środka.

– Kurewsko tu zimno – mruknął, dygocząc.

Kenneth zajął miejsce Milesa i szybko odjechali. Miles przeszedł do tyłu i pomógł Michaiłowi otworzyć skrzynię. Zdjęli wieko.

Albert siedział na podwiniętych nogach.

– Nazywam się Miles Ingmarsson – powiedział Miles, wyciągając do chłopaka rękę.

Albert ją uścisnął.

– A ja Albert Brinkmann – oznajmił.

Sophie usłyszała, jak otwierają się drzwi wejściowe. Miles coś mówił, a Albert mu odpowiadał. Potem na drewnianej podłodze rozległo się skrzypienie gumowych opon.

Albert wjechał do jej pokoju. Spojrzeli na siebie. Albert wyglądał tak jak zwykle, choć odniosła wrażenie, że coś się w nim zmieniło. Nie wiedziała jednak co. Jego oczy nabrały nowego wyrazu.

Łzy spływały jej po policzkach. Chwyliła dłoń Alberta i pochyliła się w jego stronę. Przytuliła go, nie zważając na ból promieniujący z rany. Tuliła go mocno. Wydawał się odległy.

- Cześć, mamó – powiedział.
- Witaj, kochanie – odparła.

Dwa tygodnie później

Sztokholm/Praga

Kiedy Tommy wszedł do domu, powitała go cisza. Minął korytarz i zajrzał do dużego pokoju. Miał wrażenie, że wszędzie panuje porządek, jakby ktoś wysprzątał całe mieszkanie.

– Halo? – zawołał niepewnym głosem.

Monica siedziała przy stole w kuchni i patrzyła przed siebie niewidzącym wzrokiem. Głowę miała opartą na ramieniu, a jej ręce luźno wisały po bokach wózka. Na stole przed nią stała szklanka wody i leżały otwarte opakowania po lekach.

Tommy stanął w progu, nie był w stanie się poruszyć. Promienie popołudniowego słońca padały na jego martwą żonę. Panował sielankowy spokój. Tommy zrobił kilka niepewnych kroków. Wziął krzesło i uświadomił sobie, że zachowuje się tak cicho, jakby nie chciał zakłócać spokoju

Moniki. Wiedział, że jej duch wciąż jeszcze jest w kuchni. Usiadł obok niej.

Jej dłoń była zimna. Chwytał ją i ścisnął, próbując ogrzać.

– Monica – wyszeptał.

W czasie wspólnych spacerów zdradził jej niektóre ze swoich tajemnic. Nie wszystkie, jedynie ich drobną część. Czuł się z tym dobrze. Chciał wierzyć, że coś jej to dało, że cieszyła się z jego zaufania. Choć przede wszystkim to on potrzebował tych rozmów. A teraz ona miała odejść? A może już to zrobiła? Była mu potrzebna... ktoś musiał wziąć na siebie jego winę.

Spowiedź, wyznanie grzechów...

Ze szczegółami opowiedział swojej martwej żonie o tym, jak strzelał i dusił ludzi ze swojego otoczenia. Pochwalił się tym, jak dobrze zna samego siebie i jak świetną ma samokontrolę. W końcu sam, bez niczyjej pomocy, przestał pić. Gdy już zaczął mówić, nie mógł skończyć. Przedstawił jej swój pogląd na życie. Każde jego słowo było prawdziwe, nawet nie musiał się nad nimi zastanawiać. Wszystko układało się w całość i upewniało go, że to, co robił, jest słuszne i że musi dalej kroczyć

obraną drogą.

Monica siedziała i uważnie go słuchała, wpatrując się w jeden punkt. Nic nie mówiła, uznał więc, że się z nim zgadza.

Potem się rozplakał. Trząsł się i ryczał jak bóbr. Płakał, ponieważ czuł się wyzwolony. To było takie piękne uczucie...

Puścił zimną i sztywną dłoń żony. Zadzwoił i zgłosił jej zgon.

Zjawiło się kilku umundurowanych kolegów po fachu. W przypadku samobójstw ich praca ograniczała się do rutynowych czynności. Złożyli Tommy'emu kondolencje. Sanitariusze czekali, aż skończą. Potem weszli do kuchni i zanieśli Monicę do karetki.

Tommy wyszedł na ulicę i patrzył, jak odjeżdżają. Następnie spakował wszystkie ubrania i rzeczy Moniki do kartonów i zniósł je do piwnicy. Kiedy znalazł się na dole w swoim małym biurze, azylu i kryjówce, rzucił okiem na biurko. Zobaczył sterty papierów. Stwierdził, że panuje tam bałagan.

Zaczął sprzątać, układać i segregować... Chodziło o to, by zlikwidować wszystko, co mogłoby mu zaszkodzić

albo go zdemaskować. Dlatego zamienił się teraz w śledczego – był przecież znakomitym detektywem – i zaczął prowadzić śledztwo w swojej sprawie. Przyglądał się ostatnim wypadkom pod różnymi kątami i sprawdzał, czy coś może do niego doprowadzić. Odkrycie przecieków pozwoliłoby mu na ich usunięcie. Po raz kolejny zaskoczyła go własna zręczność, jako śledczego i sprawcy.

Pracował, notował, rozrysowywał... robił kalkulację ryzyka. Tylko dwie osoby mogły stanowić dla niego zagrożenie. Miles Ingmarsson i Sophie Brinkmann. Oprócz nich nie miał się czego obawiać. Był nie do ruszenia.

Ale da sobie z nimi radę, nie spocznie, dopóki nie doprowadzi sprawy do końca. Zawsze będzie o krok przed nimi. Będzie niebezpieczny jak diabli. Czuł w sobie siłę. Był niezwyciężony.

Miles czekał w hali przylotów praskiego lotniska. Zobaczył, jak nadchodzi. Obok niej szedł Ian, który ciągnął za sobą jej walizkę. Miała chustkę na głowie, ciemne okulary i szalik. Jednak na niewiele się to znało. Było

widać, że niedawno przeszła operację twarzy.

Podbiegła do niego, wtuliła się w jego ramiona i mocno go objęła. Stali tak dobrą chwilę. Ian czekał kawałek dalej.

– Teraz jesteśmy razem – powiedziała Sanna.

Wyswobodził się z jej uścisku i na nią spojrział.

– Lekarze mówią, że to się zagoi – szepnęła.

Delikatnie pogładził jej policzek.

Ian podszedł do nich.

– Cześć, Miles – rzucił.

– Cześć, Ian.

Miles przyjrzał się młodszemu bratu. Miał wrażenie, że odkąd się ostatnio widzieli, Ian urósł o jakiś metr. Pod względem charakteru. Była w nim jakaś bezpośredniość, solidność. Jak gdyby już nie starał się ukrywać niskiego poczucia własnej wartości i dzięki temu się z nim uporał.

– Bardzo ci za wszystko dziękuję – powiedział Miles.

Ian wzruszył ramionami, jakby nie wiedział, o czym mówi Miles. Miles jednak mówił szczerze. Ian pracował niezmiernie ciężko, starając się zrobić to, o co prosił go starszy brat. Przede wszystkim zapewnił Sannie ochronę, gdy ta leżała w szpitalu. A teraz z nią tu przyleciał. Kupił

jej nawet nowe ubrania, żeby mogła się czuć atrakcyjnie. Za chwilę miał powrotny lot do Szwecji.

Ian uściskał Sannę, a potem wyciągnął dłoń do Milesa.

– Mam nadzieję, że niedługo będziemy mogli razem usiąść, napić się, zjeść i pogadać – powiedział Miles.

– O czym?

– Tak po prostu.

– Też mam taką nadzieję.

Miles chwycił dłoń brata. Ian uśmiechnął się, odwrócił i odszedł.

Jedli obiad w praskim mieszkaniu, które teraz było ich wspólnym domem.

Sophie, Albert, Michał, Miles i Sanna. Dwa miejsca przy stole były puste. Tak ustalili. Mieli tam usiąść Lothar i Jens. Nie wiedzieli kiedy, ale nie miało to znaczenia.

Sophie przyjrzała się ludziom, którzy jedli, pili i gawędzili.

Zaczęła rozpoznawać dawnego Alberta. Rozmawiali. Albert chciał się wszystkiego dowiedzieć. Opowiedziała mu więc, bez owijania w bawełnę, niczego nie upiększając. Nie było to łatwe. Ale Albert tego od niej

oczekiwał. Chciał, żeby była z nim szczerą, nie ze względu na siebie samego, lecz na nią. Rozmowa przyniosła jej ulgę... Poczwała, że to dobry wstęp do tego, żeby spróbować zaakceptować swoje nowe ja i stać się lepszym człowiekiem.

To akurat odnosiło się do wszystkich przy stole. Jak gdyby zawarli ciche porozumienie, że każdy z nich będzie próbował stać się lepszy. To była ich własna decyzja.

Miles promieniał. Sophie się to podobało. Sanna była dobrą dziewczyną, przytomną, szczerą, mądrą i ciepłą. Roztaczała wokół siebie harmonię. A Michaił z dnia na dzień stawał się coraz bardziej ludzki. Może zawsze taki był...

Ale siedzieli tam również dlatego, że nie mieli wyboru. Wszyscy byli ścigani, a śmierć czaiła się za każdym rogiem. Utracili wolność.

Żadne z nich nie było w stanie tego zaakceptować. Mieli zamiar walczyć o przeżycie... i o wolność.

Albert siedział po drugiej stronie stołu. Śmiał się z opowieści Milesa.

Zaczęła się śmiać razem z nim.

Przypisy końcowe

1. Christer Pettersson był jednym z podejrzanych o zabójstwo premiera Szwecji Olofa Palmego (przytłum.). [\[wróć\]](#)